

FRONTLINES

# PUNKT UDERZENIA

MARCO KLOOS

TYTUŁ



fabryka słów®  
WYDAWNICTWO

# Spis treści

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1. Na patrolu

Rozdział 2. Zmęczenie materiału

Rozdział 3. Obietnice do dotrzymania

Rozdział 4. Urlop

Rozdział 5. Na Ziemi

Rozdział 6. Stocznia Floty Dedalus

Rozdział 7. Ten zapach nowego okrętu

Rozdział 8. Nieprzyjemne spotkanie

Rozdział 9. Omawianie problemów

Rozdział 10. Z Ziemi na Tytana

Rozdział 11. Przyjemne spotkanie

Rozdział 12. Nowe zabawki

Rozdział 13. Niski poziom trudności

Rozdział 14. Gry wojenne

Rozdział 15. Przepustka

Rozdział 16. Pilna wiadomość

Rozdział 17. Opowieści wojenne

Rozdział 18. Mściciel

Rozdział 19. Walka w zwarciu

Rozdział 20. Duchy w śniegu

Rozdział 21. Druga bitwa o Nowy Svalbard

Rozdział 22. Requiem dla kolonii

Epilog

Podziękowania

O autorze

Karta redakcyjna

Okładka

MARKO KLOOS

PUNKT  
UDERZENIA

TŁUMACZYŁ  
PIOTR KUCHARSKI

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

S E R I A

FRONTLINES

1. **Pobór**
2. **Ewakuacja**
3. **Natarcie**
4. **Łańcuch dowodzenia**
5. **W ogniu walki**
6. **Punkt uderzenia**



Dla Robin, Lyry i Quinna,  
centrum mojej galaktyki.

# Prolog

Uczestniczyłem w wojnie przez niemal całe dorosłe życie.

Gdy byłem dzieckiem, Dzielnica Zakwaterowania Komunalnego nie oferowała mi zbyt wiele poza możliwością wpadania w kłopoty albo gapienia się w sieciowizję. Nie szło mi zbyt dobrze wypadanie z kłopotów, więc zamiast szlajać się po ulicach, czytałem książki i sporo oglądałem.

Najbardziej lubiłem programy wojskowe, takie nadawane latami, ze stabilną obsadą, którą po jakimś czasie widzowie znali lepiej niż własną rodzinę, grającą zaprawionych w boju sierżantów i oficerów walczących z nieprzyjacielem obowiązującym w bieżącym sezonie. Teraz wiem już, że niektóre z tych seriali stanowiły ultrapatriotyczną propagandę, inne zaś bywały odważniejsze i krytykowały zjawisko wojny, lecz wszystkie posiadały wspólny element: koniec zawsze wieńczyło zwycięstwo. Być może zdobyte z wielkim trudem i za ogromną cenę, ale nigdy nie było wątpliwości, że nieprzyjaciel został pokonany.

Okazało się, że wszystkie te programy były niewarte funta kłaków.

Prawdziwa wojna jest zupełnie inna. Często nie osiąga się w niej wyraźnej wygranej. Czasami obie strony odstępują od walki wyczerpane, krwawiące i pozbawione morale, lecz o żadnym celu lub spłachetku ziemi nie można powiedzieć: „Właśnie to zdobyliśmy za cenę życia dziesięciu tysięcy żołnierzy

i marynarzy”. Niekiedy obie strony wpadają w swoisty impas, nie są już w stanie dalej walczyć, ponieważ wykrwawiły się w stopniu uniemożliwiającym dalsze działania wojenne, ale wcześniej poświęciły tak wiele, że nie potrafią się przyznać do porażki. Wycofują się więc do narożników ringu i starają się dojść do siebie na tyle, by dało się stoczyć kolejną rundę.

Właśnie tak stało się na Marsie.

Trzy lata wcześniej spróbowaliśmy odebrać planetę Dryblasom, a oni postanowili ją utrzymać. Ani nam, ani im się nie udało, ale też nikt nie poniósł tak naprawdę klęski. Ofensywa kosztowała ponad dziesięć tysięcy ludzi. Obcy skusili nas do nadmiernego rozciągnięcia linii, a następnie wyłonili się z przygotowanych wcześniej stanowisk pod powierzchnią, wyleźli z rozległej sieci tuneli liczących nawet po kilkaset kilometrów. Opuściliśmy Marsa w samą porę, żeby uratować ponad połowę żołnierzy biorących udział w operacji, lecz zabrakło nam czasu i amunicji, by kontynuować walkę. Ostatecznie zabiliśmy tysiące Dryblasów, spuściliśmy atomówki na wszystkie okręty nasienne, które hodowali pod ziemią, zniszczyliśmy ich terraformery i dzięki setkom nuklearnych głowic bojowych rozpierzdziliśmy planetę zarówno dla obcych, jak i dla ludzi.

Na Ziemi nie zorganizowano jednak żadnych imprez z sypiącym się konfetti, nie pojawiły się wzruszające materiały pokazujące ocalałych osadników uratowanych przez siły Piechoty Kosmicznej, nie puszczono parady środkiem głównej alei w mieście Olympus. A jedynie pogrzeby ze starannie składanymi flagami i uroczystymi przemowami, które odbyły się dziesięć tysięcy razy we Wspólnocie Północnoamerykańskiej oraz Związku Chińsko-Rosyjskim. Nie przegraliśmy, ale też na pewno nie wygraliśmy. I chociaż nie mogliśmy już korzystać z Czerwonej Planety, wyłączyliśmy ją także dla obcych, co zakończyło ich wtargnięcia w naszą przestrzeń. Jeśli zostały im



jakieś okręty nasienne, pospiesznie wycofali je z Układu Słonecznego, ponieważ żadna z naszych jednostek nie natknęła się na nie od czasu drugiej bitwy o Marsa. Po trzech latach niektórzy zaczęli sądzić, że pobiliśmy najeźdźców na dobre, że odpędziliśmy ich, skąd przylecieli.

Większość nie miała jednak złudzeń, przygotowaliśmy się więc do kolejnej rundy. Wszyscy: WPA, ZCR i pozostałe ziemskie sojusze, ciągnęliśmy za linę w tę samą stronę, choć nadal sprzeczaaliśmy się i podgryzaliśmy niczym wielka dysfunkcyjna rodzina. Wspólnota straciła bezcennego „Agincourt”, lecz Chino-Rosjanie wciąż mieli „Archangielsk”, poza tym usprawniliśmy rakiety Orion, które pozwoliły nam zlikwidować flotę Dryblasów zgromadzoną wokół Marsa. Mimo że nasze bloki polityczne dawniej zbroiły się na potęgę, okazało się, że zapasy głowic nuklearnych, stosowanych setkami do napędzania Orionów, mogą się zaraz skończyć. Uran i pluton nagle stały się artykułami pierwszej potrzeby, a państwa opróżniły wszelkie zapasy dawnej broni jądrowej. Nasze atomówki poszły na paliwo dla rakiet i wycelowano je teraz w przestrzeń, zamiast w ziemskie miasta, co było jednym z nielicznych pozytywnych efektów ubocznych zagrożenia ze strony Dryblasów.

Wspólnota Północnoamerykańska, która cienko przedła jeszcze przed przybyciem obcych, teraz była w zasadzie bankrutem. Na szczęście Unia Europejska i bogate kraje basenu Oceanu Spokojnego dostrzegły, że obrona Ziemi jest zadaniem wszystkich państw, nie tylko WPA czy ZCR. Dostaliśmy więc świeży sprzęt i gotówkę na wydatki, a także korzyści płynące ze wspólnych badań.

Ćwiczyliśmy rekrutów, żeby odbudować kosmiczną potęgę bojową. Wykorzystaliśmy strumień otrzymanych pieniędzy, żeby się przebroić, przeorganizować i opracować nowe wyposażenie, a jednocześnie cały czas bacznie obserwowaliśmy gwiazdy. Może i Dryblaszy opuścili Układ Słoneczny, ale wciąż gdzieś tam się

znajdowali, przyczajeni w koloniach, które odebrali nam przed laty. Nie miałem wątpliwości, że wkrótce znów wejdziemy w zwarcie. Pytanie tylko, kto będzie miał większe jaja, żeby jako pierwszy zadać następny cios.

Po powrocie z Marsa spełniłem złożoną obietnicę i dołączyłem do Brygad Lazarus jako doradca z ramienia Floty, żeby przez półtora roku ćwiczyć ludzi i wplątywać się w konflikty w DZK. Dawniej walczyłem z obcymi i ZCR na odległych stertach głązów trzydzieści albo więcej lat świetlnych od domu, ale tych osiemnaście miesięcy na Ziemi okazało się trudniejsze i groźniejsze niż wszystko, co widziałem lub robiłem w przestrzeni. Robota we Flocie oscylowała między nudą a niebezpieczeństwem, lecz powrót do akcji na ojczystej planecie wydawał mi się niemal jak wypuszczenie z czyścica. W Brygadach doświadczyłem rzeczy, które zawsze już będą obciążać moje sumienie. Nawet Halley nie wiedziała o wszystkim i wątpiłem, czy kiedykolwiek obarczę ją tą wiedzą.

Na razie jednak wróciłem do tego, do czego zostałem wyszkolony. Na Marsie wciąż znajdowali się obcy i wszedłem w skład ekipy sprzątającej, która deptała karaluchy, gdy tylko opuszczały ciemne kryjówki i rozbiegały się w świetle. Nie mogliśmy odzyskać Czerwonej Planety, ale zamierzaliśmy dopilnować, żeby oni również jej nie mieli.

## Rozdział 1

# Na patrolu

**K**ontakt na względnym kierunku czterdzieści stopni, kapitanie.

Grzecznościowe ostrzeżenie pilota wyrwało mnie z lekkiej drzemki, w którą zapadłem jakieś piętnaście minut wcześniej. Usiadłem prosto i rozejrzałem się po wyświetlaczu konsoli. Okrętem desantowym nieco rzucało, ale po trzech miesiącach niekończących się patroli w atmosferze nad Marsem potrafiłem spać w każdych warunkach łżejszych niż huragan czwartej kategorii.

– Moment – powiedziałem. – Sprawdzam teren.

Desantowcem była Ważka, ale nie standardowy model pełniący zwykle funkcję taksówki bojowej, lecz wariant SR, opracowany specjalnie na potrzeby tego konkretnego zadania. Cały kadłub pokryto potężnymi matrycami sensorów optycznych. Dryblasów nie dało się wykryć radarem czy podczerwienią, ale nie mogli ukryć się przed obiektywami kamer. Problem w tym, że jeśli chcieliśmy dostrzec obcych, to przy panującej nieustannie na Marsie gównianej pogodzie Ważki-SR musiały latać poniżej niskiego pułapu chmur, co oznaczało długie i nudne patrole. Ośmiogodzinne zmiany wypełniało spoglądanie na konsole i miotanie się w targanym wichrem okręcie. Zamiast rakiet na pylonach skrzydłowych zawieszono dodatkowe zbiorniki paliwa, desantowce mogły nawet utrzymać się w powietrzu niemal dwanaście godzin, ale ograniczała je wytrzymałość ludzkiej załogi.

– No dzień dobry, panie Dryblasie – oznajmiłem na widok znajomej wysokiej sylwetki kroczącej w dole kilka kilometrów od nas. Niedługo później oprogramowanie matrycy optycznej nakreśliło kontur kolejnego podejrzewanego obcego i po chwili drugi obcy wyłonił się z oparów w przewidzianym miejscu.

– Cel – nadałem do pilota. – Dwaj nieprzyjaciele na kierunku pięćdziesiąt, odległość cztery pięćset, prędkość pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Spiesz się – skomentował pilot. – Tracą czujność.

– Też byś się spieszył, gdyby ktoś spuszczał ci na głowę pociski kierowane za każdym razem, gdy wychodzisz na spacer.

– Co zamierzasz tu zrobić? – spytał.

Zastanawiałem się nad tym przez krótką chwilę. Zwykle zabijaliśmy Dryblasów, gdy tylko dostrzeżliśmy ich na powierzchni, ale wzorzec ruchu tych dwóch sugerował, jakby zmierzali w jakieś konkretne miejsce, a nie tylko uciekali przed odgłosem silników. Ważki były ciche, ale niezlikwidowani dotąd obcy zwykle wykazywali się ostrożnością i czujnością, a nie mieliśmy jak stwierdzić, czy usłyszeli nas albo dostrzeżli na taki dystans.

– Zrób zwrot na sterburtę, a później skręć na bakburtę i wykonaj pętlę – poleciłem. – Utrzymaj odległość czterech kilometrów. Chcę się przyjrzeć, dokąd idą.

– Przyjąłem.

Desantowiec pochylił się do zwrotu w prawo, który na moment odsunął nas od nieprzyjaciół, ale matryce kamer wciąż śledziły ich z komputerową precyzją. Wykurzanie obcych z kryjówek, gdy posługiwaliśmy się wyłącznie optyką i nie chcieliśmy ich alarmować aktywnym promieniowaniem, było wyjątkowo uciążliwe.

Zbombardowaliśmy gruntownie planetę przed trzema laty, po zakończeniu drugiej bitwy o Marsa. Każde osiedle Dryblasów okazało się okrętem nasiennym konstruowanym pod skalistą

powierzchnią i na wszystkie z nich spuściliśmy kumulacyjne pociski nuklearne. Tego rodzaju detonacje jądrowe są najpaskudniejsze z możliwych, ponieważ napromieniowana gleba i kamienie zamieniają się w pył, po czym rozpraszają po okolicy. Większość Marsa była teraz tak radioaktywna, że liczniki Geigera w naszych pancerzach brzmiały jak szybkostrzelne karabiny maszynowe na pełnym automacie. Po każdym powrocie z misji na lotniskowiec Ważka musiała spędzić dwadzieścia minut w kłamrze dekontaminacyjnej, zanim pozwolono nam wyjść. Obcy wydawali się jednak odporni na promieniowanie, bo nawet po trzech latach pod ziemią wciąż się od nich roiło, jeśli oceniać po tym, ilu z nich zabiliśmy na otwartym terenie.

Ważka-SR zmieniła kurs i skręciła w lewo, żeby wykonać szeroki zwrot wokół Dryblasów. Komputer utrzymywał pewnie krzyżyk celownika na biegnących stworach. Nie podnosiły głów ani w żaden inny sposób nie dawały po sobie poznać, że wiedzą o naszej obecności, lecz poruszały się w wyraźnie celowy sposób. Obserwowałem, jak schodzą po zboczu do szerokiego parowu, przy każdym kroku podrywając obłoczki brunatnożółtego pyłu. Niełatwo było siedzieć w uzbrojonym okręcie i śledzić ruchy żywych obcych, nie pociągając za spust, ale nauczyłem się odwlekać przyjemność. Jeśli chce się zabić wiele os, nie gania się za nimi z packą, by rozplaskiwać je pojedynczo, tylko idzie się za owadami do gniazda i pali cały rój.

– Kończymy z nimi? – zapytał pilot.

– Jeszcze nie – odparłem. – Nie wystraszymy ich. Poza tym chcę mieć dokładniejsze dane celownicze, zanim zmarnujemy amunicję na zaledwie dwóch biegaczy.

– Ty tu rządysz – nadał w odpowiedzi pilot. Brzmiał na równie zmęczonego, jak zapewne i ja. Patrolowaliśmy już blisko osiem godzin jako zaledwie jeden z sześciu zmodyfikowanych desantowców krążących teraz nad południową półkulą

i mieliśmy spowolniony czas reakcji. Po piątej godzinie umysł po prostu zaczyna się wyłączać i czeka już tylko na żarcie oraz ciepły prysznic na lotniskowcu.

Miałem kilka opcji postępowania z dostrzeżonymi nieprzyjaciółmi. Większą część powierzchni ładowni za moimi plecami zajmowała obrotowa wyrzutnia z dwunastoma półtonowymi pociskami kierowanymi o głowicach bojowych ważących połowę tego. Mogliśmy wystrzeliwać je bezpośrednio z rufy Ważki przeciwko samotnym maruderom oraz małym grupom. Na większe gromady mogłem przywołać uderzenie kinetyczne z orbity lub poprosić o taktyczne wsparcie lotnicze ze strony Dzierzb. Jeśli zaś natykaliśmy się na zagrzebany okręt nasienny lub choćby podejrzewaliśmy jego obecność, miałem możliwość ubiegać się o atak jądrowy z lotniskowca, czyli ładunek termonuklearny umieszczony za potężną głowicą kumulacyjną, której zadaniem było wprowadzić atomówkę kilkadziesiąt metrów pod ziemię, by uwolniła tam swoją moc. Była to paskudna i brutalna metoda walki, ale dzięki temu mogliśmy uniknąć utraty dziesiątek tysięcy ludzi, którzy inaczej musieliby zmagać się w tunelach z przeciwnikiem dalece przewyższającym ich pod względem fizycznym. Nie próbowaliśmy już potykać się z Dryblasami jak równy z równym. Teraz oszukiwaliśmy przy rozdawaniu kart, jak tylko mogliśmy, nawet jeśli oznaczało to brzydkie zagrania i zostawianie za sobą napromieniowanej gleby.

W ładowni przebywałem jako jedyny, nie miałem zatem z kim rozmawiać podczas obserwacji obcych. Nie chciałem rozpraszać pilotów niepotrzebnymi spostrzeżeniami, poza tym ograniczaliśmy łączność z jednostkami na orbicie do koniecznego minimum, żeby nie emitować zbyt wielu fal. Przyglądałem się zatem w milczeniu diagramowi i obrazom z kamer, pozwalając, by mózg prowadził obliczenia na autopilocie. Obecnie naszej półkuli nie patrolowały żadne

Dzierzby, nie mogłem więc skorzystać z ich wsparcia. Na diagramie widziałem kolejną Ważkę-SR oddaloną o niemal tysiąc kilometrów na wschód, a poza tym jedno wielkie nic. Na orbicie znajdowały się trzy jednostki, ale tylko jedna z nich dysponowała możliwością bombardowania naszego celu – fregata „Berlin”, ten sam okręt, który trzy lata wcześniej wchodził w skład naszego niewielkiego zespołu zadaniowego podczas tajnej operacji w systemie Leonidas. Już wtedy w całości utrzymywały go jedynie niezliczone spawy i ufne modlitwy, zaś kolejne lata walk nijak nie poprawiły jego stanu.

Dryblaszy zeszli ze stoku i ruszyli na północny zachód wąwozem kojarzącym się z pradawnym korytem rzecznym. Przełączyłem jedną z matryc optycznych na widok panoramiczny i rozejrzałem się po okolicy przed nimi, żeby przewidzieć, dokąd zmierzali. Teraz gdy tylko dostrzegaliśmy ich na powierzchni, nigdy nie pozostawali długo poza osłoną. Albo zawsze preferowali warunki podziemne, albo też zastraszająco szybko adaptowali się do naszych ograniczeń sprzętowych. Nie wiedzieliśmy, która z tych możliwości jest prawdziwa, ponieważ z przyczyn oczywistych nie mieliśmy żadnych obserwatorów na przejętych przez nich koloniach, ale tak czy owak czekało nas trudne zadanie.

– No i proszę – mruknąłem do siebie, zauważając ciemną plamkę wejścia do tunelu zaledwie pół kilometra przed nieprzyjaciółmi. Tkwiło w ścianie parowu, stanowiąc przedłużenie naturalnej szczeliny w skale, i jeśli się nie wiedziało, czego konkretnie szukać, można było je przegapić albo uznać za naturalny element krajobrazu. Gdy jednak przybliżyłem widok, potwierdziłem swoje przypuszczenia, zobaczyłem bowiem oczywiste ślady stóp Dryblasów w pyle przed otworem. Już od jakiegoś czasu musieli tamtędy chodzić i nie udało im się skutecznie zatrzeć tropów. – Widzę wejście do tunelu pięćset metrów przed nimi, kierunek trzydzieści trzy. Przy

obecnym tempie dotrą tam za niecałą minutę.

– Wezwać orbitalne? – spytał pilot. – Nie dopadniemy ich, zanim się schowają, ale możemy załatwić gniazdo.

– Nie mamy pojęcia, jak daleko biegnie ten korytarz, zanim dociera do kryjówki – odrzekłem. – Może być dziesięć kilometrów, a może i pięćdziesiąt. Zdmuchnijmy tych dwóch, zanim tam wejdą. Przynajmniej będziemy ich mieć z głowy.

Podniosłem osłonkę systemu sterowania wyrzutnią obrotową, a drugą dłonią wdusiłem przycisk otwierający tylną rampę. Kłapa rozchyliła się z cichym hydraulicznym jęknięciem, które niemal natychmiast utonęło w szumie wiatru. Panel kontrolny wyrzutni przełączył się z „W GOTOWOŚCI/ZABEZPIECZONY” na „UZBROJONY/OSTRA AMUN.”.

– Mam sterowanie ogniem – poinformowałem pilota. – Puszczam dwie w obcych i kolejne dwie w wylot tunelu. Przejdź na kierunek trzysta pięćdziesiąt pięć i trzymaj równo.

– Potwierdzam – odparł pilot. – Przechodzę na trzysta pięćdziesiąt pięć i trzymam poziom.

Desantowiec zakończył szeroki zwrot w lewo i wyprostował kurs na przekazane przeze mnie koordynaty. Dzięki obrotowym wyrzutniom, które montowaliśmy w ładowniach modeli SR, nie musieliśmy trzymać na podorędziu jednostek szturmowych, ale miały one swoje ograniczenia. Były ciężkie jak tuczniki i wykorzystywały niemal cały udźwig Ważek, poza tym można z nich było bezpiecznie strzelać wyłącznie wtedy, gdy okręt pozostawał w konkretnym niewielkim zakresie prędkości oraz pułapu.

Na ekranie celowniczym przeciągnąłem znaczniki numer jeden i dwa na Dryblasów. Trójkę i czwórkę przesunąłem na wejście do jaskini i zaprogramowałem im wejście poziome. Wyrzutnia nie mogła strzelać szybciej niż co dwie sekundy, ponieważ mechanizm obrotowy potrzebował czasu, żeby umieścić na pozycji kolejny półtonowy pocisk, a chciałem trafić



obcych jako pierwszych, żeby nie zostali ostrzeżeni.

– Przechodzę do ataku – nadałem. – Za trzy, dwa, jeden. Strzał.

Z tyłu desantowca wyprysnęła pierwsza rakietka. Zastosowany ładunek miotający służył jedynie do tego, żeby wypchnąć pocisk z wyrzutni za tylną klapę. Następnie z donośnym hukem i świstem odpalił się główny materiał napędowy i rakietka pomknęła pod kątem ku ziemi, kierowana przez komputer na spotkanie z nieprzyjaciółmi oddalonymi o kilka kilometrów od naszej lewej burty. Mechanizm obrócił się z głośnym warkotem i wystrzelił następną rakietkę, a po niej kolejną. Obserwowałem, jak ośmiometrowe cygara opuszczają okręt, mając jedynie metr odstępu pomiędzy swoimi rozwijającymi się brzechwami a krawędziami wyjścia z ładowni. Podobnie jak wszystko inne, co udało nam się sklecić w ostatnich latach do walki z Dryblasami, również ten sprzęt i ta taktyka miały naprawdę małe margines błędu.

Przy dystansie nieco poniżej czterech kilometrów ponaddzwiękowy pocisk nie potrzebuje wiele czasu, żeby dotrzeć do celu. Nieprzyjacielem wciąż nie wiedzieli o naszej obecności, gdy głowice bojowe spadły na nich z wysokości zaledwie kilkuset metrów. Substancje wybuchowe umieszczone u ich podstawy odpalały w wąskim stożku dwadzieścia cztery supergęste i ostre jak igły penetratory z zubożonego uranu. Z ponurą satysfakcją obserwowałem na swojej konsoli przekaz z kamery. Pociski trafiły Dryblasów oraz obszar wokół z nich z wielokrotnością prędkości dźwięku. Co dziwne, nawet te penetratory, dysponujące tak wielką energią kinetyczną skoncentrowaną na cienkim czubku, odbijały się czasami od tarczy czaszkowej obcego, jeśli uderzyły w nią pod ostrym kątem, jednak głowice bojowe wypuszczały wystarczającą liczbę tych prętów na tak małej przestrzeni, że każdy nieprzyjaciół do tej pory trafiony w taki sposób ginął.

I tym razem nie nastąpił wyjątek. Dryblasy na moim ekranie

upadli w pył, jakby ktoś wyłączył im zasilanie. Zaostrzone uranowe sztyfty poderwały glebę wokół nich, wzbijając brunatne gejzery na dziesięć metrów w górę. Już wielokrotnie widywałem pokłose takiego ataku, kiedy to pręty przebijały obcego od góry do dołu i wciąż potrafiły wryć się na metr w ziemię. Był to naprawdę paskudny sposób na utylizację zużytego uranu, ale nie potrafiłbym sobie wyobrazić żadnego lepszego.

Pozostałe dwie rakiety odpaliły głowice w wylocie jaskini. Jedna wybuchła przy zderzeniu ze skalną ścianą, jednak druga zniknęła w ciemnym otworze i podmuch piachu oraz żwiru wyrzuconego chwilę później z tunelu potwierdził, iż pocisk wyzwolił swój ładunek w środku. Obcy byli na tyle przebiegli, że w swoich korytarzach budowali ostre zakręty, żebyśmy nie mogli kierować tam bezpośredniego ognia, ale wcale nie miałem zamiaru zabijać wielu ukrytych Dryblasów. Liczyłem na to, że w wyniku eksplozji zawali się wlot tunelu. Gdy rozwiął się pył, zobaczyłem, że szczelina jest teraz wypełniona kamieniami. Nie powstrzyma to stworów przed ponownym wykopaniem sobie drogi, ale nigdy nie robili wyjść dwa razy w tym samym miejscu, ponieważ nauczyli się już, że obserwowaliśmy je w nadziei na kolejne łatwe cele.

– Trafienie – powiedziałem pilotom. – Dwóch zabitych, jedno zamknięte wejście.

– Przynajmniej coś udało nam się dzisiaj zrobić. – Usłyszałem odpowiedź jednego z nich.

– Pozostańmy na stanowisku jeszcze pięć minut, a później wracamy do bazy. Jestem gotów, żeby nieco odpocząć.

– Przyjąłem. Pięć minut.

Spędziliśmy w powietrzu niemal osiem godzin, wystrzeliliśmy cztery rakiety i spaliliśmy dwie trzecie zapasu paliwa na dwóch zabitych Dryblasów i jedno zawalone wejście do tunelu. Nie wydawało się, jakby rezultat był wart poświęconego czasu i środków, ale w porównaniu z innymi patrolami był on udany,

a załoga mogła namalować dwie następne sylwetki obcych na burcie. Jutro usiądę znów na tyle desantowca, podobnie jak w kolejnych dniach, dopóki nie skończy się moja trzymiesięczna tura, po czym spędzę kwartał na Ziemi lub w jej pobliżu, z dala od tego napromieniowanego globu i jego upartych dzikich lokatorów.

Z prawej strony okrętu dobiegł przeraźliwy odgłos kojarzący się z rozdieranym metalem. Cały kadłub Ważki-SR zatrzęsnał się i zawibrował. Z otwartego wjazdu przejścia do kokpitu dobiegły mnie głośne dźwięki alarmu i nagle cały świat zawirował. Desantowiec obrócił się gwałtownie wzdłuż osi podłużnej i wyrwało mnie z siedzenia. Gdy sekundę później zawisłem w uprzęży, domyśliłem się, że Ważka wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni i teraz leciała do góry brzuchem. Nie poruszaliśmy się już w sposób kontrolowany, lecz po krzywej balistycznej w dół.

– Katapultować, katapultować! – zawołał pilot do interkomu. W jego głosie nie słyszałem tyle poruszenia i paniki, ile moim zdaniem powinienem, zważywszy, że gdy jeszcze sunęliśmy równym kursem, od ziemi dzieliło nas zaledwie siedemset metrów.

Komputer okrętu przejął zadanie uratowania załogi. Ponieważ nie mógł przywrócić zachowania desantowca do normalnego stanu, obszedł wszystkie zabezpieczenia manualne i zainicjował procedurę katapultowania awaryjnego szybciej, niż mógłby to zrobić ludzki pilot. Moja uprząż napięła się tak, że aż zaboląło, potem poczułem, jak wokół rąk i nóg owijają się pasy, przyciągając mnie mocniej do fotela. Następnie z podstawy siedziska wystrzeliła kapsuła, w ułamku sekundy otulając mnie tytanową skorupą. Usłyszałem stłumioną eksplozję i poczułem solidne pchnięcie od spodu. Żołądek mi się zacisnął, gdy gwałtownie ruszyłem ku górze. Minęły maksymalnie trzy sekundy, odkąd okręt się obrócił, nie miałem więc dość czasu na

przenalizowanie sytuacji, żeby zdążyć się wystraszyć. Komputer Ważki uznał, że aby ocalić załogę, należy nas wystrzelić, a ja nie zamierzałem klócić się z silikonowym mózgiem naszej podwózki.

Kiedy usłyszałem odgłosy dudniącego wiatru, wiedziałem, że opuściłem już kadłub okrętu. Poczułem, że jeszcze przez kilka sekund kapsuła wznosi się w powietrze, po czym kolejny raptowny wstrząs obwieścił rozwinięcie się spadochronów. Nigdy nie opuszczałem desantowca w taki sposób i nieszczególnie na to czekałem. Przynajmniej automatyczne napinacze zdołały umieścić wszystkie moje kończyny w środku, zanim skorupa się zatrzasnęła, bo zdarzało się, że uruchamiające się kapsuły łamały żołnierzom ręce lub nogi.

Co się stało, do jasnej kurwy? – zastanawiałem się. Nie nadałem tego pytania do pilota i strzelca, bo nie chciałem wysyłać sygnałów radiowych, które mogliby przechwycić Dryblasy. Zresztą i tak miałem się wkrótce dowiedzieć.

Gdy nastąpiła awaria, znajdowaliśmy się na pułapie siedmiuset metrów, więc lot ku ziemi nie zajął długo. Pozostawałem ślepy i głuchy w kapsule najwyżej przez minutę, zanim z paskudnym zgrzytem metalu o kamień uderzyła w powierzchnię Marsa. Skorupy ewakuacyjnych nie wykładano w środku tak miękko jak biokapsuły i lądowały o wiele twardziej, tak że aż poczułem w kręgosłupie eksplozję bólu i na chwilę wydusiło mi powietrze z płuc.

Skorupy nie otwierały się automatycznie. Wymacałem fosforyzujące uchwyty we wnętrzu i pociągnąłem za nie mocno po kolei. Pojemnik uchylił się do połowy, a potem zatrzymał z głośnym chrzęstem. Rozpiąłem uprząż, złapałem górną oraz dolną połówkę kapsuły, żeby je rozsunać. Ustąpiły kilka centymetrów i znów się zablokowały. Uruchomiłem serwowspomaganie w pancerzu, a następnie użyłem wzmocnionej siły, żeby rozepchnąć kapsułę.

Leżała na boku pośród gruzu. Potrójny pomarańczowy

spadochron zaplątał się w linki przymocowane do górnej części. Było to moje pierwsze awaryjne katapultowanie z pojazdu atmosferycznego i miałem nadzieję, że już nigdy nie będę musiał powtarzać tego doświadczenia. W porównaniu z tym lot biokapsułą wydawał się komfortowy i łagodny. Aczkolwiek kilka chwil wstrząsów i szarpnięć było chyba lepsze, niż spłonienie w zniszczonym wraku.

Desantowiec uderzył w ziemię pół kilometra dalej w czasie, gdy opadałem na spadochronach. Wielka kula pomarańczowo-czarnego ognia wskazywała miejsce na północy, gdzie jedyna orbitalna taksówka w promieniu tysiąca kilometrów dopalała się właśnie z hukiem.

– Zajebicie – mruknąłem pod nosem, pamiętając, żeby nie używać łączności. Znajdowałem się niedaleko od zawalonego tunelu Dryblasów, najwyżej kilka kilometrów, a wciąż nie mieliśmy pojęcia, jak wrażliwe na promieniowanie są te istoty.

W kapsule ewakuacyjnej znajdował się zestaw ratunkowy. Rozsunąłem klamry blokujące i wyciągnąłem pojemnik z gniazda, po czym przejrzałem zawartość. Jeden standardowy pojemnik z wodą podłączany do pancerza bojowego, ręczna radiostacja, dziesięć opakowań racji żywnościowych i pistolet M-109 z pięcioma magazynkami, czyli w sumie sto pocisków. Wziąłem wodę i radio, ale zostawiłem broń i racje. Nie zamierzałem zostawać na powierzchni na tyle długo, żeby potrzebować dodatkowych kalorii, a jeśli znajdzie mnie Dryblas, pistolet okaże się równie przydatny, jak nóżka rowerowa przy desantowcu. Gdybym musiał się zastrzelić, miałem już osobistą broń krótką w kaburze na piersi i wystarczyłaby ona do tego zadania.

Rozejrzałem się za spadochronami pilota i jego zastępcy. Nasz ptaszek spadł na względnie płaskim, lecz skalistym obszarze, pełnym parowów i lejów. Na północy widziałem blisko ziemi kłęb czegoś pomarańczowego, zgarnąłem więc rzeczy i ruszyłem

w tamtą stronę.

System podtrzymywania życia w panczerzu wpadł praktycznie w apopleksję, tyle wyświetlał ostrzeżeń i jaskrawoczerwonych wartości. Miernik promieniowania mówił mi, że moje otoczenie jest tak radioaktywne, że bez osłony w mniej niż pół dnia uległbym śmiertelnemu napromieniowaniu. Filtry donosiły, że w tak ekstremalnych warunkach wystarczą jeszcze na dwadzieścia jeden godzin. Po kompleksowym zbombardowaniu atomówkami wszystkich osiedli Dryblasów z planety została zabójcza pustynia i nie miałem pojęcia, jak obcy byli w stanie wytrzymać kolejne miesiące, nie wymierając w tych swoich jaskiniach jak muchy. Jednak nasi osadnicy trzymali się przecież ponad rok, czekając na ratunek, więc być może nawet w paskudnych okolicznościach nadzieja była wspólną cechą obu naszych gatunków.



Pilot wyjmował właśnie zestaw ratunkowy ze swojej kapsuły ewakuacyjnej, gdy dostrzegł mnie idącego przez skalisty teren. Potem zwinął spadochron i zaczął wciska pomarańczowy jedwab oraz płataninę nylonowych linek do otwartej skorupy.

– Co się wydarzyło, do cholery? – spytałem, gdy znalazłem się w zasięgu głosu.

– Straciliśmy skrzydło na sterburcie – odrzekł. – Leciałem prosto i równo, gdy nagle bum, odpadło jak obluzowana ozdóbka.

– Co tam wisiało?

– Tylko dwa zewnętrzne zbiorniki, ale były już puste. Lecieliśmy na wewnętrznych. Pylony skrzydłowe nie były obciążone.

– Cudnie. Nowiutki desantowiec i nagle, podczas patrolu, odpada mu jebane skrzydło.

– Nie był nowy. – Pilot skończył upychać spadochron do pustej kapsuły, którą potem zamknął nad rzucającym się w oczy materiałem. Była to standardowa procedura bezpieczeństwa, choć byliśmy przekonani, że Dryblaszy nie używali wzroku tak jak my.

Spojrzałem w stronę miejsca, gdzie Ważka uderzyła w ziemię. Dziesiątki milionów dolarów Wspólnoty i bezcenna machina bojowa zamieniły się w czarny obłok i szczątki okalające płytki krater.

– Zmęczenie materiału – ciągnął pilot.

– Ten okręt miał najwyżej pięć lat.

– Tak. Ale zajeżdżaliśmy je. Ta Ważka zaliczała dwadzieścia godzin tygodniowo w tych gównianych warunkach, z silnymi wiatrami, promieniowaniem i tak dalej.

– Dwadzieścia razy sto pięćdziesiąt – policzyłem. – Trzy tysiące wylatanych godzin.

– I to nie przy bezchmurnym niebie albo z minimalnym obciążeniem. Nie powinno się ich tak eksploatować. W miesiąc miały na koncie więcej godzin bojowych niż zwykle w dwa lata.

– Zmęczenie materiału – powtórzyłem. Wszystko się męczyło, i ludzie, i maszyny, a teraz zaczynało się rozpadać nawet bez Dryblasów pomagających przy demontażu.

– No. – Pilot, podporucznik z nazwiskiem „BRASSEY” na plakietce, rozładował zawartość pojemnika awaryjnego i zaczął przypinać rzeczy do swojego pancerza lotniczego.

– Znajdźmy twojego partnera – powiedziałem. – Nie może być daleko stąd.



Rozglądaliśmy się przez kilka minut po okolicy, zanim dostrzegliśmy resztki pióropusza pyłu na południu. Minęło kolejnych dwadzieścia minut, zanim przeszliśmy przez pocięty

wąwozami teren do miejsca, gdzie kapsuła drugiego pilota uderzyła w ziemię. Już z odległości stu metrów nie mieliśmy wątpliwości, że uległa całkowitemu zniszczeniu i że pasażer nie opuści jej żywy. Awaryjny spadochron musiał nie rozwinąć się prawidłowo, ponieważ szczątki skorupy wyglądały, jakby kilkakrotnie zdeptał je Dryblas.

– Cholera – rzekł pilot. Brzmiał na całkowicie wyczerpanego i rozbitego.

– Taa – przyznałem. Facet przeżył katastrofę desantowca, a później zginął bezsensowną i przygnębiającą śmiercią, ponieważ spadochrony się zjechały. Przynajmniej jednak zmarł szybko w pozbawionej okien kapsule i zapewne nawet nie wiedział, że coś poszło nie tak.

– Ktoś musi wziąć jego nieśmiertelniki – powiedział Brassey tonem wyraźnie wskazującym, że wolałby walczyć wręcz z obcym. Drugi pilot nie był mi szczególnie bliski, więc westchnęłam i zdjąłem plecak.

– Wyciągnę je – rzekłem. – A ty siadaj tu i obserwuj okolicę. Jeśli pojawi się coś dryblasopodobnego, od razu daj mi znać.

– Jasne – odparł podporucznik. – I dziękuję.



Kapsuła ewakuacyjna rozpadła się w momencie zderzenia z powierzchnią Marsa. Drugi pilot wciąż był przypięty do resztek fotela, który oderwał się od podstawy lądownika i przekoziółkował dobrych pięćdziesiąt metrów od pozostałych szczątków. Nie musiałem zdejmować biedakowi hełmu, by wiedzieć, że nie żyje. Na wewnętrznej stronie wizjera rozbryznięła się krew, a kończyny mężczyzny były rozrzucone w nienaturalny sposób. Mimo to wydałem polecenie sensorom mojego pancerza, żeby sprawdziły oznaki życiowe. Oczywiście żadnych nie wykryły, jednak drugi pilot wciąż miał



nieśmiertelniki na szyi, w środku kombinezonu, więc i tak musiałem mu ściągnąć hełm.

Twarz pod nim była młoda nawet jak na świeżo upieczonego podporucznika. Z nosa i ust wypłynęła krew, a oczy pozostały na wpół otwarte. Włosy koloru piasku były przystrzyżone krótko, co stanowiło częstą praktykę u pilotów godzinami siedzących z osłoniętymi głowami. Wymacałem łańcuszek pod kołnierzem kombinezonu i wyłowilem nieśmiertelnik, prostokątną metalową płytkę z zaokrąglonymi narożnikami, którą należało przełamać na pół. Ująłem ją oburącz, oderwałem dolną część, a resztę wsunąłem z powrotem pod strój martwego lotnika, w razie gdyby miała się tu kiedyś zjawić jednostka grabarzy i pochować go w stosowny sposób. Zapewne jednak Dryblasy zgarną ciało jako dodatkowe proteiny do swoich projektów konstrukcyjnych. Pomyślałem, że gdybym miał ładunek termiczny, zrobiłbym zaraz biedakowi stos pogrzebowy. Mogłem jednak tylko zostawić pilota w nadziei, że obcy go nie dostrzegą. Zapewne miał niewiele więcej niż dwadzieścia lat, a jego życie dobiegło końca tu, na zasranej i napromieniowanej planecie, z powodu usterki technicznej, której dałoby się uniknąć, gdyby ludzie od sprzętu poświęcili jej dwadzieścia sekund uwagi więcej. A może zrobili wszystko prawidłowo, tylko że kawałek stali albo nylonowej linki po prostu zawiódł w nieodpowiedniej chwili? W każdym razie, skończyło się to nieżywym pilotem oraz rozbitą kapsułą, a wszelkie pytania „jak” i „dlaczego” nie miały już znaczenia. Włożyłem zakrwawiony nieśmiertelnik do jednej z zewnętrznych kieszeni i odwróciłem się od ponurego grobu.

Pokrywa chmur wisiała nisko nad Marsem. Miałem wrażenie, że gdybym podskoczył, mógłbym musnąć ich spód rękawicą. Temperatura solidnie przekraczała trzydzieści stopni Celsjusza i elementy chłodzące mojego pancerza miały już sporo zajęcia. Akumulator mógł wystarczyć na ponad tydzień, a nowe, udoskonalone filtry pozwoliłyby wytrwać kilka dni na planecie

Dryblasów, ale naprawdę nie chciałem tu tkwić tak długo.

– Musimy opuścić okolicę – powiedziałem, gdy wróciłem do Brasseya.

– Nie powinniśmy zostać na miejscu katastrofy, żeby mogli nas znaleźć ratownicy?

– Kapsuły mają wbudowaną boję awaryjną. Wiesz przecież. To fale radiowe. Jeśli w okolicy jest jakiś Dryblas, zadziałają na niego jak ostrogi. Musimy ruszyć tyłki i wezwać pomoc z bezpiecznej lokacji. – Rozejrzałem się po otaczającej mnie czerwono-brunatnej pustyni. – Jeśli jakaś tu jeszcze została.

## Rozdział 2

# Zmęczenie materiału

Nigdy nie lubiłem Marsa poza dużymi miastami. Nie dawał się okiełznać pod kątem rolnictwa lub uprawy szklarniowej na dużą skalę pomimo osiemdziesięciu lat terraformowania, a Dryblasy zniweczyli efekty naszej pracy w zaledwie kilka lat. Teraz był taką samą pylistą czerwoną pustynią jak wcześniej, tyle że z atmosferą bogatą w dwutlenek węgla i na tyle wysoką temperaturą oraz wilgotnością, że wizjery naszych hełmów pokrywała skondensowana para wodna. No i po wielkiej bitwie z obcymi przed trzema laty stał się cmentarzyskiem dla zbyt wielu moich przyjaciół oraz towarzyszy broni. Znajdowaliśmy się na południowej półkuli, nie na północnej, gdzie desantowałem się w czasie wielkiej ofensywy, ale widok jałowego pustkowia wciąż budził we mnie paskudne wspomnienia.

Oddaliliśmy się już na dwa kilometry od miejsca katastrofy, gdy dostrześliśmy w oddali pierwszego nieprzyjaciela. Kroczył przez równinę w kierunku rozbitego desantowca, ale był niemal kilometr na lewo od nas i wydawał się nieświadomy naszej obecności. Mimo to nie zamierzaliśmy ryzykować. W pobliżu znaleźliśmy małą stertę skał i skuliliśmy się za nią, żeby nas nie zauważył.

- Co możemy zrobić? – spytał Brassey.
- W jakim sensie? Walki z tym stworem?
- Tak.
- Mam dla ciebie złe wieści. Jeśli nas znajdzie, jesteśmy

trupami. A może nawet gorzej.

Wróciłem myślą do sceny podczas drugiej bitwy o Marsa, kiedy odkryliśmy, że Dryblasy zabierają ludzkie ciała do swoich tuneli. Żywność, proteiny służące jako budulec – do czegokolwiek nas używali, nie miałem ochoty skończyć w taki sposób. Wskazałem podbródkiem pistolet, który podporucznik miał przypięty do piersi.

– Jeśli nas dopadną, ściągaj hełm i wyloguj się szybko.

Brassey skinął głową, ale nie wydawał się zadowolony z tej odpowiedzi. Kilka lat wcześniej pożałowałbym go i upiększył ocenę sytuacji dla dobra podporuczniczyny-żółtodzioba, który zapewne nigdy nie przebywał na powierzchni Marsa i najprawdopodobniej nie widział Dryblasa inaczej niż z kokpitu. Nie chciałem jednak wzbudzać w pilocie fałszywej nadziei. Lepiej szybko wpakować sobie kulkę w mózg, niż dać się zmiażdżyć obcemu albo trafić jako organiczna cegiełka do kadłuba okrętu nasiennego.

Stwór zniknął za niskim wzgórzem, wciąż kierując się na miejsce katastrofy. Rozejrzałem się po okolicy, szukając bezpiecznych kryjówek, z których mógłbym nadać transmisję impulsową do Floty. Przy odrobinie szczęścia wychwycili już na górze skowyczącą boję awaryjną Ważki i wysłali okręt ratunkowy, ale nie zamierzałem czekać na niego beczynn timer.

– Tamten mały pagórek – powiedziałem do Brassey, wskazując na północny wschód. – Trzy kilometry. Dwadzieścia minut, jeśli się pospieszymy. Stamtąd wezwę wsparcie.

– Przyjąłem – odparł pilot.



Gdy niedługo później wdrapywaliśmy się po zboczu, powinienem czuć się wystraszony i zmartwiony. Na otwartym stoku pozostawialiśmy odsłonięci jak na patelni i widoczni z daleka, zaś

dostrzeżony wcześniej Dryblas dopiero niedawno zniknął nam z oczu. Bardziej jednak odczuwałem irytację i wkurzenie. Nie miałem ochoty kopnąć w kalendarz na tym napromieniowanym globie, gdzie żaden człowiek nie osiedlił się jeszcze przez przynajmniej stulecie. Ale gdybym miał tu zginąć, na pewno nie chciałem, żeby stało się to w bezsensownej katastrofie, bo jakiś mechanik nie dokręcił gdzieś śrubki. Najbardziej frustrowało mnie to, że Brassey miał zapewne rację i nie można było nikogo winić za naszą bieżącą sytuację. Nic bardziej nie sprawiało, że czułem się jak bezsilny trybik w maszynie, niż otarcie się o śmierć z powodu wysłużonego wihajstra, a nawet nie miałem kogo za to opieprzyć.

– Jeśli centrum operacji taktycznych czuwa, to dostrzegali boję ze zniszczonego okrętu – powiedziałem podporucznikowi.

– Byłoby miło – odrzekł i popatrzył w górę, jakby spodziewał się, że właśnie teraz z nisko wiszących chmur wyłoni się desantowiec ratunkowy i oszczędzi nam dalszej wędrówki oraz ryzykownej łączności radiowej. Gdy się rozbijaliśmy, nad całą półkulą krążyło zaledwie sześć okrętów desantowych i gdy jeden z nich zniknął nagle z wyświetlacza holograficznego, powinno to komuś dać porządnie do myślenia, że coś się spieprzyło. Obecnie jednak konsole w BCI często obsługiwali nowicjusze dwa miesiące po szkole technicznej i czasami coś im umykało.

Wrak Ważki wciąż płonął, posyłając kłęby czarnego dymu w ołowiane niebo. Nie widziałem w pobliżu żadnych obcych, choć to wcale nie oznaczało, że ich tam nie było. Mieli trzy lata, żeby jeszcze bardziej rozbudować system tuneli, dzięki któremu przeprowadzili kontratak z zaskoczenia podczas drugiej bitwy o Marsa, i teraz mogli wyłonić się spod ziemi gdziekolwiek.

– No dobrze – odezwałem się, gdy dotarliśmy na szczyt wzgórza. – Przejmij wartę, a ja wezwę taksówkę.

Brassey przytaknął i obrócił się, żeby obserwować okolicę. Oparł dłoń na broni przypiętej do napierśnika. Dwa pistolety

i radio to raczej nie jest idealne wyposażenie bojowe podczas pieszej wędrówki przez pustkowia pełne Dryblasów.

Wybrałem kanał centrum operacji taktycznych oraz tryb transmisji impulsowej, czyli trzy milisekundy nadawania przy maksymalnej mocy nadajnika.

– COT, tu Wydech Jeden. Romeo Jeden Pięć rozbił się z jednym poległym w akcji. Proszę o natychmiastową ewakuację bojową.

Komputer w moim pancerzu skompresował wiadomość do małego pakietu danych i wysłał go na orbitę, do OWPA „Regulus” krążącego na orbicie nad południową półkulą.

– Wydech Jeden, tu COT. Potwierdzam odbiór prośby o misję ewakuacyjną. Czeka.

Mogłem sobie wyobrazić, jak operator konsoli operacji taktycznych w BCI ściąga z głowy słuchawki i podbiega do oficera dowodzącego, żeby sprawdzić dostępne zasoby lotnicze. Na szczęście uziemieni żołnierze byli traktowani priorytetowo w kwestii przydziału tych środków. Ludzie z załóg pojazdów latających musieli mieć pewność, że Flota nie będzie oszczędzać na paliwie czy amunicji, żeby ocalić ich, gdy się rozbiją.

– Wydech Jeden, tu pierwszy oficer. Misja ratunkowa opuści kłamry za trzy minuty. Sygnał wywoławczy Anioł Jeden Dziewięć. Przewidywany czas przybycia: dwadzieścia osiem minut. Przyczajcie się gdzieś.

– Potwierdzam odbiór informacji o przylocie misji ratunkowej Anioł Jeden Dziewięć, przewidywany czas przybycia: dwadzieścia osiem minut. Oznaczę nas na tak-łaczku, gdy znajdzie się nad nami. Wydech Jeden bez odbioru – nadałem w odpowiedzi. Potem podszedłem do Brasseya, który rozglądał się nerwowo, muskając palcami kaburę. – Dwadzieścia osiem minut do przybycia ratowników – poinformowałem go.

– Mam nadzieję, że dotrą na czas.

– Nie przesadzaj z tą nadzieją. Lepiej oczekuj, że się spóźnią, to się nie rozczarujesz.

- To niezbyt optymistyczne podejście.
- Wyczerpał mi się optymizm. Jego resztki wymieniłem rok temu na zapasowe racje w Detroit – rzekłem.



Dwadzieścia osiem minut na powierzchni Marsa wydawało się wiecznością, a każdy centymetr planety przypominał mi o krwawym burdelu sprzed trzech lat. My nie mogliśmy się tu już osiedlać, a oni poruszać się swobodnie, panował więc bezsensowny impas. Gdybym to ja dowodził, wycelowałbym działą cząsteczkowe „Archangielska” w czerwony glob i dusił przycisk odpalania broni, dopóki w reaktorach nie skończyłaby się materia fuzyjna.

Piętnaście minut od odebrania potwierdzenia z góry dostrzeżliśmy w okolicy kolejnych Dryblasów. Trzej wyłonili się niespodziewanie z zagłębienia terenu w odległości pół kilometra i szli prostopadle od naszej prawej do lewej w kierunku wciąż płonących szczątków desantowca. Z początku poruszali się w zwartej grupie, ale gdy tylko wyszli z parowu, rozproszyli się tak, by dzieliły ich mniej więcej stumetrowe odstępki.

- Skurwysyny – mruknąłem. – Nauczyli się.
- Czego takiego, Grayson?
- Idą tak, jak my byśmy szli podczas patrolu pieszego. Rozsunęli się, żeby jeden atak lub zasadzka nie załatwił wszystkich jednocześnie.

Mówiliśmy szeptem, choć od najbliższego Dryblasa dzieliło nas kilkaset metrów. Gdyby nas odkryli, pistoletami nie zdołalibyśmy nawet ich zadrapać, nie mówiąc już o zabiciu wszystkich trzech. Niełatwo było obserwować taką grupę w odległości pozwalającej wykorzystać raketę MARS lub kilka magazynków z karabinu M-95, a jednak nie móc nic zrobić. Patrzyliśmy, jak podchodzą do rozbitej kapsuły. Jeden pochylił się i wydawał przyglądać miejscu

katastrofy, podczas gdy dwaj pozostali stanęli kawałek dalej, jakby pełnili wartość.

– Oż cholera – skomentowałem.

Zacisnąłem dłoń w pięść, gdy obcy przy szczątkach wyciągnął łapę i podniósł coś z ziemi. Podkreśliłem maksymalnie powiększenie obrazu i zauważyłem zmalretowane, martwe ciało drugiego pilota zwisające z długich palców stwora. Dryblas wyprostował się i obrócił głowę ku niebu niczym pies, który wywęszył na wietrze znajomą woń.

– Wydech Jeden, tu Anioł Jeden Dziewięć, słyszysz mnie? – Usłyszałem na lotniczym kanale taktycznym. Przybyła kawaleria.

– Anioł Jeden Dziewięć, słyszę cię pięć na pięć. Jesteśmy dwa i pół kilometra na północny wschód od boi awaryjnej. Wokół szczątków kapsuły znajdują się trzej nieprzyjaciele, mają ze sobą naszego poległego. Sugeruję, żebyście zmiotli jak najszybciej to gównem z mapy, zanim wrócą pod ziemię z naszym człowiekiem. Po prostu celujcie w boję. Wszyscy trzej są w promieniu trzystu metrów od niej.

– Przyjąłem. Rozpoczynam przelot z ostrzałem. Dam ci ostrzeżenie trzydzieści sekund wcześniej, żebyście mogli włączyć swoje transpondery.

– Zrozumiałem – odparłem. – Jeden Dziewięć, możecie użyć broni.

Jeszcze nie widziałem ani nie słyszałem zbliżającego się desantowca ratunkowego, ale Dryblasy najwyraźniej wyczuli jego obecność, ponieważ obrócili się i ruszyli, skąd przyszli, tym razem krocząc szybciej. Postanowiłem dać sobie spokój z ostrożnością i uruchomiłem cały osprzęt w pancerzu.

– Anioł Jeden Dziewięć, nieprzyjaciele odsuwają się teraz od miejsca katastrofy z prędkością pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, kierunek dwadzieścia od boi. Oznaczam ich wam na tak-łączu. Zaraz odkryją, że tu jesteśmy, więc się pospieszcie.

– Trzydzieści sekund do celu – odpowiedział pilot Anioła Jeden



Dziewięć. – Potwierdzam odbiór zezwolenia na użycie broni. Mam was na tak-łączu.

Choć robiłem to już setki razy, nadal czułem niepokój, gdy znajdowałem się w sąsiedztwie przelotu bojowego, blisko strefy uderzenia. Piloci znali się na rzeczy, a skoro widnieliśmy na ich ekranach taktycznych, prawdopodobieństwo przypadkowego oberwania było niskie, ale w sprawę wciąż mogła się wplątać nieubłagana fizyka, a poza tym komputery mogły zawieść.

Poniżej nas obcy zwiększyli tempo. Jeden z nich obrócił głowę ku naszemu wzgórzcu i zmienił trajektorię.

– O cholera – rzekłem. – Jeden Dziewięć, uznajcie nieprzyjaciela najbardziej wysuniętego na wschód za cel priorytetowy. Idzie w naszą stronę, a my nie dysponujemy amunicją.

– Zrozumiałem – odparł pilot. – Trzymajcie się tam.

Odblokowałem kaburę, wyciągnąłem pistolet i przesunąłem bezpiecznik. Dzięki magazynkowi w broni i dwóm zapasowym miałem do dyspozycji dziewięćdziesiąt pocisków. Zamierzałem wystrzelić osiemdziesiąt dziewięć z nich w Dryblasa, gdy znajdzie się dostatecznie blisko. Ostatni przeznaczyłem dla siebie jako ostateczny wyraz buntu. Drugą dłonią poklepałem kieszeń z OTI, żeby upewnić się, czy wciąż tam jest. Nie mogłem wysłać Halley wiadomości z pola walki, ale za każdym razem, gdy wyruszałem na misję, pisałem jej pożegnanie i ustawiałem nadanie z opóźnieniem. Jeśli wrócę, przeniosę wiadomość z powrotem do szkiców i anuluję wysyłkę. Jeśli nie wrócę, komputer wyśle ją zgodnie z poleceniem. Ludzie z PK opracowali ten system przed laty i od tego czasu przyjął się wśród wszystkich we Flocie.

Obcy, który oddzielił się od grupy, szedł prosto na nas, choć klęczeliśmy za niskimi głazami. Nagle jego krok stał się lekko nierówny. Stwór obrócił głowę ku niebu, a następnie ku dwóm towarzyszom, oddalonym od niego o dwieście metrów.

– Zgadza się, dupku. Rozejrzyj się – mruknąłem. Samotnego Dryblasza wciąż dzieliło niemal dwieście metrów od podstawy pagórka, na który się wspięliśmy, ale jeśli podejdziesz bliżej, zanim dotrze tu kawaleria, znajdziemy się w strefie rażenia, a nasze pancerze nie były w stanie zatrzymać wylatujących z działka automatycznego pocisków o wolframowym rdzeniu.

Sto pięćdziesiąt metrów. Wycelowałem w środek korpusu nieprzyjaciela, dobrze wiedząc, że mizerne kuleczki z pistoletu mogą go co najwyżej zirytować.

Dryblas znów się zawahał i zatrzymał mniej więcej w połowie stoku, po czym obrócił i skierował w dół, żeby dołączyć do kompanów. Wpuściłem wstrzymywane powietrze i zabezpieczyłem broń.

Przed nami, tam, gdzie dwaj Dryblaszy schodzili do parowu, z którego wyłonili się zaledwie kilka minut wcześniej, ziemią zaczęły wstrząsać dziesiątki eksplozji, podrywając pył i kamienie wokół obcych i ryjąc szlak zniszczenia długi na sto metrów. Parę sekund później usłyszałem na granicy chmur ryk ciężkich przeciwpancernych działek desantowca. Nastąpiła druga seria i stwory zniknęły w gejzerach marsjańskiej gleby. Dostrzegłem lecącą w powietrzu kończynę, oderwaną od ciała Dryblasza przez połączone siły energii kinetycznej oraz ładunku burzącego, i uśmiechnąłem się z ponurą satysfakcją. Ostatni obcy zmienił gwałtownie kurs, żeby oddalić się od strefy rażenia działek. Kierował się na wschód prawie biegiem, sunąc szybkimi susami przynajmniej piętnastometrowej długości.

– Jeden Dziewięć, dwa trafienia. Trzeci zmyka.

– Widzę go na tak-łaczku. Czekaj, jesteśmy nad wami.

Ważka z zewnętrznymi zbiornikami paliwa i rakietami na pylonach wyłoniła się w pełni z pokrywy chmur siedemdziesiąt metrów nad nami, wykonując ciasny zwrot na sterburte i wytracając prędkość wcześniejszego natarcia. Pilot obrócił okręt i skierował dziób ku uciekającemu Dryblasowi,

oddalonemu już o niemal dwa kilometry.

– Cholera, te istoty potrafią się niezłe ruszać, gdy tylko chcą – skomentował podporucznik Brassey.

Z góry dobiegł mnie huk i świst. Dwie rakiety opuściły wyrzutnie na skrzydłach desantowca i pomknęły za Dryblasem. Pokonały dwa tysiące metrów w zaledwie kilka sekund i z jaskrawopomarańczowym błyskiem uderzyły w obcego. Grzmot eksplozji dotarł do nas niewiele później.

– Trzecie trafienie – oznajmił pilot. – No to do roboty. Siadamy na płaskim kawałku trzydzieści metrów bezpośrednio na północ od was. – Oznaczył nam punkt na tak-łączu, po czym Ważka zaczęła opadać pionowo, kręcąc wieżyczką z boku na bok, gdy strzelec wypatrywał ewentualnych dalszych celów.

Wsunąłem pistolet do kabury i podniosłem się.

– Idziemy – powiedziałem do Brasseya. – Zanim temu również odpadną skrzydła.

Ważka wylądowała w obłoku radioaktywnego pyłu. Tylna rampa otworzyła się, gdy tylko płozy dotknęły gruntu, i cała drużyna PK w ciężkich pancerzach wybiegła ze środka, zajmując pozycje wokół okrętu. Kilku z nich zaczęło biec ku nam. Spotkaliśmy się w połowie drogi między wzgórzem a desantowcem.

– Potrzebujecie sanitariusza? – zawołał żołnierz na przedzie. Miał dystynkcje sierżanta sztabowego, nowe, z trzema ukośnymi belkami na tle jednej poziomej, i trzymał krótkolufową wersję karabinu M-95.

– Nie – odparłem. – Pilot też nie.

– Gdzie ciało?

– Dryblasy nieśli je, zanim ich zdmuchnęliście. Odszedł na dobre.

Sierżant sztabowy pokręcił powoli głową i powiedział coś na kanale swojej drużyny. Ruszyłem do desantowca, Brassey potruchtał za mną.

– Nie zwlekajcie! – krzyknąłem do sierżanta. – Sąsiedzi są dość drażliwi.

Wsiadliśmy na pokład wraz z drużyną ratunkową i przypięliśmy się do siedzeń w środkowym rzędzie. Zerknąłem tęsknie na stanowisko kontroli misji przy przedniej grodzi. Było wyposażone w kapsułę ewakuacyjną, jako jedyne w całej ładowni. Gdyby ten ptaszek również się rozbił, ja i Brassey już byśmy z tego nie wyszli. Siedział tam jednak porucznik dowodzący lotem ratunkowym i gdybym pod groźbą użycia broni kazał mu się przesiąść, byłoby to chyba nieco niegrzeczne. Zapiąłem zatem uprząż w nadziei, że będzie dobrze. Zresztą startowałem właśnie w sprawnym desantowcu, a to znacznie lepsze, niż tkwić na dole pośród trupów i napromieniowanego pyłu. Byłem zmęczony i zły. Nawet nie trudziłem się, by poprosić pilota o zezwolenie na zwyczajowe podłączenie się do sensorów, żebym mógł obserwować obraz z kamer zewnętrznych, kiedy wznosiliśmy się przez chmury na orbitę.

Kiedyś kierowaliśmy się etosem. Nigdy nie zostawialiśmy towarzyszy na polu bitwy, żywych bądź poległych, nawet jeśli wiązało się to z utratą kolejnych żywotów. Jednak wojna z Dryblasami całkowicie to zmieniła. Nie byliśmy już w stanie dotrzymywać tego zobowiązania, nie składając w ofierze siebie samych, ponieważ toczyliśmy wojnę z przeciwnikiem dalece przewyższającym nas pod względem fizycznym, który wykorzystywał naszych zmarłych jako budulec organiczny. Mogliśmy co najwyżej liczyć na jak najbardziej destrukcyjną śmierć, żeby nie dać nieprzyjaciołom do ręki potrzebnych im surowców. W drodze na lotniskowiec wyciągnąłem z kieszeni nieśmiertelnik nieżyjącego pilota i przeczytałem wygrawerowane nazwisko, identyfikujące go jako

podporucznika Whitmera, wraz z numerem identyfikacyjnym, grupą krwi i wyznaniem. Przynajmniej trafił tutaj, na główne pole bitwy w wojnie, w której stawką było przetrwanie ludzkości, i zdołał się tu wykazać, zamiast spędzić życie na wsysaniu gównianych sojowych racji żywnościowych w przeludnionej DZK na Ziemi. Zresztą z perspektywy czasu dostrzegałem, że był to głupi etos. Jeśli zginę w walce, nie chcę, żeby inni zostali ranni lub zginęli, próbując odzyskać moje ciało, które i tak skończyłoby przecież jako kupka popiołu w urnie z nierdzewnej stali.



Czterdzieści minut później klamry dokujące wciągnęły nas na pokład lotniczy OWPA „Tarawa”. Wysiedliśmy i ustawiliśmy się do obowiązkowej dekontaminacji na stanowisku w środkowej części pokładu. Przebywaliśmy na powierzchni Marsa, poza desantowcem chronionym przed radiacją, co oznaczało, że musiałem spędzić dodatkowe piętnaście minut, kiedy to opryskiwano mój pancerz i sprzęt, a później ściągnąłem skorupy i odbyłem kilka wycieczek pod prysznic odkażający, na wypadek gdyby w skafandrze nastąpił jakiś przeciek. Na ostatnim etapie pobrałem czysty mundur roboczy, a lekarz Floty zbadał mnie i sprawdził dozymetr przymocowany do mojego nieśmiertelnika.

– Może pan iść, kapitanie – powiedział. – Dozymetr jest czysty. Proszę tylko pamiętać, żeby zwrócić się do szpitala okrętowego, gdy tylko zacznie pan czuć się dziwnie.

– Już od lat czuję się dziwnie, doktorze – odparłem, a on się uśmiechnął.

W czystej części pokładu lotniczego podporucznik Brassey miał już na sobie czysty kombinezon lotniczy i zaciągał paski butów.

– Idziesz jeszcze do centrum lotniczego przed odprawą? – zapytałem.

- Tak, na chwilę. Na pewno będą chcieli wiedzieć, co się stało.
- Złap największy klucz, jaki znajdziesz, a potem stłucz nim swojego szefa załogi.

Brassey zrobił zbolaną minę.

- Nie bądź taki surowy, Grayson. Czasami po prostu rzeczy się psują. No wiesz, zmęczenie materiału?

– Taa – odrzekłem i odpuściłem. Brassey skinął głową i uśmiechnął się nieznacznie, po czym odszedł w kierunku centrum operacji lotniczych. Będzie musiał ustawić się w kolejce do nowego ptaszka, żeby wylatać następne misje na dole. W głębi duszy podejrzewałem, że nie zasmuci się zbytnio, jeśli będzie musiał przez jakiś czas wykonywać zadania pokładowe, ponieważ połowa naszego sprzętu była wyłączona. Metal i aluminium męczą się, gdy są wykorzystywane bez okresów odpoczynku, ale tak samo było z ludzkimi mózgami.



Tym razem odprawa przebiegała nieco inaczej, ponieważ straciliśmy okręt i pilota, a poza tym musieliśmy wezwać cenne zasoby ratunkowe, żeby przewiozły nasze tyłki z powrotem na orbitę. Przekazałem swoją wersję wydarzeń, Brassey potwierdził ją własnymi słowami i relacja żadnego z nas nie wprowadziła dowódcy skrzydła lotniczego czy pierwszego oficera w lepszy nastrój. Pierwszy oficer był obecny, bo w akcji zginął żołnierz. Dowódca skrzydła, mający pod komendą lotniskowcowe zasoby okrętów desantowych i myśliwców szturmowych, wyglądał tak, jakby już pisał w myślach raport, który musiał złożyć w związku z poległym pilotem i utratą sprzętu wartego wiele milionów dolarów.

- Zważywszy na sytuację, spisaliście się doskonale – powiedział nam dowódca skrzydła. Był majorem po trzydziestce, niewiele starszym ode mnie. – Sprawdziliście status pilota,

zabezpieczyliście jego kartę tożsamości, przeszliście w bezpieczne miejsce i wezwaliście wsparcie lotnicze, żeby zlikwidowało pozostałych Dryblasów. W sumie mamy dziś sześć potwierdzonych zabójstw.

– Tak jest, sir – odparłem. Nie dodałem głośno: „Z setek pozostałych pod ziemią”.

– Odlatujemy za siedemdziesiąt dwie godziny – poinformował pierwszy oficer. – „Nieustraszony” dotrze tu za osiemnaście godzin, żeby nas zwolnić, i przekażemy im zabawki. Wy dwaj możecie iść coś zjeść, przespać się i pozostać w rezerwie do końca rotacji. No i jeśli potrzebujecie, idźcie do terapeuty.

– Tak jest, sir – powiedzieliśmy równocześnie z Brasseym.

– Odmaszerować. Obaj wykonaliście tam na dole świetną robotę. Pomimo wszystkiego innego.

Opuściliśmy salę odpraw i rozeszliśmy się w swoje strony. Miejsce podporucznika było w Krainie Pilotów, a ja nie należałem do ich świata. Potrzebowali czasu we własnym gronie, żeby opłakać śmierć jednego ze swoich, a nikt nie podchodzi do takich spraw lekko nad kanapkami w mesie oficerskiej. Nie znałem dobrze Whitmera, choć spędziłem kilkanaście misji z nim za drążkiem. Kiedyś chętnie bratałem się z ludźmi z innych działów, lecz teraz raczej trzymałem się samotnie. Jeśli przyzwyczajasz się do innych, to po ich śmierci musisz radzić sobie z żalem i gniewem.



Za siedemdziesiąt dwie godziny ruszymy w podróż powrotną na Ziemię, a później czeka nas tydzień lotu, zanim dotrzemy do Stacji Węzłowej. Gdy na okręcie Floty nie ma się nic do roboty przez dziesięć dni, jest to jednocześnie luksus i nuda. Nikt nie próbuje cię zabić, ale godziny zdają się wlec jak lodowiec. Służba w niedostatecznie obsadzonej i nadmiernie rozproszonej Flocie

oferowała parę istotnych przywilejów: miałem prywatną kajutę w Krainie Oficerów i o żadnej porze nie było kolejek na stołówce albo do stref rekreacyjnych. Poza tym przywrócono sieć potężnych przekaźników pomiędzy Ziemią a Marsem, choć na Czerwonej Planecie nie został nikt, kto mógłby wykorzystywać pasmo. Mogliśmy prowadzić rozmowy wideo w wysokiej rozdzielczości, ponieważ nieliczne okręty stacjonujące na orbicie dysponowały siecią niemal wyłącznie dla siebie.

– Co to, kurwa, jest? – spytałem Halley, którą widziałem na ekranie bez żadnych zakłóceń.

– Co niby?

Wskazałem wyświetlacz.

– Te belki oficera sztabowego na twoich pagonach.

Halley popatrzyła na oznaki stopni na swoich barkach – pojedyncze gwiazdki nad poziomymi belkami – jakby widziała je po raz pierwszy.

– Hmm. No popatrz. Skąd one się tu wzięły?

– Już cię zrobili majorem? Nie masz jeszcze wysłużonego czasu.

– Też im to mówiłam. Ale to jest związane z nowym przydziałem, który zaczynam w przyszłym miesiącu.

– O Trzy to ile? Przynajmniej dziesięć lat w służbie?

– Tak było – przyznała. – Niemal dziesięć lat w służbie, w tym trzy lata na stopniu O Dwa. Mam osiem służby i dwa w stopniu. Nalegali. A właściwie, to dlaczego jesteś taki zaskoczony, Andrew? Sam również wcześniej dostałeś trzecią gwiazdkę.

– To co innego – odrzekłem, zerkając na własne dystynkcje, czyli trzy kapitańskie gwiazdki, które nosiłem już od trzech miesięcy. – Jestem młodszym oficerem. Nawet przed wojną trzeba było odsłużyć trzy lata, żeby zostać kapitanem. – Dopiero teraz dotarł do mnie sens wcześniejszych słów Halley. – Czekał. Nowy przydział? Wracasz do nauki w szkole desantowców?

– Nie, dzięki bogom. – Halley uśmiechnęła się i pokręciła



głową. – Już mi wystarczy sal lekcyjnych i symulatorów.

– To co to za nowa fucha?

– Piąta Eskadra Transportu Bojowego. Będę ich nowym pierwszym oficerem.

– Gratulacje, pani major – odpowiedziałem. – Gdzie stacjonuje ETB Pięć?

– Na razie istnieje tylko na papierze. Trafię na nowy okręt. Mam się zgłosić do Szkoły Lotnictwa Bojowego na Lunie, żeby pomóc przewozić sprzęt.

– Mogło być gorzej – rzekłem, co było oczywiście potężnym niedopowiedzeniem. Jedynym typem okrętu, który mógł pomieścić całą eskadrę okrętów desantowych, był któryś z nielicznych pozostałych lotniskowców, czyli najprzystrojnionych i najnowocześniejszych jednostek we Flocie. Halley i ja rozpoczynaliśmy służbę na ciasnej starej fregacie, która pewnie cała zmieściłaby się w hangarze superlotniskowca, gdyby tylko pozbawić ją wszystkich anten i skrócić dysze wylotowe o kilka metrów.

– Jaki masz status? – spytała. – Powinna ci się niedługo kończyć rotacja.

– I się kończy. Za parę godzin zwolni nas „Nieustraszony”, a później ruszamy do domu. Nie mam jeszcze nowych rozkazów. Ale ten okręt leci do stoczni na remont.

– Może uda nam się spędzić trochę czasu razem? Minęło sześć miesięcy. Dlaczego musiałeś odsłużyć dwie tury jedną po drugiej?

– Kazali mi. – Skrzywiłem się. – Ale zgadzam się, przepustka to dobry pomysł. Mam sporo dni do odebrania.

– No to wlecz pan tyłek do domu, kapitanie.

– Powiem sternikowi, żeby docisnął gaz.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy mówić Halley o katastrofie desantowca i o tym, jak ledwo wymknąłem się śmierci, ale uznałem, że to może poczekać, aż zobaczymy się

osobiście. Mogłem zginąć, lecz tak się nie stało, a przecież przez ostatnie lata oboje dziesiątki razy znajdowaliśmy się w takich sytuacjach. Jeśli mam o tym opowiadać, wolę, żeby działo się to podczas spaceru w górach Vermont, a nie przed ekranem terminalu. Rozłączyłem się więc z uśmiechem, zupełnie jakby w ostatnich godzinach nie wydarzyło mi się nic bardziej ekscytującego niż uderzenie się w palec u nogi o krawędź wjazdu. Robiliśmy, co musieliśmy, żeby jakoś zachować rozum w tej maszynie do mięsa.

## Rozdział 3

# Obietnice do dotrzymania

Za każdym razem gdy dokowałem na Węzłowej, byłem zaskoczony, że stacja nie spadła jeszcze z orbity i nie runęła na Amerykę Północną deszczem rozpalonych szczątków. Nie miałem pojęcia, jaki był szacowany okres działania stacji, gdy oddawano ją do użytku, ale wiedziałem, że na pewno już dawno go przekroczyła. W wielu często uczęszczanych korytarzach zrobiły się swoiste koleiny w antypoślizgowych wykładzinach podłogowych, poza tym nigdy nie zdarzyło mi się, żebym przechodził między dwiema nieprzylegającymi do siebie śluzami i nie mijał tunelu, który byłby zamknięty i zabezpieczony barierkami, ponieważ wymagał pilnej naprawy. Konkretny fragment kadłuba czy gródź można łątać i spawać tylko ograniczoną liczbę razy, zanim całość zacznie rozchodzić się w szwach.

„Tarawa” udawała się do stoczni na kapitalny remont i spora część jej załogi wysiadała na Węzłowej, żeby złapać transport do kolejnych przydziałów, co oznaczało, że zejście z pokładu było naprawdę upierdliwe. Tysiące marynarzy i żołnierzy PK musiało przejść przez tę samą śluzę. Przynajmniej jednak stacja nie była tak zatłoczona, jak bywało ostatnio. Siły garnizonowe nad Marsem rotowano zgodnie ze stałym systemem zmian i nie musieliśmy już przesuwając jednocześnie wszystkich pionków na planszy. Choć tyle osób zeszło z „Tarawy”, mogłem iść głównym korytarzem i nikt się obok mnie nie przepychał ani nie zawadzał workiem o innych.

Na stanowisku transferowym sierżant sztabowy Floty i dwóch kaprali w jakiś sposób zdołali okazywać jednocześnie znudzenie i zapracowanie. Pozwoliłem im zeskanować swoje rozkazy i przydzielili mi miejsce na promie.

– Osiemnasta zero zero – powiedziałem, spoglądając na zegarek. – To jeszcze sześć i pół godziny. Czy żaden transport nie idzie wcześniej do największej bazy Floty na wschodnim wybrzeżu?

– Żaden, na którym byłoby jeszcze miejsce, kapitanie. – Dowodzący sierżant wykonał mglisty, acz zamaszysty gest dłonią. – Proszę się rozejrzeć, sir. Tuż przed wami dotarła „Falanga”. Przechodzą pełną wymianę załogi, zanim ruszą do składu atomówek po uzupełnienie zapasów, mają więc priorytet przy obsadzaniu promów.

– Świetnie. Tyle tu przecież rozrywek na sześć godzin. Naprawdę nic nie zabierze mnie wcześniej do Norfolk? Jeśli trzeba, mogę nawet przypiąć się do palety towarowej.

Sierżant spojrział na ekran swojego terminalu.

– Nic wolnego do osiemnastej, sir.

– Kurwa.

– Mam propozycję. Jeśli coś się pojawi, wyślę powiadomienie na OTI. Nic więcej nie zdołam zrobić, sir.

– Musi wystarczyć – odparłem. – Dzięki.

Węzłowa nie oferowała zbyt wiele ludziom, którzy musieli zabijać czas. W głównym korytarzu znajdowała się jedna strefa rekreacyjna, ale gdy tam zajrzałem, okazało się, że nawet w sekcji oficerskiej panuje tłok.

Wyglądało na to, że nie tylko ja czekam na podwózkę na Ziemię. Poszedłem zatem w stronę stołówek. Byłem oficerem już od trzech lat i tyle samo czasu zajęło mi przyzwyczajenie się,

żeby świadomie kierować się do mesy oficerskiej, zamiast odruchowo do podoficerskiej. Jadłodajnia dla oficerów na Węzłowej była mniej więcej pięć razy większa niż na okręcie, a wyżywienie serwowano na sposób bufetowy. Podszedłem do wyłożonych potraw, spodziewając się zobaczyć zwyczajowe odmiany sojowego gówna, które jedliśmy od czasu Exodusu, ale przeżyłem przyjemne zaskoczenie, widząc rekonstruowane ziemniaki, kurczaka naprawdę wyglądającego jak kurczak oraz trzy rodzaje warzyw. Znalazłem nawet desery, których od dawna nie widywałem w stołówkach Floty.

– O co chodzi z tym luksusowym żarciem? – spytałem jednego z dyżurnych, który wzruszył ramionami.

– Zrobiło się lepiej. Już od dwóch miesięcy nie serwujemy nic sojowego, sir.

– Niesamowite – skomentowałem i nałożyłem sobie kolejną łyżkę purée ziemniaczanego. Potem usiadłem przy stoliku, żeby wysłać wiadomość do Halley, bo chciałem dać jej znać, że dotarłem bezpiecznie do Węzłowej. Tak blisko Ziemi pasmo pozwalało na połączenie wideo i moja żona odebrała po trzecim wywołaniu. W tle widziałem, że też przyłapałem ją podczas posiłku.

– O co chodzi? – spytała, gdy przytrzymałem OTI nad talerzem, żeby pokazać Halley jego zawartość.

– To prawdziwe jedzenie – odpowiedziałem. – No, poniekąd. Nie tak dobre jak to, co dostawaliśmy wcześniej. Ale jadalne.

– Taa. Żarcie ostatnio solidnie się poprawiło. Widuję teraz świeże owoce praktycznie przy każdym śniadaniu. I prawdziwe jajka, a nie to sproszkowane gówno.

– Myślałem, że jesteśmy spłukani.

– Ja też. Krążą plotki, że Eurosi i Australijczycy sypnęli porządnie kasą, żebyśmy mogli dalej ciągnąć ten wózek. Chyba uznali, że jeśli damy sobie skopać tyłki, oni będą następni.

– Gdzie jesteś – zapytałem.

- W mesie oficerskiej w Armstrong – odparła.
- Baza Floty Armstrong była jedną z głównych baz na Lunie i jednym z największych wojskowych kosmoportów.
- Powiedz mi, że zaakceptowali ci urlop.
- Zaakceptowali mi urlop. Jutro lecę na Ziemię.
- Mam prom o osiemnastej dziś po południu. Ale zanim zacznę wolne, muszę się zgłosić do Norfolk.
- Ciągłe nie masz kolejnego przydziału?
- Nie. Mam nadzieję, że nie każą mi nadzorować zgrai znudzonych kaprali w ośrodku tranzytowym, gdy Flota będzie się zastanawiać, co ze mną zrobić.
- Nie załatwią cię tak. Jesteś kapslem, nie kancelistą.
- Nie po raz pierwszy wykorzystywałem wyszkolenie kapsla przy składaniu ręczników.
- Jeśli tak się stanie, postaraj się, żeby były to najdokładniej złożone ręczniki, jakie widziano w ośrodku tranzytowym. A teraz skończ jedzenie i nie spóźnij się na prom. Nie chcę zmarnować ani minuty urlopu. Nie po sześciu miesiącach wymuszonego celibatu.
- Słyszę panią głośno i wyraźnie, pani major – powiedziałem z uśmiechem i rozłączyłem się.



Choć raz miałem szczęście w loterii przydzielającej miejsca. Nie minęło piętnaście minut, odkąd zjadłem, gdy zawibrowało OTI w kieszeni spodni. Gdy wyjąłem tablet i spojrzałem na ekran, zobaczyłem, że posterunek transferowy przydzielił mnie na prom odlatujący o dwunastej trzydzieści. Zerknąłem na zegarek, który pokazywał dwunastą dziesięć. Oczywiście prom startował ze śluzy umieszczonej na przeciwległym krańcu stacji.

- Zawsze musi być łyżka dziegciu – mruknąłem i zarzuciłem worek na ramię, żeby rozpocząć szaleńczy bieg między ludźmi.

Lot na Ziemię przebiegał gładko i z miłymi widokami, bo udało mi się zająć miejsce przy oknie w tylnej części promu. Większość kontynentu północnoamerykańskiego jak zawsze kryła się pod oparem smogu, ale tu i ówdzie zdarzały się przerwy w pokrywie chmur, zresztą nawet smog potrafił bywać piękny na swój sposób, gdy od spodu malowały go miliony świateł. Opadaliśmy gdzieś na północnym wschodzie, zaledwie kilkaset kilometrów na południowy wschód od Vermont, i gdy dostrzegłem wyłaniające się w dali z obłoków Góry Zielone, poczułem zaskakujące lekkie ukłucie tęsknoty za domem. Bezpośrednio pod promem widać było superwysokie wieżowce z licznych DZK piątej kategorii, na których dachach błyskały światła ostrzegawcze, podkreślając smog czerwonymi smugami. Za każdym razem, gdy leciałem do Norfolk ponad wschodnim wybrzeżem, przypominałem sobie, jak gęsto zaludniona jest ta część kraju. Ta perspektywa pozwalała zobaczyć morze napędzanych energią fuzyjną miast rozciągających się na tysiące kilometrów. Zapewne dałoby się przejść z Miami do Halifax, nie następując po drodze nawet na jedną kępkę trawy.

Norfolk było ogromną bazą, niemal największą ze wszystkich naszych placówek wojskowych. W czasach dawnych Stanów Zjednoczonych korzystała z niej marynarka morska, ale teraz stanowiła jeden z trzech głównych ośrodków Floty na Ziemi, obok Wielkich Jezior i San Diego. Ktokolwiek decydował o lokalizacji centrum operacyjnego armady kosmicznej, musiał odczuwać znaczną nostalgię za portami oceanicznymi, choć większość ruchu z baz kierowała się na orbitę, a nie wodę. Bardziej sensowne byłoby umieszczenie baz Floty w Górach Skalistych, trzy tysiące metrów bliżej orbity, ale przecież chodziło o ośrodek wojskowy, więc działanie zgodnie z logiką byłoby wbrew tradycji.

Prom przyziemił o trzynastej czterdzieści pięć na jednym z licznych lądowisk. Przesiadając się kilkakrotnie, dotarłem

z budynku operacji lotniczych do centrum bazy, gdzie wokół drugiego, mniejszego lotniska rozmieszczono obiekty dowództwa. Nawet mimo wiecznego smogu czułem zapach oceanu oddalonego o zaledwie kilka przecznic.

Druga Grupa Sił Specjalnych Floty mieściła się w małym, obskurnym jednopiętrowym budynku wyglądającym, jakby został oddany do użytku jeszcze przed założeniem Korpusu Obronnego WPA. Nie kwaterowały tu żadne jednostki polowe, a tylko działy administracyjne i dowódcze. Roilo się od oficerów sztabowych i wyższych rangą podoficerów ubranych głównie w mundury klasy Brawo, ze spodniami o mniej formalnym kroju i koszulami z krótkimi rękawami. Sam również miałem taki na sobie, był to bowiem uniform wymagany na czas podróży i przy zgłaszaniu się do nowej jednostki, ale używałem go tak rzadko, że czułem się jak w przebraniu.

Głównodowodzący grupy miał gabinet na samym końcu budynku. Drzwi były otwarte i zapaściłem żurawia, żeby sprawdzić, czy nie jest zajęty. Pułkownik Masoud nie nosił munduru Brawo. Nigdy nie widziałem go w niczym innym niż w spłowiałym kamuflażowym uniformie roboczym ze starannie, bez jednej zmarszczki złożonymi rękawami, do którego przypinał wyłącznie plakietkę z nazwiskiem i złotą odznakę za operacje specjalne w przestrzeni. Z wiadomości w MilNecie wiedziałem, że od czasu Marsa skoczył w górę, ale pierwszy raz widziałem go z nowymi dystynkcjami. Zapukałem we framugę, a Masoud podniósł wzrok znad czytanego wydruku. Odłożyłem worek i wykonałem salut.

– Kapitan Grayson zgłasza się na rozkaz, sir.

– Proszę wejść, kapitanie – odparł Masoud, wskazując puste krzesło przed swoim biurkiem. – I usiąść.

– Tak jest, sir. – Odsunąłem worek z drogi i zająłem miejsce zgodnie z poleceniem. Ostatni raz zetknąłem się z pułkownikiem osobiście zaraz po drugiej bitwie o Marsa, ale zawsze traktował



mnie tak, jakbym całkiem niedawno był w jego biurze. Nie tracił czasu na symboliczne uprzejmości i podejrzewałem, że miał gdzieś, co ludzie o tym sądzą.

– Gratuluję panu awansu, kapitanie.

– Dziękuję, sir. Nawzajem. Zupełnie ominął pan O Cztery?

– Oj, nie – odparł. – Byłem już O Cztery, zanim zdarzyły mi się pewne... różnice zdań z moimi zwierzchnikami. Przywrócili mi tę rangę po Marsie, a później dodali jeden stopień zaszczerowania, ponieważ było za mało frajerów, by ubiegać się o tę robotę.

Druga Grupa Sił Specjalnych Floty miała pod sobą cztery drużyny, poza nią we Flocie była tylko jedna podobna grupa, co oznaczało, że pułkownik Masoud był teraz dowódcą połowy wszystkich SEAL, kosmicznych ratowników i kontrolerów walki. Ponieważ w niemal każdej specjalizacji bojowej brakowało wyższych oficerów, podejrzewałem, że pełnił już tę rolę nieoficjalnie, odkąd Dryblaszy potężnie skopali nam dupy podczas pierwszej bitwy o Marsa, później zaś jedynie usankcjonowali jego stanowisko i w końcu dali mu gwiazdki oraz przynależny im żołd.

– Jak wygląda sytuacja na Marsie? – spytał Masoud. Wiedziałem, że dysponował bardzo dobrym obrazem tego, co się dzieje, ponieważ był upartym perfekcjonistą, ale i tak postanowiłem mu dogodzić.

– Dość paskudnie – odrzekłem. – Zapędziliśmy ich pod ziemię i zabijamy, gdy tylko wystawiają łby. Ale dożynamy przy tym sprzęt. A ludzie są niemal równie zużyci jak okręty.

– Służba garnizonowa jest zła i dla żołnierzy, i maszyn. Nie możemy sobie jednak pozwolić na to, żeby zmniejszyć nacisk na Dryblasów, inaczej za rok wrócimy do punktu wyjścia.

– Zgadza się, sir. Wszyscy są tego świadomi. Jednak podwójne tury to zbyt długo. Ludzie się nużą i popełniają błędy.

– Spierałem się z dowództwem o długość rotacji, ale po prostu nie mamy wystarczająco wielu wykwalifikowanych specjalistów

od operacji specjalnych, żeby pozwolić na trzymiesięczne zmiany. Co prowadzi mnie do pańskich nowych rozkazów.

Ze sterty papierów na biurku wyciągnął wydruk i przyjrzał mu się, marszcząc brwi. Następnie obrócił się do terminala i przeczucił kilka ekranów.

– Przydzielono pana na nowy okręt. Jest zastrzeżony, więc nie pozna pan numeru bocznego ani typu, dopóki nie zgłosi się pan na nowe stanowisko. Może się pan jednak domyślić czegoś z faktu, że zostanie pan oficerem operacyjnym.

Oficer operacyjny to niższy rangą oficer dowodzący grupą kontrolerów walki. Skoro miałbym pod sobą kilkoro czerwonych beretów, na nowym okręcie musiałyby kwaterować przynajmniej batalion żołnierzy Piechoty Kosmicznej, a zapewne raczej pełny pułk. Oznaczało to, że zastrzeżoną jednostką musiał być superlotniskowiec, bo tylko na niego można było zaokrętować pełen pułk.

– I tak mam już zbyt niewielu wyszkolonych weteranów. Nie czuję się szczególnie zadowolony, że muszę wypożyczyć jednego z nich komuś innemu. Jednak to nie do mnie należy tu ostatnie słowo w kwestiach kadrowych, choć tabliczka przy drzwiach głosi „dowódca”.

Pokręcił głową nad widokiem na ekranie i podał mi trzymany wydruk, czyli standardowy formularz rozkazów z moimi danymi.

– Niech się pan nacieszy urlopem, kapitanie. Zasłużył pan sobie na trochę wolnego po dwóch zmianach z rzędu. Pierwszego grudnia ma się pan zgłosić do stacji transferowej wymienionej w rozkazach, a oni zajmą się transportem na nowe stanowisko.

Znając pułkownika Masouda, miałem wyraźne przeczucie, że wie już o dokładnej naturze i celu mojego nowego przydziału. Zdawałem sobie sprawę jednak, że lubił trzymać karty przy orderach.

– Tak jest, sir.

Podniosłem się z krzesła i zasalutowałem, po czym odwróciłem się na pięcie, żeby opuścić gabinet.

– Jeszcze jedno, kapitanie.

– Sir? – Obróciłem się znów do pułkownika.

– Musi pan uporządkować mundur.

– Jak to, sir?

– Dobrze pamiętam, że po Arkadii zgłosiłem pana do Krzyża Floty. Pamiętam również, jak czytałem, że odznaczenie zostało zatwierdzone oraz wydane. Jednak nie widzę go wśród pańskich baretek.

Spojrzałem na rządę wąskich wstążek na mojej koszuli klasy B, ułożonych według precedencji odznaczeń, co oznaczało, że najważniejsza jest Srebrna Gwiazda z nałożoną małą złotą gwiazdką, symbolizującą dwukrotne przyznanie odznaki. Pułkownik Masoud szukał czarnej baretki z białym pionowym paskiem pośrodku, odpowiadającej Krzyżowi Floty. Wciąż znajdowała się ona w etui wraz z orderem, odkąd szyper poprzedniej jednostki przyznał mi go sześć miesięcy po Arkadii.

– Hmm. Musiałem zapomnieć o zaktualizowaniu baretek. Nie noszę często tego uniformu.

– Rozumiem.

Masoud przyglądał mi się dłuższą chwilę ciemnymi oczyma, niezdradzającymi żadnych emocji.

– Kapitanie – odezwał się w końcu. – Oszczędźmy sobie na moment tych bzdurnych uprzejmości. Wciąż ma pan pretensje w związku z Arkadią. Nawet po trzech latach.

– Nie wiedziałem, że istnieje ograniczenie czasu złości dowódcy na to, że jedna trzecia jego plutonu poległa. Sir.

– I wini pan za to mnie. Choć to pan zaplanował i przeprowadził natarcie. Trudno uznać, że to w porządku. – Pułkownik odchylił się na krzesło i skrzyżował ręce na piersi. – Na Marsie straciliśmy ponad jedną trzecią stanu całej Kosmicznej Piechoty. Czy za ich śmierć też wini pan dowództwo?

– To co innego – rzekłem. – Wszyscy znaleźliśmy cały plan, zanim rozpoczęła się bitwa. Nie wykorzystaliśmy nikogo w celu dywersyjnym.

– I mimo to żołnierze zginęli, podobnie jak na Arkadii.

– Być może zginęłoby ich mniej, gdyby wtajemniczył mnie pan w swoje zamiary. Może zaplanowałbym wszystko inaczej. Nie uważałbym wówczas, że nie mieliśmy żadnej alternatywy.

Masoud westchnął i rozplątał ramiona, po czym pochylił się w moją stronę i oparł łokcie na biurku. Popatrzył na mnie ponad palcami splecionymi w piramidkę.

– Kapitanie Grayson, tylko jeden stopień dzieli pana od oficera sztabowego. Jeśli chce pan zachować zdrowie psychiczne, musi pan przestać poddawać cały czas w wątpliwość decyzje dowódcze podjęte przez pana podczas akcji. To nic nie daje. Niczemu nie służy. I na dłuższą metę szkodzi. Jeśli zawaha się pan przy kolejnym desancie bojowym, ponieważ będzie myślał o ofiarach poniesionych dawniej, nie zdoła pan prawidłowo funkcjonować i zginą kolejni żołnierze.

– Z całym szacunkiem, sir, ale mam nadzieję, że nigdy nie przestanę poddawać swoich decyzji w wątpliwość. Wolę myśleć, że wciąż obchodzi mnie los moich ludzi.

Pułkownik wykonał swój nieznaczny uśmiech.

– Dlaczego mam wrażenie, że za każdym razem, gdy mówi pan „z całym szacunkiem”, wcale pan tak nie uważa?

Zawahałem się na moment, po czym odwzajemniłem uśmiech, również bez cienia wesołości. Nie zamierzałem spędzić urlopu w areszcie, poskromiłem więc chęć udzielenia dosadnej odpowiedzi, którą już miałem na końcu języka.

– Ponieważ jest pan niezwykle spostrzegawczy, sir – odparłem zamiast tego.

Przez chwilę Masoud mi się przyglądał i sądziłem, że przekroczyłem granicę. Westchnął jednak niemal niesłyszalnie i pokręcił głową.

– Może porozmawiamy o tym ponownie, gdy będzie pan już oficerem sztabowym. Lecz kiedy znów zobaczę pana w mundurze Brawo, chcę widzieć na nim baretkę Krzyża Floty. Może pan odejść, kapitanie.

– Tak jest, sir.

Podniosłem worek i wyszedłem. Za dwa tygodnie będę się znów martwić baretkami, tajnymi operacjami i robotą szpiegowską. A póki co czekało mnie piętnaście dni urlopu z dala od Dryblasów, desantowców i pułkownika Khaleda Masouda.

## Rozdział 4

# Urlop

**P**rzez pierwszy dzień czy dwa urlopu zawsze czułem się jak odłączony. Zupełnie jakbym spadł z urwiska i uderzył boleśnie o powierzchnię wody, po czym zaczął tonąć w akwenie bez dna. We Flocie i podczas przydziałów moje życie były ustrukturyzowane, rozplanowane, kontrolowane i ograniczone. Mogłem przemieszczać się w ciasnych granicach okrętu, pełnić wachty w systemie zmianowym bądź też fizycznym i mentalnym kosztem wykonywać misje naziemne, a wszystko to pod nieustannym nadzorem. Później opuszczałem Węzłową, leciałem na Ziemię i dwanaście godzin po zakończeniu przydziału dysponowałem swobodą ruchu oraz nieograniczonymi możliwościami podróży po całej połowie kontynentu, i nikt nie spoglądał mi przez ramię. Wiedziałem, dokąd zmierzam i jak tam dotrzeć, ale z początku czułem się zagubiony i niespokojny, ponieważ miałem zbyt wiele przestrzeni po długim okresie spędzonym w zawieszanej w próżni metalowej rurze.

Na żadnym z promów lecących na północ nie zostały już na ten wieczór wolne miejsca, pojechałem więc pociągiem do stacji tranzytowej w Richmond. Tam przesiadłem się na kolej magnetyczną sunącą w górę wschodniego wybrzeża. Był to wolniejszy sposób podróży niż lot, ale i tak szybszy, niż gdybym został w Norfolk na noc i zaryzykował łapanie promu rankiem. Zresztą mi to nie przeszkadzało. Gdy pociąg przemykał przez metropoleks Waszyngton-Baltimore, a później Filadelfię i Nowy Jork, miałem czas, żeby się odprężyć i na nowo przyzwyczać do

przebywania wśród cywilów, choć wyróżniałem się między nimi mundurem, pistoletem i workiem. Ponieważ zniesiono zagrożenie niespodziewanym wtargnięciem Dryblasów, przynajmniej nie musieliśmy targać ze sobą broni obrony osobistej i lekkiego pancerza, ale wciąż kazano nam nosić pistolety. Spędzałem czas, czytając wiadomości na OTI i spoglądając na przesuwane się za oknem krajobrazy. Linia biegła przez jedno z najgęściej zaludnionych obszarów na planecie, ale daleko mi było do klaustrofobicznych odczuć w mesie dla szeregowych na fregacie. Gdzieś między Filadelfią a Nowym Jorkiem przysnąłem, a gdy wybudziłem się z drzemki, pociąg zwalniał już przed wjazdem na terminal tranzytowy w Bostonie. Żeby odbyć ostatni etap podróży, musiałem przesiąść się na linię idącą przez Góry Zielone i zdołałem z dziesięciominutowym zapasem złapać ostatni skład magnetyczny tego dnia.

Przedostanie się z Bostonu do Liberty Falls zajęło mi nieco poniżej godziny. Jechałem w taki sposób niemal za każdym razem, gdy trafiałem na Ziemię, bo zwykle leciałem wcześniej promem do Stacji Lotniczej Sił Obrony Ziemi w Falmouth, tuż na południe od bostońskiego metropoleksu. I podobnie jak za każdym razem, niepokój zaczął mnie opuszczać, gdy minęliśmy granicę stanu Vermont i wjechaliśmy w rzadko zasiedlone góry. Kiedy dotarliśmy do dworca w Liberty Falls, wciąż byłem zmęczony i miałem nieco zaczerwienione oczy, ale nie czułem się już zagubiony i zerwany z kotwicy. Jeśli jakieś miejsce na tej planecie mogłem nazwać domem, to właśnie tutaj, choć budynek, w którym się zatrzymywałem, nie należał do mnie ani do Halley.

Ulice Liberty Falls były ciche o tej porze, dziesięć minut po północy w środku tygodnia. Była połowa listopada i na ziemi nie leżał jeszcze śnieg, lecz powietrze było czyste i zimne, a trawę pokrywał szron. Za jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat któryś z pobliskich metropoleksów zapewne urośnie na tyle, by wchłonąć

to schludne miasteczko, ale na razie w takim stopniu różniło się od DZK, jak Mars od Grenlandii.

Restauracja chorążego Kopki była ciemna i zamknięta. Nie mówiłem jemu ani matce, kiedy przyjadę, ponieważ nie chciałem, by czekali na mnie do późna. Już parę lat wcześniej chorąży dodał profil Halley i mój do biometrycznego zamka przy tylnych drzwiach, przyłożyłem więc opuszki do skanera, żeby wejść do środka, po czym wdrapałem się po schodach do gościnnej sypialni, w której mieszkaliśmy podczas urlopów na Ziemi. Był to mały pokój, mieszczący zaledwie łóżko, dwie komody i biurko, ale wychodził na główną ulicę Liberty Falls i miał własną łazienkę. W porównaniu z większością kwater we Flocie wydawał się niczym pałac, na dodatek znacznie przytulniejszy niż pozbawione okien klitki ze stalowymi, przynitowanymi do pokładu meblami. Odłożyłem torbę, zdjąłem koszulę mundurową i wyciągnąłem z kieszeni OTI, żeby wysłać wiadomość do Halley.

*Dotarłem do Falls.*

Jej odpowiedź nadeszła kilka minut później.

*Gnojek.*

*Też cię kocham.*

*Gdyby tak było, spędziłbyś noc na rozwalającej się pryczy w ośrodku transferowym bazy, solidaryzując się z żoną.*

*Wygląda na to, że nawet prawdziwa miłość ma swoje granice. Będę na ciebie czekał, pijąc kawę chorążego. Pospiesz się, bezpiecznej podróży na dół.*

*Smacznej kawy. Widzimy się jutro. I idź spać. Masz być wypoczęty.*

Z uśmiechem wylogowałem się z MilNetu, po czym rozebrałem się, żeby wejść pod prysznic w niewielkiej łazience i zmyć z siebie brud podróży, zanim pójdę spać. Umysł chciał mnie utrzymać na jawie, odtwarzając rozmowę, jaką odbyłem z pułkownikiem Masoudem, ale zmęczenie wygrało i zasnąłem,



gdy tylko dotknąłem głową poduszki.



Rano obudziły mnie dobiegające z restauracji odgłosy. Poczułem delikatną woń świeżej kawy i usłyszałem brzęk talerzy oraz cichy szmer rozmowy. Zerknąłem na zegarek, który pokazywał 6:38. Podniosłem się z łóżka i wyjąłem z komody zestaw cywilnych ciuchów. W którymś momencie w ostatnich dwóch albo trzech latach, kiedy nasze pobyty w Liberty Falls nabrały swoistej regularności, wraz z Halley kupiliśmy trochę niewojskowych ubrań do noszenia podczas przepustki, żeby nie wyróżniać się wszędzie, gdzie poszliśmy w tym bezpiecznym miasteczku. Tutejsi mieszkańcy nie przywykli do widoku uzbrojonych żołdaków na ulicach. Wcześniej przez lata nie posiadałem nawet żadnego nieregulaminowego stroju. Po tak długim czasie spędzonym w mundurze, gdy zamieniałem go na coś innego, czułem się, jakbym udawał kogoś innego.

– O której przyjechałeś? – spytała mnie matka, gdy zszedłem do restauracji, gdzie nakrywała stoliki. Odłożyła naręczę serwetek i podeszła, żeby mnie porządnie uściskać.

– Po północy. Nie udało mi się złapać dogodnego lotu, więc musiałem wsiąść w pociąg. Dzień dobry, panie chorąży – powiedziałem do Kopki, który na dźwięk mojego głosu wystawił głowę z kuchni.

– Dobry, Andrew. Czy pan kapitan wypije kubek kawy?

– Potwierdzam. Zdecydowanie potwierdzam.

Skinął głową i znów zniknął za drzwiami.

– Ile dostałeś urlopu? – dopytywała mama.

– Dwa tygodnie. Zebrało się po dwóch turach.

– Halley też przyjedzie?

– Dotrze później dzisiaj. Musiała zostać na Lunie na noc, bo nie dostała się wieczorem na prom.

– Cieszę się. Sporo minęło. Sześć miesięcy, odkąd tu byłeś. Przynajmniej twoja żona zagląda tu mniej więcej raz na miesiąc.

– Podróż z Księżyca trwa o wiele krócej niż z orbity Marsa, mamó. Sam lot zajął mi tydzień.

– Na czym tam stoimy? – zapytał chorąży. Wyszedł z kuchni, trzymając tackę z kubkiem kawy i małym pojemniczkiem ze śmietaną.

– Bawimy się w ciuciubabkę z resztkami Dryblasów. Wyłącznie misje lotnicze. Wykonujemy patrole i zrzucamy pociski na wszystko, co się rusza. Siedzę godzinami w desantowcu i gapię się na ekrany konsoli, a dookoła panuje gówniana pogoda.

– Myślałem, że do tej pory wszyscy będą już wytłuczeni.

– Jak my wszyscy. Niestety wciąż wyskakują spod powierzchni. Jak karaluchy. Jednak idzie nam znacznie lepiej niż trzy lata temu.

– To były mroczne czasy – skomentował chorąży. – Najmroczniejsze.

– Nie zwyciężyliśmy na Marsie. Ale przynajmniej nie przegraliśmy. Wcześniej czy później usuniemy ich stamtąd.

Usiadłem przy stoliku, który zwykle zajmowaliśmy wraz z Halley podczas pobytu tutaj, a Kopka postawił przede mną tacę.

– Czy to prawdziwa śmietanka?

– A owszem – odrzekł chorąży. – Jajka też mam znowu. Menu śniadaniowe niemal wróciło do dawnego stanu.

Wlałem sobie do kawy solidny chlust świeżej śmietany z zimnego porcelanowego dzbanuszką.

– Jedzenie we Flocie także się poprawiło. Może idzie ku lepszemu?

Kopka uśmiechnął się i zastukał dłońmi w stół.

– Na pewno idzie ku lepszemu. Mogę ponownie zamawiać świeże mleko i jajka, wieprzowinę i kurczaki. Nie obchodzi mnie, w jaki sposób udało im się odblokować łańcuch dostaw. Po

prostu cieszę się, że znowu mogę gotować porządne potrawy. Przez jakiś czas byłem przekonany, że trzeba będzie zamknąć lokal. Oczywiście to nie było nasze największe zmartwienie.

Zamieszałem kawę, upiłem łyżeczek i mimowolnie jęknąłem.

– Dobra, co nie? – spytał chorąży.

– Dobra to mało powiedziane – odparłem. – Od sześciu miesięcy czekałem na taki kubek.

Kopka musiał zabrać się za szykowanie śniadań, a mama skończyć nakrywać stoliki i przygotować restaurację do otwarcia, sączyłem więc leniwie kawę, przez okno obserwując pieszych chodzących po ulicy. Kiedyś miałem ogromne pretensje do tych ludzi z klasy średniej, żyjących we względnym bogactwie i wygodzie nawet nie dwieście kilometrów od DZK, gdzie dorastałem pozbawiony podobnych przywilejów. Przez lata uświadomiłem sobie jednak, że nie są winni takich okoliczności, przestałem więc odczuwać wyrzuty sumienia, że cieszę się tutejszymi drobnymi luksusami.

Mój OTI zawibrował, gdy byłem w połowie drugiej kawy. Nie był to wyraźny alert ostrzegający o wtargnięciu Dryblasów, zignorowałem więc urządzenie i spokojnie dokończyłem napój, po czym wyciągnąłem tablet i spojrzałem na ekran.

*Zaraz wskakuję na prom. Dam ci znać, gdy wylądujemy i wsiądę do pociągu.*

*Do zobaczenia za kilka godzin.*

Nigdy nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu na myśl, że moja żona, będąca jednym z najlepszych pilotów okrętów desantowych w całej Flocie, musiała udawać się na Ziemię w rozklekotanym promie, przypięta do fotela w towarzystwie setki operatorów konsol i mechaników. Swoim desantowcem mogłaby przetransportować się w dowolne miejsce w WPA bez potrzeby korzystania z pociągów czy przejmowania się rozkładem połączeń. Flota oczywiście nie pozwoliłaby jej nigdy na potraktowanie swojej jednostki jako prywatnej taksówki, ale

bawiła mnie perspektywa Ważki lądującej na Main Street tuż przed restauracją chorążego i Halley swobodnie wyskakującej z kokpitu, zupełnie jakby właśnie zaparkowała hydrosamochód.

Siedziałem przy stoliku do paru minut przed ósmą, kiedy to Kopka otworzył drzwi przed śniadaniem. Halley i ja zawsze wychodziliśmy stąd w godzinach działania lokalu, żeby nie zajmować miejsca płacącym gościom. Chorąży nalegał, że nie jesteśmy mu nic winni za całą żywność i napoje, które dostaliśmy od niego przez lata, ale biorąc pod uwagę to oraz fakt, że nie obciążał nas również za korzystanie z prywatnego pokoju gościnnego na górze, wiedziałem, że jeśli dotrwam żywy do końca służby, odpalę mu solidną część zgromadzonego wynagrodzenia.

Mało kto na Main Street otwierał się tak wcześnie, ale i to się zdarzało. Wszedłem na spacer i spoglądałem na witryny, oglądając przedmioty, których nie potrzebowałem i na które nie mogłem sobie pozwolić, choć przez niemal dziesięć lat służby na moim koncie nagromadził się prawie milion dolarów. Wszystkie te pieniądze zostaną odblokowane dopiero, kiedy opuszczę wojsko. Ulica ciągnęła się dwa kilometry, od stacji na południu do parku z małym wodospadem na północy, a pomiędzy znajdowało się mnóstwo urokliwych sklepików i budynków użyteczności publicznej. Biblioteka w centrum była otwarta, wszedłem więc do środka i usiadłem przy jednym z ogólnodostępnych terminali, żeby nadrobić wiadomości.

Godzinę później Halley napisała.

*W pociągu z Bostonu. W Falls o 10.45.*

Wylogowałem się z terminalu i założyłem kurtkę, żeby ruszyć w stronę dworca, gdzie za niespełną godzinę przyjedzie punktualnie pociąg. Zwykle czułem przyjemne podekscytowanie, gdy miałem się zobaczyć z żoną, zwłaszcza po sześciu miesiącach rozłąki, ale tym razem towarzyszył temu lekki niepokój. Nie powiedziałem jej jeszcze o nowym przydziale i nie sądziłem,

żeby miała się szczególnie ucieszyć, iż znowu gdzieś lecę, zwłaszcza że nie wiedziałem dokąd. Stanowiska na Lunie i Ziemi rozpieściły nas, więc dopiero teraz, po osiemnastu miesiącach w Brygadach i dwóch turach na Marsie, w pełni czuliśmy niewygodę wiążącą się z wojskowymi małżeństwami.

Halley wyszła na mały plac przed stacją, akurat gdy z nieba zaczęły sfruwać pierwsze tej zimy płatki śniegu. Była w mundurze Alfa Floty, czyli dość wytwornym uniformie z płaszczem, i niosła zaledwie małą torbę.

– Wciąż wyglądasz dziwnie w cywilnych ciuchach – powiedziała do mnie, gdy przytuliliśmy się mocno i wymieniliśmy akceptowany publicznie pocałunek.

– I czuję się dziwnie. Zupełnie jakbym grał kogoś w sieciowizji. Ale przynajmniej jest mi wygodnie i ciepło.

– Nie mogę się doczekać, aż zrzucę to małpie przebranie.

– Dlaczego nosisz Alfę?

– Przez ostatnich dziesięć dni byłam na szkoleniu dla kandydatów na pierwszych oficerów. Karnawałowe stroje były obowiązkowe.

– Czego tam uczą? Stu sposobów, jak gnoić młodszych oficerów?

– Uczą, że każdy pierwszy oficer może w jednym cyklu rotacyjnym zabić bez konsekwencji trzech podoficerów. – Halley zarzuciła torbę na ramię i rozejrzała się po placu. – Hej, popatrz. Śnieg.

– Jeszcze się nie utrzyma. Ziemia jest ciągle zbyt ciepła. Przy takich temperaturach ledwo pojawia się szron w nocy.

– Ale wygląda ładnie. Przez niemal dwa tygodnie patrzyłam tylko na zasyfiałe grodzie i sztuczne światło.

Ruszyliśmy w kierunku restauracji. Halley jak zawsze weszła na mały skwer przy dworcu i przesunęła dłonią po trawie nieznacznie obsypanej śnieżynkami. Robiła tak za każdym razem, gdy przyjeżdżaliśmy do Liberty Falls. Jeśli kiedyś

zlikwidują ten parczek i go zabetonują, moja żona pewnie wypowie wojnę władzom miejskim. Obserwowałem Halley, lecz nie dołączyłem do niej.

– Wyglądasz na nieco przybitego – stwierdziła. – Mamy przed sobą dwa tygodnie urlopu. Rozchmurz się trochę.

– Wczoraj dostałem rozkazy. Bezpośrednio od pułkownika Rzeźnika.

Popatrzyła na mnie, wciąż kucając na trawie, i skrzywiła się.

– Tylko nie kolejna tura na Marsie.

– Nie chodzi o Marsa.

Przemknąłem wzrokiem za Halley, na Main Street, gdzie cywile prowadzili swoją zwyczajową codzienną aktywność, nieświadomi całego tego gówna, w którym taplaliśmy się miliony kilometrów stąd, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

– Mam przydział na nowy okręt – kontynuowałem. – Masoud oddał mi tamtejszą drużynę sił specjalnych, więc będzie to przynajmniej łajba kontroli przestrzeni.

– Dostałeś rozkazy i nie wiesz, dokąd cię posyłają?

– To dla mnie nic nowego. – Wzruszyłem ramionami. – Trafie na nowiutki okręt. Zastrzeżona nazwa i numer boczny. Ale Masoud mówił, że nie leci na Marsa, więc nie mam pojęcia. Gdybym miał zgadywać, postawiłbym na to, że albo chodzi o szkolenie do czegoś nowego i idiotycznie niebezpiecznego, albo też o lot poza system.

– Lot poza system też jest idiotycznie niebezpieczny – skomentowała Halley. – „Archie” ma teraz napęd Alcubierre’a, ale nie ma szans, żeby odciągnęli nasz jedyny pancernik od obrony Ziemi. Dokądkolwiek więc trafisz, będzie to przynęta na Dryblasów.

„Archangielsk”, wciąż znajdujący się pod dowództwem ZCR, stanowił teraz najważniejszy element naszych sił obrony planetarnej. Dysponowaliśmy oczywiście bateriami Orion, ale liczba rakiet była ograniczona, ponieważ każda z nich

potrzebowała setek głowic nuklearnych. Cywile na Ziemi chcieli móc w spokoju zajrzeć do sieciowizyjnych wiadomości i sprawdzić, że pancernik cumuje przy stacji ZCR albo przeprowadza patrol orbitalny. Nigdy nie opuści Układu Słonecznego, jeśli nie zostanie czymś zastąpiony, nawet jeśli byłby do tego zdolny. Jego siostrzana jednostka, „Agincourt”, znajdowała się już poza naszym układem ze zniszczonym napędem i bez załogi. Oberwała szczątkami okrętu nasiennego podczas drugiej bitwy o Marsa i zaczęła dryfować w kierunku, z którego nie dało się jej odzyskać, więc szyper nie miał wyboru i musiał wydać rozkaz opuszczenia pokładu.

– Zatem ja zostanę pierwszym oficerem w eskadrze transportowej na lotniskowcu, a ty będziesz robić tajne rzeczy dla Masouda – powiedziała Halley. – Hej, a może znowu wsadzą nas na ten sam okręt?

– Już dwa razy mieliśmy takie szczęście. Trzy, jeśli liczyć „Regulusa”. Piorun nie trafia czterokrotnie w to samo miejsce.

– Nigdy nie wiadomo. – Halley wstała i wytarła dłonie o kurtkę mundurową. – Flota nie jest już tak duża. Wycofali wiele starych łajb, których używaliśmy na Marsie. Były już zbyt kosztowne w eksploatacji, zresztą i tak na nic by się nie zdały przeciwko Dryblasom. W zasadzie wyprztykaliśmy się z większości tego, co mieliśmy.

– To jest wojsko, pamiętasz? Mamy ograniczony budżet szczęścia. A myślę, że my i tak już solidnie nadszarpnęliśmy nasz.

– Może? – rzekła i zamrugła, spoglądając w niebo, skąd na chłodnym wietrze opadały śnieżne płatki. – Ale jeśli rozpatrywać to pod kątem matematyki, to za każdym razem zaczynasz grę z takimi samymi szansami. Poczekaj trochę, a potem sprawdź, gdzie upadły żetony. Nie ma sensu zamartwiać się na zapas, bo i tak gównie udało nam się na to poradzić.

Niemal dotarliśmy już do restauracji, w której pojawili się już zapewne pierwsi goście siedzący nad kawą i omletami

zrobionymi z prawdziwych jajek i sera. Halley nie weszła od przodu, tylko okrążyła budynek aż do tylnych drzwi.

– Znów będziemy mieć szczęście – oznajmiła z przekonaniem.  
– Ale tak na wszelki wypadek nacieszmy się jak najbardziej tym krótkim urlopem.

Odblokowała zamek biometryczny i wskazała podbródkiem schody.

– Zabierajcie tyłek na górę i dołączcie do mnie pod prysznicem, kapitanie. A później zjemy dekadenski lunch, pójdziemy w góry i przez cały tydzień nie będziemy rozmawiać o pieprzonej Flocie.

– Tu Wydech Jeden, słyszę cię pięć na pięć – rzuciłem.



## Rozdział 5

# Na Ziemi

**G**dy tkwi się na okręcie podczas podróży międzyplanetarnej, półtora tygodnia zwykle dłuży się w nieskończoność. Z kolei w trakcie urlopu ten sam okres mija tak błyskawicznie, jakby ktoś oparł palec na przycisku przewijania czasu we wszechświecie. Był koniec listopada i zima informowała o swoim nadejściu, syjąc czasami śniegiem, który jeszcze nie utrzymywał się na ziemi. Niedługo zacznie, ale znajdę się już wtedy na kolejnym okręcie i znów przegapię biały opad, trzeci rok z rzędu.

Halley i ja spędzaliśmy wolne w utarty sposób. Chodziliśmy na długie wędrówki w cichej jesiennej okolicy Liberty Falls, za każdym razem nieco poszerzając znany nam teren, i zjadaliśmy zabrane posiłki, siedząc na zwalonych kłodach lub granitowych półkach. Mogliśmy cieszyć się smaczniejszymi potrawami niż gdziekolwiek we Flocie, nawet jeśli ostatnio poprawiła się jakość posiłków, a do tego towarzyszyła nam sceneria jakże inna od oficerskich stołówek. Oczywiście jadałem w terenie podczas misji planetarnych, ale to nie to samo. Zamiast zimnych racji pochłanianych w bitewnym stresie, miałem ciepłe posiłki z pojemników termicznych, siedziałem obok żony pod pochmurnym jesiennym niebem i spoglądałem na zalesioną dolinę lub szemrzący górski potok, a w zasięgu wzroku nie widziałem żywej duszy. Po kilku dniach przebywania na otwartym powietrzu i w cichej naturze, poczułem, jak opuszczają mnie napięcie i zmęczenie, zupełnie jakby ta okolica otwierała jakiś zawór bezpieczeństwa w moim mózgu.

Wieczorami wracaliśmy na kolację, którą chorąży zostawiał nam w naszym pokoiku w izolowanych pudełkach. Następnie szliśmy na spacer wzdłuż Main Street, jeśli tylko pogoda wciąż na to pozwalała. Stało się naszą niepisaną zasadą, że nie sypialiśmy ze sobą na górze, jeśli w restauracji wciąż ktoś się znajdował – nie dlatego, by mama lub Kopka kiedykolwiek nam to wypominali, lecz dlatego, że po prostu wydawało się to nie w porządku. Jednak gdy zamykali lokal i odchodzili w mrok, zwalnialiśmy hamulce.

– Pamiętasz, co powiedziałaś swojej matce trzy lata temu, gdy byliśmy ostatni raz u twoich rodziców? – spytałem.

Halley położyła moją dłoń na swoim brzuchu. Wylegiwaliśmy się w łóżku, wtuleni w siebie jak dwie łyżeczki, przyjemnie spleceni, słuchając odgłosów dobiegających z zewnątrz budynku. Był piątkowy wieczór i ludzie wyszli w miasto pomimo niskiej temperatury.

– Próbuję zapomnieć o tamtej wizycie. O który moment ci konkretnie chodzi? Ten, kiedy nazwałam ją niegrzeczną suką?

– Ten, kiedy mówiłaś o dzieciach. Powiedziałaś jej, że jeśli zajdziesz w ciążę, zamroziś embrion do czasu, aż opuścimy służbę.

– A, to.

– Naprawdę o tym myślałaś?

– O zajściu w ciążę? Nie bardzo. – Popatrzyła na mnie przez ramię, po czym przekręciła się w moją stronę. – No wiesz, znasz regulamin. Przecież dopóki latam w przestrzeń, nie wyłączę nawet implantu antykoncepcyjnego. Musiałabym ubiegać się o stanowisko stacjonarne, a potem o pozwolenie na zajście w ciążę. Zresztą później i tak musielibyśmy zamrozić zarodek. Dopóki nie wyjdziemy z woja.

– Chyba żebyś zrezygnowała i odeszła wcześniej.

– I oddała całe pieniądze? Wszystkie te lata na nic?

– Taa – przyznałem. – To nie byłoby mądre.

– Nie mogę powiedzieć, żeby znajdowało się to teraz na szczycie listy moich priorytetów. W sensie, posiadanie dziecka. Sprowadzenie kolejnej istoty w to gówno. Jakoś poradziliśmy sobie z Dryblasami, ale oboje wiemy, że mogą wrócić każdego dnia.

– A później? Gdy skończymy służbę i będziemy żyć z wynagrodzenia?

Halley milczała przez chwilę, po czym westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Kiedyś tak. Bo chcę, żeby jakaś część ciebie i mnie istniała dalej, jeśli któreś z nas kopnie w kalendarz. Trochę samolubnie, nie? Jest nas trzydzieści miliardów, a ja uważam nas dwoje za tak wyjątkowych, że musimy zwiększyć tę liczbę.

– Dlaczego mielibyśmy jej nie zwiększać? W DZK nie mają takich dylematów moralnych. Jedzą absolutne gówno, poziom przestępczości sięga chmur, dostają darmową antykoncepcję, a jednak wciąż robią dzieci.

– Jest cokolwiek prawdziwego w plotkach, że Wspólnota dodaje tam środki antykoncepcyjne do wody pitnej? – zapytała Halley.

Zachichotałem.

– Nie sądzę. Widziałaś statystyki urodzeń? Wypełniają wieżowce tak szybko, jak tylko jesteśmy w stanie je budować. Ale te pogłoski krążą, odkąd żyję. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć.

– W sumie to ciężko ich winić. Nie dziwię im się. Nie po tym, co wywinął stary rząd, gdy spakowali manatki i odlecieli do swojego galaktycznego kurortu.

Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu. Po ponad tygodniu przebywania w trybie urlopowym mój mózg zaprogramował się do tego, żeby zsyłać na mnie senność po zakończeniu naszej regularnej sekwencji czynności i ta przewidywalność przynosiła mi ogromną pocichę.

– Tak, chcę mieć z tobą dzieci – mruknęła Halley, wyraźnie zaczynając odpływać, tak jak ja. – Gdy każdego dnia nie będzie nam już groziła śmierć. Gdy wykurzymy już tych wielkich gnojków z naszego układu. Ale na razie skoncentrujemy całą naszą energię na tym, żeby nie dać się zabić.

– Słuszna koncepcja – odparłem, choć wiedziałem, że nawet w najmniejszym stopniu nie zależy to od nas. Czasami miło było jednak mieć choćby iluzję kontroli.

---

Urlop Halley był krótszy od mojego o jeden dzień, ponieważ nie zaoszczędziła tyle co ja. Mogłem zostać w Liberty Falls i spędzić ten czas sam ze sobą, ale wiedziałem, że okrutnie bym się tu zanudził, tak więc gdy moja żona zabrała się do pakowania rzeczy i zakładania munduru, zrobiłem to samo.

– Co zamierzasz robić? – spytała, gdy chowaliśmy cywilne ciuchy z powrotem do szuflad komody. – Masz się zgłosić na Lunę dopiero w niedzielę.

– Odprowadzę cię na transport do Falmouth. Później może zrobię sobie wycieczkę pociągiem i sprawdzę, jak tam w Shughart. Mam czas.

– Nie to, żebym miała coś przeciwko przebywaniu z tobą, ale chyba zgubiłeś gdzieś piątą klepkę. Mógłbyś się tu objąć cały dzień, a później złapać prom z Burlington na Lunę i znaleźć się tam po dwóch godzinach.

– Nie – odparłem. – To nasze miejsce. Dziwnie się tu czuję, gdy nie jesteśmy razem.

– To słodkie. – Pochyliła się i pocałowała mnie w kącik ust. – Głupie, ale słodkie. Gdybym była na twoim miejscu, wlaźłabym z powrotem do łóżka i spała do ostatniej możliwej chwili.

Podróż do Bostonu wiązała się z chyba najmniejszym napięciem, jakie kiedykolwiek nam towarzyszyło, kiedy

udawaliśmy się na nowe stanowiska. Zanim nie zniszczyliśmy okrętów nasiennych nad Marsem, każdy przydział odbywał się jak w gorączce, przypominaliśmy straż pożarną pędzącą do nowego pożaru, prosto w śmiertelne niebezpieczeństwo. Teraz jednak było inaczej. Oboje wciąż czuliśmy niepokój, ponieważ nigdy nie wiadomo, co może nas czekać, ale miecz Damoklesa nie dyndał już nam nad głowami na strzępiącej się nici.

Kiedy dotarliśmy do Dworca Południowego w Bostonie, przeszedłem z Halley na rządowy poziom stacji, żeby wsiadła w pociąg wyłącznie dla wojskowych do Falmouth, gdzie miała złapać transport na Węzłową, a później na nowy przydział. Nie przepadałem za publicznymi pożegnaniami, ale chciałem też zostać z moją żoną do chwili, kiedy to pożegnanie stanie się nieuniknione.

Rozstaliśmy się w zwyczajowy sposób: mocny uścisk, krótki pocałunek, bez przeciągania. Może wrócę za miesiąc, a może za trzy lub sześć, i nie dało się określić, kiedy znów się ponownie zobaczymy, dopóki oboje nie znajdziemy się na nowych stanowiskach i nie dowiemy, dokąd lecimy i co będziemy robić. Może nawet znajdziemy się w tym samym miejscu na święta, co zdarzyłoby się pierwszy raz. Żegnaliśmy się już w znacznie groźniejszych i rozpaczliwych okolicznościach, więc obecna rutyna i spokój wydawały się niemal nienaturalne.

– Do zobaczenia na przepustce, Andrew – powiedziała Halley, po czym wygładziła dłonią zmarszczki na mojej bluzie mundurowej. – Nie daj się zabić, bo się wkurzę.

– Czyli mam trzymać się z dala od Dryblasów i wadliwego sprzętu. Tak jest, proszę pani.

Pociąg wojskowy zapowiedział swój wjazd podmuchem powietrza, które wyskoczyło z tunelu i przemknęło po peronie. Chwilę później skład wśliznął się na stację, zatrzymując płynnie i niemal bezgłośnie. Drzwi otworzyły się z cichym syknięciem. Halley złożyła mi ostatni pocałunek na wargach, chwyciła torbę

i wsiadła. Wziąłem swój bagaż i poszedłem w stronę ruchomych schodów, nie oglądając się za siebie, bo właśnie tak lubiliśmy się rozstawać, udając, że kolejne kilka miesięcy rozłąki to nic takiego. Kiedy jednak dotarłem do stopni, mimo wszystko obróciłem się i zobaczyłem, że Halley na mnie patrzy. Pokręciłem głową z uśmiechem, a ona też uśmiechnęła się łobuzersko. Jej pociąg zaraz ruszył i zniknął w tunelu. Kilku młodszych podoficerów minęło mnie w drodze na górę, pilnując, żeby zachować pełen szacunku odstęp. Westchnąłem, zarzuciłem worek na ramię, a następnie poszedłem za szeregowymi i kapralami z powrotem do publicznej części dworca.

Ponieważ na Lunę miałem zgłosić się za niecałe dwa dni, zostało mi do zagospodarowania mnóstwo czasu. Z Bostonu kolej magnetyczna jeździła na północ, południe i zachód. Dzięki legitymacji wojskowej mogłem wsiąść w dowolny pociąg. Wybrałem linię Lakeshore, prowadzącą do Buffalo, a później do Cleveland i Toledo, gdzie mieściła się moja dawna baza SOZ.

Wciąż istniały mroczne strefy, pozbawione kontroli ze strony policji i SOZ, gdzie tory i stacje były niebezpieczne, ale odkąd przed trzema laty zażegnaliśmy bezpośrednie niebezpieczeństwo dla Ziemi, te obszary zaczęły się stopniowo kurczyć, ponieważ Brygady Lazarus pacyfikowały po kolei DZK z pomocą PK oraz nowego rządu. Dzielnice komunalne nigdy nie staną się pokojowymi utopiami, ale jeśli Brygady wykonywały pracę policyjną, w tych spokojniejszych panował większy porządek, niż kiedykolwiek widziałem. Ludzie od Lazarusa utrzymywali ład dzięki mieszance łagodności i stanowczości, szukając przyjaciół i sojuszników, gdzie tylko mogli, i miażdżąc samozwańcych watażków i szefów gangów, jeśli musieli. Spędziłem z nimi wiele miesięcy, szkoląc rdzeń ich grupy do zadań specjalnych, a później poszedłem z nimi w bój i zobaczyłem, jak połowa moich uczniów ginie lub odnosi rany. Kiedyś sądziłem, że nie ma nic trudniejszego i bardziej niebezpiecznego niż desant

w kapsułach na świat kontrolowany przez Dryblasów, teraz jednak wiedziałem, że ludzie dobrowolnie zgłaszający się do Brygad wykonywali równie groźne zadania, a nie dostawali nawet za to dobrego jedzenia czy specjalnych urlopów.

Pociąg mknął przez miejskie labirynty licznych DZK rozciągających na zachód od Bostonu. Każdy kolejny pierścień budynków był nowszy, wyższy i nieco mniej zasyfiony niż te mijane wcześniej. I nagle znaleźliśmy się na przedmieściach. Nie miałem co do tego wątpliwości, ponieważ pomiędzy torami magnetycznymi a mijanymi osiedlami znalazł się bufor w postaci sztucznej roślinności, zaś ekrany dźwiękochłonne po obu stronach pokrywały murale lub reklamy zamiast graffiti i nabazgranych bezceństw.

Mój dawny dom, DZK w Bostonie, gdzie dorastałem, należał do starej kategorii trzeciej i w organiczny sposób wyewoluował z kilku biednych dzielnic. Spora część nowych była planowana centralnie i konstruowana od zera. Komunałki piątej kategorii były ogromne, nawet z daleka. Rząd WPA budował stupiętrowe wieżowce i grupował je po cztery, z murami pomiędzy każdą czwórką, dzięki którym takie skupisko stawało się własnym osiedlem. W drodze na zachód widziałem więcej DZK piątej kategorii niż wcześniej. Tworzyły zewnętrzny pierścień bostońskiego metropoleksu i tłoczyły się jedna obok drugiej w pasie szerokim na pięćdziesiąt kilometrów. Wzór ten powtarzał się, gdy jechałem przez kraj w kierunku Wielkich Jezior.

Za każdym razem, gdy pociąg wjeżdżał w nowy gigantyczny organizm miejski, najpierw widziałem schludne i czyste przedmieścia, później pasy zieleni i strefy bezpieczeństwa, wreszcie DZK 5. Bliżej centrum piątki ustępowały miejsca czwartej i trzeciej kategorii, później pojawiały się stare dwójki i jedyńki, które zawsze były biednymi dzielnicami, lecz pozwolono im ewoluować we własnym tempie. I wreszcie

pojawiły się miasta wewnętrzne, niczym bańki porządku i struktury w morzu chaosu i harmidru, wypełnione sklepami i budynkami mieszkalnymi dla tych, którzy mogli sobie na nie pozwolić. Sunąłem ponad tym wszystkim z prędkością trzystu kilometrów na godzinę, spoglądając przez grube poliplastowe bariery, które z jednej strony miały powstrzymywać hałas kolei, a z drugiej pociski. Doszedłem do wniosku, że tak naprawdę nie znam już tego świata. Wychowywałem się w trójce, którą opuściłem dziesięć lat temu, i spędziłem tam jedynie dwa lata dorosłego życia, zresztą lata stosunkowo bezpieczne, w okolicy o niskim poziomie przestępczości i z nielicznymi gangami. Za każdym razem, gdy wracałem na Ziemię, wydawała mi się ona coraz bardziej nieznojona i czułem się na własnej planecie jak obcy. Walczyliśmy z Dryblasami i sobą nawzajem pośród gwiazd, a tu toczyło się dalej życie. Im jednak więcej czasu spędzałem w przestrzeni, w nadzorowanym i sztucznym środowisku okrętów wojskowych, tym silniejsze czułem wątpliwości, czy pewnego dnia zdołam tu się na nowo wpasować.



Zapadłem w drzemkę w pustym przedziale i miałem mroczny, nieprzyjemny sen. Znalazłem się ponownie na ulicy w DZK i próbowałem znaleźć kogoś albo coś, biegałem ciemnymi zaułkami i po zaniedbanych skrzyżowaniach z przerażającym uczuciem, że na coś się spóźniłem. Czułem w powietrzu zapach prochu i spalin desantowca, a wszędzie dookoła słyszałem odgłosy walki, ale pędziłem przez mrok, nie widząc nikogo, zupełnie jakbym za każdym zakrętem pojawiał się na miejscu akcji o krok za późno. Nie miałem pancerza bojowego ani hełmu z tak-łączem, nie widziałem swojej drużyny, wiedziałem jedynie, że znajduje się gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku w plątaniu pobliskich uliczek. Przemykałem od zaułka do



zaułka, ale nieważne, jak się spieszyłem, nie mogłem nikogo dogonić.

Kiedy hałas wytrącił mnie z tego niespokojnego snu, wystraszyłem się. Zanim jeszcze otworzyłem w pełni drzwi, trzymałem dłoń na pistolecie, a gdy uświadomiłem sobie, że śniłem, broń już opuściła kaburę. Spojrzałem w lewo, gdzie ktoś stał w wejściu do przedziału. Był to oficer policji tranzytowej, ubrany w niebieski mundur roboczy i lekki hełm z monoklem danych na lewym oku.

– Spokojnie, żołnierzu. Wszystko tu w porządku?

Schowałem pistolet i pozwoliłem, by uruchomiła się automatyczna blokada kabury.

– Tak – odpowiedziałem. – A u pana?

– Robię po prostu obchód. Nie chciałem pana zaniepokoić, kapitanie. Miłego wieczoru.

– Nawzajem – odparłem, siadając prosto z niewygodnej, na w pół leżącej pozycji.

Gliniarz zamknął drzwi przedziału i ruszył dalej wzdłuż wagonu, a ja próbowałem otrząsnąć się z resztek snu. Na zewnątrz było już ciemno. Wyświetlacz na ścianie pokazywał, że sunęliśmy wzdłuż wybrzeża jeziora Erie z prędkością trzystu siedmiu kilometrów na godzinę.

Zamierzałem przesiąść się na pociąg do Fort Shughart, ponieważ żadne inne miejsce w tej części mrocznej strefy nie miało dla mnie szczególnego znaczenia, ale uznałem, że wysiądę na następnej stacji, zgarnę coś do jedzenia i sprawdzę, czy uda mi się złapać transport na orbitę z bazy w Cleveland albo w Wielkich Jeziorach. Nie miałem pojęcia, co działo się teraz w Shughart, ale po tych wszystkich latach nic tam dla mnie nie zostało, a nostalgiczne zwiedzanie dawnego budynku 365 Samodzielnego Batalionu Piechoty raczej nie wpłynęłoby pozytywnie na treść moich snów.

## Rozdział 6

# Stocznia Floty Dedalus

**G**dy dwa dni później dotarłem na Węzłową kolejnym zatłoczonym promem, miałem już pobieżną koncepcję, czego spodziewać się po czekającym mnie przydziale. Nowe okręty pozostawały ściśle tajne, odkąd niedługo po drugiej bitwie o Marsa rozpoczęto ich konstrukcję, co oczywiście znaczyło, że wszyscy w służbie o nich wiedzieli. Choć jednak w żołnierskim podziemiu wieści krążą szybko, informacje często ulegają zniekształceniu, im dalej docierają, podobnie jak w dziecięcej zabawie w głuchy telefon. Halley i ja dysponowaliśmy przewagą doświadczenia i oboje doszliśmy do wniosku, że nowe jednostki będą stanowiły rozwinięcie pancerników, które tak dobrze się spisały nad Marsem, nawet jeśli straciliśmy jeden z nich w wyniku uszkodzenia systemu napędowego. Trzy lata to za mało, żeby stworzyć od zera zupełnie nowy, funkcjonalny projekt, stawialiśmy więc na poprawione okręty typu „Agincourt”, z wydolniejszymi działami cząsteczkowymi i solidniejszymi silnikami fuzyjnymi.

Sierżant sprawdzający moje rozkazy przy stanowisku transferowym posłał mnie do kołnierza dokującego niedaleko od miejsca, gdzie wcześniej przybił mój prom z Ziemi, co oznaczało, że nie leżał w części stacji przeznaczonej dla dużych jednostek.

– Jesteście pewni, sierżancie? – spytałem. – Mam niemal pewność, że moja nowa łajba to duży okręt.

Zeskanował znów kod z mojego OTI i spojrział na swój terminal.

– Komputer potwierdza transport, sir. Leci pan do SLB na Lunę. Pewnie tam pan trafi na ostateczną jednostkę.

SLB była Szkołą Lotnictwa Bojowego, gdzie Halley przez kilka lat szkoliła pilotów desantowców. Podniosłem brew i odebrałem tablet od podoficera.

– Chyba się wkrótce przekonam. Dziękuję, sierżancie.

Przy przydzielonym mi kołnierzu cumował kolejny prom, standardowy funkcjonalny model Floty wykorzystywany do transportu orbitalnego, wiedziałem więc, że następny etap podróży nie będzie długi. Lot nie miał tak dużego obciążenia jak ten z Ziemi na Węzłową. Dysponowałem całym rzędem siedzeń dla siebie, zaś gdy włąz się zamknął, a kołnierz dokujący cofnął, okazało się, że zajęta jest co najwyżej jedna czwarta miejsc. Wraz ze mną podróżowali głównie piloci Floty w kombinezonach lotniczych, co miało sens, skoro lecieliśmy do SLB na Lunę. Poza tym zobaczyłem dwóch oficerów PK, siedzących w przedniej części i rozmawiających cicho ze sobą. Wyciągnąłem OTI i zabiłem nieco czasu, czytając wiadomości i wysyłając Halley wiadomość o moim celu i czasie przylotu, w razie gdyby wciąż przebywała na księżycu.

Lot ze stacji na orbitę Luni zajął tylko jakieś półtorej godziny: czterdzieści minut ciągu na przyspieszenie, a później taki sam okres zwalniania, z dziobem promu obróconym w tył i celującym w Węzłową oraz Ziemię. Następnie znów się odwróciliśmy, żeby powoli opaść do księżycowej bazy Floty, rozległego kompleksu kopulastych budynków mieszczących sześć szkół, gdzie nowi żołnierze po raz pierwszy zapoznawali się ze środowiskiem niskiej i zerowej grawitacji.

Prom nie wylądował w głównym ośrodku transportowym, lecz opadł między budynki Szkoły Lotnictwa Bojowego. Bywałem tu

często, ponieważ moja i Halley wspólna kwatera leżała w pobliżu kopuły SLB, ale hangar uczelni odwiedziłem tylko raz, ponad trzy lata wcześniej, przed rozpoczęciem bitwy o Ziemię, kiedy to w naszą stronę leciał okręt nasienny i potrzeba było kilkudziesięciu desantowców, żeby ewakuowały żołnierzy z pokładu OWPA „Regulus”.

Zatrzymaliśmy się na jednym z licznych stanowisk przy hangarze SLB, a kilka minut później wyszliśmy na główny pokład lotniczy, na którym utrzymywano odpowiednią atmosferę i ciśnienie. Kiedy wysiadłem na solidnie wytartą podłogę, poczułem nieco dezorientujące *déjà vu*. Niewiele ponad trzy lata wcześniej grupa żołnierzy PK wypadła z desantowca i zarekwirowała stacjonujące tutaj okręty, a moja wtedy jeszcze dziewczyna przywaliła mi w twarz. Pobraliśmy się na „Regulusie” zaledwie kilka godzin później, gdy okręt nasienny zbliżał się do Ziemi i wszyscy przygotowaliśmy się do ostatecznej obrony. Były to zdecydowanie koszmarniejsze czasy, ponieważ nie dysponowaliśmy wtedy bronią przeciwko jednostkom Dryblasów, ale nigdy nie czułem się bardziej żywy niż wówczas.

Pokład lotniczy szkoły nie zmienił się zbyt wiele od tamtych chwil. Wciąż stało na nim mnóstwo desantowców oraz samolotów szturmowych każdego pozostającego obecnie w służbie typu, a także paru, jakich nie widziałem we Flocie od lat. Jednak to nie Osy czy Ważki przykuły moje spojrzenie. Na środku hangaru znajdowały się cztery dziwnie wyglądające okręty desantowe, podłączone do pomp paliwowych i urządzeń diagnostycznych. Dostrzegalem, że stanowią zmienioną formę projektu Ważki, podobnie jak modele SR, których używaliśmy do likwidacji obcych na Marsie. Te jednak wydawały się w jakiś sposób cięższe, z wybrzuszeniami i kopułami dodanymi tam, gdzie inne Ważki miały gładkie płyty. Skrzydła były grubsze i masywniejsze, z wieżyczek dziobowych nie wystawały

zwyczajowe obrotowe działka automatyczne, a na całym kadłubie dostrzegałem charakterystyczne wypukłości sensorów optycznych.

Jednak to nie dodane elementy stanowiły najbardziej uderzającą część nowej wersji desantowca, lecz lakier, dzięki któremu okręty wydawały się naprawdę dziwne: odcień pomarańcza tak jaskrawy, że niemal odblaskowy. I zupełnie jakby ktoś uznał, że taki kolor może nie wystarczyć, by wyróżnić nowe Ważki, postanowił dodać na kadłubie podświetlane pasy. Miałem wrażenie, że projektanci przeczytali podręcznik poświęcony metodom maskowania jednostek, a następnie zrobili wszystko wbrew niemu. Meszki, którymi lataliśmy trzy lata wcześniej na Arkadii, były mniejsze, zwinniejsze i trudniejsze do wykrycia niż Ważki. A te okręty stanowiły ewolucję w zupełnie odwrotnym kierunku: większe, masywniejsze, na oko o połowę cięższe.

OTI w mojej kieszeni zawibrował. Wyjąłem go i przeczytałem wiadomość.

*Gdzie jesteś?*

*Na pokładzie lotniczym w SLB.*

*Też jestem w bazie. Nie ruszaj się stamtąd. Przyjdę po ciebie.*



Nie spodziewałem się zobaczyć Halley ponownie tak szybko i uśmiechnąłem się po jej odpowiedzi. Wiedziałem, że też wybierała się na Lunę, a istniała ograniczona liczba sposobów pozwalających opuścić księżyc, mieliśmy więc trzydzieści procent szans na to, że wyruszymy na nowe przydziały z jednej lokacji. Sądziłem jednak, że już dawno była w drodze na swój okręt i ucieszyłem się, że wciąż tu jest, ponieważ znacząco wzrastało prawdopodobieństwo, że jednak znowu przydzielą nas na tę samą jednostkę. W polu „Stanowisko” w moich rozkazach

nadal widniał kod numeryczny zamiast nazwy okrętu, co stanowiło standardową procedurę w przypadku misji o choćby najniższej klauzuli tajności. Zostałem, gdzie byłem, dwadzieścia metrów od promu, który zaczęto już serwisować przed powrotem na Węzłową, i dalej przyglądałem się tym dziwnym desantowcom. Na ogonach nie miały nazw ani oznaczeń eskadry. Cały klucz wyglądał, jakby opuścił taśmę montażową w fabryce jeszcze tego ranka. Miałem silne podejrzenia, że te okręty i ja zmierzaliśmy do tego samego celu.

Halley pojawiła się kilka minut później na końcu sali. Miała na sobie strój pilota, a pod pachą trzymała hełm. Obserwowałem, jak idzie przez pokład pewnym krokiem, świetnie się czując w tym środowisku. Uwielbiała kombinezony lotnicze, uwielbiała stać przy gotowym do walki okręcie, i choć miałem za sobą rok szkolenia rekrutów, odniosłem wrażenie, jakbym dopiero teraz zaczynał uświadamiać sobie, jakim czyścem musiało być dla niej sterczenie w salach lekcyjnych i symulatorach, zamiast na linii frontu.

– Myślałem, że zaczęłaś już fuchę pierwszego oficera – powiedziałem na powitanie, gdy do mnie dotarła.

– Bo zaczęłam. Latam tam i z powrotem, wożąc nowy sprzęt na okręt.

– Jaki okręt?

– Zobaczysz – odparła z uśmiechem.

Wskazała głową nowe desantowce, którym przyglądałem się od kilku minut.

– Co myślisz o tych maleństwach?

– Nie wiem, co o nich myśleć. Nigdy nie widziałem tego typu.

– To Ważki-O. Transportujemy dwie eskadry z pokładu na pokład. To ostatni klucz. W sumie trzydzieści dwie.

– Z pokładu na pokład – powtórzyłem. – Czyli znowu jesteśmy na lotniskowcu.

– Zobaczysz – powiedziała ponownie. – Cierpliwości, kapitanie

Grayson. Nie mogę zdradzać tajemnic operacyjnych.

– No daj spokój. Przecież nie trzymali tych okrętów w jakimś szczególnym sekrecie.

– Mówię tylko, żebyś nie wierzył zanedo plotkom. – Skinęła głową ku pomarańczowym desantowcom. – Chcesz się przelecieć?

– Czym, do ciężkiej cholery, jest Ważka-O? A może to też zastrzeżone?

Halley ruszyła w stronę grupki okrętów, a ja poszedłem za nią.

– O jak „odblaskowa”. Być może zauważyłeś wyrazisty lakier.

– Taa. Na polu bitwy będzie się wyróżniać jak neon.

– W tym rzecz, Andrew. Są nawet zewnętrzne pasy świetlne. Dzięki temu widać je w najwyższym możliwym stopniu przez, dajmy na to, optykę o wysokiej ogniskowej z orbity.

– To mi wygląda na świetny sposób na popełnienie samobójstwa z użyciem nieprzyjacielskiego ognia.

– To zależy, z kim walczysz – rzekła.

Z bliska Ważki-O wydawały się jeszcze bardziej imponujące. Brakowało im eleganckich kątów Meszek, ale dzięki dodatkowej masie, kojarzącej się z czołgiem, promieniowały aurą niezniszczalności. Oczywiście wiedziałem z doświadczenia, że żaden okręt desantowy nie jest niezniszczalny, ale te wyglądały, jakby mogły przetrwać naprawdę solidne cięgi i dalej lecieć.

– Kto jest przydzielony do Pięc Zero Pięc, sierżancie? – Halley spytała szefa załogi, który doglądał tankowania i przygotowań do startu.

– Porucznik Fisher, pani major.

– Sama zaprowadzę pięćsetpiątkę do stajni. Powiedźcie porucznikowi Fisherowi, żeby zajął drugi fotel w pięćsetsiódemce u porucznika Leacha.

– Potrzebuje pani kogoś na drugiego pilota?

– Nie – odparła Halley. – Pozwolę tam usiąść kapitanowi Graysonowi. – Wskazała mnie kciukiem.

Szef załogi przyjrzał mi się z pewnym sceptycyzmem i mniej więcej wiedziałem, co sobie myślał. Byłem w mundurze kamuflażowym Floty, nie w kombinezonie lotniczym, a zamiast skrzydełek pilota nosiłem odznakę za desanty bojowe. Wprawdzie Halley nie do końca łamała regulamin, dając mi lecieć ze sobą w kokpicie, zamiast w ładowni, ale nieco go naciągała. Sierżant uznał jednak zapewne, że jest o kilka stopni zaszeregowania za nisko, żeby kwestionować decyzje pierwszego oficera, ponieważ jedynie wzruszył ramionami.

– Tankowanie zajmie jeszcze trzy minuty i trzeba doładować dwie palety towaru, pani major. Myślę, że da się podnieść płozy za pięć minut, jeśli dostaniemy wcześniej zezwolenie z wieży kontrolnej. Nie powinno być problemów.

– Bardzo dobrze – odparła Halley. – Zobaczmy, czy da się znaleźć jakieś wiadro na głowę pana kapitana.

– Chyba się nasiedziałeś z przodu więcej niż jakikolwiek wojak z Floty – skomentowała Halley, gdy zapięliśmy uprząż. Znalazłem przyłącza danych i tlenu, po czym wpiąłem do nich hełm.

– To dopiero... Moment, trzeci raz, kiedy jestem z tobą w kokpicie?

– Chyba się zgadza. Zobaczmy... Willoughby, później Ziemia trzy lata temu...

– W dzień naszego ślubu.

– O tak. – Uśmiechnęła się, przerzucając ekrany i wykonując czynności przedstartowe. – Ale jeśli nie jest to lot transportowy albo specjalna wycieczka dla VIP-a, musisz posiadać odpowiednie kwalifikacje, żeby siedzieć w tym fotelu. Technicznie rzecz biorąc, szef załogi powinien usunąć ten dźwąg, który masz przed sobą, zanim wystartujemy.

– Chyba go do tego nie zmusisz?



– Nie. Tylko nic nie dotykaj.

– To nie moje kompetencje – powiedziałem, przypominając sobie loty desantowcami, które musiałem odbyć w obozie przygotowawczym w symulatorze. Każdy jeden spaliłem przy wejściu w atmosferę. Kiedy Halley nimi steruje, mam wrażenie, jakby posługiwała się jakąś magią, której mój mózg nie jest w stanie zrozumieć. Gdy próbowałem skoordynować ruchy okrętu w trzech wymiarach, czułem się, jakbym starał się utrzymać natłuszczoną piłeczkę na środku półmiska, biegnąc jednocześnie po schodach.

Zamknęła się tylna rampa towarowa. Przez pancerną gródź za naszymi plecami nie słyszałem świstu hydrauliki, widziałem jednak obraz na środkowej konsoli. Gdy kłapa się zasunęła, ktoś zaczął mówić do Halley w słuchawkach coś, co do mnie nie docierało. Nadała w odpowiedzi potwierdzenie i przełączyła kanał.

– Wieża, tu Ważka Pięć Zero Pięć. Proszę o zgodę na kołowanie na aktywne i na odlot.

– Ważka Pięć Zero Pięć, tu wieża. Kołowanie na stanowisko Jeden Sześć ścieżką Alfa Charlie. Zatrzymaj się na stanowisku i skontaktuj z wieżą, żeby otrzymać zgodę na automatyczny start.

– Kołuję na stanowisko Jeden Sześć ścieżką Alfa Charlie i czekam na automatyczny start – odpowiedziała Halley ze swobodną rutyną kogoś, kto przez takie wymiany komunikatów przeszedł już tysiące razy.

– Wciąż mi nie powiedziałaś, dokąd zabierasz to coś.

– Żeby ci popsuć frajdę? Nie ma mowy. Siedź spokojnie i ciesz się lotem, Andrew.



Kilka minut później wystartowaliśmy sprzed hangaru SLB. Choć zwykle wpinałem się w pokładowe matryce sensorów, gdy

leciałem z tyłu, znacznie ciekawiej było siedzieć na przedzie i obserwować scenerię przez okna kokpitu. Wlatywaliśmy nad rozłożysty kompleks bazy. Luna była tłoczonym miejscem i Halley odbyła kilka rozmów z kontrolą lotów, która kierowała ją na ścieżki wznoszenia i ostrzegała ją o innych pojazdach w sąsiedztwie. Potem skierowaliśmy się ku księżycowemu horyzontowi, który zawsze wydawał się leżeć w zasięgu ręki. Ponad krzywizną powierzchni Luny wyglądała niebiesko-szara półkula Ziemi, jak zwykle zasnuta skłębionymi chmurami. Zamiast jednak lecieć w tamtym kierunku, Halley skręciła na lewo i zaczęła wchodzić na niską orbitę.

– Zastanawiam się, czy to byłoby dobre schronienie dla ludzi, gdyby Dryblasom udało się zdobyć przyczółek na Ziemi – powiedziała.

– Co, Luna? To zaledwie trzysta tysięcy kilometrów. Okręt nasienny może pokonać taką odległość w niecałą godzinę.

– Tak, ale nie ma tu atmosfery. Nie da się przeprowadzić terraformowania. Raczej nie chcą miejsc, które nie zostały już dla nich wstępnie przygotowane. Mogą wpompować do atmosfery dwutlenek węgla, żeby ją przekształcić, ale nie uda im się to, jeśli glob jest jej pozbawiony.

Rozważyłem słowa Halley i wzruszyłem ramionami.

– Pewnie masz rację. To jednak nie oznacza, że tolerowaliby ludzką siedzibę w zasięgu wzroku ze swojej nowej zdobyczy. Zapewne zdmuchnęliby nas z Luny, bo tak. Chciałabyś, żeby ktoś ciągle zaglądał ci przez płot?

– W mordę, nie. Z tych istot nie byłoby dobrych sąsiadów. Wyobraź tylko sobie.

Popatrzyłem na Ziemię, a przynajmniej na jej połówkę widoczną nad księżycowym horyzontem, i rzeczywiście próbowałem to sobie wyobrazić. Wizualizowałem sobie planetę rojącą się od Dryblasów: puste miasta, ludzka populacja w większości zlikwidowana i tylko dziesięć tysięcy nas tkwiących

na Lunie, z pierwszego rzędu obserwujących eksterminację naszego gatunku. Obcy nie mogliby desantować osadników ani zrzucić zasobników z gazem nerwowym, ale na dłuższą metę nie miałyby to znaczenia. Wystarczyłoby, żeby zaparkowali kilka okrętów naziemnych na księżycowej orbicie i zestrzelili wszystko, co próbowałoby startować lub lądować. Bez zapasów z Ziemi czy jakiegokolwiek innej kolonii wszyscy na Lunie zginęliby w ciągu roku, najwyżej dwóch. W zasadzie wolałbym umrzeć na Ziemi, niż obserwować koniec cywilizacji i jednocześnie powoli dusić się z braku tlenu.

– To się nie zakończy, dopóki nas nie zlikwidują albo my nie wybijemy ich wszystkich – rzekłem.

– Nie sprzeciwiam się jakoś szczególnie drugiej z tych możliwości – odparła Halley. – Nie zostawiają nam zbytniego wyboru. Żyj i pozwól żyć innym to raczej nie ich zasada.

– Owszem. Ale nasza też nie. Nie na tym etapie. Trochę zbyt wiele między nami zaszło.

Zostawiliśmy za sterburtą Ziemię i podejście do Węzłowej. Halley wciąż leciała po niskiej orbicie wokółksiężycowej, mijając SLB i Bazę Floty Armstrong, aż znaleźliśmy się nad mniej wykorzystywaną częścią Luny, na granicy pożądaných księżycowych nieruchomości obróconych ku planecie. Tak daleko bywałem wyłącznie w promach pozbawionych okien lub w ładowniach desantowców i pierwszy raz widziałem tę okolicę z dogodnego punktu obserwacyjnego.

– Tam – oznajmiła Halley chwilę po tym, jak przeszliśmy na niewidoczną z Ziemi stronę księżyca.

– Czy to Dedalus?

– Zgadza się. Instalacje widać dopiero, gdy przeleci się nad krawędzią krateru. Ma trzy kilometry wysokości.

Nazwą Dedalus określało się zarówno stukilometrowej średnicy krater położony w środku drugiej strony księżyca, jak i radioteleskop, który skonstruowaliśmy tam pięćdziesiąt lat

wcześniej. Miejsce to, osłonięte przed dobiegającymi z Ziemi falami radiowymi, świetnie nadawało się do ustawienia wielkich elektronicznych uszu skierowanych w stronę przeciwną niż nasza planeta. Przez lata kompleks został rozbudowany o matrycę służącą obserwacji optycznej oraz o rozmaite laboratoria naukowe, lecz ponieważ nie był bazą wojskową, nie mieliśmy tam żadnych interesów i tylko nieliczni wojskowi kiedykolwiek pojawiali się tam osobiście. Nie zbliżyliśmy się na tyle do krateru, żebym mógł zobaczyć całą placówkę, ale dostrzegłem szczyt radioteleskopu.

– Nie mogę lecieć nad Dedalusem – poinformowała Halley. – Wkurzają się, gdy zaśmiecamy ich ciche niebo rozmowami radiowymi. Poza tym to nie tam zmierzamy.

Podniosła wzrok lekko nad sterburtę i wskazała.

– Tam.

Podążyłem spojrzeniem za jej palcem i gwizdnąłem cicho.

– Co to jest, do jasnej kurwy?

– Za pierwszym razem tak samo zareagowałem.

Na księżycowym niebie, kilkaset kilometrów od Dedalusa, w czerni przestrzeni wisiała na orbicie geostacjonarnej stacja. Z naszej pozycji trudno było oceniać jej skalę, ale była większa niż Węłowa, a na pewno mniej toporna. Miała kształt dwóch liter E połączonych dłuższymi bokami i wydawała się na swój sposób elegancka. Już dwukrotnie widziałem podobne struktury: pierwszą położoną w dalekiej przestrzeni stoczną reneatów, gdzie zbudowano „Agincourt” i „Archangielsk”, oraz drugą nad Arkadią. W takim miejscu można było konstruować wielkie okręty i jednostki przycumowane do rozgałęzień zdecydowanie spełniały ten warunek.

– A to ci niespodzianka – mruknąłem.

Wszystkie obecne tu okręty należały do tego samego typu, z którym nigdy dotąd się nie zetknąłem, nawet w formie plotek czy schematów. Kadłuby nieco przypominały kształtem

„Archangielsk”, ale znacznie przewyższały go wielkością. Podczas gdy pancerniki wyglądały jak wydłużone żółwie skorupy, te nowe okręty miały długie, łagodne sylwetki pełne delikatnych krzywizn, węższe niż chińsko-rosyjskie kolosy.

– Kontrola lotów „Ottawa”, tu Ważka Pięć Zero Pięć. Jestem osiemdziesiąt kilometrów na zachód, podchodzę z kierunku dwieście sześćdziesiąt, wysokość dziewięć tysięcy metrów. Proszę o wektory podejścia i zgodę na lądowanie – nadała Halley.

– Ważka Pięć Zero Pięć, tu „Ottawa”. Przejdź na kierunek sto osiemdziesiąt i zwiększ wysokość do piętnastu tysięcy dla ASL.

– Tu Ważka Pięć Zero Pięć, przechodzę na sto osiemdziesiąt i wspinam się na piętnaście tysięcy dla ASL – potwierdziła Halley, obracając dziób okrętu w prawo.

– Od jak dawna o tym wiesz? – spytałem, nie spuszczać wzroku z instalacji, do której się zbliżaliśmy.

– Od dwóch dni. Cała druga strona Luny już od lat jest strefą zastrzeżoną, więc wiedziałam, że coś się tu kręci. Zmienili nawet główną ścieżkę podejścia do Węzłowej i Niepodległości, żeby odsunąć stamtąd ruch. Wszystko po to, żeby zachować tajemnicę.

Umieszczona po niewidocznej stronie stocznia była zabezpieczona przed bezpośrednią obserwacją, ponieważ nigdy nie wchodziła w zasięg wzroku z Ziemi, a sama Luna blokowała wszystkie sygnały radiowe, których nie przekazywano przez satelity komunikacyjne na orbicie księżycowej. Było to doskonale miejsce, żeby tak blisko planety konstruować w sekrecie okręty.

Gdy się zbliżyliśmy, dostrzegłem z odpowiedniej perspektywy rozmiar nowych jednostek. Stacja miała długie rozgałęzienia cumownicze, ale jedynie połowa każdego okrętu mieściła się w doku. Już z daleka wydawały się wielkie, ale dopiero gdy podeszliśmy do jednego z nich od rufy, stało się jasne, że wykraczają rozmiarami poza moje wcześniejsze szacunki. Bywałem na wielu dużych jednostkach, w tym na superlotniskowcach Floty, ale przy tych olbrzymach nawet typ

Nawigator wydawał się drobny. Nie były od niego szersze – sądziłem, że musiano dostosować je do maksymalnej szerokości doku – ale na pewno znacznie dłuższe, przynajmniej dwa razy tyle co Nawigatory.

Gdy tylko weszliśmy w wiązkę ASL, automatycznego systemu lądowania, Halley pozwoliła komputerowi przejąć stery. Znaleźliśmy się poniżej pokładu i podeszliśmy do okrętu od spodu, gdzie dostrzegłem całe rzędy standardowych gniazd dokujących. Miałem wrażenie, jakby jednostka ciągnęła się w nieskończoność. Gdybym miał oceniać, uznałbym, że ma ponad kilometr. Płyty pancerza pomalowano jaskrawą tytanową bielą, a oznaczenia naniesiono pomarańczem i czernią. Wszystkie pozostałe jednostki we Flocie miały na sobie jakąś formę lakieru maskującego, matowoszarego albo czarnego, żeby wtapiać się w przestrzeń i mniej rzucać w oczy. Ktokolwiek zaprojektował tę jednostkę i jej siostry, najwyraźniej miał kamuflaż w bardzo głębokim poważaniu. Wyglądały jak okręty kosmiczne z programu sieciowizyjnego, jak coś, co mógłby wyobrazić sobie cywil, całe lśniące i opływowe. Ich kształty kojarzyły mi się nieco z jednostkami Dryblasów.

– Jak nazwali ten typ? – spytałam Halley.

– Mściciel – odpowiedziała z teatralnym dramatyzmem.

– Dość bojowo. A może pójść od razu na całość? Terminator.

Likwidator.

– Niszczycionator – podjęła z uśmiechem.

– Może być Niszczycionator.

– Myślę, że od teraz tak właśnie będę je określać w myślach.

Po kolei wskazała dłonią spody innych jednostek.

– To „Meksyk”, „Pekin”, „Waszyngton”, „Nowe Delhi”. I...

– „Moskwa” – dokończyłem za nią. – Wszystkie stolice państw założycielskich ZCR i WPA. Słodko. Istna Organizacja Narodów Zjednoczonych.

– Oj, nawet nie masz pojęcia – rzekła Halley. – Zdecydowanie

ONZ. Myślę, że niemal jedna czwarta załogi jest z Eurokorpusu. Słyszałam, że sfinansowali większość tego wszystkiego, więc ich ludzie mogą załapać się na pokład i nauczyć walki międzygwiazdnej. Poza tym dwa kolejne Mściciele są konstruowane dla Eurosów.

Jęknąłem cicho.

– Chyba sobie żartujesz. Najnowocześniejsze okręty bojowe obsadzone stażystami. Zagranicznymi stażystami z innych armii.

– Wszyscy szefowie działów są doświadczeni – odparła. – I trzy czwarte załogi to Flota. Eurosi jakoś muszą się nauczyć latania. I tak szczerze, to przecież żadna różnica. Podobnie byłoby z żółtodziobami zaraz po szkole technicznej Floty. – Zachichotała cicho.

Komputer obsługiwał pędniki manewrowe desantowca, dopasowując nas do klamry dokującej. Zwolniliśmy, po czym zatrzymaliśmy się dokładnie pod pomarańczowo-czarnym obrysem gniazda, pilotowani z precyzją silikonowego mózgu.

– No i zaczekaj, aż zobaczysz nowe mundury. Na pewno ci się spodobają.

## Rozdział 7

# Ten zapach nowego okrętu

**W** dwudziestym pierwszym wieku, zanim jeszcze zrobiło się nas tak wiele, by zaczęto wtłaczać ludzi do DZK, mieszkańcy przedmieść czasami wybierali się na statki pełnomorskie na wakacje. Z tego, co o nich czytałem, były one w zasadzie pływającymi strefami rekreacyjnymi dla cywilów. Nie trzeba było udawać się nimi w żadne konkretne miejsce, po prostu spędzało się tydzień albo dwa na pokładzie, jedząc, pijąc i psując mózg rozrywkami. Ot, luksusowy wypoczynek bez głębszego celu.

OWPA „Ottawa” wyglądała tak, jak wyobrażałem sobie te statki wycieczkowe. Wszystko było nieskazitelne i lśniące, a ktokolwiek projektował wnętrze, zwracał uwagę na więcej niż tylko wojskową wydajność. Nie przywykłem do akcentów estetycznych ani czystości na okręcie bojowym, gdy więc szedłem korytarzami mojej nowej jednostki, czułem się nieco surrealistycznie. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak słabo oświetlona jest większość Floty, dopóki nie stanąłem na „Ottawie”. Wszystkie przejścia i pomieszczenia, które mijalem, były iluminowane pasami świetlnymi ukrytymi w podłodze i stropie. Całość przypominała plan zdjęciowy z serialu sieciowizyjnego, a nie prawdziwy okręt.

Halley bywała tu już od dwóch dni, poszła więc do Krainy Pilotów, gdziekolwiek się ona znajdowała na tej luksusowej łajbie. Ja natomiast zgłosiłem się do biura personalnego przy mesie oficerskiej, żeby przydzielono mi kajutę.



– Kapitan Grayson – oznajmiłem pełniącemu tam służbę sierżantowi i podałem mu OTI, żeby zeskanował moje rozkazy. – Jestem nowym szefem zespołu do operacji specjalnych.

– Tak jest, sir. Sekundkę.

Podoficer przeszedł przez kilka ekranów na swoim terminalu. Personel Floty na tej jednostce nosił mundury, których jeszcze wcześniej nie widziałem. Były to tuniki w kolorze morskiej zieleni z niską stójką. W moim standardowym uniformie roboczym oznaki stopnia znajdowały się na materiałowych naszywkach przełożonych przez naramienniki. Tutaj umieszczano je na dość obszernych epoletach z pajęczej nici, poniżej małych naszywek z flagą WPA. Na lewej piersi sierżanta widziałem odznakę specjalizacji, na prawej zaś plaketkę z nazwiskiem. Podobnie jak wszystko inne, także ten strój wyglądał niczym rekwizyt z programu o statkach kosmicznych.

– Mam pański przydział, sir – oznajmił podoficer, nieświadomy mojego zaciekawienia jego mundurem. – Jest pan w Pięc Sto Pięćdziesiąt Pięc Mike.

– Czy to pojedyncza kwatera w dżungli MO? – zapytałem, mając na myśli niepopularne wspólne kajuty młodszych oficerów, gdzie trzy lub więcej osób tłoczyło się razem w jednym pomieszczeniu. W związku z moją specjalizacją miałem dotąd niesamowite szczęście przy odbiorze miejsc zakwaterowania, ale każda dobra passa musi się kiedyś skończyć.

– To pojedyncza kwatera, sir. Jak wszystkie pokoje oficerskie na tym okręcie.

– Żartujecie sobie.

– Nie, sir. To naprawdę duża jednostka. – Ściszył nieco głos. – Mamy tu bieżnię dla chętnych, jeśli pan uwierzy. Niemal kilometr długości. Biegnie przez połowę pokładu Oskar i robi pętlę wokół silosów rakiet atomowych.

– Bieżnię – powtórzyłem z uśmiechem.

– Tak szczerze, to przebywam tu już od dwóch miesięcy,

a ciągle nie wiem, gdzie wszystko jest. Czy mam wezwać przewodnika z działu obsługi, żeby oprowadził pana, gdy już pan złoży sprzęt?

– Dziękuję wam, sierżancie, ale chyba znajdę drogę dzięki wskazówkom z OTI. W końcu wszystko sprowadza się do liczenia numerów wręg i pokładów, prawda?

– Tak jest, sir. Chociaż muszę pana ostrzec. Jest tu mnóstwo wręg i pokładów.

---

Wspiąłem się na piąty pokład i przeszedłem do wręgi numer 150 korytarzami, które były zdecydowanie zbyt dobrze oświetlone, zbyt czyste i zbyt wyraźnie oznaczone. Większość widzianych przeze mnie ludzi z Floty nosiła morskie mundury. W niemal każdej sekcji okrętu widziałem też cywilnych stoczniovców. Nigdy nie przebywałem jeszcze na jednostce, którą dopiero co oddano do użytku, i choć miło było wiedzieć, że „Ottawa” nie jest zużyta ani zniszczona przez wroga, wiedziałem również, że to nowy typ okrętu, jeszcze niesprawdzony w boju.

Moja kajuta, przedział 5 we wrędze 150, otwierała się za pośrednictwem zamka biometrycznego. Wciągnąłem worek do środka i światło uruchomiło się automatycznie, ukazując niewielkie, lecz dobrze wyposażone wnętrze, jakim na mniejszych jednostkach, na których służyłem, nie pogardziłby admirał. Miałem tam koję, szafkę i biurczko z terminalem sieci neuronowej, a pomiędzy nimi dość miejsca, żeby robić pompki albo przeglądać sprzęt tak, by o nic nie uderzać. Nie było aż tak luksusowo, jak w moim przedziale dowódcy plutonu na „Portsmouth” trzy lata wcześniej, gdzie dysponowałem własną łazienką z prysznicem, ale tak cieszyłem się z nieprzerwanego mieszkalnego szczęścia, że konieczność chodzenia do wspólnych pomieszczeń sanitarnych na końcu korytarza wydawała się

niewielką bolączką.

Rzuciłem worek na koję, żeby go rozpakować. W szafce obok znajdowały się już rzeczy: trzy komplety nowych mundurów, schludnie umieszczone na wieszakach w pionowej części. Wyciągnąłem jeden, żeby mu się przyjrzeć. Na epoletach miał dystynkcje kapitana, a na plakietce widniało „GRAYSON A.”.

Za plecami usłyszałem ćwierknięcie terminalu. Odwiesiłem uniform i odblokowałem urządzenie. Nie wiedziałem, na jakim oprogramowaniu działała ta sieć, ale wyglądało na znacznie bardziej zaawansowane niż systemy zarządzania informacjami, do którego przywykłem we Flocie. Na szczęście ekran początkowy miał taki sam układ jak wcześniejsze rozwiązania, nie musiałem się więc kontaktować z administratorem tylko po to, żeby móc sprawdzić rozkazy i odczytać wiadomości. Ponieważ nasze dane były pobierane z MilNetu, wszystko znajdowało się w identycznym stanie, jak wtedy, gdy ostatni raz zerkałem do OTI, tylko że na znacznie większym monitorze.

Zobaczyłem kilka oznaczonych kolorami aktualizacji. Zielonym wyróżnione ogólne sprawy dotyczące okrętu. Nie widziałem żadnych „pilnych” czerwonych, ale u szczytu kolejki widniała żółta wiadomość „ważne”. Otworzyłem ją.

DO: WSZYSTKICH OFICERÓW PRZYDZIELONYCH NA BCV-60

OD: PIERWSZY OFICER BCV-60

DOT.: CODZIENNA ODPRAWA OPERACYJNA

WSZYSCY NOWO PRZYBYLI OFICEROWIE PRZYDZIELENI NA BCV-60 MAJĄ ZGŁASZAĆ SIĘ CODZIENNIE DO SALI ODPRAW 7-100-7-Q O 11:00 UTC NA OBOWIĄZKOWĄ ODPRAWĘ WPROWADZAJĄCĄ I OPERACYJNĄ PROWADZONĄ PRZEZ PIERWSZEGO OFICERA LUB OSOBY WYZNACZONE.

Sprawdziłem czas systemowy. Była 10:23 UTC. Ponieważ musiałem przemieścić się o dwa pokłady w górę i o pięćdziesiąt wręg na jednostce, której nie znałem, uznałem, że lepiej przyjść za wcześnie, i odłożyłem rozmieszczenie zawartości worka w szafce na czas po odprawie.



Dotarłem dziesięć minut przed czasem, ale nie byłem w sali pierwszy. Kilku oficerów Floty i PK siedziało już na krzesłach. Wszedłem i skinąłem im głową – żaden nie przewyższał mnie stopniem – i spocząłem w pierwszym rzędzie obok podporucznika z Floty. Miał kasztanowy beret kosmicznych ratowników, zatem należał do mojego zespołu. Pozostali rozmawiali ze sobą ściszymi głosami.

– Andrew Grayson – przedstawiłem się ratownikowi. – Jestem dowódcą zespołu do spraw taktyk specjalnych. A przynajmniej będę.

– Jordan Brown – odpowiedział i ścisnął moją dłoń. – Zatem będę pańskim zastępcą. Jestem OEB.

OEB oznaczało oficera do spraw ewakuacji bojowej, człowieka dowodzącego kosmicznymi ratownikami. W drużynach do zadań specjalnych zwykle umieszczano równą liczbę kontrolerów walki i kosmicznych ratowników, przy czym oficer operacyjny dowodził całością, a ten od ewakuacji służył jako jego asystent. Zerknąłem na mundur podporucznika Browna, z takim samym standardowym wzorem kamuflażu jak mój, szukając oznak jego kompetencji. Nosił brązową odznakę za desanty bojowe, co oznaczało, że wykonał więcej niż pięć, lecz mniej niż dwadzieścia zrzutów. Nie miałem obok siebie zupełnego żółtodzioba, ale nie można go było nazwać szczególnie doświadczonym. Problem w tym, że nie zostało zbyt wielu kapsli weteranów.

– Od jak dawna jest pan w KR? – spytałem.

– Zacząłem tuż przed Marsem. Skończyłem szkołę skoczków akurat, żeby załapać się na wielkie przedstawienie.

– Tak? Do której strefy lądowania pan trafił?

– Do SL Pomarańczowej – odrzekł. Był to z mojej strony swoisty test, a Brown zaliczył go, gdy ujrzałem, jak przez jego twarz przemyka cień. Skrzywiłem się z sympatią. Na Plażę Pomarańczową poszło potężne uderzenie Dryblasów, a Grupa Zadaniowa Pomarańczowa poniosła wtedy jedne z największych strat.

– Zostały wysłane siły pancerne, żeby zaatakować obcych z Pomarańczowej od tyłu – powiedziałem. – Wchodziłem w skład misji zwiadowczej dla kompanii pancerniej. Nie skończyło się to zbyt dobrze.

– Ale te siły ocaliły naszą SL – odparł podporucznik. – Gdybyście nie dotarli na czas, Dryblasy zupełnie by nas pochłonęli, tak jak to zrobili z Zieloną.

Kapitan SEAL z rzędu za nami wychylił się nad siedzeniem przed sobą i wyciągnął rękę.

– Jeśli jest pan nowym OO, to będziemy razem pracować. Jestem dowódcą plutonu SEAL. Tom Rolson.

Uścisnęliśmy sobie nawzajem dłonie. Twarz kapitana Rolsona z czymś mi się kojarzyła, choć nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie widziałem go po raz ostatni. Społeczność kapsli była niewielka, więc zapewne przynajmniej brałem udział w desancie z każdym pozostającym w służbie SEAL, który został zwervowany dawniej niż przed czterema laty. Moim wrażeniom towarzyszyła jednak lekka ostrożność, a gdy w końcu sobie przypomniałem, poczułem nieprzyjemny wstrząs.

– Uczestniczył pan w misji na Arkadii – powiedziałem. – W drużynie SEAL majora Masouda.

Kapitan skinął głową.

– Byłem wtedy podporucznikiem – rzekł. – Dowodziłem jednym z dwóch zespołów ogniowych.

Staralem się zachować neutralną minę. Ludzie Masouda trzymali się w swoim towarzystwie przez całą operację, zarówno przed desantem na powierzchnię Arkadii, jak i później, nic więc dziwnego, że nie rozpoznałem Rolsona od razu. Powtarzałem sobie, że to nie w porządku przenosić moje odczucia względem pułkownika na szefa jednego z jego zespołów. Zresztą gdyby SEAL nie podłożyli w sekrecie ładunków nuklearnych pod połowę terraformerów na tamtym księżycu, przegralibyśmy bitwę i zawalilibyśmy misję. Część mnie nadal jednak chciała walnąć kapitana w twarz i zrzucić go z krzesła.

To było trzy lata temu, powiedziałem sobie. Trzy lata i sto pięćdziesiąt lat świetlnych temu. Wciąż pamiętałem nazwisko każdego żołnierza z mojego plutonu, który wtedy zginął. Ponad tydzień nosiłem ze sobą ich nieśmiertelniki, oprócz tego należącego do kaprala Morrisa, który dostał pociskiem z działka w korpus i od pasa w górę nic z niego nie zostało. Jednak to nie Rolson obmyślił całą operację i wykorzystał plutony PK w charakterze przynęty.

Przez właz prowadzący do sali odpraw przeszedł oficer sztabowy. Podporucznik Brown podniósł się i kazał obecnym stanąć na baczność. Wszyscy obróciliśmy się do wejścia.

– Spocznij – oznajmił nowo przybyły. Był podpułkownikiem z Floty i miał na sobie morski uniform, podczas gdy wszyscy pozostali nosili kamuflażowe stroje Floty lub PK. – Proszę zająć miejsca.

Znów usiedliśmy i w sali rozległy się spodziewane szmery, gdy obecni wyciągali swoje OTI. Podpułkownik wyjął własny tablet i postawił go na mównicy. Stuknął kilka razy w urządzenie, uruchamiając duży ekran na znajdującej się za jego plecami grodzi. Pojawiła się na nim pieczęć okrętu i jego motto:

BCV-60 „OTTAWA” – NAPRZÓD – EN AVANT

– Witajcie na „Ottawie”. Jestem podpułkownik Barry, pierwszy oficer tej jednostki.

Znów użył OTI i na ekranie z tyłu pojawił się trójwymiarowy wizerunek okrętu. Zupełnie nie znałem się na projektowaniu pojazdów gwiazdnych, ale nawet ja byłem w stanie stwierdzić, że „Ottawa” i siostrzane jednostki stanowiły wielki krok naprzód w swojej dziedzinie. Przy jej smukłym, opływowym kadłubie i rozmiarach wszystkie inne zasoby Floty wydawały się przestarzałe.

– Wejdziecie w skład pierwszej załogi najnowocześniejszego okrętu bojowego w dziejach – ciągnął Barry. – Będziecie korzystać ze sprzętu, którego nikt we Flocie jeszcze nie widział, ponieważ aż do tej pory nie istniał. Zanim jednak zacznę opisywać typ Mściciel śrubka po śrubce, mam do przekazania kilka zarządzeń administracyjnych.

Pociągnął za dół swojej morskozielonej tuniki, żeby ją rozprostować, choć na materiale nie było widać nawet jednej zmarszczki.

– Jeśli należycie do Floty, każdemu z was wyfasowano kilka zestawów nowego uniformu bojowego, skrojonych na wasze wymiary. Czekają w waszych szafkach. Gdy rozłożycie już swoje rzeczy i zadomowicie się, przebierzcie się w obowiązujący mundur.

Popatrzyłem na kamuflaż mojego standardowego do tej pory stroju, noszonego od lat. Każdy rodzaj wojsk miał własny wzór, który nawet z odległości pozwalał stwierdzać, skąd wywodzi się konkretny żołnierz. Nowe mundury miały jednolitą barwę i podobnie różniły się od poprzednich, jak „Ottawa” od starszych okrętów. W kwestii nowej technologii od dawna staliśmy w miejscu, nie licząc narzędzi bojowych: karabinów, pancerników, rakiet Orion. Konieczność rozwoju broni sprawiała, że nigdy nie było pieniędzy na inne wyposażenie, walczyliśmy więc w tych samych strojach już od przynajmniej

dekady. Zastanawiałem się, na jakie skarby natknęła się Flota, skoro zdecydowała się przeprowadzić tak radykalną zmianę.

– Jeśli macie przy sobie osobistą broń krótką, zaraz po odprawie skierujcie się do zbrojowni na tym samym poziomie, co pokład lotniczy. Oddacie tam uzbrojenie, które w razie potrzeby zostanie wam na nowo wydane w celach bojowych. Na okręcie może ją nosić wyłącznie upoważniony personel bezpieczeństwa.

Po tych słowach rozległy się ciche pomruki niezadowolenia. Przyzwyczaiałem się do ciężaru M-109 w kaburze na prawym udzie. Pistolet towarzyszył mi nieustannie na służbie oraz na przepustce. Nieraz stawiałem czoła zagrożeniom, uzbrojony wyłącznie w niego, i choć jego użyteczność przeciwko Dryblasom pozostawiała wiele do życzenia, zawsze pozwalał mi odczuwać nieco wyższy poziom kontroli nad własnym losem.

Kapitan Rolson podniósł dłoń i odchrząknął.

– A jeśli będziemy musieli opuścić okręt, sir?

– W kapsułach ewakuacyjnych „Ottawy” znajdują się szafki z bronią krótką i amunicją w razie nagłych wypadków – poinformował pierwszy oficer. – Są wyposażone w elektroniczne blokady, które nie otworzą się, dopóki komputer nie wykryje, że kapsuła została wystrzelona.

Pomruki ucichły jedynie nieznacznie. Podpułkownik pokręcił głową, marszcząc brwi.

– Rozumiem, że przywykliście do noszenia broni cały czas przy sobie. Miało to sens, gdy wciąż toczyliśmy wojnę z ZCR i mogliśmy spodziewać się działań abordażowych. Teraz jednak jesteśmy wyposażeni do walki z Dryblasami, a okręt ma międzynarodową załogę. Niektórzy ludzie z Eurokorpusu nie mają takich samych doświadczeń z bronią krótką, jakie my zyskaliśmy przez lata. Jest to niepodważalna zasada bezpieczeństwa narzucona przez górę i zamierzam ją stanowczo egzekwować, lepiej więc nie dajcie mi powodu, żebym musiał zająć się wami osobiście. Po zakończeniu tej odprawy macie



zgłosić się do zbrojowni na pokładzie lotniczym i zdać uzbrojenie. Nikomu oprócz personelu bezpieczeństwa na służbie nie wolno nosić na okręcie naładowanej broni. Jest to rozkaz dowódcy, a nie kwestia do dyskusji.

Pierwszy oficer przeniósł wzrok z powrotem na swój OTI. Ekran za nim zmienił się na obracający się schemat „Ottawy” z istotnymi elementami ukazanymi w przekroju.

– Wiem, że nikt z was nie zna takiej jednostki, ponieważ nikt nie był jeszcze na jej pokładzie. Lotniskowiec bojowy typu Mściciel jest wspólnym projektem WPA, Unii Europejskiej oraz ZCR. Udostępniliśmy Europejczykom nasze dane na temat „Agincourt” i „Archangielska”, a oni wymyślili coś takiego. Wyporność pół miliona ton przy grawitacji jeden g, mieści tyle sprzętu latającego co superlotniskowiec typu Nawigator i dysponuje przeciwokrętową siłą ognia większą niż u „Archiego” albo „Aggiego”.

– Pół miliona ton – powtórzył obok mnie podporucznik Brown, a ja gwizdnąłem cicho. Gdy „Archie” i „Aggie” zostały zbudowane niemal cztery lata wcześniej, stanowiły zdecydowanie największe jednostki we Flocie, a jednak okręt, na którym znajdowaliśmy się teraz, miał w sobie więcej laminowanej stali niż te dwa pancerniki razem wzięte.

– Mamy na pokładzie wzmocnione skrzydło lotnicze – ciągnął podpułkownik. – Cztery eskadry uderzeniowe, dwie eskadry szturmowo-transportowe, eskadra rozpoznania i eskadra wsparcia. W sumie sto dziesięć pojazdów. Obsada bojowa to pełen pułk PK. Przewozimy także sześćdziesiąt cztery rakiety nuklearne Hades-C i sześć Orionów.

– Przepraszam, sir – wtrącił się ktoś z tyłu. – Czy każdy z Orionów nie waży dziesięć tysięcy ton?

– Nie te nowe – odparł pierwszy oficer. Przełączył ekran na jedną z wyrzutni umieszczonych na brzusznej stronie „Ottawy”.

– To Oriony III. Ta sama zasada, ale jedna czwarta wagi, czyli

dwa i pół tysiąca ton. Oczywiście krótszy zasięg i mniejsza moc, ale dzięki temu możemy zabrać po trzy w każdej wyrzutni. Jajogłowi artylerzyści mówią, że wystarczą, żeby rozszczepić kadłub okrętu nasiennego, a później możemy zastosować precyzyjne atomówki i rozwalić gnojów od środka. – Przerwał i uśmiechnął się bez cienia wesołości. – Oczywiście dysponujemy też porządnym planem B.

Obrócił diagram, żebyśmy zobaczyli całą spodnią część jednostki: silniki z tyłu, kłamry dokujące dla desantowców pośrodku, kilka baterii dział elektromagnetycznych zamocowanych na pojedynczych wieżyczkach oraz długie opancerzone wybrzuszenie sięgające od połowy kadłuba aż do dziobu. Gdy podpułkownik przekręcił znów obraz, dostrzegliśmy dwie lufy wystające spod dziobu, umieszczone w odległości jakichś dwudziestu metrów od osi podłużnej. Widziałem coś podobnego pod „Agincourt” i „Archangielskiem”, tyle że tamte pancerniki miały po jednym dziale cząsteczkowym, podczas gdy nasz okręt posiadał je dwa, na dodatek wyglądające na znacznie większe.

– Oto plan B – ciągnął Barry. – Oriony są odpowiednikiem strzelnicy, a to służy do walki na noże. Dwukrotnie dłuższy zasięg niż stare modele i wydajność energetyczna zwiększona o dwadzieścia procent. A ponieważ mamy je dwa, jednocześnie dwukrotnie wzrasta szybkostrzelność. Każde działo jest wyposażone we własny reaktor, możemy więc strzelać z gniazda Alfa, gdy Beta się ładuje, i na odwrót.

Przypomniałem sobie kłopotliwe działo cząsteczkowe z „Agincourt”, które ostatecznie przyczyniło się do utraty przez nas okrętu podczas bitwy ponad Marsiem. Wyglądało na to, że decydenci odebrali nauczkę w kwestii poboru mocy przez tę broń. Okręt musiał mieć naprawdę potężny zespół reaktorów fuzyjnych, skoro dwa z nich skierowano wyłącznie do obsługi dział.

– Wiem, że większość z was jest weteranami z Marsa. Niektórzy brali też udział w bitwie o Ziemię. Nie trzeba wam mówić, jakie to uczucie, gdy okręt nasienny jest w zasięgu uzbrojenia. Jednak czasy uciekania przed nimi dobiegły końca. Nie czuję najłżejszego nawet strachu, że „Ottawa” mogłaby wystąpić przeciwko jednostce obcych. Mamy kadłub pokryty płytami odpornymi na ich broń i odpowiednią siłę ognia, by ich niszczyć. Powstrzymaliśmy postępy Dryblasów, a teraz nadeszła poza, żeby ich odepchnąć.

Już setki razy wcześniej słyszałem takie motywacyjne brednie, zwykle tuż przed misją, podczas której wszystko szło błyskawicznie w pizdu, ale gdy pierwszy oficer kontynuował opis możliwości i funkcji okrętów typu Mściciel, nieco wbrew sobie byłem pod wrażeniem. Eurosi wysupłali niezłe pieniądze, żeby pomóc w konstrukcji tych sześciu jednostek, dzięki czemu od dziobu do rufy naszpikowano je niesamowitą technologią. Wiedziałem jednak również, że Eurokorpus miał niewielkie doświadczenie w walce pozaziemskiej. Nie posiadali kolonii poza Układem Słonecznym, zatem dopiero niedawno starli się w boju z Dryblasami. Dobrze było myśleć, że dysponujemy narzędziami pozwalającymi występować na równych warunkach przeciwko obcym, ale gdy rozglądałem się po sali odpraw, gdzie niektóre z krzeseł wciąż spowijała plastikowa folia, oraz po grodzi, wyglądającej jakby pomalowano ją zaledwie wczoraj, aż nazbyt wyraźnie czułem, że wyruszę do bitwy na eksperymencie ważącym pół miliona ton. Jeśli niemal dziesięć lat służby czegoś mnie nauczyło, to tego, że pole walki nie jest najlepszym środowiskiem do testowania, czy nowy sprzęt dobrze się sprawuje.



Po zakończeniu odprawy niechętnie wykonałem rozkaz i udałem

się do zbrojowni na pokładzie lotniczym, żeby zdać pistolet i dwa zapasowe magazynki, które nosiłem przy sobie od lat. Gdy wracałem do kajuty, dziwnie było nie czuć znajomego ciężaru M-109. To niezwykle, jak ważący niewiele ponad pół kilograma przedmiot z polimerów i stali może stać się częścią ciebie. Po kilku minutach bez broni już za nią tęskniłem, nawet jeśli dawniej czasami mi przeszkadzała, zawadzając o krzesła i framugi włazów.

Dokończyłem rozpakowywanie rzeczy. Na spodzie miałem małą skrytkę z zamkiem biometrycznym, podobną do tej, którą przed laty oddałem na przechowanie chorążemu Kopce. Otworzyłem ją odciskiem palca. W środku znajdował się stary pistolet, wydawany amerykańskiemu poprzednikowi Korpusu Obronnego WPA. Był to M-17, wykorzystujący przestarzałą już amunicję. Polimerowy korpus był wytarty i zużyty, a pierwotny blask zamka i lufy zmatowiał od fosforanowej czerni do jasnej szarości. Broń była mniej więcej półtora razy cięższa niż obecne regulaminowe pistolety i bezużyteczna przeciwko pancierzom bojowym, wiedziałem jednak z doświadczenia zdobytego podczas osiemnastu miesięcy służby w Brygadach Lazarus, że gdy strzeli się z niej do człowieka, ten skwapliwie przewróci się i umrze. Otrzymałem pistolet jako prezent pożegnalny, gdy osiemnaście miesięcy wcześniej opuściłem Brygady, i nie zamierzałem oddawać broni do zbrojowni, żeby ją przetopili.

Skrytka mieściła akurat M-17, dwa magazynki i pudełko z pięćdziesięcioma nieprodukowanymi już nabojami kalibru dziewięć milimetrów. Zamknąłem ją i blokada uruchomiła się z lekkim stuknięciem.

Tak naprawdę to nie jest niesubordynacja, powtarzałem sobie, chowając skrzynkę w miejscu na cenne przedmioty w swojej szafce. Przecież przekazałem regulaminową broń zgodnie z rozkazem i nie planowałem nosić otwarcie starego pistoletu. Absolutnie nie zamierzałem jednak iść do walki na

niesprawdzonym okręcie i z niesprawdzoną załogą bez łatwego dostępu do broni. Gdy rozbrzmi alarm, kiedy trzeba będzie zająć stanowiska bojowe i wszyscy dookoła stracą głowę, będzie już za późno, żeby ustawiać się w kolejce do zbrojowni.

## Rozdział 8

# Nieprzyjemne spotkanie

Cztery dni po tym, jak zgłosiłem się na „Ottawę”, okręt opuścił kotwiczowisko i udał się w dziewiczy rejs do Bazy Floty Tytan, czyli ponad miliard kilometrów i sześć tygodni drogi. Regularnie obserwowałem Ziemię na ekranie terminalu w swojej kajucie, ale widok w większości zasłaniała mi Luna. Zauważyłem, że odchodziliśmy pod takim kątem, żeby trzymać księżyc między nami i planetą, aż stała się ona jedynie zamgloną zielono-szarą kropką w oddali.

„Ottawa” w takim stopniu różniła się od innych jednostek, na których służyłem, że czułem się niemal jak żółtodziób na pierwszym przydziale. Okręt był tak wielki, że miał sześć mes oficerskich rozrzuconych po długim na kilometr kadłubie i jego dwudziestu kilku pokładach. Nie chodziło tylko o to, że wszystko było nowe i działało, jak powinno. Części wspólne miały tyle przestrzeni, że miałem wrażenie, jakbym znajdował się w budynku na powierzchni planety. Na jednostkach Floty miejsce było zawsze cenne, więc ta cała przestronność wydawała się dekadenska i nieco rozrzutna, choć skłamałbym, twierdząc, że mi się nie podoba.

Moim stanowiskiem pracy był gabinet OO w części przeznaczonej dla wojsk specjalnych na poziomie dowódczym i w promieniu dwudziestu metrów miałem stołówki dla oficerów i podoficerów. Jeśli jednak mogłem, kierowałem się do mesy na poziomie, na którym znajdował się pokład lotniczy, gdzie posiłki spożywali piloci i oficerowie od kontroli lotów. Panowała tam

mniej formalna atmosfera niż w stołówce dla dowództwa, ponieważ piloci zachodzili tam w swoich kombinezonach, zamiast przebierać się w obowiązujący mundur tylko po to, żeby coś zjeść. Co więcej, to zwykle tam jadała Halley, a na szczęście mieliśmy pewną swobodę w kwestii synchronizacji naszych posiłków.

– Jak ci się podoba nasze małe przebranie? – Halley spytała pomiędzy dwoma kęsami sałatki. W stołówce na pokładzie lotniczym jedzenie podawano w formie bufetowej i od naszych pierwszych dni w wojsku nie widziałem podobnej różnorodności świeżych warzyw, owoców oraz prawdziwego mięsa.

Popatrzyłem na niebieskozielony strój, który miałem na sobie.

– Szczerze? Całkiem wygodne. I nie da się go pognieść. Mimo to nie sądzę, żeby wyglądało szczególnie wojskowo.

– Tak, bardziej jak dres do ćwiczeń. Obsługa pokładu lotniczego mówi na nie „turkusik”.

– Nowe uniformy. Brak broni krótkiej. Świeżutki okręt, którego schemat wszyscy muszą przeglądać na OTI, żeby się gdzieś dostać. A skoro mowa o OTI, kazali ci już go wymienić?

– Jeszcze nie miałam czasu.

Sięgnąłem do kieszeni spodni i wyciągnąłem tablet, po czym położyłem go na stole między nami. Halley podniosła go i obróciła w dłoni. Stare modele konstruowano pod kątem wytrzymałości, z grubymi obudowami ze wstrząsoodpornego polimeru, ten zaś wyglądał, jakby mógł się złamać, gdybym tylko przypadkowo upuścił go na podłogę. Był to przezroczysty kawałek jakiegoś superzjonizowanego, niezwykle odpornego szkła otoczonego wąską metalową ramką.

– Waży tyle co nic – uznała Halley. – Widelec jest od niego cięższy.

– Za dużo nowych gratów na raz. Przywykłem do poprzednich rzeczy. Przynajmniej potrafiłem wszystko obsługiwać, nie zastanawiając się nad tym. Teraz nie umiem wykonać nawet najprostszycch czynności bez zagłędania do instrukcji. Spieprzyło mi to płynność pracy.

– Co ty nie powiesz – odparła Halley. – Działam na siódmym typie desantowca w ciągu kilku lat. Ty się przynajmniej nie zabijesz, wciskając coś źle w OTI.

– Też prawda – przyznałem.

– Poza tym nie wszystkie zmiany są złe. Słyszałeś już o alkoholu?

– Jakim alkoholu? – spytałem. Na okrętach Floty obowiązywał zakaz picia za wyjątkiem szczególnych okazji. Gdy rejs przekraczał sześć tygodni i stawał się oficjalną dyslokacją w dalekiej przestrzeni, członkom załogi przysługiwały dwie butelki piwa, jednak to tyle w kwestii spożycia procentów po odcumowaniu.

– W strefach rekreacyjnych są bary. Mamy prawo do jednego drinka dziennie. Skanują ci nieśmiertelnik, żeby pilnować, czy nie podchodzisz drugi raz. I nic nie dostaniesz, jeśli w ciągu sześciu godzin rozpoczynasz wachtę. Ale tak. Jeden prawdziwy drink dziennie. I to nawet nie to sojowe gównno z bąbelkami.

– Dlaczego mówisz mi to dopiero teraz? Przegapiłem już cztery kolejki.

– Dzisiaj dowiedziałam się od jednego z szefów załóg. Byłam zbyt zajęta, żeby zagłędac wcześniej do strefy.

– Prawdziwe trunki na okręcie Floty. To drastyczna zmiana, ale chyba mogę z nią żyć.

– Podobno to z powodu obecności Eurosov na pokładzie. Najwyraźniej mają takie przepisy na swoich okrętach i my je przyjęliśmy. Żeby zadowolić sojuszników.

– Nasi ludzie też będą zadowoleni – uznałem. – I zbuntują się, gdy wrócą na zwykłą łajbę WPA z prohibicją.



Mesa oficerska nie wyglądała równie przytulnie jak restauracja chorążego Kopki, ale i tak dalece odstawała od innych jednostek Floty. Wzdłuż ścian znajdowały się boksy, a na środku pomieszczenia stoliki i krzesła, rozstawione tak, żeby można było łatwo przechodzić między nimi. Mniej więcej połowę miejsc zajmowali oficerowie jedzący lunch. Większość z nich miała na sobie kombinezony lotnicze, ale zdarzali się też tacy w turkusowych uniformach. Gdy się rozglądałem, widziałem głównie naszywki WPA, ale również kilka europejskich: niemiecką, szwedzką, brytyjską i francuską.

– Masz jakichś pilotów z Eurokorpusu w eskadrze?

– Nie jako dowódców okrętów – odparła Halley. – Nikt z nich nie ma uprawnień do latania naszymi ptaszkami. Ale w kontroli lotów jest trzech europejskich obserwatorów.

Moja żona zachowywała się inaczej, odkąd znaleźliśmy się na „Ottawie”. Nie miałem zbyt wielu okazji, żeby ją widzieć – przebywała w Krainie Pilotów, moje stanowisko robocze leżało niemal na drugim krańcu jednostki, a Flota nie zezwalała na wspólne kwatery małżeńskie na okręcie. Jeśli jednak udawało nam się razem jeść, była w dobrym humorze: pewna siebie, wesoła i zadowolona. Nigdy nie zdawałem sobie w pełni sprawy, jak bardzo męczyła ją przez lata praca szkoleniowca. Gdy obserwowałem Halley w swoim żywiole i wiedziałem, że znów znaleźliśmy się w jednym miejscu, również czułem się lepiej, choć zazwyczaj dzieliło nas pięćset metrów i setki tysięcy ton aluminiowych oraz tytanowych grodzi.

Podniosłem do ust kolejną porcję purée ziemniaczanego i spojrzałem ponad ramieniem Halley na osoby wchodzące do mesy. Dobry nastrój opuścił mnie w jednej chwili. Jeden z przybyłych pilotów wyglądał nieprzyjemnie znajomo. Nie widziałem jego twarzy od trzech lat i miałem nadzieję, że nigdy już jej nie ujrzę, za wyjątkiem wiadomości z MilNetu na temat długich wyroków odsiadki w Leavenworth.

– To chyba jakieś żarty – powiedziałem, odkładając widelec.

Halley obróciła się za moim spojrzeniem i wymruczała pod nosem przekleństwo.

Nie musiałem czytać naszywki człowieka podchodzącego właśnie do bufetu po tacę, by wiedzieć, że widniało na niej nazwisko „BEALS”. Wchodził wcześniej w skład renegackiej floty, która zbiegła na Arkadię. Znałem go, ponieważ siedział ze sterami Dzierzby, która niemal strąciła Meszkę wraz z całym moim plutonem w środku. Dopiero interwencja Halley uratowała w ostatniej chwili mnie oraz trzydziścioro sześcioro żołnierzy przed zamianą w dymiący krater na powierzchni tamtego księżyca. Moja żona go wtedy zestrzeliła, ale katapultował się i został naszym więźniem. Do tej pory sądzę, że chyba nie zdawał sobie sprawy, iż tylko jakieś pół sekundy i nieco mocniejszy nacisk na spust dzieliły go od rozwalenia mózgu. Gdy teraz widziałem go w kolejce, ładującego na tacę jedzenie, żałowałem, że nie powstrzymałem Fallon przed wykonaniem mojego rozkazu.

– Skurwysyn – powiedziałem. – Miałem nadzieję, że ten gnojek łupie gdzieś skały.

– Amnestia – odrzekła Halley. – Podziękuj naszej prezydent.

Po operacji na Arkadii nowy rząd WPA ogłosił amnestię generalną dla niemal wszystkich wojskowych, którzy weszli w skład floty renegatów. Nie mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby przed Marsem stracić tak wielu wyszkolonych specjalistów. Poza tym sądziłem, że nie chciano dać kilku tysiącom weteranów powodu do silnej urazy. Na salę sądową trafiła jedynie dawna administracja, cywilni przywódcy, którzy wydawali rozkazy, i wszyscy poszli do więzienia za zdradę stanu. Jednak takim ludziom, jak ten pilot Dzierzby, uszło wszystko na sucho, choć ich działania zakończyły się śmiercią wiernych żołnierzy WPA. Moich żołnierzy.

Pchnąłem tacę na środek stołu i wstałem z krzesła.

– Zaraz wracam – powiedziałem do Halley. – Idę po deser.

– Andrew – odrzekła, ale puściłem mimo uszu ostrzegawczą nutę w jej głosie. Obszedłem stolik i ruszyłem w stronę kolejki przy bufecie.

Kapitan Beals dostrzegł mnie kątem oka, ale nawet nie zdążył się do mnie obrócić. Zamachem od dołu wytrąciłem mu z ręki tacę, która podskoczyła, odbiła się od kontuaru i upadła z brzękiem na podłogę, wśród rozsypanych ziemniaków i kawałków smażonego kurczaka. Oficer wzdrygnął się i odruchowo cofnął o krok.

– No cześć – rzuciłem. – Pamiętasz mnie?

Wyraz twarzy Bealsa w ciągu kilku sekund przeszedł od zaskoczenia, poprzez złość, do ostrożności. Wszędzie w miesie ucichły rozmowy.

– Owszem – odparł. – Pamiętam. – Stracił z kombinezonu kilka kawałków purée. – Porucznik z psychopatyczną chorąży.

– Cieszę się, że pamiętasz. Bo ja pamiętam worki z ciałami, które przywieźliśmy do domu. Dzięki tobie i twoim kumplom.

W oczach kapitana błysnął gniew, zacisnęły się mięśnie jego szczęk.

– To wy zaczęliście strzelaninę. Na tym lotnisku, na które napadliście. My też wypełniliśmy sporo worków. Nie udawaj takiego cnotliwego.

– Tyle że my działaliśmy zgodnie z prawem. Wy dopuściliście się zdrady. I my tylko popsuliśmy wasze Dzierzby. To wasz patrol zaczął zabijać ludzi. Pierwsza ofiara poległa z waszej winy.

– To było trzy pieprzone lata temu – odrzekł Beals. – Wydarzyły się paskudne rzeczy. Ludzie zginęli. Po obu stronach. Robiliśmy to, co nam kazano. Chcesz teraz wszczynać o to bójkę? To przeszłość, kapitanie. Później ramię w ramię wykrywaliśmy się na Marsie.

Pochylił się i podniósł tacę. Musiałem powstrzymać się, by nie wbić mu kolana w bok głowy, a później tłuc go tą tacą, aż

przestanie się ruszać. Wówczas jednak zamieszkałbym w areszcie i spędził dziesięć albo więcej lat w Leavenworth, co byłoby dalece dotkliwszą karą niż to, co ten tak skory do wypełniania rozkazów pilocik dostał za zabójstwo żołnierzy WPA. Poza tym amnestia oznaczała, że wszyscy graliśmy teraz w tej samej drużynie, rozgrzeszeni z ewentualnych okropieństw, jakie sobie nawzajem wyrządziliśmy.

– Kapitanie Grayson – powiedziała za moimi plecami Halley. Nie zauważyłem, jak opuściła stolik i podeszła. – Niech pan nieco przygasi silniki i się odsunie. To rozkaz.

Popatrzyłem na nią i odetchnąłem głęboko.

– Tak jest, pani major – odparłem, po czym cofnąłem się na kilka kroków od kontuaru, a Halley stanęła w opróżnionym przeze mnie miejscu.

Beals wziął nowy talerz, ignorując bałagan, jaki właśnie zrobiłem z jego poprzedniej porcji. Popatrzył na mnie i pokręcił głową z nieznacznym uśmiechem, który znów podniósł mi ciśnienie.

– Pan również, kapitanie – powiedziała do niego Halley. – Proszę zabrać swoją tacę i znaleźć sobie jakiś cichy kąt. I jeśli jeszcze kiedyś zobaczy pan mnie lub kapitana Graysona w mesie, sugeruję, żeby usiadł pan jak najdalej od nas.

– Z całym szacunkiem, ale nie może mi pani mówić, gdzie mam siadać w mesie oficerskiej, pani major – oznajmił Beals. – Jest pani pierwszym oficerem drugiej eskadry desantowców, a nie całego okrętu.

Halley podeszła tak blisko niego, że stali niemal nos w nos.

– Trzy lata temu, gdy próbowałeś zestrzelić mojego męża i jego pluton, usiadłam ci na dupie i zdmuchnęłam cię z nieba. Niemal uczyniłeś mnie wdową. Niemal zabiłeś trzydziestu sześciu piechociarzy. Gównu mnie zatem obchodzi stołówkowa etykieta, jeśli chodzi o ciebie. Gównu mnie obchodzi, czy polecisz z płaczem do pierwszego oficera. Jeśli zobaczysz mnie w zasięgu

splunięcia, lepiej ominię szerokim łukiem. A teraz spieprzaj.

Beals popatrzył na Halley, a później na mnie. Zapewne uświadomił sobie, że nie wygrałby w konfrontacji fizycznej – moja żona sama zdołałaby umieścić go w izbie chorych, a ja miałem na tyle zepsuty humor, że z moją pomocą wylądowałby na oddziale intensywnej terapii – a poza tym Halley była majorem na stanowisku dowódczym. Moja konfrontacja z kapitanem stanowiła wyraźne naruszenie przepisów, ale obaj wiedzieliśmy, że protokół nie powstrzymałby mnie przed złamaniem mu nosa. Wziął swoją tacę, odwrócił się i przeszedł na drugą stronę mesy, nie spoglądając już na nas. Pozostali obecni stopniowo wznowili rozmowy.

Halley przeciągle wypuściła powietrze, po czym popatrzyła na mnie.

– Proszę za mną, kapitanie – powiedziała, wskazując włącz wyjściowy.

W korytarzu obróciła się i zmierzyła mnie gniewnym wzrokiem.

– Musi pan nauczyć się nieco lepiej nad sobą panować, kapitanie – oznajmiła, mocno podkreślając mój stopień. – Wiesz dobrze, że nie uroniłabym nawet łzy, gdyby Fallon zastrzeliła na Arkadii tego służalczego dupka. Jednak reszta korpusu oficerskiego nie ma pojęcia, co się tam wydarzyło między nami. Nie wolno ci napadać fizycznie innego oficera. Nie na widoku wszystkich, nie w mesie.

– Nie napadłem na niego. Wytrąciłem mu tylko tacę z rąk.

– Dwie sekundy dzieliły cię od złapania za kolejną i wbicia mu jej w czaszkę.

– I to krawędzią – powiedziałem. – Pamiętasz ten dzień na Arkadii? Mieszka Trzy rozwalona w drobiazgi? Porucznik Wood i szef załogi martwi, a z nimi trzech naszych ludzi?

– To nie sprawa Bealsa.

– Ale jednego z jego kumpli z eskadry. I on sam też wykonałby ostrzał w przelocie. – Uderzyłem pięścią w pobliską gródź.

– Wszystko to było pomyłką – uznała Halley. – Ta amnestia. Trzeba było wykopać ich wszystkich. A teraz połowa Floty żywi urazę do drugiej połowy.

Popatrzyła mi prosto w oczy i pokręciła powoli głową.

– Ale ty musisz na siebie uważać. Cokolwiek się stało, gdy byłeś w Brygadach, cokolwiek skróciło ci lont i wyciągnęło bezpiecznik z ust oraz pięści, wciąż jesteś oficerem Floty. Nie możesz wszczynać pieprzonej knajpianej bijatyki w mesie oficerskiej. To do ciebie niepodobne, Andrew.

– Wiem, wiem. – Wypuściłem gwałtownie powietrze i rozluźniłem dłonie. – Tylko że gdy go tam zobaczyłem w kombinezonie i w ogóle, biorącego jedzenie... Nawet go nie zdegradowali. Moi ludzie będą musieli polegać na jego wsparciu lotniczym, jeśli dojdzie do walki.

– Był O Trzy, gdy natknęliśmy się na niego na Arkadii – powiedziała Halley. – I wciąż jest O Trzy. Nigdy nie zostanie majorem. Nie muszę ci mówić, że renegaci zostali zepchnięci na samo dno listy awansów. A jeśli spieprzy robotę, wówczas straci skrzydełka i przez resztę służby będzie liczyć podkładki do śrub.

– Jeśli spieprzy robotę, pociski z działka strącą ludziom głowy – odparłem.

– A jeśli tak się stanie, to sama oprę but o łopatki Bealsa, żeby go przytrzymać w miejscu, gdy będziesz mu strzelał w tył głowy. I razem pójdziemy do Leavenworth. Jednak na razie musimy pozwolić gnojowi wykonywać jego pracę.

Zerknęła na właz do mesy.

– Od Arkadii ma na plecach wypalone wielkie piętno – rzekła. – I nie awansował. To dla niego na razie wystarczająca kara.

Wróciłem myślami do Arkadii, do chłodnego poranka na trawiastej równinie tego pięknego księżyca, gdzie Meszka Trzy,

rozdarta dziesiątkami pocisków, płonęła tak silnie, że nie byliśmy w stanie wyciągnąć ze środka ciał pilota oraz szefa załogi. Pamiętałem zakrwawione zielone worki na ciała, do których włożyliśmy zwłoki ludzi z trzeciego plutonu poległych podczas tego samego przelotu. Dwie sekundy nacisku na spuście Dzierzby i pięć żywotów zgasło. Porucznik Wood, pilot Meszki Trzy, pośmiertnie odznaczony Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym i awansowany na kapitana, nie osiągnie już nigdy wyższego stopnia. Ten został wyryty laserem w małej tabliczce ze stali nierdzewnej, przytwierdzonej do miejsca jego pochówku.

– W tym rzecz – oznajmiłem. – To żadna kara. Tylko zamrożony numer w aktach osobowych.

Halley znów spojrzała na właz mesy. Dwóch wychodzących właśnie poruczników zerknęło na nas z ciekawością, zanim ruszyli dalej korytarzem.

– Wcześniej czy później dostanie za swoje – rzekła. – W taki czy inny sposób. Przeznaczenie jest skrupulatne.

## Rozdział 9

# Omawianie problemów

**N**ajgorszy stres w wojsku to nie ten, który czuje się podczas walki. Wówczas wszystko dzieje się tak gwałtownie, że nie ma nawet minuty, żeby zastanawiać się nad problemami albo analizować odczucia. Zwykle po prostu się reaguje. Nie chodzi również o czas po bitwie, kiedy to liże się rany i podlicza straty. Najgorszy stres to taki, który gromadzi się miesiącami i latami służby, to drobne bzdury, które miażdżą cię powoli, lecz miarowo, aż pewnego dnia odkrywasz, że nie potrafisz już zasnąć bez połknięcia pigułek albo wypicia paru drinków. Jednak na każdym okręcie Floty znajdował się lekarz, który wydawał leki, i terapeuta zajmujący się problemami umysłu. Zwykle mogłem się zwierzać Halley, ale rozwikłanie niektórych rzeczy dziejących się w mojej głowie lepiej było zostawić komuś bezstronnemu. Tak więc w dniu, w którym niemal rozbiłem kapitanowi Bealsowi głowę tacą z mesy i zostałem za to ochrzaniony przez żonę, wyruszyłem na poszukiwania psychoterapeuty w medycznej części „Ottawy”. Nie przejmowałem się już tym, że mógłbym wkurzyć dowództwo, jednak wizyta u specjalisty od czubków stanowiła pomysł Halley, która bardzo na nią nalegała, a moja żona była oprócz matki jedyną osobą, której nie chciałem niepotrzebnie denerwować.

Psycholog z korpusu medycznego wyglądała na zbyt młodą, żeby znajdować się w wojsku, nie mówiąc już o ukończeniu uczelni. Miała kasztanowe włosy przycięte na wysokości brody. Gdybym spotkał ją na ulicy w Liberty Falls, wziąłbym za



studentkę, jednak na ścianie gabinetu wisiał dyplom potwierdzający stopień doktorski, a na epoletach mundury floty widniały insygnia podporucznika. Na naszywce przeczytałem nazwisko „SAULTS M.”.

– Muszę przyznać, że nie do końca jest pani tym, kogo spodziewałem się tutaj spotkać – powiedziałem jej.

– Jak to, kapitanie? – Uśmiechnęła się do mnie, pokazując proste zęby mieszkanki przedmieść.

– Cóż, większość psychologów Floty ma za sobą dwadzieścia lat służby, jest wypalona i nie może się doczekać wypłaty, żeby przejść na emeryturę.

– Martwi się pan o moje doświadczenie. Często się z tym stykam.

Pokręciłem głową.

– Żaden terapeuta i tak nie ma doświadczenia bojowego. Wszyscy próbujecie naprawić rzeczy, których sami nie widzieliście.

Odchyliła się na krześle i popatrzyła na mnie z lekkim uśmiechem.

– Zatem co pan tu robi, kapitanie Grayson? Dlaczego poprosił pan o wizytę?

– Ponieważ to pomaga – odparłem. – Omawianie problemów. Czasami.

– To niezwykle podejście – skomentowała doktor Saults. – Przynajmniej u kapsla.

– Jak to? – powtórzyłem jej wcześniejsze pytanie.

– Im bardziej samcza i bojowa jest specjalizacja, tym mniej lubicie mówić o tym, co was dręczy. Jakby to była oznaka słabości. Jakby to było coś, z czym powinniście sami sobie poradzić.

– Też kiedyś tak myślałem. Jeszcze kilka lat temu.

– Co pana skłoniło do zmiany zdania?

– Ożeniłem się – odrzekłem, a ona się uśmiechnęła. – I miałem

parę kiepskich chwil – ciągnąłem. – Nie w małżeństwie. Z desantami. Zbyt wiele razy otarłem się o śmierć i to naprawdę paskudnie. A później misja poszła nie tak i straciłem sporo ludzi, których miałem pod komendą. Mogłem jednak porozmawiać o tym z żoną. I pomogło. Ale ona też jest we Flocie i gdy jesteśmy dyslokowani, jej rada nie zawsze wystarcza. Poza tym są rzeczy, o których nie powinna wiedzieć. Którymi nie chcę jej obarczać.

– Właśnie po to są we Flocie terapeuci. – Doktor Saults wstała i podeszła do dozownika napojów w kącie jej małego gabinetu. – Życzy pan sobie kawy, kapitanie?

– Chętnie. Jeśli tylko nie jest bezkofeinowa.

– Bezkofeinowa kawa to wynaturzenie, a podawanie jej powinno być uznawane za łamanie praw człowieka – odrzekła, po czym wstawiła dwa kubki do dyspensera. Maszyna zasyczała i je napełniła. Psycholog wzięła naczynia z powrotem i umieściła jedno przede mną, po czym znów usiadła.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. A teraz porozmawiajmy o tym, co aż tak bardzo pana dręczy, że przyszedł pan do mnie, nie będąc do tego zmuszony rozkazem swojego dowódcy.

– To się tak rzadko zdarza?

– U kapsli? Oj tak. Tygodniowo spotykam się z dziesięcioma, dwudziestoma osobami. Trzy czwarte z nich to żółtodzioby na pierwszej dyslokacji, przerażeni i stęsknieni za domem. Niektórzy chcą po prostu pogadać przy kawie. Ale pan jest dopiero czwartym człowiekiem z sił specjalnych, którego widzę od roku. I pierwszym, który przyszedł dobrowolnie.

– Na tej łajbie jest kilka tysięcy ludzi i tylko trzydzieści pięć osób z sił specjalnych – powiedziałem. – Zdziwiłbym się, gdyby podczas tej misji trafił do pani ktoś inny.

– Czyli chyba będę musiała jak najlepiej wykorzystać tę wizytę – skomentowała doktor Saults, po czym upiła łyk kawy. – To o czym chce pan ze mną rozmawiać, kapitanie?

Opowiedziałem terapeutce o tym, jak niemal wbiłem tace w głowę kapitana Bealsa.

– Miałem nadzieję, że pierwszy spróbuje mnie uderzyć – podsumowałem. – Wtedy miałbym wymówkę, żeby wgnieść go w podłogę. Tak szczerze mówiąc, mimo wszystko bym to zrobił, gdyby nie powstrzymała mnie żona.

– I to pana dręczy?

– Nie – odparłem. – Jedyne, co mnie dręczyło w całym tym wydarzeniu, to reakcja mojej żony. Dzięki niej ten mały gnojek wciąż ma w ustach komplet zębów.

– Co takiego zrobił, że aż tak pan nim gardzi?

– To dłuższa opowieść.

– Będę tu cały dzień. Jeśli chce się pan nią podzielić, proszę się nie krępować.

Cofnąłem się do misji na Arkadii, żeby dać lekarce odpowiedni kontekst. Opowiedziałem o wszystkich wydarzeniach, w tym o bitwie, jaką stoczyliśmy w mieście Arkadia podczas próby pojmania byłego prezydenta, i o niespodziewanym wysadzeniu przez majora Masouda głównej elektrowni fuzyjnej za pomocą ładunku nuklearnego. Sądziłem, że trzy lata to dość czasu, żeby nie pamiętać części szczegółów, ale jednak przytoczyłem całość chwila po chwili, odkrywając, że wciąż równie łatwo mi przypominać sobie to wszystko, jakby stało się przed miesiącem. Doktor Saults słuchała mojego monologu, czasami zadając pytania wyjaśniające, a w odpowiednich miejscach fabuły przybierała stosownie zatroskane i zaniepokojone miny. Gdy skończyłem, miałem pusty kubek i terapeutka dołąła nam obojgu z dozownika.

– Właśnie dlatego nie zadreślałbym się nocami, gdyby kapitan Beals zginął albo wylądował w izbie chorych – dodałem. – Ten człowiek uciekł z renegatami. Dobrowolnie zabijał moich

towarzyszy. A gdy miał okazję, żeby to naprawić, wybrał po prostu stronę, która jego zdaniem miała większą szansę na zwycięstwo.

– Podchodzi pan do tego osobiście. Ponieważ próbował pana zabić.

– I moją żonę. Tyle że okazała się lepszym pilotem i go strąciła.

– Wspominał pan o rzeczach, których nie mówi żonie. Którymi nie chce pan jej obarczać. Czy takie rzeczy miały miejsce na Marsie?

– Mars to był burdel – odrzekłem. – Wszyscy przeszli tam przez tę samą wyżymaczkę. A przynajmniej wszyscy, którzy wrócili.

Wziąłem długi łyk z kubka. Była to standardowa gówniana kawa Floty i nie przepadałem za tą lurą, ale trzymając ją, mogłem czymś zająć dłonie.

– Po Marsie spędziłem półtora roku na Ziemi. W DZK, z Brygadami Lazarus. Mars był koszmarem, ale tam panował koszmar do potęgi.

Odstawiłem kubek przed siebie i spojrzałem na dyplom wiszący na ścianie za głową doktor Saults.

– Gdy tam dotarłem, byliśmy jeszcze świeżo po Marsie. Ale wciąż czułem się jak oficer Floty. Znałem swoją robotę. Spędzałem czas na szkoleniu ludzi wstępujących do Brygad. A później trafiłem do misji bojowych, bo gdy tam zaczynają fruwać w powietrzu kule, nie ma czegoś takiego jak neutralny obserwator.

– Z kim walczyliście? Myślałam, że Brygady mają już wszystko pod kontrolą.

– Owszem, mają. W miastach, nad którymi panują. I z każdym dniem powiększają teren. Ulica po ulicy. Niektóre z gangów są jednak trudnymi przypadkami i nie chcą oddać tego, co ich.

– Rozumiem. I walczył pan z gangami.

– Półtora roku – powtórzyłem. – A przez ostatnich sześć miesięcy robiłem każdego dnia rzeczy, za które we Flocie

trafiłbym pod sąd wojskowy. Zabijałem ludzi, którzy nie zasługiwali na śmierć. Pozwalałem żyć ludziom, którym zdecydowanie przydałaby się kulka między oczy. I pod koniec nie czułem się już jak oficer Floty. Szczerze mówiąc, pod koniec nie byłem już nawet pewien, czy celuję w odpowiednich ludzi.

Przyglądała się mojej twarzy, gdy mówiłem, i wiedziałem, że szuka charakterystycznych oznak behawioralnych ze swojego podręcznika psychologii: odwracania wzroku, zmiany natężenia lub tonu głosu, urywanej mowy, tego typu rzeczy. Na myśl o Brygadach i okresie spędzonym w DZK czułem jednak głównie wyczerpanie i otępienie, starannie utrzymywałem więc neutralną minę. Wiedziałem, w czym rzecz, ponieważ terapeuci z Floty przepuścili mnie już przez ten kierat, gdy wróciłem do regularnej służby, i potrafiłem stwierdzić, że szukali dowodów, iż to wszystko, co popękało mi w głowie, było nie do naprawienia.

Powinienem czuć się dziwnie, siedząc w tym gabinecie i opowiadając to wszystko komuś wyglądającemu, jakbym zrzucał na nią doświadczenia dziesięciu lat służby. Wiedziałem jednak, że to praca terapeutki, i lepiej było wypowiadać te słowa przed żywym człowiekiem, który potrafił przynajmniej udawać empatię, niż żeby kotłowały mi się w głowie albo żebym zapisywał je w pliku w OTI, gdzie nikt ich nigdy nie przeczyta.

– Co robił pan po powrocie? – spytała doktor Sauls. – Oczywiście przeszedł pan przez ocenę psychologiczną.

– Wie pani, że przeszedłem. Jest to zapewne w moich aktach. – Skinąłem głową w stronę przejrzystej ramy ekranu jej terminalu.

– I kłamałem jak z nut. Po prostu cieszyłem się, że mogę wrócić do regularnej służby. Spędziłem miesiąc w domu w Vermont, ale później wróciłem do roboty.

– Wykonał pan wiele misji bojowych. Więcej niż większość żołnierzy. Chyba więcej niż ktokolwiek, kto przyszedł do mnie przez ostatni rok.

– Służę od wielu lat. Siedem jako kapsel. Jeszcze przed Marsem

zaliczyłem ponad trzysta desantów. A później przez rok robiłem pięć lub sześć patroli nad Marsem, wypatrując Dryblasów. Prawdę mówiąc, straciłem rachubę.

Doktor Saults spojrzała na monitor i przybliżyła pole danych.

– Pięćset dwadzieścia dziewięć – oznajmiła. – A to tylko oficjalne liczby z korpusu. Bez tego, co robił pan w Brygadach.

Przez dłuższą chwilę obracałem tę informację w głowie. Ponad pół tysiąca razy brałem udział w walce dla WPA i niemal całe dorosłe życie spędziłem w wojsku. Wiele z tych misji było rutynowych, bez jednego wystrzału, z nieużytą bronią zwracaną do zbrojowni. Wiele okazało się niebezpiecznych, gdy moją drużynę wysyłano przeciwko marines z ZCR albo zgrupowaniom Dryblasów. Niektóre były tak stresujące i przerażające, że pewnie skróciły moje życie o rok. Jednak we snach najczęściej wracałem do innych, do tych najmroczniejszych i najbardziej krwawych wydarzeń, jakie mózg wyświetlał w wysokiej rozdzielczości, jeśli tylko natknąłem się na dźwięk, zapach albo widok, które mi o nich przypominały.

– Ale nas załatwili, prawda? – zapytałem.

– Co pan ma na myśli?

– Nie umiem robić nic innego. Potrafię kierować ruchem lotniczym. Zastosować i rozłożyć na części każdy jednoosobowy system uzbrojenia wykorzystywany przez korpus. Przywołać uderzenie z powietrza. Wykonać desant z orbity na jałową skałę z odległości stu tysięcy kilometrów. Ale to tyle. Wiem, jak niszczyć rzeczy i zabijać ludzi. Dryblasów też. Ale wystarczą mi dwa tygodnie przepustki i ledwo jestem w stanie funkcjonować.

– Co pan robi podczas przepustki?

– Jadę do domu w Vermont. Dużo śpię. Jeśli mam urlop w tym samym czasie, co żona, wtedy chodzimy po górach. Wie pani, wszystko to w miejscu, gdzie nie trzeba wdychać filtrowanego powietrza ani słuchać silników fuzyjnych, kiedy idzie się spać. Mogę powiedzieć pani coś dziwnego?

– Oczywiście.

– Podczas naszej pierwszej wspólnej przepustki zatrzymaliśmy się u znajomego w Vermont, na prowincji. Przez pierwsze dni miałem problemy z zasypianiem, bo było zbyt cicho. Żadnego szumu silników. Żadnych komunikatów z radiowęzła. Żadnych buciorów tupiących po podłodze.

– Mam odwrotny problem – powiedziała doktor Saults. – Muszę wkładać zatyczki do uszu i włączać alarm haptyczny na koi. Inaczej wstawałabym dwie godziny po zaśnięciu.

– Niech pani to rzuci, dopóki może – poradziłem. – Poważnie. Niech pani odsłuży okres minimalny, żeby zapłacili za studia psychologiczne, a później niech pani ucieka w cholerę. Zanim życie zacznie się dla pani toczyć na podstawie cyklu wachtowego. Zanim wbiją w panią swoje haki tak mocno, że jedyną opcją stanie się ponowny kontrakt.

– Dlaczego to brzmi tak, jakbym to ja była poddawana terapii?  
– spytała z uśmiechem doktor Saults.

– To nie terapia, tylko przyjazna rada. Płynąca z doświadczenia.

– Bardzo ją doceniam. Ale nie zamierzam ciągnąć tego wiecznie. Chcę wrócić do domu i pracować jako psycholog dziecięcy. Tak naprawdę zaciągnęłam się dla darmowego dyplomu.

– To żaden wstyd. Ja się zaciągnąłem, żeby wyrwać się z DZK. Właśnie dlatego przed Dryblasami korpus nigdy nie miał problemów z poborem. Nie brakowało szczurów na zasiłku, chcących wspiąć się wyżej.

Terapeutka miała stopień podporucznika, standardowy dla nowych lekarzy wstępujących do Floty po uczelni medycznej. Oznaczało to również mniej niż dwa lata aktywnej służby, a zatem nigdy nie przebywała na okręcie wykonującym działania bojowe przeciwko Dryblasom. I nigdy nie widziała obcego poza sieciowizją lub materiałami z MilNetu.

– Nie mam już problemów ze snem – rzekłem, żeby skierować rozmowę z powrotem na teren znajomy dla tej początkującej lekarki. – Ani we Flocie, ani na Ziemi. Prawdę mówiąc, zawsze jestem zmęczony. Mógłbym się teraz położyć i zasnąć w najwyżej dwie minuty. Ostatnio miewam jednak problemy z kontrolowaniem gniewu. Zupełnie jakbym wiecznie był na coś wkurzony i nie potrzebował dużej iskry, żeby podpalić swój lont.

– Chce pan powiedzieć, że tak się dzieje, odkąd skończył pan pracę w Brygadach?

– Tak.

– Jak pan sądzi, dlaczego tak jest? – Doktor Saults wróciła do trybu terapeutki, zapewne zadowolona, że może dalej odhaczać pozycje ze swojego skryptu przeznaczonego do oceny zdrowia psychicznego.

– Nie jestem pewien. Pracowałem w swoistej delegacji przez osiemnaście miesięcy. Miałem przy sobie dwóch oficerów Floty, ale przewyższałem ich stopniem. Najbliższa osoba, przed którą odpowiadałem, znajdowała się ponad tysiąc kilometrów ode mnie, w biurze w Norfolk. A później wróciłem i na dwie tury bez chwili przerwy wtłoczyli mnie do patroli bojowych nad Marsem. Przebywała pani kiedyś na okręcie przydzielonym do garnizonu orbitalnego, pani porucznik?

– Nie – odpowiedziała. – Spędziłam okres rezydencji w Wielkich Jeziorach, ale „Ottawa” jest moją pierwszą dyslokacją w przestrzeni.

– Oj. Nic dziwnego, że wciąż potrzebuje pani zatyczek.

Nachyliłem się do przodu, oparłem łokcie na biurku i przetarłem oczy.

– Służba w garnizonie orbitalnym to koszmar. Jeśli trafia się komuś przydział na okręt udający się na Marsa, ma więcej do roboty niż wojskowy kucharz w porze obiadu. Ośmiogodzinne patrole w paskudnej pogodzie, na dodatek nad resztkami największej kolonii, jaką mieliśmy. Po każdym patrolu



przechodzimy przez dekontaminację, ponieważ planeta jest teraz tak radioaktywna po wszystkich tych atomówkach, które w nią wpakowaliśmy, że niemal się świeci. Czasami przelatujemy na niskim pułapie nad miastem Olympus, przypominam sobie wtedy, jak wyglądało, i chce mi się wymiotować. Próbuję nie myśleć o tym, ile milionów ludzi tam zginęło. Ile zostało wykorzystanych jako źródło protein dla tych pieprzonych okrętów nasiennych, które cały czas konstruowali.

Przerwałem i wychyliłem resztkę kawy, wciąż na tyle gorącej, że nie było to przyjemne.

– I robimy to codziennie. Od miesiący. Czasami udaje nam się zabić z powietrza jednego czy dwóch Dryblasów. Czasami muszę wzywać uderzenie taktyczne albo atomowe. Żeby jeszcze bardziej rozjechać tę planetę. Powrót na lotniskowiec, dekontaminacja, odprawa, prysznic, coś do żarcia, spanie. Rano trzeba wstać i robić to wszystko od nowa. I w większości przypadków jest to jedynie wgapienie się w ekran i obijanie w latającej puszcze w najgorszych warunkach, jakie widziałem. Nudziłem się na śmierć, zaliczając godziny lotów nad napromieniowanym cmentarzyskiem.

Troska widniejąca na twarzy doktor Saults była najszczerzą, jaką widziałem u niej, odkąd rozpoczęliśmy rozmowę.

– Jeśli przechodził pan przez to dwie tury z rzędu, w stu procentach mogę zrozumieć pański stan umysłu.

Zdecydowanie wątpię, pomyślałem, ale mimo to przytaknąłem.

– Próbował pan antydepresantów? Zwykle dobrze działają na symptomy powiązane z zespołem stresu pourazowego.

– Byłem na prochach ponad rok. Od czasu tuż po bitwie o Ziemię do chwili niedługo po misji na Arkadię.

– I sądzi pan, że pomagały?

– Niektóre. Chyba głównie dlatego, że tego po nich oczekiwałem. Zażywałem je jednak zbyt często i popijałem

alkoholem. Wprawiały mnie w swoisty letarg. Zupełnie jakbym stracił całą energię emocjonalną. Nie chciałem podążać tą drogą, więc przestałem je brać.

– Jest teraz nowy lek, który działa znacznie lepiej i nie ma takich efektów ubocznych – powiedziała doktor Saults. – Chciałabym, żeby go pan wypróbował.

Obróciła się do ekranu i stuknęła w kilka pozycji.

– W mojej zawodowej opinii ma pan zespół stresu pourazowego, co często zdarza się wśród żołnierzy liniowych. – Popatrzyła znów na mnie i uśmiechnęła się krótko. – A moim nieoficjalnym zdaniem można u pana dostrzec również poważne oznaki wypalenia, co jeszcze częściej występuje u aktywnych żołnierzy służących tak długo jak pan. Wyślę pańską receptę do pokładowej apteki. Pomoże panu na krótszą metę.

Znów się uśmiechnęła, ale tym razem nieco krzywo, co wydawało się nieco nie na miejscu na jej młodej twarzy.

– Na dłuższą metę zaś powinien pan zapewne skorzystać z porady, jaką sam mi pan niedawno dał. Niech pan pomyśli nad wycofaniem się, dopóki pan może. Zanim okaże się, że potrzebuje pan leków i alkoholu, żeby w ogóle funkcjonować. Albo zanim nie posłucha pan żony i jednak wbije komuś tacę w głowę.

Udałem nieśmiały uśmiech i wstałem z krzesła. Doktor Saults wydawało się, że wie na tyle dużo o stanie mojego umysłu, żeby spróbować go naprawić, ale nie pokazałem jej jeszcze naprawdę popieprzonych obszarów głowy. Wiedziałem, że gdybym to zrobił, nie zapisała by mi leków, tylko złożyła na mnie doniesienie albo domagała się wydalenia ze służby ze względów medycznych.



Opuściłem gabinet terapeutki i przeszedłem korytarzem do

końca, a następnie zerknąłem do lśniącego, nowiutkiego OTI, żeby sprawdzić, jak dojsć do apteki. Znajdowała się na tym samym pokładzie, pięć wręg do przodu i trzy przedziały na sterburtę. Zespół wind, które mogły mnie dowieźć z powrotem do mojego biura, leżał dziewięć wręg w tył, w przeciwnym kierunku niż apteka.

Zastanawiałem się przez chwilę, po czym schowałem OTI i ruszyłem w stronę wind. Wolałem być nerwowy, ale przytomny, niż zrelaksowany, lecz otumaniony jakąś chemią o cudownych właściwościach, którą zmaistrowali, żeby trybiki w ich maszynie kręciły się gładko.

Kiedy jednak minutę później stałem przed windami, uświadomiłem sobie, że już myślałem o tym przydziałowym wieczornym drinku i że po prostu będę usiłował uspokoić się czymś innym. A pewnego dnia albo spróbuję wykonać desant na wpół pijany, albo też wbiję głowę kogoś takiego jak kapitan Beals w gródź. Na tym okręcie nie brakowało ludzi z Arkadii, którzy zdradzili, lecz przed Marsem otrzymali szansę odkupienia i nie byli już uważani za banitów. Przynajmniej nie przez resztę korpusu. Ja jednak straciłem podkomendnych, niemal straciłem żonę i nigdy im tego w pełni ani nie zapomnę, ani nie wybaczę.

To do ciebie niepodobne, Andrew, powiedziała Halley, strofując mnie po incydencie z Bealsem.

Gdy drzwi windy otworzyły się, nie wsiadłem. Zamiast tego obróciłem się i ruszyłem do apteki, żeby odebrać zapisane przez doktor Saults leki. Jeśli pchną mnie choć trochę w stronę dawnego Graysona, warto będzie spróbować. A jeśli nie, miałem w kajucie umywalkę, dzięki której pošlę te prochy do okrętowego systemu utylizacji. Wiedziałem jednak, że spróbuję zmniejszyć prawdopodobieństwo, iż żona jeszcze kiedyś spojrzy na mnie z taką samą dezaprobatą, jak przed godziną na korytarzu koło mesy.

## Rozdział 10

# Z Ziemi na Tytana

Siły specjalne na „Ottawie” składały się z dwóch drużyn. Do jednej należeli SEAL, a więc szesnaście osób dowodzonych przez kapitana Rolsona. Drugą grupą była moja drużyna taktyk specjalnych, składająca się z ośmiu kontrolerów walki i ośmiu kosmicznych ratowników. Mój zastępca, porucznik Brown, kierował skoczkami, czyli ratownikami, nazywanymi tak z nieco niejasnych powodów, mających coś wspólnego z tym, że wywodzili się od skaczących na spadochronach sanitariuszy z armii dawnych Stanów Zjednoczonych. Byłem szefem całej drużyny, lecz również dowódcą operacyjnym kontrolerów walki. Wiedziałem, że to typowy schemat organizacyjny dla drużyny sił specjalnych na lotniskowcu, ale gdy wchodziłem na pierwszą odprawę naszej drużyny na tej dyslokacji, wciąż nie mogłem pozbyć się wrażenia, że nie powinno mnie tu być. Siedemnaścioro mężczyzn i kobiet siedziało w sali mogącej pomieścić pięćdziesięciu ludzi i poczułem lekki niepokój, widząc, jak małe są to siły w porównaniu ze stacjonującą na „Ottawie” Piechotą Kosmiczną. Jednak gdy my bez stojącej za nami siły ognia PK byliśmy niemal bezużyteczni, oni potrafili wykonywać swoje zadania bez nas.

Gdy przeszedłem przez włącz, porucznik Brown poderwał obecnych na baczność. Mogłem powiedzieć „Spocznij”, ale pozwoliłem mu złożyć pełen raport i ogłosić, że drużyna taktyk specjalnych zebrała się w komplecie i jest gotowa do odprawy, zgodnie z rozkazem. Pierwsze spotkanie nadawało ton mojemu

stanowisku i nie chciałem wyjść na zbyt niedbałego. Dowodziłem już większymi siłami – pluton wysłany na Arkadię liczył niemal czterdzieści osób – ale tym razem miałem do czynienia ze względnie doświadczonymi żołnierzami o wyjątkowo wymagających specjalizacjach. Niezależnie od ich stopnia, wszyscy w tym pomieszczeniu spędzili przynajmniej dwa lata na szkoleniu, zanim zostali wysłani do służby operacyjnej.

– Dziękuję, poruczniku – rzekłem, gdy Brown zakończył formalności. – Proszę usiąść, panie i panowie.

Wszyscy znów zajęli miejsca, a ja podszedłem do mównicy i wyciągnąłem OTI, żeby sprawdzić stan osobowy.

– Jestem kapitan Grayson. Podczas tej dyslokacji będę waszym dowódcą. Jak wszyscy wiecie, będziemy służyć za drużynę taktyki specjalnej dla Siódmego Pułku Piechoty Kosmicznej oraz dla Piątej i Jedenastej Eskadry Transportu Bojowego. Zatem tysiąc dwustu żołnierzy i sześćdziesiąt cztery osoby z załóg desantowców liczą na to, że nie zawalimy, gdy dojdzie co do czego.

Ludzie spoglądali na mnie z uwagą. Gdy szliśmy do walki, kontrolerzy walki wyskakiwali z pierwszą falą, a później przywoływali wsparcie lotnicze oraz orbitalne. Zadaniem kosmicznych ratowników był desant w kapsułach, jeśli desantowiec ulegał zniszczeniu, żeby połatać ocalałych i bronić ich przed zagrożeniami, zanim przyleci po nich pojazd ratunkowy. Z tych dwóch specjalizacji ratownicy mieli nieco dłuższy i trudniejszy cykl szkoleniowy, a gdybym z ciał obecnych w sali mężczyzn oraz kobiet zechciał wyssać tłuszcz, nie wystarczyłoby go, żeby wypełnić filiżankę do kawy. Najniższy rangą z grupy był kontroler walki sierżant sztabowy, zaś najwyżsi – dwoje chorążych, po jednym z każdej specjalizacji.

– To nowa sytuacja nawet dla mnie. Wygląda na to, że kontrolerzy walki otrzymują stałe stanowisko w BCI – ciągnąłem. – Nazwano je „działania operacyjne” i przez cały czas będzie

obsadzone przez wykwalifikowanego kontrolera walki. Opracujemy dla wszystkich harmonogram wacht, żeby każdy czerwony beret w tym gronie na pewno spędził równą ilość czasu na tym krześle. Sprzęt jest nowiutki i błyszczący, ale oprogramowanie to samo, do którego przywykliśmy. Wychodzi więc, że będzie to obsługa wielkiej konsoli z wygodnego siedzenia.

Jeden z kontrolerów walki podniósł dłoń.

– Sir, jest nas ośmioro. Jeśli zostaną wyznaczone zmiany, w ciągu pięciu dni stracimy zsynchronizowanie.

– Jest nas dziewięcioro – sprostowałem. – Nie zamierzam wyłączać się z rotacji. Nie zrozumcie mnie źle: natychmiast wcisnę jedno z was do BCI, jeśli będę musiał skupić się na czymś innym, ale wachty dzielimy na dziewięć części.

Dostrzegłem, że kontrolerzy walki kiwają z uznaniem głowami. Zostałem wyszkolony na czerwonego bereta, ale jako oficer operacyjny nie byłem już w zasadzie kontrolerem, ponieważ tę specjalizację przeznaczono dla podoficerów. Kiedyś spędziłem jednak tyle czasu przy tej robocie, że trudno mi było myśleć o sobie jako o kimś powyżej tych ludzi, nawet jeśli najwyższego rangą z nich przewyższałem o cztery stopnie zaszerzegowania i jadałem w mesie oficerskiej.

– Oto jak będzie. To rejs dziewiczy, nie dyslokacja bojowa. Kiedy tylko się da, będziemy wykonywać wspólne szkolenia z całą drużyną. Jak większość z was już zapewne odkryła, ta luksusowa łajba dysponuje wszystkim, do czego przywykliście podczas pobytów planetarnych. Mamy swoje miejsca do ćwiczeń fizycznych, strzelnicę wyłącznie dla sił specjalnych oraz własny symulator taktyczny z oprogramowaniem kontrolerów walki. Kontrolerzy zapoznają się z nowym sprzętem i będą na zmianę obsadzać stanowisko w BCI. Skoczkowie niech ćwiczą to, co jest wam potrzebne. Zostawiam to porucznikowi Brownowi, zakładam jednak, że uwzględni biegi po tej kilometrowej bieżni

z kowadłami pod każdą pachą.

Żołnierze się roześmieli.

– Tylko z jednym kowadłem, ale trzymanym w wyciągniętej ręce – poprawił z pierwszego rzędu Brown i ludzie znów się zaśmiali. Dobrze czułem się w tej grupie. Wszyscy napocili się podczas szkolenia mniej więcej dziesięć razy dłużej niż przeciętny wojak z PK i razem wchodziliśmy w skład bardzo nielicznego klubu o wysokim poziomie śmiertelności w walce.

– Krążą pogłoski, że po tym, jak uzupełnimy na Tytanie paliwo i zapasy, przeprowadzimy manewry na dużą skalę z ostrą amunicją, oczywiście jeśli ta łajba dotrze do celu, nie gubiąc po drodze istotniejszych elementów. Do tego czasu mamy przynajmniej pięć tygodni, wykorzystajmy więc ten okres, żeby dobrze wypaść. Znacnie procedurę. Niedługo wyślę harmonogram na ten tydzień i zabierzemy się do pracy. Jakies pytania?

– Sir, kapsuły będą symulowane czy prawdziwe? – spytała jedyna kontrolerka walki w drużynie, lecz wyższa niż połowa obecnych w sali mężczyzn. Na jej naszywce widziałem nazwisko „LANG E.”, a na mundurze paski sierżanta sztabowego.

– Mówili o ostrej amunicji, więc zakładam, że kapsuły też będą prawdziwe – odparłem.

Sierżant Lang kiwnęła z satysfakcją głową. Symulowane starty w ogóle nie uwzględniały kapsuł. Po prostu leciało się w pierwszej fali okrętów desantowych i komputer określał na podstawie algorytmu, czy lądowik dotarł z orbity na planetę. Jeśli maszyna uznawała, że nie, kontroler wliczał się do ofiar, gdy tylko dotknął stopami ziemi. Było to dużo tańsze i znacznie bezpieczniejsze rozwiązanie niż rzeczywiste wystrzeliwanie kapsuł, ale nie wliczało się do sumy oddanych skoków i było nudne jak cholera.

– Wszyscy znacie swój fach. Codzienne rozkazy w tej sali o siódmej zero zero. Utrzymujcie formę i czujność, ucicie się nowych rzeczy i relaksujcie w wolnym czasie, gdy nie jesteście

na wachcie. A jeśli zamierzacie pić, trzymajcie się limitu. Nie muszę mówić, że nie ma ograniczeń na bimber z maszynowni, ale potrzebuję sprawnego zespołu. Wykorzystajcie jak najlepiej tę wypasioną bieżnię, która biegnie wokół silosów, bo dobrze wiemy, że mało kto ze specjalizacji niebojowych postawi tam nogę.

Odpowiedział mi ogólny chór „Tak jest, sir”.

– No dobrze. Bierzmy się do roboty i nie zmarnujmy czasu podróży. Jeśli macie jakieś wątpliwości albo pytania, wiecie, jak znaleźć mnie lub porucznika Browna. Odmaszerować.



W serialach sieciowizyjnych, które oglądałem w dzieciństwie, okręty zawsze miały mostek z oknami w górnej części lub na przedzie. W rzeczywistości byłaby to jedna z najgłupszych rzeczy, jaką można by zrobić. Okna nie były potrzebne, ponieważ cały kadłub pokrywały matryce optyczne, a poliplastowe panele jedynie osłabiałyby pancierz. Co więcej, centrum operacyjne jednostki znajdowałoby się wówczas w oczywistym i narażonym miejscu, które byłoby łatwo namierzyć i zniszczyć jednym strzałem z działa elektromagnetycznego albo rakieta. Prawdziwe okręty nie miały mostka, tylko bojowe centrum informacyjne. BCI leżało w środku kadłuba, otoczone jak najgrubszą warstwą laminatowych płyt. Przywykłem do tego, że jest jak bunkier, pancerna cytadela z wjazdami i własnym systemem podtrzymywania życia, lecz podobnie jak we wszystkim innym, również w tej kwestii „Ottawa” zrywała z tradycją. Pomieszczenie okazało się większe niż hangar na pierwszej fregacie, na której służyłem. Ponieważ wzdłuż ścian umieszczono modułowe stanowiska kontrolne, całość wydawała się jeszcze obszerniejsza. Na innych jednostkach Floty konsole osadzano w zwalistych, odpornych na wstrząsy mocowaniach. Tutaj



charakteryzowały się one niemal eleganckim, minimalistycznym wzornictwem i miały duże, przejrzyste ekrany. Na środku znajdowało się zwyczajowe zagłębienie ze stołem holograficznym, a niemal całą przednią gródź zajmował duży wyświetlacz sytuacyjny.

Zgłosiłem się do pierwszego oficera w zagłębieniu, a następnie po raz pierwszy podszedłem do stanowiska działań operacyjnych. Nie miałem wątpliwości, że konsole na tym okręcie są nowiutkie. Tam, gdzie znajdowało się moje miejsce, ekrany dotykowe nie były jeszcze nawet poznaczone odciskami palców i z jednego z nich musiałem ściągnąć folię ochronną. Uruchomiłem konsole i monitory natychmiast ożyły. Jeden na środku, dwa pod kątem po obu stronach i jeden od góry, przechylony w dół, w stronę fotela. Przywykłem do czekania dwadzieścia lub trzydzieści sekund, zanim system w pełni się odpali, ponieważ musiał najpierw pobrać informacje z wielu różnych źródeł, lecz tutejszy komputer osiągnął stan gotowości, gdy tylko położyłem dłoń na płycie kontrolnej, żeby uzyskać dostęp.

Nie znajdowaliśmy się w trakcie natarcia planetarnego i nie musiałem kierować samolotami szturmowymi albo desantowcami, zacząłem więc zaznajamiać się z możliwościami zintegrowanych systemów „Ottawy”. Wszystko, co wybierałem, odpowiadało błyskawicznie. W porównaniu z okrętami, na których służyłem wcześniej, szybkość sieci neuronowej sprawiała, że starsze urządzenia kojarzyły mi się swoim wyrafinowaniem z dwiema puszkami i sznurkiem. Na pokładzie lotniczym większość desantowców miała wyłączone zasilanie i wygaszone systemy, ale kilka z nich podłączono do przewodów serwisowych i mogłem natychmiast podpiąć się do ich komputerów, żeby oglądać hangar z kamer na ich kadłubach.

Potrzebowałem kilku minut, żeby dopasować ekrany do preferowanego przeze mnie układu i zapisać go w profilu

użytkownika, żeby inni korzystający z tego miejsca kontrolerzy walki nic mi w nim nie poprzestawiali. Na wyświetlaczu na przedniej grodzi widać było diagram sytuacyjny z „Ottawą” pełną kursem pozwalającym jej wejść na orbitę Tytana, największego księżycy Saturna i siedziby największej bazy Floty w zewnętrznej części Układu Słonecznego. Holostół pokazywał obraz taktyczny, czyli otoczenie okrętu w promieniu stu tysięcy kilometrów. Nie potrzebowałem na mniejszym ekranie diagramu, ponieważ względna lokacja okrętu w układzie nie miała znaczenia dla działań taktycznych, ale swój górny monitor skonfigurowałem tak, żeby pokazywał to samo, co stół holograficzny. Ekran po bokach przeznaczyłem dla pojazdów lotniczych i ich zapasów, obrazów z kamer i innych technicznych kwestii, które pozwalały mi śledzić, czym dysponowałem. Monitor na środku był moim wyświetlaczem tak-łącza i to właśnie jemu będę poświęcał najwięcej czasu, gdy ptaszki znajdą się już w powietrzu i otrzymają cele do zaatakowania.

Dzięki posiadanemu dostępowi zerknąłem też na systemy uzbrojenia „Ottawy”, żeby sprawdzić, jaką siłę ognia możemy wykorzystywać. Broń kontrolowały inne stanowiska, ale widziałem posiadane przez nas zasoby, znałem więc ich status oraz możliwość zastosowania na potrzeby uderzeń orbitalnych. Przeglądając kolejne dostępne systemy, bezwiednie gwizdnąłem cicho. „Ottawa” miała dwanaście brzusznych dział elektromagnetycznych, każde połączone z ogromnymi magazynkami mieszczącymi po trzysta pocisków na dział. Pośrodku kadłuba, po bokach wybrzuszenia grzbietowego, umieszczono silosy rakietowe z trzydziestoma dwiema kierowanymi rakietami przeciwokrętowymi Hades-C z głowicami termonuklearnymi po każdej stronie. Jednak to nie atomówki pozwalały okrętowi zadać najsilniejszy cios – do tego służyła para umieszczonych od spodu dział cząsteczkowych, biegnących przez niemal całą długość kadłuba, a także sześć

rakiet Orion III w opancerzonych wyrzutniach. Nie miałem już wątpliwości, dlaczego ZCR otrzymał tyle samo jednostek tego typu, co WPA. Ten okręt nie przypominał niczego, co wcześniej umieściliśmy w przestrzeni. W walce bezpośredniej zapewne zdołałby rozbić w gwiazdny pył całą resztę Floty. Jednak wszystko, co umieszczono na pokładzie „Ottawy”, wyraźnie służyło do niszczenia okrętów nasiennych i do usuwania Dryblasów z powierzchni okupowanych planet, nie do starć z innymi jednostkami wyposażonymi w ludzką załogę.

Gdy wpatrywałem się na swoim ekranie w trójwymiarowy obraz „Ottawy”, po raz kolejny uderzyło mnie, jak bardzo kojarzy się on z jednostką obcych. Nie miał długości czy masy okrętu nasiennego, ale przypominał go niemal organiczną sylwetką, zupełnie pozbawioną ostrych kątów. Nie promieniował podobnym czarnym zagrożeniem, pomalowano go bowiem tytanową bielą z pomarańczowymi i niebieskimi oznaczeniami. Jeśli jednostkę wojskową można było w ogóle nazwać piękną, to właśnie „Ottawę”, mimo to niewątpliwie wyglądała potężnie i po pobieżnym zaznajomieniu się z jej systemami wiedziałem już, że pod łagodnym białym kadłubem kryła w sobie dość niszczycielskiej mocy, by to wrażenie nie okazywało się zwodnicze. Jeśli okręty nasienne były potworami, to my dysponowaliśmy zabójcą potworów. Zaś kolejne były już niemal gotowe do wyruszenia w dziewiczy rejs z Dedalusa.

Od zbierania batów przeszliśmy do impasu, pomyślałem. Jeśli dostaniemy do ręki więcej takich jednostek, to z kolei my będziemy mogli zacząć wymierzać razy.

Pod warunkiem, że będą działały, jak powinny, ostrzegł mnie w głowie nieproszony głos. Pamiętałem, jak szybko przed trzema laty „Agincourt” został wyłączony z walki o Marsa, choć wszystko robiliśmy prawidłowo. Była to dość kosztowna próba bojowa pancernika i miałem nadzieję, że dowództwo odebrało z niej naukę, ponieważ nie chciałem się dowiedzieć, jak to jest

katapultować się z „Ottawy” w kapsułach ewakuacyjnych, nawet jeśli wyposażono je wygodnie.

## Rozdział 11

# Przyjemne spotkanie

**R**ejs z Ziemi do stoczni Floty na Tytanie zajął sześć tygodni. Bieżnia wciśnięta między silosy rakiet nuklearnych miała dokładnie jeden kilometr długości. Dwa dni przed dotarciem przez nas do celu, gdy Saturna było już dobrze widać nawet w małym powiększeniu, miałem już ten kilometr zaliczony dwieście razy, po pięć dziennie.

Nawet w placówce planetarnej bieżnia okazałaby się mile widziana. Na okręcie była niepojętym luksusem, bo zajmowała tysiące metrów sześciennych przestrzeni. Miała solidną elastyczną powierzchnię z białą linią pośrodku i była na tyle szeroka, że dwie osoby mogły się nią poruszać ramię w ramię, jeśli z tyłu nie zbliżał się akurat nikt szybszy. Na pewno istniały awaryjne plany wykorzystania tego miejsca, gdyby zaszła potrzeba, lecz obecnie była to jedynie wydłużona elipsa, ciągnąca się nieprzerwanie za wyjątkiem niewielkich przewężeń, gdy co jakiś czas tor mijał grodzie. Możliwość przebiegnięcia niemal pół kilometra w linii prostej w ciszy i klimatyzacji bez potrzeby zatrzymywania się lub skręcania niwelowała niektóre aspekty klaustrofobii, na które cierpiełem zwykle w przestrzeni, nawet po tylu latach dyslokacji. Bilansowała również efekty uboczne mesy oficerskiej, w której podawano najlepsze jedzenie, z jakim Halley i ja mieliśmy do czynienia od lat, nie licząc restauracji chorążego Kopki.

Zrządzeniem niezwyklej bystrości projektantów bieżnia sąsiadowała z główną siłownią okrętu, gdzie niektórzy

zmotywowani żołnierze PK podnosili właśnie ciężary na ławkach. Na gryfach nie wisały obciążniki, ponieważ stojaki pełne dziesięcio- i dwudziestokilogramowych kręgów stanowiłyby zagrożenie na okręcie mogącym wyciągnąć przyspieszenie rzędu dziesięć g, nawet przy działającej sztucznej grawitacji, więc zamocowano je na skomputeryzowanych słupkach, generujących pożądaną wagę poprzez opór elektromagnetyczny. Nie mogło się to równać z satysfakcjonującym uczuciem podrywania prawdziwej stali, ale i tak było znacznie lepszym rozwiązaniem niż trzymiesięczna przerwa w planie ćwiczeń.

Bieżnię i siłownię łączył krótki przedsionek – jedyna droga wyjścia z tej pierwszej za wyjątkiem włazów ewakuacyjnych. Przebiegłem właśnie pięć kilometrów wraz z trójką swoich sierżantów, wykonując naszą typową przedśniadaniową rundkę, po czym zdyszani znaleźliśmy się w przedsionku, gotowi na kawę i jajecznicę. Akurat otworzył się właz od strony sali ćwiczeń, przez który przeszło troje oficerów PK. Wszyscy mieliśmy na sobie stroje gimnastyczne, przy czym Flota wydawała czarne szorty, podczas gdy kosmiczni ratownicy używali zielonych. W obu rodzajach sił zbrojnych koszulki treningowe były czarne, z uproszczonymi oznakami stopni w górnej części rękawów – jednym odblaskowym poziomym paskiem dla młodszych podoficerów, dwoma dla starszych, jednym okręgiem dla młodszych oficerów i dwoma dla sztabowych – żeby w trakcie ćwiczeń móc szybko określać hierarchię podczas przekomarzań między żołnierzami z poszczególnych formacji. Cała trójka z PK miała na rękawach podobne pojedyncze symbole, jak ja. Skinąłem im głową, zgarbiony, próbując złapać oddech.

– Jaka pogoda dzisiaj? – spytała jedna z oficerów PK. Jej głos trącił odległe wspomnienie w moim mózgu i wyprostowałem się, żeby lepiej przyjrzeć się kobiecie. Gdy otworzyła szerzej oczy

w zaskoczeniu, zrozumiałem, że rozpoznaliśmy się w tym samym momencie.

– Andrew Grayson – powiedziała. – O kurwa.

– Hansen – odrzekłem. – Co u ciebie?

Gdy widziałem ją po raz ostatni, oboje mieliśmy na sobie pancerze bojowe i krwawiliśmy. Ta przerażająca gorąca noc sprzed niemal dziewięciu lat wydawała mi się teraz równie odległa, jakby przeżył ją ktoś inny. Ówczesna starsza szeregowca Hansen była w mojej drużynie w kompanii Brawo 365 Samodzielnego Batalionu Piechoty Armii Terytorialnej.

– Całkiem dobrze. – Uśmiechnęła się. Nie miała już kucyka, za to jej krótkie włosy lepiej pasowały teraz do pancerza nadającego się do użytku w próżni. Wciąż wyglądała bardzo podobnie jak wtedy, gdy pierwszy raz wszedłem do pomieszczenia drużyny w Fort Shughart, nawet jeśli w kącikach migdałowych oczu pojawiło się więcej zmarszczek i miałem wrażenie, jakby od tamtego czasu nabrała z pięć albo i więcej kilogramów masy mięśniowej.

– Służyliśmy razem w dawnej AT – poinformowała towarzyszących jej oficerów, po czym skinęła głową w moją stronę. – Byliśmy w jednej drużynie.

– Zielony jak wasze szorty – potwierdziłem.

– To może już zaczniecie? – zaproponowała swoim kolegom. – Zaraz do was dołączę.

– A wy idźcie pod prysznic – poleciłem sierżantom, a oni przytaknęli i przeszli przez właz do siłowni. Dwaj oficerowie Piechoty Kosmicznej rozpoczęli pierwsze okrążenie elipsy.

– Czyli teraz jesteś w PK? – spytałem. – I awansowali cię na oficera.

– Tak, przenieśli mnie do kosmicznych małą podczas przygotowań do Marsa. No wiesz, wtedy połowę SOZ przeszkolili na PK. – Zerknęła na symbol młodszego oficera na swoim ramieniu. – I myślę, że każdy, kto służy tak długo jak my, albo jest

teraz oficerem, albo nie żyje.

– Jak ramię? – dopytywałem. Tamtej nocy w Detroit Hansen oberwała w staw barkowy, a Fallon powiedziała mi w szpitalu w Wielkich Jeziorach, że wymienili go na sztuczny.

– W porządku. Działa jak stare. Mogli mi przynajmniej dać wzmocnienie siły, ale nic z tego.

– Rozumiem cię. Sam straciłem świetną okazję, żeby dostać wypasioną dłoń. – Podniosłem lewą rękę i pomachałem palcami. Dwa zewnętrzne już zawsze będą się wydawały dziwne, jakby otepiały po znieczuleniu miejscowym, które nie zeszło do końca. – Odstrzelił mi je cywilny gliniarz, jeśli dasz wiarę. Trochę obciach.

– Chętnie wysłucham całej tej historii – rzekła Hansen. – I tego, co działo się z tobą po Detroit. Słyszałam od Fallon, że przeniosłeś się do marynarki, ale to tyle.

– Spotkajmy się, żeby pogadać – zaproponowałem. – Gdzie teraz jesteś?

– Dowodzę kompanią Charlie pierwszego batalionu siódmego pułku PK. A ty?

– Kieruję drużyną taktyk specjalnych.

– Kapsel – skomentowała z uśmiechem. – Nie mogłeś sobie znaleźć miłej roboty przy konsoli po tym burdelu w Detroit?

– Próbowałem. Znudzilem się. To chyba nie dla mnie.

– Chyba nie. – Popatrzyła na zegarek. – Słuchaj, chcę zaliczyć kółka przed jedzeniem i rozkazami, ale chętnie się spotkam. Jesteś w cyklu zmianowym?

– Sami ustaliśmy wachty dla stanowiska w BCI. Cała reszta to harmonogram ogólny.

– No to umówmy się na lunch czy coś. Może o jedenastej czterdzieści pięć?

– Da się zrobić. Która mesa?

– A gdzie zwykle jadasz?

– Obok pokładu lotniczego. Ale mogę się pofatygować do



Krainy Trepów.

– Kwalifikujesz się. – Stuknęła mnie grzbietem dłoni w pierś. – Cholera, nigdy bym się nie spodziewała, że wpadnę jeszcze na kogoś ze starej kompanii. Na razie.

– Potwierdzam – odparłem, obserwując, jak wchodzi na bieżnię i zaczyna biec. Miała chyba jeszcze lepszą formę niż w czasach AT, a już wtedy była szczupła i złośliwa. Spotkanie z kimś, kto był częścią mojej służby wojskowej prawie od początku, niemal tak długo jak Halley, wprowadziło mnie w dziwną radość. Może oznaczało to, że niektórym z nas uda się jednak przejść przez tę maszynkę do mięsa.

Przedpołudnie spędziłem w swoim gabinecie w sekcji sił specjalnych, opracowując harmonogram ćwiczeń i dyżurów w BCI, gdy tak naprawdę wolałbym przebywać na strzelnicy. Im wyższy stopień, tym więcej administracyjnych bzdur ci przywalają. Podejrzewałem, że oficerowie sztabowi i generałowie musieli mieć zainstalowane w głowach ekrany, żeby móc odpowiadać na wiadomości nawet wtedy, gdy siedzą na kłopie.

O wpół do dwunastej odezwało się przypomnienie. Zamknąłem terminal, przejrzałem się w lustrze, po czym ruszyłem do Krainy Trepów.

W tamtejszej mesie oficerskiej wszyscy nosili standardowe kurtki PK z charakterystycznym wzorem kamuflażu i gdy tam wszedłem, rzucałem się w oczy jako jedyna osoba w uniformie Floty. Dawne mundury Floty miały przynajmniej krój zbliżony do swych odpowiedników z Piechoty Kosmicznej, jednak nowe niebieskozielone tuniki były zupełnie inne i gdy podchodziłem do bufetu oraz nakładałem jedzenie na tacę, czułem się jak rekrut ze szkolenia przygotowawczego, który przez pomyłkę

stanął w szyku w dresie do ćwiczeń, podczas gdy wszyscy pozostali mieli uniformy robocze. Nie widziałem jeszcze nigdzie Hansen, usiadłem więc przy pustym stoliku i skubałem sałatkę, czekając.

Pojawiła się kilka minut później w spłowiałym, lecz schludnym mundurze kamuflażowym PK, z rękawami starannie zaprasowanymi w tradycyjny sposób, praktykowany przez Piechotę Kosmiczną od czasów, gdy jeszcze nazywano ich marines. Zauważyła mnie i skinęła głową, po czym nałożyła sobie jedzenie i podeszła do mnie.

– Właśnie przypominałam sobie tę awanturę w kolejce po żarcie na stołówce w Shughart – powiedziała, siadając. – Pamiętasz?

Zachichotała.

– O tak. Gdy ci marines próbowali wciąć się poza kolejnością. To był mój najzabawniejszy posiłek w AT. Trzeba było pół plutonu żandarmerii, żeby przywrócić porządek, kiedy wokół zaczęło fruwać purée ziemniaczane.

Na kurtce Hansen widniały oznaki stopnia kapitana i złota odznaka za desanty bojowe, podobnie jak na mojej tunice. Ona prezentowała się jak porządny żołnierz, podczas gdy ja wciąż uważałem, że w nowym mundurze wyglądam niczym aktor udający w kiepskim serialu kapitana okrętu kosmicznego.

– A później starszy chorąży przejechał się po ludziach, którzy byli na stołówce, ale się nie bili – dodałem i uśmiechnęliśmy się oboje.

– Nigdy nie sądziłam, że wymienię zielony beret na kasztanowy.

– Tęsknisz za SOZ?

– Nie. To dlatego skorzystałam z okazji, gdy poprosili o ochotników do PK. Trzy miesiące później skończyłam szkołę piechoty na Lunie i wtedy już nie było wyboru. Po prostu przesiali bataliony SOZ i wyciągnęli tych, których uznali za

potrzebnych. Oto wasze nowe rozkazy, miłej zabawy w przestrzeni. Przynajmniej załapałam się na więcej za to, że byłam wcześniej.

– No widzisz, tak się nabijaliśmy z kosmicznych małą, a teraz oboje tu jesteśmy – powiedziałem.

– Gdy odszedłeś, zjechało się. Nie wszystko od razu, ale stopniowo. Coraz częściej trafiały się wezwania do zamieszek. Trzy rocznie, później jedno na miesiąc, wreszcie cztery albo pięć w miesiącu. I cały czas dostawaliśmy w tyłek. To było, zanim DZK zmieniły się w płonące wysypiska. Nie masz pojęcia, jak było na końcu. Uznałam, że przestrzeń na pewno nie będzie tak niebezpieczna, nawet z Dryblasami.

– Coś o tym wiem – odparłem. – Siedziałem osiemnaście miesięcy w Brygadzie Lazarus jako instruktor. Wypożyczyli mnie z Floty, żeby uruchomić własną szkołę kontrolerów walki.

– Auć – skomentowała Hansen. – Teraz na pewno nie namówiłbyś mnie na powrót do DZK. Nawet gdybyś obiecał mi za to Medal Honoru i dwupiętrowy dom na chronionym osiedlu na przedmieściach. Gdybym miała wybór między desantem do niespacyfikowanej DZK i na kontrolowany przez Dryblasów księżyc, zaryzykowałabym to drugie.



Jedliśmy i wymienialiśmy się skróconą wersją przebiegu naszej służby przez ostatnich osiem lat. Hansen przeszła do PK dopiero przed trzema laty jako starszy sierżant sztabowy i jedną z korzyści, jakie dostała za dobrowolny transfer, była możliwość wyboru pomiędzy stopniem starszego podoficera i patentem oficerskim. Zdecydowała się na to drugie i wyglądało na to, że oboje mniej więcej w tym samym czasie dostaliśmy awans na kapitana, sześć miesięcy temu. W czasach pokoju przejście z podoficera na O-3 w trzy lata było niemożliwe, ponieważ wielu

żołnierzy postanawiało zostać w korpusie i rywalizowali ze sobą o ograniczoną liczbę posad. Dryblasy zdziesiątkowali nas jednak, zajmując Marsa, i wyszkoleni ludzie stali się nagle towarem deficytowym. Potrzeba było trzech miesięcy, żeby zmienić nieopierzonego cywila w żołnierza, a później trzy kolejne, by zrobić z niego w miarę kompetentnego członka drużyny. Natomiast wykształcenie kontrolera walki albo kosmicznego ratownika zajmowało lata. Szybciej da się wytrenować nowego strzelca albo zbudować okręt desantowy, niż zastąpić doświadczonego dowódcę kompanii piechoty czy pilota tegoż desantowca. Hansen, Halley i ja szybko wspinaliśmy się w górę po prostu dlatego, że tak wielu ludzi ponad nami spadło z drabiny.

– Czyli ożeniłeś się ze swoją dziewczyną ze szkolenia przygotowawczego – rzekła z uśmiechem Hansen, gdy dotarłem do tej części opowieści. – Słyszałam, że tak się zdarza, ale jeszcze nikogo takiego nie spotkałam.

– Też jest na „Ottawie” – dodałem. – Jako pierwszy oficer w jednej z eskadr desantowców.

– Nie dziwi mnie to. Zupełnie jakby wsadzili na tę lśniącą nową zabawkę wszystkich doświadczonych ludzi, którzy im zostali. Siódmy PK to jeden z nielicznych pułków, który nie składa się w większości z żółtodziobów zaraz po szkole piechoty.

– Byłaś na Marsie – stwierdziłem, a ona przytaknęła.

– W SL Żółtej. Siódmy dobrze się spisał. W porównaniu z tym, przez co przeszły inne pułki, oczywiście. Mieliśmy trzystu poległych, połowę pozostałych rannych. Dowodziłam plutonem w kompanii Delta. Utrzymaliśmy pozycje, a później przesunęliśmy się piętnaście kilometrów do przodu, zanim ogłosili ewakuację.

Kolejny kawałek kurczaka nabiła na widelec ze znacznie większą siłą, niż to było konieczne.

– Boże, tacy byliśmy z siebie dumni. Spychaliśmy ich.

Zabijaliśmy ich dziesiątkami. Zdobywaliśmy teren. Dopóki ekrany tak-łącza nie zaroily się od pomarańczowych ikon. Na naszych flankach. Na tyłach, w miejscach, które już oczyściliśmy. Ale sam wiesz, jak było.

– W SL Czerwonej zrobili tak samo. Kusili nas, więc wysunęliśmy głowy ze strefy. I wtedy mieli już nas na patelni.

Hansen podniosła kubek z sokiem z proszku i wysączyła połowę jednym wielkim haustem.

– Desantowce i bliskie wsparcie lotnicze ocaliły nam tyłki przy odwrocie – ciągnęła. – Rozwalali Dryblasów wszędzie wokół nas. W pewnym momencie cały pułk tkwił w kotle o średnicy pół kilometra, broniąc się od wszystkich stron. No i te desantowce... Nigdy nie widziałam czegoś takiego, ani w DZK, ani nigdzie. Zużyli wszystko, co mieli na zewnętrznych pylonach, wystrzelili każdy jeden pocisk z działek i opadli sto metrów przed nacierającymi, by zgarniać plutony, nawet nie dotykając płozami ziemi. I większość z nas odleciała. Żaden z pilotów z tej eskadry już nigdy nie będzie musiał kupować sobie drinków, jeśli w tym samym pomieszczeniu będzie ktoś z Siódmego PK.

Bitwa o Marsa w zasadzie była drugą bitwą o Marsa, ponieważ ta pierwsza miała miejsce, gdy Dryblaszy przybyli przed czterema laty i unicestwili całą kolonię razem z większą częścią ziemskich flot. Jeśli jednak jakiś żołnierz mówił coś o Czerwonej Planecie, miał na myśli działania wojenne, które odbyły się rok później, czyli wspólny szturm na obcych za pomocą wszystkiego, co ziemskie sojusze zdołały zebrać. Operacja Invictus. Stała się wydarzeniem definiującym historię naszej służby, wielką kampanią, w której uczestniczyli niemal wszyscy żołnierze z działających w przestrzeni rodzajów sił zbrojnych. Jeśli ktoś nie miał na mundurze klasy A baretki za Marsa, prostej, pomarańczowo-czerwonej, z trzema białymi paskami pośrodku, oznaczało to, że niezależnie od swojego stopnia był zielony. Ktoś mógł być sierżantem czy podporucznikiem, mógł nawet

odbębnić przydział garnizonowy nad radioaktywnymi resztkami marsjańskich pól bitewnych, ale jeśli zakończył uczelnię techniczną lub szkołę piechoty choćby dzień po tej bitwie, wówczas nie miał pojęcia, jak wygląda prawdziwa walka.

Gdy spotykali się weterani z Marsa, w pewnym momencie nieodmiennie porównywali strefy lądowania, więc wszyscy wiedzieli, które plaże oberwały najmocniej. Czerwona, Pomarańczowa i Żółta zebrały bęcki, ale utrzymały linie aż do końca. Niebieska i Fioletowa musiały się połączyć i walczyć plecy w plecy, żeby dożyć ewakuacji. Rzadko można było spotkać kogoś z Zielonej, ponieważ została zalana przez Dryblasów, gdy przypisany do niej krążownik kontroli przestrzeni wpadł na minę i nie zdołał utrzymać luki w polu minowym pozwalającej na wsparcie ogniowe z orbity. Lądował tam pełen pułk PK wraz z pełnym pułkiem marines ZCR, lecz ocalali zmieścili się do trzech okrętów desantowych i zostało jeszcze miejsce. Na Zielonej skończyło się zdecydowanie najgorzej, ale na żadnej plaży nie było łatwo i żaden pułk nie wyszedł bez szwanku. Polecieliśmy na Marsa w sile dwudziestu tysięcy PK oraz marines z ZCR i Eurokorpusu, wróciło nas zaś jedenaście i pół tysiąca. PK było w tym ponad osiem tysięcy, z czego wróciło niespełna pięć tysięcy, w tym jedna czwarta ranna.

– Nie mogę uwierzyć, że byłeś na Żółtej w czasie, gdy my kładliśmy Dryblasów na Czerwonej – powiedziałem. – Zastanawiam się, czy jeszcze ktoś ze starej drużyny jest teraz w PK albo we Flocie.

– Nie mam pojęcia. Gdy odszedłeś, kapral Jackson zaginęła w akcji podczas misji w DZK. Słyszałam, że dołączyła do Brygad, ale sam wiesz, jak to jest z plotkami. Nie kupiłam tego, no bo przestań. Jackson?

– Dołączyła – przyznałem. – Jest teraz szefową bezpieczeństwa u generała Lazarusa. A myślę, że i kimś więcej.

– Nie gadaj. – Hansen zmrużyła oczy i popatrzyła na mnie

szacującym wzrokiem. – Jaja sobie ze mnie robisz, prawda?

– Nie robię. Wychyliłem z nią sporo drinków, gdy sam byłem w Brygadach. Jest teraz pułkownikiem. Jeśli do nich dołączasz z wcześniejszym doświadczeniem w korpusie, z miejsca robią cię oficerem.

– A ja to pierdołę. Mogliby mi zaproponować dwudziestogwiazdkowego generała oraz kwartał ulic na własność, a i tak bym odmówiła. Nie mogę uwierzyć, że dała dyla. Albo wiesz co? Chyba mogę.

Wysączyła resztę soku, jakby miała w kubku alkohol.

– Priest nie zaciągnął się na nowo po Detroit. Dał sobie spokój już po pierwszym kontrakcie i zgarnął pieniądze. Myślę, że po śmierci Patersona i Strattona trochę pomieszało mu się w głowie.

– Wszystkim nam się pomieszało – sprostowałem. – Zostałbym w drużynie, ale nie dali mi wyboru.

– Tak, sierżant opowiadała nam o tym, gdy wróciła z Wielkich Jezior. Słyszałam, że się zakumplowaliście w szpitalu. Zastanawiam się, co się z nią stało. Zniknęła z radaru po tym, jak rozwiązali nasz pluton i nas rozproszyli. Myślę, że wcisnęli ją do trzysta trzydziestego.

– Po miesiącu w areszcie, jeśli dobrze pamiętam. Za sprzeciwienie się rozkazom.

– Skąd to wiesz?

Wzruszyłem ramionami z szerokim uśmiechem.

– Sama mi mówiła.

– Co? Gdzie? Kiedy? – Hansen wyglądała na szczerze zdezorientowaną. – Spotkałeś ją po odejściu z AT?

– Posłali jej batalion na służbę garnizonową, żeby się ich pozbyć. Trafiliśmy na ten sam lotniskowiec, lecący na zamrożone zadupie. A później, trzy lata temu, podczas misji na Arkadii, była moją zastępczynią w plutonie.

– Brałeś udział w tej misji? Tej, gdzie kompania PK i garstka kapsli zakradła się na paluszkach do systemu renegatów,

a później skłoniła cały garnizon do kapitulacji?

– Dowodziłem jednym z plutonów w tej kompanii.

– O kurwa. – Hansen pokręciła głową. – No to oficjalnie przyznaję, że twoja kariera okazała się znacznie bardziej ekscytująca niż moja.

– Ekscytacja jest przereklamowana – rzekłem. – Czasami przydałoby się jej nieco mniej.

– Cóż, sam jesteś sobie winien, bałwanie. Mogłeś spokojnie siedzieć przy konsoli, ale musiałeś zostać kapslem.

– Moja żona nazwała to robotą dla czubków. Oczywiście sama lata desantowcami, więc przyganiał kocioł garnkowi.

– Robota dla czubków. Podoba mi się. – Hansen rozejrzała się po sali i westchnęła. – Nie wiem, czy sama bym tak potrafiła. Wyjść za innego trepa. Albo pilota. Wygląda na to, że trzeba dużo pracy, żeby utrzymać to wszystko w kupie podczas dyslokacji. I jeszcze w każdej chwili grozi śmierć.

– Jest trudno tylko wtedy, gdy jesteśmy daleko od siebie. A jeśli jesteśmy razem, to nic trudnego.

– Ale przez większość czasu jesteście daleko od siebie. Wolę po prostu zabawiać się na przepustkach. No i od czasu do czasu ląduje się na okręcie z porządnym wyborem facetów do roli tymczasowego kosmicznego męża.

„Kosmiczni małżonkowie” było stosowanym w korpusie określeniem dla miłostek podczas przydziałów. Wszyscy o nich wiedzieli, a szefostwo tolerowało je niechętnie, dopóki nie zdarzały się w obrębie łańcucha dowodzenia. Dyslokacje w głębokiej przestrzeni były długie, a poza tym jednocześnie niebezpieczne i nużące, nic więc nie mogło zapobiec tym czasowym romansom. Łatwiej było zachować sprawę w tajemnicy na wyższych szczeblach hierarchii, ponieważ starsi podoficerowie i młodszy oficerowie często otrzymywali prywatne kajuty, ale wiedziałem, że nawet młodszy podoficerowie i szeregowi wykonywali skok w bok, bo ludzie są tylko ludźmi



i przecież właśnie do tego zostaliśmy zaprogramowani. Ja sam mogłem spędzać większość urlopów z Halley i zdarzyło nam się trafić w to samo miejsce podczas przydziału, nigdy nie czułem więc potrzeby, żeby szukać czegoś innego. Hansen zawsze mnie trochę pociągała i przez chwilę zastanawiałem się, co by się wydarzyło, gdyby Halley nie znajdowała się na „Ottawie”, a moja dawna koleżanka z drużyny pierwsza wykonała jakiś krok. Mieliśmy ten sam stopień i nie podlegaliśmy sobie, zatem nikt by nawet nie mrugnął okiem. Jednak pomimo wciąż utrzymujących się resztek fizycznego zauroczenia natychmiast odrzuciłem ten pomysł. Znałem się z Hansen zaledwie kilka miesięcy, gdy służyliśmy razem w AT, i po ośmiu latach byliśmy sobie praktycznie obcy. Halley i ja zdołaliśmy zbudować związek pomimo wszystkich przeszkód, jakie rzucał nam pod nogi korpus, pomimo licznych rozłąk, i sama myśl, że mógłbym zaryzykować to wszystko dla chwili zabawy, nie wchodziła w grę nawet w najmniejszym stopniu. Kilkakrotnie niemal ją straciłem i teraz łatwiej byłoby mi znieść utratę kończyny niż żony.

OTI w kieszeni na nodze ćwierknął cicho. Wyciągnąłem go, żeby spojrzeć na ekran.

– Wzywają mnie – poinformowałem. – Stanowisko dowódcze jest czasami upierdliwe.

– Myślisz, że nie wiem? – odparła Hansen. – Słuchaj, dobrze było pogadać, Andrew. Umówmy się niedługo w strefie rekreacyjnej. Chcę dowiedzieć się więcej o tej twojej szaleńczej misji.

– Będziemy jakiś czas na tej łajbie. Mamy mnóstwo okazji do drinka.

Wstałem z krzesła i podniosłem tacę z na wpół zjedzonym lunchem.

– Nigdy nie sądziłem, że znów cię zobaczę, zwłaszcza na okręcie Floty. Życie jest pełne niespodzianek, co?

– Taa – odpowiedziała. – Tyle że w naszym fachu zwykle są one

nieprzyjemne. Dobrze trafić czasami na wyjątek od tej reguły.

Odłożyłem tacę na regał z resztkami i wyszedłem z mesy. Nie wiedziałem, czy była to kwestia świadomości, że ktoś z mojej pierwszej jednostki przeszedł przez podobne rzeczy i przetrwał, czy też leków zapisanych przez doktor Saults, ale w drodze do Krainy Sił Specjalnych czułem się naprawdę świetnie.



Mój dobry humor ulotnił się, gdy kilka minut później wróciłem do swojej kwatery. Już gdy wszedłem do korytarza prowadzącego do mojego przedziału, dostrzegłem, że coś jest nie tak. Drzwi kajuty były otwarte i w progu stał sierżant sztabowy Floty, rozmawiając z kimś w środku. Żołądek skurczył mi się złowroźnie, gdy zobaczyłem, że podoficer nosi na ramieniu czarną opaskę z literami SB. Był żandarmem, członkiem Sił Bezpieczeństwa Floty, formacji odpowiedzialnej za utrzymywanie porządku na pokładzie oraz egzekwowanie przepisów.

Usłyszał, że idę, i obrócił się. Jak się spodziewałem, na piersi, tuż nad naszywką z nazwiskiem, miał odznakę profosa.

– Kapitan Grayson? – zapytał.

– Zgadza się – potwierdziłem. – Jakiś problem, sierżancie?

Zamiast odpowiedzieć, wsunął znów głowę do mojej kajuty i powiedział coś do osoby w środku, po czym spojrzał ponownie na mnie i wskazał wewnątrz.

– Oficer do spraw bezpieczeństwa chciałby zamienić z panem słowo, sir.

Sierżant odsunął mi się z drogi i przestąpiłem przez próg. W środku zobaczyłem oficera Floty stojącego przy mojej otwartej szafce i domyśliłem się powodu jego obecności. Miał stopień kapitana, a na jego tunice widniała naszywka z nazwiskiem „DAVIS R.”.

– Kapitanie Grayson – powiedział. – Proszę potwierdzić, że to pańska szafka.

– To moja kajuta – rzekłem, nie mogąc powstrzymać irytacji w głosie, choć wiedziałem, że najprawdopodobniej mam spore kłopoty. – Czyli wygląda na to, że to również moja szafka.

– Przeprowadziliśmy kontrolne skanowanie kwater oficerskich – oznajmił Davis. – Sensory działające na fali milimetrowej wykazały w pańskiej kajucie obecność broni palnej, więc profos wezwał mnie, żebym otworzył kwaterę celem dokonania prawomocnego przeszukania i rozpoczęcia śledztwa.

Obrócił się do szafki i ze skrytki osobistej wyciągnął mój pistolet M17. Zamek był zatrzymany w pozycji cofniętej, co oznaczało, że broń jest rozładowana. Kapitan sięgnął drugą dłonią do skrytki i wyciągnął pełne magazynki.

– Czy istnieje powód, dla którego przechowuje pan w swojej szafce broń palną bez upoważnienia, kapitanie?

– Ten pistolet stanowi własność osobistą – odparłem. – Wchodzi w skład przydzielonego mi limitu wagi. To podarunek z innej formacji.

– Nawet gdyby na tym okręcie wolno było posiadać osobistą broń krótką, powinna zostać zarejestrowana u profosa i przechowywana w pokładowej zbrojowni – oznajmił Davis. – Gdyby było wolno. A tak nie jest.

– Mój błąd – odpowiedziałem. Skrzypnięcie podeszwy powiedziało mi, że profos za moimi plecami zmienił pozycję.

– Obawiam się, że nie mogę tak zostawić tej sprawy, kapitanie. Zamierzam to zgłosić. Z upoważnienia dowódcy tej jednostki nakładam na pana areszt domowy w kwaterze do czasu zgłoszenia przeze mnie naruszenia przepisów celem ustalenia pańskiego dalszego statusu.

Chciał wsunąć magazynki do kieszeni na nogawce spodni. Jeden wysliznął mu się z dłoni i upadł na podłogę. Oficer schylił się po niego, ale byłem bliżej, podniosłem magazynki szybko

i podałem Davisowi. Usłyszałem, że profos za moimi plecami poruszył się nerwowo. Uśmiechnąłem się ponuro. Żaden z nich nie był żołnierzem liniowym i nie wyglądali, jakby w wolnym czasie spędzali zbyt wiele czasu na okrętowej siłowni albo na ringu boksterskim. Czułem teraz taką złość, że zapewne w dziesięć sekund zdążyłbym zamieść nimi oboma podłogę, ale wtedy wpadłbym w jeszcze głębsze gównno. Może znów była to sprawka prochów od doktor Sauls, ale stwierdziłem, że nieco łatwiej jest mi otworzyć zaworek w umyśle i wypuścić nieco nagromadzonej wściekłości, wystarczająco, żeby powstrzymać się przed zrobieniem czegoś głupiego. Mimo to przyjemnie było wyobrażać sobie, jakbym się czuł, gdybym złapał kapitana Davisa i kilkakrotnie grzmotnął jego głowę w brzeg szafki za to, że zabrał pistolet, który przyjaciele z Brygad dali mi w prezencie na pożegnanie.

– Rozumiem – rzekłem. – Proszę wykonywać swoje obowiązki, kapitanie.

Davis minął mnie, wychodząc z kajuty. Usiadłem przy biurku, celowo nie zwracając na nich uwagi, gdy zamykali drzwi i blokowali je od zewnątrz kluczami uniwersalnymi. Westchnąłem i włączyłem ekran terminalu, żeby sprawdzić aktualności, starając się ignorować paskudne uczucie w żołądku. Możliwe, że resztę dyslokacji spędzę w areszcie. Co dziwne, wcale bym się tym nie przejmował, gdybym nie wiedział, że Halley się zdenerwuje. Leki dobrze wyrównywały górki i dołki mojego stanu emocjonalnego. Może nawet zbyt dobrze.



W BCI musieli się nudzić, ponieważ młyny sprawiedliwości miały wyjątkowo szybko. Nie minęła nawet godzina, odkąd zostałem zamknięty w areszcie domowym, kiedy panel dostępowy ćwierknął i drzwi otworzyły się z cichym

metalicznym brzękiem. Na progu stał profos.

– Kapitanie Grayson, proszę za mną. Szyper chce się z panem zobaczyć.

– Świetnie – odparłem. – Chodźmy.

Wstałem i wygładziłem mundur, po czym wyszedłem za profosem na korytarz. Nie miałem pojęcia, co mnie czeka, ale przynajmniej nikt nie wydał rozkazu, żeby mnie skuć, co nieznacznie mnie uspokoiło.

Po części spodziewałem się, że zostanę zaprowadzony prosto do okrętowego aresztu, ale sierżant sztabowy zabrał mnie zamiast tego na pokład dowodzenia. Minęliśmy BCI i weszliśmy w korytarz, w którym jeszcze nie byłem. Podoficer wduśił przycisk powiadomienia i po chwili drzwi się odblokowały.

– Przyprowadziłem kapitana Graysona, pani pułkownik – oznajmił profos.

– Proszę go wprowadzić – dobiegł głos pułkownik Yamin. – I zaczekać na zewnątrz, aż znów was wezwę.

– Tak jest. – Profos odsunął się na bok i gestem wskazał, żebym wszedł, przekroczyłem więc próg i znalazłem się w środku. Musiał to być gabinet dzienny dowódczyni, miejsce w pobliżu BCI, gdzie odpoczywała i załatwiała sprawy prywatne, gdy nie pełniła wachty, lecz nie miała czasu wolnego.

– Dzień dobry, pani pułkownik – przywitałem się.

– Nie taki dobry moim zdaniem – odparła Yamin. Siedziała przy biurku i stukwała w tablet. Po chwili podniosła na mnie wzrok, odłożyła urządzenie i wskazała podbródkiem krzesło po drugiej stronie blatu. – Proszę zamknąć za sobą właz i usiąść, kapitanie.

– Tak jest. – Wykonałem rozkaz i podszedłem do krzesła. Siadając, zobaczyłem swój M17 na stercie wydruków po prawej stronie biurka. Pułkownik podniosła broń i położyła ją między nami.

– Co to, do cholery, jest, kapitanie Grayson?

Mogłem poddać się oczywistemu odruchowi i cwaniacko odpowiedzieć, że to pistolet służbowy US M17, ale pułkownik Yamin nigdy nie wydawała mi się osobą skłoną do tolerowania cwaniactwa.

– To przedmiot o wartości sentymentalnej – odrzekłem. – Otrzymałem tę broń na zakończenie okresu oddelegowania do Brygad Lazarus. Staroświecka pamiątka.

– Ale wciąż strzela pociskami. I trzymał ją pan wraz z kilkoma pełnymi magazynkami. Proszę nie mówić, że zamierzał pan stosować ją jako przycisk do papieru, kapitanie.

– Nie, pani pułkownik. Przywiązałem się do niej z powodu wspomnień. Ale nie zamierzam twierdzić, że w razie sytuacji awaryjnej nie rozważałbym jej przydatności.

– Nie jest pan żółtodziobem, kapitanie. Pamiętam pana dobrze z „Falangi”. Rozmawialiśmy przez chwilę na pokładzie obserwacyjnym niedługo przed bitwą.

– Pamiętam. Wylałem na panią sporo zółci w kwestii Arkadii.

Popatrzyła na mnie z nieznacznym uśmiechem błakającym się w kącikach ust.

– I czy wciąż ma pan te same zastrzeżenia do byłych renegatów?

Zastanowiłem się nad pytaniem Yamin i wzruszyłem ramionami.

– Do niektórych. Nie do pani. Dowodziła pani krążownikiem. Nie próbowała zabić mnie ani moich żołnierzy.

– Chciałabym sądzić, że nie wykonałabym takiego rozkazu – powiedziała. – Ale wykonałam inne, których nie powinnam. Jednak to ja muszę radzić sobie z konsekwencjami tych działań, nie pan.

Poklepała leżący na blacie pistolet.

– A skoro mowa o wykonywaniu rozkazów. Nie skończył pan szkoły oficerskiej wczoraj. Wie pan, że broń krótka, czy to osobista, czy regulaminowa, nie jest dozwolona na tym okręcie.

Pierwszy oficer przekazał to panu po zaokrętowaniu, prawda?

– Owszem, proszę pani. Po prostu postanowiłem zinterpretować ten rozkaz w elastyczny sposób.

– Jest pan oficerem. Tylko jeden stopień dzieli pana od oficera sztabowego. Wie pan dobrze, cholernie dobrze, że nie możemy ot tak interpretować rozkazów w elastyczny sposób. Jeśli każdy zacznie tak robić, równie dobrze możemy zamienić korpus w klub dyskusyjny.

W drodze tutaj przyzwyczajałem się do koncepcji dłuższego pobytu w areszcie i nie chciałem teraz dać dowódczyni wymówki, żeby kazała mnie zamknąć i wyrzucić klucz przez służbę. Jednak zważywszy wszystko, sytuacja wydawała mi się nieco absurdalna i nie mogłem się powstrzymać przed wyrażeniem niezadowolenia.

– Przyjmę konsekwencje, pani pułkownik. Rozmyślnie ominąłem przepisy. Wiem, że nie może pani tego tak zostawić. Ale cała ta sprawa jest po prostu głupia.

Yamin zmrużyła lekko oczy. Odchyliła się w fotelu i zastukała palcami w biurko.

– To znaczy, kapitanie?

– Od lat nosiliśmy broń krótką na okrętach. Wszyscy do niej przywykli. Wiem, że nic byśmy nią nie zrobili Dryblasom, gdybyśmy musieli katapultować się z nią na jakiś księżyc. Ale to odznaka niezawisłości. Dowód, że mamy choć trochę do powiedzenia w kwestii naszego losu, gdyby wszystko się spaprało. I kiedy zaczynaliśmy ją nosić, było to wielkie wydarzenie. Chodzi mi o to, że stało się to po Exodusie.

– Proszę kontynuować.

– Była to odznaka zaufania. Tego, że dowództwo nie traktuje nas jak niemądrych dzieci. Albo potencjalnych buntowników. Oznaka egalitaryzmu.

Wykonałem gest obejmujący pomieszczenie.

– Później zostaliśmy przydzieleni na ten wycieczkowiec. A ja

musiałem oddać broń, bo dowództwo mi nie ufa i sądzi, że mógłbym przedziurawić kulą kadłub albo przez przypadek postrzelić jakiegoś stażystę w pieprzonej mesie.

Przez chwilę zawładnął mną gniew i zacząłem mówić szybciej oraz głośniej.

– Moja praca polega na strzelaniu z wyrzutni tak potężnej, by dało się z niej zabić Dryblasów. Na rozwalaniu desantowców lub pojazdów opancerzonych. Na polu bitwy dysponuję konsolą kontrolną, dzięki której mogę zrzucić z orbity megatonowe głowice bojowe. Jeśli zawalę, atomówka spadnie na osadę cywilną lub na cały batalion PK. Lecz gdy wracam na pokład, moi zwierzchnicy nie ufają mi na tyle, żeby powierzyć mi jebany pistolet na fleszety. To nie ma nawet najmniejszego sensu. Nie dla kogokolwiek, kto w służbie stracił jakąś część ciała.

Podniosłem lewą dłoń i pomachałem palcami. Dwa z nich były dobrze skonstruowanymi protezami, ale w świetle panującym w gabinecie dowódczyni nieco się odróżniały. Wiedziałem, że już nigdy nie będę miał w nich normalnego czucia. Zawsze będę miał wrażenie, jakby ktoś oblał je płynnym opatrunkiem.

Pułkownik Yamin milczała, przyglądając mi się orzechowymi oczyma. Pierwszy raz miałem tę myśl, gdy poznałem ją przed trzema laty na pokładzie „Falangi”, a teraz znów do mnie wróciła – dowódczyni wyraźnie kojarzyła mi się ze starszą wersją Halley. Uświadomiłem sobie, że wciąż porównuję inne kobiety z żoną, czyli najsolidniejszą i najpewniejszą częścią mojego życia.

– Tak niewielu nas zostało – powiedziała w końcu cicho. – Tak niewielu przeszło przez wyżymaczkę. Zarówno z PK, jak i z Floty. Mój brat byłby już majorem. Może pierwszym oficerem na jakiejś fregacie. Każą nam zrezygnować z tyłu rzeczy...

Westchnęła i zebrała się w sobie, po czym wzięła pistolet i odłożyła na regał za sobą.

– Rozumiem pańskie argumenty. Nie mogę jednak zlekceważyć celowego złamania zasad bezpieczeństwa na moim



okręcie, kapitanie.

Szykowałem się na to, co zaraz powie. Mogłem mieć tylko nadzieję, że koje w areszcie są w miarę wygodne. A może będę musiał znów zamienić insygnia kapitana na paski podoficera.

– Nie zamierzam jednak przeciągać pod kilem odznaczonego weterana – ciągnęła. – Nie za niecały kilogram polimeru i stali schowany bezpiecznie w szafce. Wymierzam panu karę niesądową. Przepadek trzymiesięcznego żołdu bazowego oraz nagana w aktach osobowych. Oraz anuluję do końca dyslokacji przydział alkoholu. Czy zamierza pan odwoływać się od tego wyroku?

Przez chwilę czułem wywołane ulgą oszołomienie.

– Nie, pani pułkownik – odparłem. – Akceptuję karę.

– To dobrze – oznajmiła Yamin. – Poinformuję profosa. I proszę nie dać im powodu, żeby znów tu pana przywlekli. Wykorzystał pan właśnie jedyny kredyt mojej dobrej woli. Niech pan tego nie spieprzy.

– Rozumiem, pani pułkownik.

– Odmaszerować, kapitanie.

Opuszczałem gabinet dowódczyni bez kajdanek na rękach i wciąż z oznakami stopnia O-3 na mundurze, a więc znacznie powyżej swoich oczekiwań. Wciąż nie do końca rozgrzeszyłem pułkownik z tego, że przed czterema laty stanęła po stronie buntowników, ale po raz pierwszy przyznałem przed sobą, że tacy ludzie jak kapitan Beals mogą być wyjątkiem, a nie regułą wśród renegatów.

## Rozdział 12

# Nowe zabawki

**D**wa dni później, po sześciu tygodniach rejsu najkrótszą trasą, zacumowaliśmy przy stoczni na Tytanie. Choć nie oszczędzaliśmy paliwa, po dotarciu na miejsce nasze zasoby deuteru wciąż wynosiły osiemdziesiąt pięć procent, co oznaczało, że pod względem wielkości zbiorników „Ottawa” przewyższała wszystkie inne okręty Floty. Całą tę jednostkę zaprojektowano pod kątem długich, autonomicznych patroli w dalekiej przestrzeni bez potrzeby ciągnięcia ze sobą grupy zadaniowej do pomocy.

Sama stocznia nie była standardową stacją kosmiczną, nie wyposażono jej więc w placówki służące relaksowi po godzinach. Nawet nie opuszczaliśmy pokładu. Kontynuowaliśmy zwykły cykl wacht i treningów, gdy „Ottawa” uzupełniała paliwo oraz zapasy na nieznaną dalszy etap misji. Wiedziałem, że nie wracaliśmy jeszcze na Ziemię, ponieważ przebywaliśmy w kosmosie dopiero od półtora miesiąca, ale jeśli zamierzali sprawdzić, jak daleko typ Mściciel może dolecieć na jednym tankowaniu, dyslokacja mogła okazać się dłuższa niż nawet pesymiści przewidywali.

Drugiego dnia w doku całej drużynie taktyk specjalnych wyznaczono wspólne ćwiczenia na pokładzie lotniczym. Rozkaz przyszedł od pierwszego oficera, ale gdy próbowałem dowiedzieć się, co będziemy tam robić, nie znalazłem więcej szczegółów niż to, że czeka nas „zapoznanie ze sprzętem”, podejrzewałem więc, że dadzą nam do wypróbowania jakieś nowe, lśniące zabawki.

Nakazano stawić się w pełnym pancerzu bojowym. Przesłałem aktualizację harmonogramu wszystkim członkom drużyny i w odpowiedniej chwili udałem się w skorupie na miejsce.

– To jakieś cholerne science fiction – skomentował cierpko porucznik Brown, gdy zobaczył, co czeka na nas na środku pokładu lotniczego. Paru cywilnych techników i mechaników z Floty w kombinezonach roboczych kręciło się wokół szesnastu maszyn wyglądających jak owoc miłości ładowarki i lekkiego pojazdu opancerzonego. Były to solidnie napakowane egzoszkielety, wysokości jakichś trzech metrów, pomalowane w taki sam odblaskowy wzór tytanowej bieli z pomarańczowymi akcentami, jak okręt i desantowce. Szkoleniem kierował kapitan Floty z działu logistyki i zaopatrzenia.

– Witajcie – powiedział do nas, gdy zebraliśmy się przed półkolem machin. – Przyszliście tutaj, żeby zapoznać się z bojowym systemem wzmacniającym XM-5500. Siódmy pułk PK został wybrany na jednostkę testującą te maleństwa, zaś wy, jako specjalna drużyna wsparcia taktycznego, również musicie je znać, w razie gdybyście musieli z nich skorzystać.

Wskazał jeden z egzoszkieleatów.

– Jeśli testy pójną zgodnie z oczekiwaniami działu technicznego, czwarte plutony każdej kompanii PK zostaną przekształcone w plutony broni ciężkiej, każdy wyposażony w cztery takie cuda.

W naszej grupie rozległy się pomruki niedowierzania.

– Cztery egzoszkieleaty miałyby zastąpić trzydziestu sześciu trepów z karabinami i wyrzutniami rakiet? – powiedział jeden z moich kosmicznych ratowników. – Sir, próbowaliśmy już przed laty zabawy z mechami. W walce były do niczego.

– Prototypy mechów nie radziły sobie dobrze z ludzkim

przeciwnikiem – sprostował cywilny technik stojący obok kapitana z logistyki. Do białego kombinezonu miał przymocowaną kartę dostępową Floty z nazwiskiem „HIGGINS”.  
– To prawda. Były zbyt wysokie i za bardzo rzucały się w oczy na polu bitwy.

– Magnesy dla pocisków – dodał sierżant. – Nie można było się w nich położyć, no i miały cholerne problemy w nierównym terenie.

– To nie są stare prototypy – oznajmił cywil. – Te są znacznie mniejsze, wydajniejsze i skonstruowane do innych zadań. Mają walczyć z Dryblasami, nie z ludźmi.

Podszedł do najbliższego egzozkieletu i poklepał korpus.

– Tytan i laminaty z włókna węglowego. Ważą jedną trzecią tego, co dawne wersje, ale potrafią podnieść niemal tyle samo. Uznaliśmy, że nawet gdyby obłożyć je wieloma płytami pancernymi i naszpikować systemami niwelowania wstrząsów, nie wytrzymają bezpośredniego kontaktu w zwarciu z obcymi, więc nawet nie próbowaliśmy. Chodziło o projekt lekkiego wzmacniacza siły bojowej, a nie chodzący czołg. Pozwala biegać pięć razy szybciej i podnosić dwadzieścia razy więcej niż same wasze pancerze. Poza tym będziecie dysponować czterokrotnie większym zapasem tlenu oraz wbudowanym źródłem zasilania. I oczywiście całość robi znacznie większe bum.

Wskazał ramiona maszyny i klepnął jedno z nich od spodu.

– Standardowa szyna mocująca dla broni zespołowej. Zaprojektowaliśmy niezależne zasobniki dla uzbrojenia i amunicji, a sprzęt można w razie potrzeby zmienić w pięć minut. No i nawet gdy egzozkielety są w pełni wyposażone i obsadzone operatorami, wciąż pozostają na tyle lekkie, że do desantowca mieszczą się cztery.

Przed mechami ustawiono różne kapsuły. Higgins ruszył teraz wzdłuż nich i wskazywać je po kolei. Było oczywiste, że jest w pełni obeznany ze sprzętem wojskowym i najwyraźniej

pracował w zewnętrznej firmie badawczej.

– Musieliśmy pójść na pewne ustępstwa na rzecz mobilności, ale większość ciężkiej broni wykorzystywanej przez PK udało się zaadaptować na potrzeby zasobników. Tutaj mamy standardowe działko automatyczne kaliber dwadzieścia pięć milimetrów. Trzeba było nieco skrócić lufę, żeby zrobić miejsce dla kasety z amunicją i utrzymać się w limicie wielkości kapsuły, ale nie robi to różnicy w osiągnięciach na dystansie, na którym zwykle atakujecie Dryblasów pieszo.

– Ile pocisków mieści się w kasecie? – spytał porucznik Brown.

– Dwadzieścia cztery. Wiem, że to mniej niż w zwyczajnej wersji zespołowej mieszczącej sto, ale tu z kolei nie trzeba trzech ludzi do obsługi. Standardowy układ to dwanaście srebrnych kul i dwanaście burzących. Można zmieniać podawane pociski w dowolnej chwili, jak w wariancie zespołowym.

Pomruki moich ludzi zabrzmiały aprobowująco. Żołnierze uwielbiali broń, więc możliwość noszenia pod ręką armatki mocowanej zwykle na pojeździe sprawiała, że te egzozkielety wydawały się teraz zdecydowanie mniej niedorzeczne niż jeszcze przed kilkoma minutami.

– Zmodyfikowaliśmy także MARS-a, żeby działał z automatyczną ładownicą – kontynuował Higgins, podchodząc do kolejnego zasobnika, z którego wystawała charakterystyczna tępa lufa opływowej wyrzutni rakiet niekierowanych. – Z powodu rozmiarów pocisków do dyspozycji są tylko trzy strzały. Jeden w tubie i dwa w magazynku pod spodem. Ale jest też dobra strona: ładownica działa naprawdę szybko, więc przeładowanie zajmuje dwie i pół sekundy.

Cywilny technik omówił wszystkie pozostałe wersje leżących przed nami kapsuł. Niektóre wyglądały na przydatne, jak zestaw ze wzmocnionym sensorem i znacznikiem, który czterokrotnie zwiększyłby mój zasięg dla oznaczenia celów w stosunku do systemu wbudowanego w pancerz. Widziałem też działko

obrotowe małego kalibru z własnym źródłem zasilania i magazynkiem mieszczącym dwieście pięćdziesiąt bezłuskowych pocisków, automatyczny granatnik kaliber czterdzieści milimetrów, podobny do tych montowanych pod naszymi karabinami M-66, ale wyrzucający granaty pod wyższym ciśnieniem, zatem na dłuższy dystans, a nawet zasobnik strzelający pięćdziesięciometrowymi strumieniami łatwopalnego żelu, który po opuszczeniu lufy płonął w temperaturze tysiąca stopni. Większość kapsuł wydawała się raczej stanowić wcieloną w życie koncepcję niż rozwiązanie nadające się do stosowania w praktyce. Nie za bardzo potrafiłem sobie wyobrazić próbę atakowania drużyny piechoty za pomocą działka zamocowanego do trzymetrowego egzoszkieletu, który nie mógł się położyć ani schronić za niczym mniejszym niż budynek. Zdołałbym może opróżnić połowę magazynku, zanim ktoś potraktowałby mnie pociskiem przeciwpancernym albo próbował wywlec z wnętrza granatami wystrzeliwanymi z karabinu.

Po prezentacji mogliśmy wypróbować maszyny. Technicy i instruktorzy pokazali nam, jak wejść do środka i wpiąć się w ramę standardowym pancerzem bojowym. Sterowanie wydawało się maksymalnie uproszczone. W kołnierzach stabilizacyjnych w ramionach umieszczono drążki, które chwyciłem. Kołnierze wykrywały położenie dłoni i nacisk na drążki, a metalowe palce na końcu rąk egzoszkieletu powtarzały moje ruchy. Upewniłem się, czy mam wystarczająco miejsca po bokach, po czym wykonałem kilka ostrożnych kroków naprzód. Technologia budowy mechów musiała się solidnie poprawić w ostatnich latach, ponieważ w przeciwieństwie do ładowarek, których kiedyś używałem, nie dostrzegałem niemal żadnego opóźnienia pomiędzy moimi manewrami i powtarzaniem ich przez szkielec. Zapewne ważył ponad tonę, ale sprawiał wrażenie leciutkiego, ponieważ całą pracę wykonywały potężne serwomechanizmy. Jeden z techników dotrzymywał mi wciąż

kroku, gdy powoli obchodziłem pokład. Znajdowaliśmy się na jego linii środkowej i najbliższe pojazdy latające stały w odległości pięćdziesięciu metrów, mieliśmy więc mnóstwo przestrzeni, w razie gdyby komuś coś poszło nie tak z obsługą.

– I jak? – zapytał technik. – Wygląda na to, że pan już wszystko ogarnął.

– Nie różni się bardzo od ładowarki – odparłem. – Ale lepiej czuję ruchy. Są znacznie płynniejsze.

– Ma pan pełną żyrostabilizację. Szkielet pozostanie w pionie, dopóki nie każe mu pan zrobić inaczej. Proszę spróbować iść szybciej. Tylko niech pan zostanie na środkowej linii.

Zacząłem od lekkiego wydłużenia kroków, a później przyspieszyłem. Ruchy wydawały mi się tak gładkie, że miałem wrażenie, iż mógłbym biec, więc po jakichś dwudziestu metrach przeszedłem w lekki trucht, a mech posłusznie się podporządkował. Czuję się tak, jakby moje mięśnie zostały nagle potężnie wzmocnione.

– Świetnie! – zawołał technik, który został daleko w tyle przy obranej przeze mnie prędkości. Widziałem, jak serwisanci i piloci obracają się i obserwują mnie z boków, gdy przyspieszałem jeszcze bardziej, do pełnego biegu. Zupełnie jakbym nie miał na sobie zewnętrznego szkieletu. Błyskawicznie pokonałem sto metrów, po czym zwolniłem i zatrzymałem się, zanim zbliżyłem zanadto do zaniepokojonych mechaników obsługujących Dzierzby w rufowej części hangaru.

Odwróciłem się i pokazałem swojej grupie uniesiony kciuk, a mech powtórzył gest. Dwaj kolejni żołnierze weszli w szkielety i ruszyli w moim kierunku, równie ostrożnie, jak ja na początku. Przyklęknąłem na jedno kolano, a maszyna odpowiedziała takim samym ruchem, dotykając stawem kolanowym pokładu. Pod ramionami nie miałem zainstalowanej broni, ale mimo to wyciągnąłem prawą rękę w taki sposób, jakbym chciał celować. Mech płynnie powtórzył ten manewr. W takiej pozycji wydawał

się bardzo stabilną platformą uzbrojenia.

Podniosłem się i poszedłem z powrotem ku niepełnemu już półokręgowi egzoszkieleatów. W połowie drogi minąłem swoich sierżantów w mechach, obaj byli uśmiechnięci od ucha do ucha. Zaparkowałem maszynę na wcześniejszym miejscu.

– I co pan sądzi? – spytał Higgins.

– Naprawdę niezły sprzęt – odrzekłem.

– Biegnie maksymalnie osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, podnosi jeden i ćwierć tony, skacze na pięć metrów wzwyż. Gdybyśmy dziewięć lat temu mieli fundusze i możliwości badawcze na coś takiego, z Dryblasami poszłoby inaczej.

– Tego nie wiem. – Wdusiłem przycisk zwolnienia mocowań i zszedłem na podłogę. – Może gdybyśmy dysponowali tysiącem takich na pułk. Nie jestem pewien, czy cztery na kompanię zmienią ich status z „fajnie mieć” na „niezbędne”.

Spojrzałem znów na egzoszkieleat i poklepałem wewnętrzną wyściółkę balistyczną.

– Mimo to chcę takiego mieć – powiedziałem, a Higgins się uśmiechnął.

---

Spędziliśmy kolejną godzinę, biegając w mechach po pokładzie i używając treningowych zasobników z bronią, by wypróbować systemy celownicze. Nawet gdy pod ramieniem egzoszkieleatu wisiała stukilogramowa kapsuła, nie przeszkadzała. Serwomechanizmy były potężne i niemal bezszelestne, dzięki czemu maszyna wydawała się bardziej fizycznym przedłużeniem ciała niż w przypadku innych wzmocnień, z których dotąd korzystałem. W przeciwieństwie do naszych pancerzy bojowych, jedynie wspomagających ruchy, mechy mogły używać serwomotorów w sposób autonomiczny. Na jednej z grodzi pokładu lotniczego namalowano cele



kalibracyjne, żeby komputery desantowców mogły resetować systemy. Poleciałem treningowej broni, żeby najszybciej jak może wystrzeliła symulowaną trzypociskową serię w każdy z nich. Gdy zezwoliłem na automatyczne celowanie, mech przesunął moją rękę na pierwszy cel, później drugi i wreszcie trzeci, a wszystko to w przeciągu niecałych dwóch sekund.

Technicy powiedzieli nam, że można nawet zaprogramować trasę na tak-łączu i w sytuacji awaryjnej egzozkielet przejdzie ją na autopilocie.

– W sytuacji awaryjnej – rzekł porucznik Brown, mrugając do mnie. – Gdy tylko trepy dowiedzą się o tej funkcji, zaczną robić sobie długie drzemki na patrolu.

– Cholera, ja bym tak zrobił – odparłem. – Zawsze można kazać komputerowi się obudzić, jeśli coś wyskoczy na tak-łączu.

Gdy nasza sesja zapoznawcza dobiegła końca, z pewnym wahaniem zostawiłem mecha. Przez lata walczyliśmy z Dryblasami głównie jako piechota, ponieważ nie dysponowaliśmy prostym w transporcie mobilnym systemem opancerzenia, na tyle małym, żeby zmieścił się do desantowca, a jednocześnie wystarczająco dużym, żeby mógł się do czegokolwiek przydać. Egzozkielety nie potrafiły działać tyle co Muły ani nie robiły takiego wrażenia jak mały pojazd rozpoznawczy Eurokorpusu, ale lepiej było iść do walki w nich niż na własnych nogach, na dodatek ciągnąc za sobą tylko tyle sprzętu, na ile pozwalało pasywne wspomaganie pancerza. Stanowiły dowód, że kontynuowano badania nad próbami wymyślania coraz lepszych sposobów zabijania obcych, ale gdzieś w głębi czułem lekką złość, że nie użyliśmy ich już na Marsie. Nawet gdy naszemu gatunkowi groziło unicestwienie, rządowa biurokracja miała sprawy równie wolno jak zawsze. Gdybyśmy mogli wsadzić do pancerzy bojowych ludzi zajmujących się budżetami i przetargami na wyposażenie, a następnie kazać im uczestniczyć wraz z nami w każdym

desancie, zatwierdzenie i wydawanie nowego sprzętu  
zajmowałyby tylko tydzień lub dwa.

## Rozdział 13

# Niski poziom trudności

**D**o wszystkich, uwaga. Mówi dowódca.

Właśnie skończyłem poranną toaletę, gdy z radiowęzła dobiegł głos pułkownik Yamin. Usiadłem przed ekranem terminalu z ręcznikiem, żeby wytrzeć twarz i posłuchać, co szyper miała do powiedzenia. Znajdowaliśmy się trzy dni drogi od stoczni na Tytanie, z pełnymi zbiornikami paliwa i uzupełnionymi zapasami, a młyn plotek wirował jak szalony, odkąd odcumowaliśmy. Halley przewidywała powrót z wysoką prędkością na Ziemię, ale ja nie sądziłem, żebyśmy zabierali tyle z Tytana tylko po to, by wycofać się do domu. „Ottawa” miała niesłychanie długie nogi i dowództwo na pewno chciało sprawdzić, jak bardzo da się je rozciągnąć.

– Okręt uzupełnił zapasy i paliwo przed kolejnym etapem naszego dziewiczego rejsu. Wrócimy teraz do wewnętrznej części układu na pełnej mocy wojskowej, żeby sprawdzić reaktory w trudnych warunkach oraz zweryfikować konsumpcję paliwa. Jeśli nie pojawi się konieczność powrotu do domu celem przeprowadzenia napraw, następnie przetestujemy napęd Alcubierre’a, dokonując wyjścia z systemu.

Żołądek skurczył mi się nieco na tę wiadomość. W ciągu ostatnich trzech lat wypuszczaliśmy kilkakrotnie okręty poza Układ Słoneczny, żeby przeprowadziły zwiad i nawiązały na nowo kontakt z koloniami, które według naszych informacji były bezpieczne przed bitwą o Marsa. Ekspedycje te wiązały się jednak z wysokim ryzykiem z powodu prawdopodobieństwa

spotkania z Dryblasami bez naszej najlepszej broni. Rakiety Orion pierwszej generacji nie mieściły się na okrętach i nie dawało się ich przeciągnąć przez komin Alcubierre'a na holu, zaś „Archangielsk” nie mógł opuścić systemu, ponieważ jeszcze do niedawna stanowił główny element naszego systemu obrony Ziemi.

– Żeby sprawdzić możliwości podróży długodystansowej tej jednostki, przejdziemy do systemu Leonidas – ciągnęła dowódczyni. – Po dotarciu do wewnętrznej części systemu rozpoczniemy ćwiczenie szturm planetarnej. Wejdziemy do układu, przeprowadzimy zwiad, przelecimy do kolonii Arkadia i wykonamy podręcznikową ofensywę szkoleniową na symulowane pozycje wroga w mieście Arkadia i jego okolicach.

Skończyłem wycierać twarz i odwiesiłem ręcznik, starając się przetrwać usłyszane właśnie informacje.

Leonidas.

– Chyba sobie żartujesz – powiedziałem na głos w pustej kajucie.

Z technicznej perspektywy miało to sens – wiedzieliśmy, że Leonidas jest bezpieczną kolonią, na dodatek stanowił najdalszy cel, do którego mogliśmy dotrzeć przez Alcubierre'a – jednak na myśl o powrocie do miejsca, gdzie straciłem jedną czwartą plutonu i niemal stałem się wdowcem, z miejsca ogarnęła mnie groza. Choć Arkadia była piękna, miałem nadzieję, że już nigdy nie zobaczę jej na własne oczy. Ładunek nuklearny, który SEAL podłożyli pod główną elektrownię fuzyjną pod stolicą, był mały, jedynie półtony, jednak naziemna eksplozja sprawiła, że poziom promieniowania w mieście wróci do normy dopiero za jakieś sto lat.

– Ponieważ przejście do Leonidasa zajmie trzy cykle wacht, zajmiemy stanowiska bojowe dopiero na godzinę przed przybyciem na miejsce. Do tego czasu obowiązuje procedura standardowa. Wszyscy szefowie działów mają rozpocząć

planowanie ćwiczenia pod względem operacyjnym, zaś cykle treningowe mają trwać do momentu wejścia w komin Alcubierre'a. To na razie wszystko. Dowódca bez odbioru.

Pozostałem na krześle, przez dłuższą chwilę wpatrując się w pusty wyświetlacz. Następnie włączyłem go i wywołałem ekran sytuacyjny. Mała ikonka oznaczona „BCV-60” znajdowała się na środku diagramu, kilka milionów kilometrów od Saturna, a przerywana linia planowanego kursu wiodła z powrotem do wnętrza układu. Cieszyłem się, że podczas drogi powrotnej nie trafimy w pobliże Marsa, bo już dość się napatrzyłem na to cmentarzysko, żeby wystarczyło mi do końca służby.

„Ottawa” była najprzyjemniejszym i najbardziej luksusowym okrętem, na którym stacjonowałem, ale wszystko na jej pokładzie wydawało się aż nazbyt proste. Dysponowałem natychmiastowym dostępem do sieci, na dodatek o tak szerokim paśmie, że mogliśmy wysyłać do siebie wiadomości wideo zamiast niedługich tekstów. Po latach marudzenia na ciasne kwatery i paskudne żarcie wydawało się głupio narzekać na świetne wyżywienie i przestrzeń, ale jak dla mnie wszystkie te czynniki sprawiały, że „Ottawa” wydawała się nierzeczywista, jakby była latającą strefą rekreacyjną z naprawdę świetnymi symulatorami bojowymi, a nie jednostką przeznaczoną do walki. W ten schemat wpisywała się nawet strzelnica w Krainie Trepów. Nie miała sekcji dla ostrej amunicji, gdzie można było spalać prawdziwy materiał pędny i wystrzeliwać prawdziwe pociski. Całość odbywała się wyłącznie na bazie broni symulowanej, z holograficznymi celami i stojakami pełnymi treningowych wersji naszego standardowego uzbrojenia. Pod względem dotyku i zachowania wszystko to było jak rzeczywiste, a ładunki gazowe dawały realistyczny odrzut, ale nie potrafiłem

pozbyć się wrażenia, że z lufy wylatuje jedynie słaby promień laserowy, a nie umieszczona w sabocie strzałka.

Gdy nie pełniłem służby, spędzałem tyle czasu z Halley, ile tylko oboje mogliśmy jednocześnie wygospodarować. Jednak po dziesięciu tygodniach dyslokacji stwierdzałem, że jestem naraz znudzony i zestresowany. Zdarzały mi się już takie stany, ponieważ nie miałem wyjścia i po niemal dziesięciu latach skakania po zasiedlonej galaktyce musiałem nauczyć się z nimi radzić, jednak tym razem odczuwałem je w większym stopniu. Nie pragnąłem walki i niebezpieczeństwa, ale wydawało mi się bezcelowe, że wszyscy znajdowaliśmy się tutaj, że zabieraliśmy najlepszy sprzęt Floty i jej najbardziej fachowych ludzi na trzymiesięczną przejażdżkę na zadupie w pobliżu Saturna i z powrotem. Nie przyznawałem się do tego przy Halley, ale gdy wrócimy do wewnętrznej części Układu Słonecznego i tylko godziny będą nas dzielić od komina Alcubierre'a prowadzącego do Leonidasa, nie będę mógł doczekać się opuszczenia systemu po raz pierwszy od niemal czterech lat, bo istniała szansa, że coś pójdzie nie tak.



– Uwaga, uwaga. Wejście w Alcubierre'a za trzydzieści minut. Powtarzam: wejście w Alcubierre'a za trzydzieści minut.

Komunikat z radiowęzła brzmiał tak swobodnie, jakby pierwszy oficer zapowiadał właśnie zamieszczenie pokładu lotniczego. Po raz pierwszy w swojej karierze we Flocie słyszałem zapowiedź wlotu w komin bez uprzedniego zawiadomienia o konieczności zajęcia stanowisk bojowych. Zawsze gdy okręt wkraczał do innego systemu, załoga przechodziła w stan podwyższonej gotowości, bo nigdy nie było pewności, na co się natknie w układzie docelowym. Tym razem jednak zabrzmiało to tylko jak błaha informacja z BCI, jedynie

zwiększająca ogólne wrażenie oderwania, jakie czułem od chwili postawienia stóp na „Ottawie”.

Podjąłem odprawę, jaką prowadziłem, gdy komunikat przerwał mi wypowiedź. Po minach na twarzach członków mojej drużyny taktyk specjalnych widziałem, że niektórzy z nich podzielali moją niewielką konsternację wywołaną taką zmianą procedury.

– Trzydzieści minut do akcji – powiedziałem. – No, powiedzmy. Przejście potrwa dwadzieścia cztery godziny. I wszyscy pamiętamy, co ma się dzieć po drugiej stronie komina. Ale poza tym jest zupełnie tak, jakbyśmy szli na wojnę.

Starsi podoficerowie zachichotali lekko i wymienili rozbawione spojrzenia.

– Ale do rzeczy – kontynuowałem. – Ta operacja jest standardowym, podręcznikowym desantem orbitalnym. Zrzucamy cały pułk w mieście Arkadia i jego okolicach w jednej fali za pomocą dwóch eskadr desantowców, podczas gdy „Ottawa” zapewnia wsparcie orbitalne. Pułk będzie od góry chroniony eskadrami szturmowymi, więc kontrolerzy walki będą mieli sporo roboty.

Wyświetliłem listę przydziałów na ekranie za mną.

– Chorąży Taggart desantuje się z kompanią Alfa pierwszego batalionu. Chorąży Garcia z kompanią Alfa drugiego batalionu. Sierżant Winters z kompanią Bravo pierwszego batalionu...

Przeszedłem przez całą listę według kolejności starszeństwa i rozdzieliłem swoich kontrolerów walki w taki sposób, żeby każdy trafił do sekcji dowódczej kompanii i żeby z każdą kompanią desantował się jeden kontroler. Ostatnia na liście była kompania Delta drugiego batalionu, a ostatnim nieprzydzielonym nazwiskiem w mojej drużynie – sierżant sztabowa Lang, jedyna kobieta w gronie kontrolerów walki.

– Sierżant Lang – oznajmiłem. – Lecicie z kompanią Delta drugiego batalionu. Dowodzi nią moja stara przyjaciółka, kapitan

Hansen. Zna się na swoim fachu. Pokażcie jej, że my znamy się na naszym.

– Tak jest, sir – odparła Lang. Z poważną i szczerą miną zerknęła na swój OTI, żeby skopiować dane. Jej stopień oznaczał, że opuściła szkołę kontrolerów walki niezbyt dawno temu, zatem nie miała jeszcze za sobą desantu bojowego, ponieważ nie dokonywaliśmy zrzutów od czasu Marsa. Cykl szkoleniowy w naszej specjalizacji był ekstremalnie wymagający, zarówno pod względem fizycznym, jak i mentalnym. Osiemdziesiąt procent kursantów wykruszało się z różnych powodów. Fakt, że sierżant Lang miała w kieszeni na nodze czerwony beret, dowodził, że była twarda jak worek cegieł i odporna psychicznie. Wiedziałem jednak, jak to jest przed pierwszym desantem, mogłem więc sobie mniej więcej wyobrazić, co działo się w jej głowie, nawet jeśli szykowaliśmy się tylko do zrzutu treningowego.

– Gdy znajdziemy się już w systemie, skontaktujemy się z miejscowym garnizonem i od tej chwili wejdziemy w pełny tryb ćwiczebny. Zwiad, a później ciąg jak najkrótszą trasą do Arkadii i szturm całym pułkiem. Wchodzimy na całego i walimy ze wszystkiego, co mamy. Obszar wokół miasta Arkadia jest strefą zastrzeżoną o promieniu stu kilometrów, więc nikt nie wejdzie nam w szkodę, gdy będziemy strzelać do symulowanych Dryblasów. Promieniowanie na terenie gruntu nie jest jednak symulowane. Ci z was, którzy nie przechodzili ostatnio przez procedurę dekontaminacji, będą mieli świetną okazję, żeby ją sobie przypomnieć.

Przy ostatnim zdaniu wcisnąłem w swój głos trochę fałszywej wesołości i zostałem nagrodzony jękami oraz cichym narzekaniem. Dekontaminacja była żmudna i w sposób oczywisty odbywała się pod sam koniec misji, gdy wróciło się już na pokład lotniczy po desancie, zmęczonym, spoconym i gotowym na żarcie oraz dwanaście godzin nieprzerwanego snu.



Nie dało się jednak po prostu zasymulować odkażania, ponieważ grunt wokół dawnej stolicy kolonii naprawdę był napromieniowany.

– Dostałem z góry wieści w kwestii startów kapsuł – ciągnąłem i natychmiast wszyscy znów zwrócili na mnie uwagę. – Szefostwo zdecydowało, że wykonamy symulowane starty. Kontrolerzy walki wylądują wraz z dowództwem przydzielonych im kompanii i pozwolimy komputerowi zdecydować, czy wasze kapsuły zostawiły po sobie dymiący krater, czy też nie. Przykro mi, jeśli chcieliście dodać sobie kolejny zaliczony skok.

Moje informacje wywołały jeszcze bardziej ponurą reakcję niż wcześniejsze o dekontaminacji. Starty kapsuł były niebezpieczne, ale stanowiły nasz chleb powszedni, cechą charakterystyczną naszej profesji, i większość ćwiczeń na dużą skalę obejmowała rzeczywiste starty. Z powodu ryzyka każde wystrzelenie w lądowniku liczyło się do sumy rzutów, zarówno te bojowe, jak i ćwiczebne. Wszyscy sierżanci sztabowi z mojej grupy wciąż mieli brązowe odznaki za desant, przyznawane po pięciu rzutach. Poziom srebrny oznaczał dwadzieścia desantów, a na złoty trzeba było poczekać do pięćdziesięciu. Ostatnie trzy lata nie były dobrym okresem do zaliczania skoków. Dla kogoś z zewnątrz mogłoby się to wydawać drobną i nieznaczącą kwestią, ale wymiana brązowej odznaki najpierw na srebrną, a później na złotą stanowiła jeden z ostatnich rytuałów przejścia, jakie spotykały kontrolera walki. W dniu, w którym otrzymywało się złoto, stawiało się drinki całej grupie kapsli na łajbie, na której się znajdowało.

– Zatem start jest symulowany, czyli zapoznajecie się z przydzielonymi wam strefami i zgłaszacie się do dowódców kompanii, gdy tylko będziecie mogli, najlepiej zanim rozpoczniemy przejście do Leonidasa. Jedzicie taksówką na dół, sprawdzacie na tak-łaczku, czy wasza symulowana kapsuła dotarła w jednym kawałku, i zabieracie się do pracy. Na niebie

będą cztery eskadry uderzeniowe szukające zajęcia, zapewnijcie więc im robotę i nie pozwólcie, żeby coś się zderzyło ze sobą w powietrzu. Za takie coś dostaniecie negatywne oceny.

Podoficerowie nagrodzili ten komentarz cichymi chichotami.

– Wysłałem wam aktualizację z harmonogramem zmian na stanowisku w BCI aż do chwili desantu. To wszystko dla kontrolerów walki – kontynuowałem. – Teraz głos przejmie porucznik Brown, który przekaże informacje kosmicznym ratownikom.

Skinąłem głową Brownowi, który podniósł się z krzesła w pierwszym rzędzie sali odpraw i podszedł do mównicy. Oddałem mu miejsce i zająłem siedzisko, które właśnie opuścił. Gdy porucznik omawiał przydziały dla swoich ośmiorga podkomendnych oraz zadania czekające ich w zbliżającym się ćwiczeniu, robiłem notatki na OTI i wymieniałem kilka wiadomości z Halley.

Wygląda tak cholernie młodo – przyłapałem się na takiej myśli, gdy Brown rozdawał swoim podoficerom rozkazy. Jako podporucznik był w służbie od mniej niż czterech lat i jeśli jakiegoś okresu po szkole nie spędził na obijaniu się, miał najwyżej dwadzieścia pięć lat. Dysponowałem nad nim zaledwie niewielką przewagą wieku, ale obecnie to ja byłem najstarszy w pomieszczeniu i jedynie dwóch chorążych z mojej ekipy wyglądało, jakby mogło mieć dłuższy staż niż ja.

Gdy wstępowałem do wojska, to kapitanowie i majorowie byli starzy. Po poborze spodziewałem się wielu rzeczy, ale pewno nie tego, że sam stanę się jednym z nich. Kiedy skończyliśmy z Halley szkolenie przygotowawcze, poważnie sądziliśmy, że odsłużymy tylko pierwszy kontrakt i odejdziemy z pieniędzmi. Za każdym razem, gdy wracałem myślami do tych dwojga naiwnych, rozmarzonych dzieciaków, którymi wtedy byliśmy, czułem dla nich sporo litości. Wydawało im się, że wygrali na loterii, że złapali wszechświat za jaja. Zamiast tego zostali wtrąceni

w maszynkę do mięsa. A teraz nie byliśmy już dzieciakami, tylko tym, co wyszło w końcu z tej maszynki, uformowanym w inne kształty.

Kierując się kaprysem, napisałem do Halley:

*Czujesz się czasami stara?*

Odpowiedź nadeszła zaledwie po chwili:

*Każdego cholernego dnia.*

## Rozdział 14

# Gry wojenne

**W**yjście z Alcubierre'a za pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Przejście zakończone.

Uczucie lekkiego bólu w kościach charakterystyczne dla przelotów kominem Alcubierre'a zniknęło, gdy tylko znaleźliśmy się po drugiej stronie. Przez trzy lata zapomniałem, jak bardzo nie lubiłem tego uczucia, kojarzącego mi się z siedzeniem bez końca w fotelu dentystycznym.

- Tablica zielona. Wszystkie działy zgłaszają gotowość.
- Status paliwa? – spytała pułkownik Yamin.
- Siedemdziesiąt jeden procent paliwa do reaktorów – odparł pierwszy oficer po sprawdzeniu danych na ekranie.

Cholera, pomyślałem. Stara fregata „Berlin” zeszła po takim samym przejściu do jedenastu procent, a przecież przed wlotem w komin została dotankowana pod korek. Niedawno dotarliśmy od Saturna do punktu początkowego tunelu i nawet nie zużyliśmy zapasów do połowy. Albo okręt wyposażono w niezwykle wydajne reaktory, albo też ćwierć objętości kadłuba zajmowało paliwo.

- Skan sensorami pasywnymi – rozkazała dowódczyni ze swojej pozycji w zagłębieniu przy holostole. – Astrogacja, proszę o namiar.

- Tak jest – odrzekł oficer astrogacyjny.

Po chwili diagram na holostole ukazał naszą bieżącą pozycję w systemie. Wstrzymałem na moment oddech, ale w okolicy nie wyskoczyły żadne pomarańczowe ikony.

– Przejście udane. Jesteśmy w układzie Leonidas, zgodnie z planem.

– Wygląda na to, że w stoczni nic nie spaprali z Alcubierre'em – rzekła pułkownik Yamin. – Proszę o otwarcie linii radiowężła.

– Linia otwarta, pani pułkownik.

– Do wszystkich: uwaga – odezwała się Yamin do mikrofonu, a ja wiedziałem, że jej wzmocniony głos dobiega właśnie z każdego głośnika i OTI na okręcie. – Mówi dowódca. Jesteśmy w systemie Leonidas. „Ottawa” zakończyła właśnie przejście na odległość stu pięćdziesięciu lat świetlnych. Zobaczmy, co ten szczeniaczek potrafi, jeśli zdejmie mu się kaganiec. Do wszystkich: wykonywać przydzielone zadania w taki sposób, jakby Dryblaszy naprawdę chcieli nam się dobrać do skóry. Manewry Floty o kryptonimie „Pegaz” rozpoczynają się w tym momencie. Dowódca bez odbioru.

Scenariusz na stole holograficznym wydawał się niepokojąco znajomy. Diagram na „Portsmouth” wyglądał niemal identycznie, gdy ponad trzy lata temu zakradliśmy się do tego systemu z siłami specjalnymi, ale tym razem widzieliśmy lokację kolonii. Wówczas minęło sporo czasu, zanim wysłedziliśmy Arkadię, zbudowaną w tajemnicy na trzecim księżycu trzeciej planety, w wewnętrznej części układu, za osłoną pasa asteroidów.

– Sprawdzić kierunek rotacji Posterunku Campbell i wysłać im powitanie na wąskim paśmie słabej mocy, gdy obrócą się do nas. Zapewne wiedzą już o naszej obecności, ale uprzejmie jest zapukać.

Posterunek Campbell był placówką nasłuchową umieszczoną na dużej asteroidzie po zewnętrznej stronie pasa. Zbudowano ją po to, żeby monitorowała ruch w układzie i służyła za mechanizm wczesnego ostrzegania w razie inwazji Dryblasów. Przed trzema laty znajdowałem się na okręcie desantowym, który wysadził przy niej kilka drużyn PK, żeby zapobiegły przesłaniu ostrzeżenia na Arkadię. Asteroida pozostawała

w ruchu obrotowym i ku środkowi systemu kierowała się jedynie co siedemdziesiąt jeden minut. Był to błąd taktyczny, ponieważ w najgorszym scenariuszu potencjalny intruz miałby przewagę siedemdziesięciu minut, kiedy posterunek nie nasłuchiwałby z odpowiedniej strony, jednak wszelkie nadawane przez stację komunikaty były chronione przed jednostkami lecącymi od komina, bo kilka milionów ton skały całkowicie blokowało sygnał.

Poprzednim razem wykorzystaliśmy tę martwą strefę, żeby podejść niewykrywalnym desantowcem do stacji od ciemnej strony, po czym przeprowadzić udane wejście i neutralizację. Od tego czasu placówkę przebudowano w taki sposób, żeby służyła za wysunięty punkt obserwacyjny, system wczesnego ostrzegania i przekazywania namiarów celowniczych dla arkadyjskiej baterii rakiet Orion. Broń ta była zbyt duża, żeby dało się ją w całości zapakować na pokład jednostki i przewieźć przez komin Alcubierre'a, ale inaczej wyglądała sprawa z jej elementami, a na Arkadii nie brakowało wody do wykonania głowic bojowych oraz orbitalnej stoczni do złożenia części w całość. Nie licząc Ziemi, było to jedyne z naszych osiedli z sensownym autonomicznym systemem obrony przeciwko okrętom nasiennym i przez ostatnie trzy lata stopniowo zasilaliśmy je ochotnikami.

– Posterunek Campbell potwierdza odbiór naszego kodu transpondera Floty – oznajmił oficer łącznościowy. – Odpowiadają, że wszystko w porządku, pani pułkownik.

– Bardzo dobrze. Proszę ich poinformować, że zamierzamy rozpocząć zaplanowane manewry oraz by przy kolejnej rotacji powiadomili wieżę kontrolną Arkadii, że po zakończeniu skanowania rozpoznawczego ruszymy ku nim ostrym ciągiem.

– Tak jest.

– Rozgrzać i rozesłać ptaszki zwiadowcze. Tryb nadawania na żywo. Chcę po sześć po obu stronach naszego przewidywanego

kursu na Arkadię w promieniu stu osiemdziesięciu stopni od płaszczyzny ekliptyki systemu. – Pułkownik Yamin oznaczyła ścieżki dla dronów na holostole. – Chcę mieć pewność, że w wewnętrznej części układu nie ma nic, co nadaje identyfikację inną niż Flota. Wypuścić je najdalej, jak tylko zdołają dolecieć.

Drony rozpoznawcze, podobnie jak niemal wszystko inne na tym okręcie, były zupełnie nowym sprzętem opracowanym ze znaczną pomocą Eurokorpusu, który dysponował najlepszą technologią zwiadowczą na Ziemi, i dopóki nie zaczęła nam zagrażać zagłada naszego gatunku, nie podchodzili zbyt przychylnie do pomysłu podzielenia się swoją wiedzą z nami lub ZCR. Jednak teraz, gdy za pieniądze i technikę płaciliśmy doświadczeniem, wszystkie gadzety zaprojektowane po to, by mniejsza europejska armia mogła się liczyć na naszej ojczystej planecie, zaczynały okazywać się bardzo przydatne przeciwko Dryblasom.

– Wystrzeliwuję drony zwiadowcze z wyrzutni od jeden do osiem w trybie nadawania na żywo. Pierwszy klucz w drodze – oznajmił porucznik ze stanowiska wywiadu elektronicznego. – Ładuję drugi klucz.

– A teraz czekamy – rzekła dowódczyni. Wpatrywała się bacznie w diagram, choć nie było na nim widać nic oprócz zmieniających się znaczników skali i niebieskich symboli dronów formujących kształt parasola przed naszą spodziewaną trajektorią. – Nie chciałabym natknąć się tu na okręt nasienny, gdy będziemy mieć na dole cały regiment z pociskami ćwiczebnymi w magazynkach.

– Ja też nie, pani pułkownik – zgodził się pierwszy oficer i widziałem, że niemal wzdrygnął się na tę myśl.



Druga fala dronów opuściła wyrzutnie trzydzieści sekund

później i dołączyła do roju, który oddalał się od środka diagramu w formacji półkolistej. W ciągu kolejnej półgodziny nasza strefa widzenia zwiększyła się czterokrotnie, gdy pasywne systemy rozpoznawcze dronów skanowały przestrzeń przed nimi i przesyłały dane z powrotem na okręt. Ich systemy napędowe były tak osłonięte, że małe urządzenia szpiegowskie pokazywały się jedynie przy transmisji impulsowej. Próbowałem wyłapywać je matrycami „Ottawy”, ale niezależnie od tego, jakiego spektrum używałem, drony okazały się niewidzialne, gdy znalazły się w odległości większej niż kilka kilometrów. Gdyby takie właściwości maskujące nadać pasywnie kierowanym rakietom z głowicami przeciwokrętowymi, skutki okazałyby się śmiertelne.

Zacząłem się zastanawiać, ile kosmicznych jednostek Eurokorpusu posiada właśnie takie małe wybuchowe maleństwa w wyrzutniach w charakterze polisy ubezpieczeniowej. „Ottawa” dysponowała pancierzem reaktywnym i doskonałym systemem obrony aktywnej, ale wszelkie inne okręty Floty zamieniłyby się w gwałtownie rozszerzającą się chmurę pyłu, gdyby wpadło na nie kilkanaście takich dronów. Może i Europejczycy patrolowali Układ Słoneczny jedynie korwetami i fregatami, ale uznałem, że nie chcę wiedzieć, jak nasze większe jednostki poradziłyby sobie z nimi w walce.



Przez kilka następnych godzin sunęliśmy niespiesznie w kierunku wnętrza systemu, podczas gdy drony rozpoznawcze rozpraszały się na maksymalny zasięg. Obszar ich skanowania objął wkrótce Arkadię oraz planetę, wokół której krążył ten księżyc, czyli Leonidasa c. Jedno z urządzeń przeleciało w promieniu pięciuset kilometrów od orbitalnej stoczni i skwapliwie odesłało listę zacumowanych tam jednostek.



Z zaskoczeniem stwierdziłem, że choć miały wyłączone transpondery, dron zidentyfikował każdą z nich nie tylko po typie, lecz również numerze bocznym i nazwie. Przy Arkadii stacjonowało obecnie sześć jednostek: fregaty „Lethe” i „Acheron”, krążowniki kontroli przestrzeni „Gladius” i „Olimpia”, statek pomocniczy „Manchester” i lotniskowiec „Polluks”. Całość tej flotyli garnizonowej składała się na największe siły Floty poza Układem Słonecznym, jednak choć były to nowoczesne okręty, wypchane po brzegi amunicją nuklearną, to gdyby nie orbitalne baterie rakiet Orion, nie na wiele zdałyby się przeciwko Dryblasom.

Drony dotarły już niemal do końca wyznaczonej trasy, gdy na ekranie pojawiła się kolejna niebieska ikona, dziesięć kilometrów od Arkadii. Urządzenie zidentyfikowało ją jako fregatę „Styks”, patrolującą wewnętrzną część systemu pomiędzy planetami Leonidas c oraz b.

– No to mamy komplet – obwieścił oficer od wywiadu elektronicznego. – Ptaszki rozpoznawcze dotarły do końca smyczy.

– Proszę je wycofać i zaparkować przy Arkadii – nakazała pułkownik Yamin. – Zgarniemy je, gdy tam dotrzemy. Nie ma sensu marnować ich paliwa, jeśli i tak się z nimi spotkamy. Sternik, wyznaczyć najkrótszy kurs na Arkadię i dać po garach. Pełna moc wojskowa.

– Tak jest, pani pułkownik. Pełna moc wojskowa.

Po rozkręceniu silników „Ottawa” zerwała się niczym biegacz ruszający z bloków startowych. Dawniej zanim niezwykle wydajne reaktory fuzyjne pozwoliły stosować sztuczną grawitację, członkowie załóg statków kosmicznych musieli znosić przyspieszenie swoich jednostek, przypięci do odpowiednich foteli, co ograniczało maksymalną akcelerację do takiej, jaką mógł wytrzymać ludzki organizm. Wciąż istniała granica tego, co były w stanie zrekompensować płyty antygravitacyjne, nie

wysysając przy tym całą moc z reaktora, ale znajdowała się ona znacząco wyżej niż przy staroświeckich metodach podróży kosmicznych.

– Przyspieszenie na poziomie dwudziestu g. Czas do odwrócenia ciągu: jedna godzina jedenaście minut.

– Trzymać kurs – oznajmiła pułkownik Yamin. – A teraz zacznijmy się szykować do tych gier wojennych i udawajmy, że czeka nas walka z prawdziwym przeciwnikiem.



Gdy przed trzema laty znajdowałem się na podejściu do Arkadii w maskowanym okręcie desantowym, sunęliśmy siłą bezwładności, żeby oszczędzać paliwo i uniknąć wykrycia, więc zajęło to nużące dwadzieścia trzy godziny. „Ottawa” na otwartej całkowicie przepustnicy pokonała tę samą trasę w mniej niż jedną dziesiątą tego czasu. Po godzinie i jedenastu minutach od włączenia ciągu okręt obrócił się, żeby skierować silniki w kierunku naszego celu i zwalniać przez drugą połowę podróży.

Byliśmy w przestrzeni pozasłonecznej, nie symulowaliśmy więc pełnej ofensywy na Arkadię z pomocą uzbrojenia okrętowego. W BCI wpatrywaliśmy się w rzeczywistą próżnię, a nie w generowanych komputerowo nieprzyjaciół. Na potrzeby ćwiczenia przyjęliśmy scenariusz początkowy, że „Ottawa” zdołała już zniszczyć na orbicie okręt bądź okręty nasienne i przeszliśmy od razu do desantu. Na trzydzieści minut przed tym, jak osiągnęliśmy geosynchroniczną pozycję postojową na orbicie nad miastem Arkadia, pierwszy oficer zainicjował działania dla eskadr szturmowych i Piechoty Kosmicznej.

– Uwaga – odezwał się do radiowęzła. – Trzydzieści minut do skoku. Do wszystkich sił naziemnych: zająć miejsca w przydzielonych jednostkach transportowych. Powtarzam: wszystkie siły naziemne do przydzielonych jednostek

transportowych. Czekać na start pierwszych skrzydeł szturmowych.

Procedura wyglądała podobnie przy każdej operacji desantowej na większą skalę, ale zwykle obserwowałem ją z pokładu lotniczego, szykując się do zrzutu wraz z pierwszymi siłami, albo też ze strefy kapsuł, jeśli jechałem na dół szybką windą. Trzydzieści minut przed desantem plutony PK wsiadały na swoje okręty, a eskadra Dzierzb wchodziła w klamry startowe. Gdy tylko osiągnęliśmy pozycję na orbicie, dwa skrzydła Dzierzb startowały i leciały przed desantowcami, oczyszczając dla nich strefę lądowania. Następnie szła fala okrętów desantowych – szesnaście jednostek i w każdej z nich jeden pluton PK. W zależności od tego, jak wyglądała sytuacja na ziemi po pierwszej fali, druga była wysyłana w takim samym układzie albo też kolejnych szesnaście desantowców wyruszało od razu, bez eskorty Dzierzb.

Wiedziałem, że po tylu miesiącach spędzonych wyłącznie na treningach w symulatorze i konserwowaniu samolotów piloci niecierpliwą się, żeby zagonić swoje ptaszki do roboty i wylatać kilka prawdziwych godzin w powietrzu, nawet jeśli mieli korzystać wyłącznie z amunicji ćwiczebnej. W normalnych okolicznościach wolałbym desantować się wraz z pierwszą falą i odetchnąć świeżym powietrzem, zamiast wgapić się w ekrany w BCI, jednak teraz polem naszych manewrów miało być miasto Arkadia. Mieszkańcy porzucili je, gdy atomówką rozwaliliśmy im elektrownię, i niemal wszystkie budynki były nienaruszone, całość składała się więc na wielki i realistyczny ośrodek treningowy walki miejskiej. Kiedy jednak przed akcją robiłem rozpoznanie za pomocą potężnej optyki „Ottawy”, wciąż widziałem osmalenia na betonie placu przed centrum administracyjnym, gdzie rakiety i pociski z działek ryły bruzdy podczas naszych zaciekłych, choć szybkich zmaganiań. Byłem pewien, że nikt nie zawracał sobie głowy załataniami budynku

rządowego po tym, jak wyprowadzono z niego więźniów i ewakuowano rannych. Jego betonowy dach w kształcie kopuły nie odniósł większych uszkodzeń, ale wciąż potrafiłem sobie wyobrazić główny korytarz w takim stanie, jak wyglądał pod koniec bitwy, i wiedziałem, że nie zaszpachlowano dziur po kulach w ścianach.

Mój pluton stracił w tym wnętrzu ośmioro ludzi, a sześcioro kolejnych na placu. Czasami w moich koszmarach sennych wciąż pojawiał się szeregowy z drugiej drużyny nazwiskiem Kowalewski, rozerwany na strzępy tuż przede mną przez pocisk z działka. Nie miałem zamiaru tam wracać i chodzić śladami tamtej bitwy. Aby misja mogła się zakończyć sukcesem, zginęła jedna trzecia moich podkomendnych, a jednak później nowy rząd ułaskawił niemal wszystkich wojskowych zamieszanych w bunt. Prezydent i członkowie jego gabinetu – przynajmniej ci, którzy zbiegli na Arkadię – zostali osądzeni, skazani za zdradę stanu i teraz odsiadawali dożywocie w jednym z więzień WPA o maksymalnym rygorze, co według mnie nie stanowiło odpowiednio surowej kary. Moim zdaniem powinno się zostawić całą tę zgraję na środku jakiejś DZK.

Przełączyłem się na obraz wideo z hangaru i obserwowałem, jak klamry podnoszą dwanaście Dzierzb wyznaczonych do pierwszej fali ataku. Jeden po drugim zaciski opuszczały samoloty szturmowe do komór startowych, a pod sufitem migotały pomarańczowe światła ostrzegawcze. Na swoim stanowisku w BCI dysponowałem widokiem o niesłychanej jakości. Mogłem płynnie przesuwac pole widzenia po całym hangarze, a komputer przełączał mnie automatycznie do kolejnej matrycy optycznej. Miałem nawet możliwość podpinania się do kamer na kadłubach uruchomionych Dzierzb oraz w hełmach ich pilotów. Stwierdziłem, że to zbyt wiele punktów danych do wyboru, więc po chwili przestawiłem monitory na zwyczajowe źródła. Wiedziałem, że technika miała ułatwiać mi pracę, ale tyle

informacji mogło przytłoczyć kogoś świeżo po szkole kontrolerów bojowych i skłonić go do skupiania się na szczegółach, podczas gdy przez większość czasu powinniśmy dostrzegać ogólny obraz.

– Samoloty szturmowe w klamrach. Piętnaście minut do startu – oznajmił pierwszy oficer.

Zegar nałożony na duży wyświetlacz sytuacyjny na przedniej grodzi BCI odliczał czas. Obserwowałem, jak Arkadia rozciąga się pod dyszami wylotowymi naszych silników fuzyjnych, bardziej przypominając Ziemię niż sama obecna Ziemia, zielononiebieska ze skłębionymi połączeniami białych chmur. W naszej strefie lądowania było słonecznie, a temperatura na powierzchni wynosiła idealne dwadzieścia jeden stopni Celsjusza. Ot, łagodna późna wiosna.

– Eskadra Uderzeniowa Dwa, jesteście przygotowani do zrzutu za piętnaście minut – nadałem do samolotów. – Nad SL warunki słoneczne, dwadzieścia jeden stopni, wiatr trzy węzły z południa, południowego zachodu. – Oznaczyłem na swoim ekranie strefę lądowania i przesłałem ją do komputerów oczekujących Dzierzb. – Wasz cel to SL Alfa Charlie. Zabezpieczcie ją i zaatakujcie nieprzyjaciół, jeśli są obecni. Dajmy trepom bezpieczny obszar o średnicy dziesięciu kilometrów.

Piloci po kolei odesłali potwierdzenia. Wiedziałem, że w hangarze otwierają się zewnętrzne włazy, co stanowiło ostatni etap przed startem. Manewr odwrócenia ciągu został perfekcyjnie wymierzony, ponieważ wlecieliśmy na orbitę z prędkością mieszczącą się w marginesie bezpieczeństwa dla zrzutu bojowego.

Piętnaście minut później zegar w BCI doszedł do 00:00:00 i zamrugał czerwienią. „Ottawa” znalazła się w samym środku okienka desantowego.

Łatwo trafić w cel, jeśli nie leci się właśnie przez pole minowe, pomyślałem.

– Zielone światło – ogłosiła Yamin. – Działania operacyjne, rozpocząć zrzut.

– Tak jest, pani pułkownik – odparłem i przełączyłem się na kanał kontroli lotów. – Mamy zielone światło – przekazałem pilotom Dzierzb. – Powtarzam, mamy zielone światło. Zrzut manualny według decyzji pilota. Startować, gdy będziecie gotowi. Udanych łowów.

Obserwowałem obraz z matryc optycznych umieszczonych po stronie kadłuba obróconej ku Arkadii. Właśnie takie materiały Flota wykorzystywała w klipach werbunkowych, jeśli je tworzyła. Z dwunastu włazów otwartych na gładkich płytach pancerza „Ottawy” jeden po drugim wyłoniły się groźnie wyglądające samoloty bojowe, kierując dzioby ku ścieżkom podejścia, a następnie odpalając silniki. Udostępniłem obraz w okienku na ekranie na grodzi i zachichotałem, gdy niemało głów obróciło się, żeby oglądać krótkie przedstawienie.

– Dzierzby wystartowały – obwieściłem, gdy ostatnia opuściła klamrę i pomknęła ku powierzchni Arkadii. – Czas do celu: dziewięć minut, trzydzieści sekund.

Osprzęt optyczny okrętu był niezwykle silny, a widoczność nowego biało-pomarańczowego wzoru malowania Dzierzb sprawiała, że można było śledzić je precyzyjnie, nie emitując ani jednego wata aktywnego promieniowania. Nie miałem żadnych problemów z utrzymaniem dwunastu oddzielnych matryc na dwunastu samolotach, mogłem więc monitorować płomienne wejście każdego z nich w atmosferę. Dzierzby ciągnęły za sobą strumienie rozpalonej plazmy, aż znalazły się w gęstszym ośrodku i zwolniły, by móc wykonywać manewry powietrzne. Nawet z tak daleka wciąż mogłem na tyle przybliżyć widok każdej z nich, żeby odczytać oznaczenia na skrzydłach.

– Symulacja działa na wszystkich systemach pozaokrętowych – poinformował oficer taktyczny.

Dzięki możliwościom sieciowym i obliczeniowym nowoczesnych pancerzy bojowych i pojazdów mogliśmy zamienić dwadzieścia pięć kilometrów kwadratowych terenu na powierzchni w ogromne środowisko symulacyjne. Wykorzystywaliśmy do tego tę samą technologię, której używałem w obozie przygotowawczym Orem do szkolenia moich plutonów, tylko że tutaj odbywało się to na znacznie większą skalę. W trybie symulacji matryce sensoryczne desantowców i Dzierzb pokazywały pilotom nieistniejące w rzeczywistości cele, mogli więc strzelać pociskami nieopuszczającymi luf. Komputery w pancerzach i na pokładach pojazdów wykonywały wszelkie potrzebne obliczenia i wszystko łączyło się za pośrednictwem tak-łącza w wielką rozproszoną sieć. Podobnie jak podczas ćwiczeń w obozie szkoleniowym, żołnierze desantujący się na Arkadię mieli widzieć w swych wizjerach hełmowych i na ekranach celowniczych to, co chcieliśmy im pokazać. Było to tańsze i bezpieczniejsze rozwiązanie niż trening z użyciem ostrej amunicji i wiedziałem z doświadczenia, że wirtualni wrogowie wyglądali bardzo przekonująco, towarzyszyły im realistyczne widoki oraz odgłosy. Tłumiki drgań w podeszwach butów trepów z PK próbowały nawet naśladować wstrząsy gruntu wywoływane, gdy w obrębie ćwierci kilometra Dryblas wykonywał krok. Rekruci uwielbiali symulacje szkoleniowe, ponieważ przypominały uczestnictwo w prawdziwej walce. Ci z nas, którzy naprawdę brali udział w bitwie, potrafili dostrzec różnicę, jednak wciąż było to znacznie lepsze rozwiązanie niż bieganie i strzelanie ze ślepek w powietrze. Rzecz w tym, że jeśli nie towarzyszył temu wszystkiemu strach przed śmiercią, wojna wydawała się niemal zabawna i właśnie w tej kwestii symulator w największym stopniu odbiegał od rzeczywistości.

Pierwsza fala okrętów desantowych opuściła klamry kilka minut później, podążając za Dzierzbami do strefy lądowania.

– Wróg – powiedział na lotniczym kanale taktycznym pilot lecącej na czele Dzierzby, gdy samoloty dzieliło dziesięć kilometrów od celu i pędziły z prędkością sześciuset węzłów na pułapie niemal dwóch kilometrów. – Ponad dziesięciu dużych nieprzyjaciół na otwartym terenie. Do wszystkich, uważać na odstępy i podążać za mną.

– Klucz Sierra, macie zezwolenie na atak – nadałem. – Strzelać bez rozkazu.

Dzierzby przybrały szyk klina, w którym wszystkie mogły jednocześnie celować w SL, po czym wystrzeliły amunicję ćwiczebną. Pomalowane na niebiesko rakiety powietrze-ziemia w rzeczywistości nie opuściły wysięgników, ale na wizjerach pilotów i ekranach taktycznych pokazały się pociski pędzące ku celom. Ponad połowa symulowanych Dryblasów kręcących się po mieście Arkadia zginęła natychmiast. Scenariusz zakładał obecność na ziemi dwudziestu czterech wrogów i reszta przetrwała pierwszą salwę dzięki czystemu szczęściu albo niesłychanym umiejętnościom uchylania się. Tak naprawdę niemal wszyscy padliby trupem, ale nie było sensu ułatwiać i tak już prostego ćwiczenia.

Dzierzby rozdzieliły się na pary i po kolei wykonywały przeloty nad ocalałymi Dryblasami, ostrzeliwując ich z ciężkich działek automatycznych. Trzej nieprzyjaciele padli w pierwszej fali, w drugiej czterej następni, a pozostali zginęli w trzeciej. Kiedy ostatnie samoloty przemykały z hukiem nad miastem, podrywając z jego ulic radioaktywny pył, wszystkie symulowane cele były już nieaktywne, a w SL mogły lądować desantowce. Dzierzby wzbiły się na pięć tysięcy metrów i zaczęły krążyć po elipsie, gotowe zejść z powrotem, gdyby pojawiła się potrzeba



wezwania bliskiego wsparcia lotniczego.

Okręty desantowe pojawiły się piętnaście minut po Dzierzbach. Było ich szesnaście, podzielonych na grupy po cztery przewożące całe kompanie piechoty. Wysadziły swoich pasażerów w czterech różnych miejscach na obrzeżach miasta Arkadia. Kosmiczni piechociarze wybiegli z ładowni i zaczęli zajmować pozycje osłaniające.

Nie wiedziałem, co symulacja miała dla nich w zanadru, ale byłem przekonany, że nie będzie to koniec ich działań na ten dzień i nie rozczarowałem się. Kilka minut po lądowaniu komputer pokazał dwie duże grupy Dryblasów podchodzących do miasta od północy i południa. Wyskoczyli na ekranach Dzierzb na skraju dziesięciokilometrowej bańki, w której odbywały się manewry.

– Nieprzyjaciel zbliża się z kierunków dziesięć i sto osiemdziesiąt trzy – nadał dowódca eskadry i kilkaset tak-łączy na dole zaktualizowało się o jego dane. – Klucz Sierra, podzielić się i przechwycić.

Sześć samolotów wchodzących w skład wymienionego klucza zareagowało natychmiast, rozlatując się na dwie grupy po trzy. Pospieszyły na północ i południe, żeby powstrzymać obcych, zanim dotrą do Arkadii, ale symulacja rzuciła na nasz batalion PK wielu wrogów, przynajmniej po pięćdziesięciu w każdej grupie. Dzierzby zaatakowały ich rakietami i działkami. Przez następnych dziesięć minut wykonywały przeloty nad skupiskami Dryblasów i powoli uszczuplały ich szeregi, ale po częstotliwości, z jaką znikwały ikony celów, widziałem, że to nie wystarczy. Co gorsza, symulacja postanowiła utrudnić zadanie i za dwiema dużymi posłała mniejsze grupy nieprzyjaciół. Gdy Dzierzby wystrzelały już całą amunicję, do walki dołączyły desantowce kompanii, zdejmując Dryblasów po jednym, ale dystans pomiędzy wrogami a najbliższymi żołnierzami PK na skraju miasta gwałtownie topniał.

– Klucz Sierra wraca do bazy na dozbrojenie – oznajmił dowódca eskadry Dzierzb.

Żeby oszczędzić paliwo, samoloty w rzeczywistości nie wspinały się na orbitę, by przeprowadzać całą procedurę dokowania i uzupełniania zapasów. Musiały oddalić się na odległość trzystu kilometrów i wznieść na dziesięć kilometrów, zanim symulowana broń na ich wysięgnikach zostanie zresetowana do pełnego stanu. Klucz Sierra miał być wyłączony z walki przez przynajmniej pięćdziesiąt minut, a żołnierzy na ziemi czekała tymczasem przegrana scenariusza.

– Działania operacyjne, tu Dowódca Alfa Charlie – nadał podpułkownik dowodzący batalionem PK. – Proszę o jak najszybsze wysłanie kolejnego wsparcia lotniczego.

– Klucz Oskar jest w kłamrach i zaraz rusza – odparłem.

Sytuacja sił naziemnych robiła się skomplikowana, a drugi batalion jeszcze bezpiecznie nie wylądował. Ktokolwiek programował w symulatorze to ćwiczenie, nie uznawał niskiego poziomu trudności. Dryblasy zbliżyli się na kilometr od pierwszej linii obrony, zanim druga fala Dzierzb zeszła nad SL, i choć kompanie zostały przestawione, wciąż na każde z dwóch grup podchodzących wrogów czekało tylko po osiem plutonów. Gdy nieprzyjaciele przekroczyli dystans ośmiuset metrów, operatorzy wyrzutni MARS rozpoczęli ostrzał udawanymi srebrnymi kulami. Nawet bez obrazu z Dzierzb lub desantowców miałem świetny widok na pole bitwy ze swojego stanowiska wysoko na orbicie. Dryblasy z obu grup zaczęli znów padać pod dobrze wymierzonymi raketami z dziesiątek wyrzutni, ale nie każdy pocisk uderzał w cel, zresztą widziałem, że nawet gdyby współczynnik trafień wynosił sto procent, plutony PK i tak wkrótce zetkną się z wrogiem. Druga fala obcych dogoniła pierwszą i wzmocniła jej szeregi, tak więc atakujący Dryblasy znów liczyli po kilkudziesięciu osobników. Odległość między nimi a liniami PK zmalała z sześciuset, przez pięćset, do czterystu

metrów.

– Wydech Cztery, Wydech Siedem, zbliża się do was bliskie wsparcie lotnicze – nadałem do kontrolerów walki przydzielonych do kompanii na północnym i południowym przyczółku. – Eskadra ma kryptonim Oskar.

Moi dwaj podkomendni, Taggart i Graff, odesłali zwięzłe potwierdzenia i odezwali się do nadlatujących Dzierzb. Podzielili samoloty na grupę północną i południową, po czym oznaczyli im punkty referencyjne celu przed swoimi liniami obronnymi i zezwolili na wykonanie przelotów z ostrzałem. Obserwowałem ten powietrzny balet z wygodnego, klimatyzowanego stanowiska, ale gdyby nie chodziło o to, że miejscem akcji było miasto Arkadia, zdecydowanie wolałbym udawać walkę na ziemi, niż siedzieć przed konsolą.

Pierwsza para Dzierzb z klucza Oskar zeszła nad pole bitwy i otworzyła ogień z działek, nie chcąc ryzykować przypadkowych ofiar wśród PK, gdyby rakiety nie trafiły w cel. Niemal natychmiast na kanałach drużyn, plutonów i kompanii zaroilo się od rozgorączkowanych ostrzeżeń.

– Ej! Oskar Trzy, przerwij!

– Co się dzieje, do cholery!

– Działania operacyjne, to była ostra amunicja!

Na obrazie z kamery widziałem, że trafienia poderwały wysokie gejzery pyłu tuż przed naszą południową linią obronną, nawet nie pięćdziesiąt metrów od najbliższych pozycji PK. Po względnej nudzie kilku ostatnich godzin nagły strumień adrenaliny sprawił, że wyprostowałem się gwałtownie.

– Oskar Trzy, przerwij, przerwij, przerwij! – nadał na lotniczym kanale taktycznym sierżant Graff. – Uważaj, strzelasz ostrą!

Dźwięk z tego kanału szedł cicho na sufitowe głośniki i wszyscy w BCI podnieśli głowy.

– Kto tam używa ostrej amunicji? – spytał pierwszy oficer.

– Klucz Oskar, przerwij – poleciłem. – Powtarzam: przerwij ostrzał. Wstrzymaj ogień. Nie używaj broni. Powtarzam: nie używaj broni. Ktoś w waszym kluczu ma załadowaną ostrą amunicję. Do wszystkich samolotów szturmowych: przejść na kierunek dziewięćdziesiąt i wspiąć się na trzy tysiące metrów.

Pierwszy oficer i pułkownik Yamin podbiegli do mojego stanowiska.

– Kto, do cholery, strzela tam ostrą?! – powtórzył pierwszy.

– Oskar Trzy – odrzekłem. – Kazałem całej eskadrze przerwać ostrzał i wycofać się.

– Niedobrze. – Dowódczyni nachyliła się, żeby spojrzeć na moje ekrany. – Proszę przerwać ćwiczenia. Niech Dzierzby zabezpieczą broń.

– Już to zrobiły, pani pułkownik – poinformowałem.

Oficer taktyczny zatrzymał symulację i pomarańczowe ikony symbolizujące zbliżających się Dryblasów zniknęły natychmiast z ekranu.

– Do wszystkich jednostek, tu działania operacyjne – odezwałem się na kanale dowództwa. – Czy ta salwa kogoś trafiła?

Minęło kilka pełnych napięcia sekund, zanim odpowiedział dowódca kompanii.

– Nikogo, działania operacyjne. Ale było blisko. Wyryli działkiem śliczny nowy okop tuż przed liniami kompanii.

– Przyjąłem. Dzierzby zostały wycofane. Zabezpieczcie całą broń i czekajcie.

Przełączyłem się z powrotem na lotniczy kanał taktyczny, gdzie dwunastu zatroskanych pilotów Dzierzb niewątpliwie czekało na wieści, co się, u diabła, dzieje.

– Klucz Oskar, informuję, że siłom naziemnym nic się nie stało. Żadnych ofiar. Dostało się tylko okolice.

Przynajmniej jedna z Dzierzb miała ostrą amunicję w magazynku do działka automatycznego, co stanowiło poważne

naruszenie zasad bezpieczeństwa. Na wszystkich ćwiczeniach takich jak to, które właśnie przerwaliśmy, wykorzystywano wyłącznie pociski szkoleniowe, oznaczone kolorem niebieskim i nieaktywne, za wyjątkiem wbudowanych emiterów laserowych pozwalających naliczać trafienia. Przez niemal dziesięć lat służby tylko raz widziałem ostrą amunicję podczas manewrów, znalazła się ona w magazynkach do karabinu tkwiących w niesprawdzonych gniazdach pancerza pechowego żołnierza. Nikomu nic się nie stało, ale ten człowiek został zdegradowany o jeden stopień i otrzymał naganę. Jeśli do Dzierzby trafiło coś innego niż ślepaki, oznaczało to, że przegapiły to przynajmniej trzy pary oczu, a więc trzy osoby wpadły właśnie w bardzo głębokie gówno.

– Klucz Oskar, wycelować broń w bezpiecznym kierunku i sprawdzić magazynki. Oskar Trzy, wstrzymaj ogień i trzymaj uzbrojenie zabezpieczone.

– Tak jest, działania operacyjne – odparł pilot Oskara Trzy. Brzmiał na dalekiego od zadowolenia.

Pozostałych pięć Dzierzb po kolei sprawdzały amunicję. Gdy Oskar Pięć wystrzelił, usłyszałem na kanale lotniczym przekleństwo.

– Cholera, działania operacyjne, Też mam ostre pociski.

– Usłyszałem. Oskar Pięć, zabezpiecz broń.

Inne samoloty potwierdziły amunicję ćwiczebną. Obróciłem się do Yamin.

– Pani pułkownik, Oskar Trzy i Pięć mają załadowane ostre pociski. Reszta klucza ma w magazynkach pociski szkoleniowe.

– Proszę odwołać wszystkie Dzierzby i posadzić na ziemi wszystkie znajdujące się obecnie na dole desantowce. Szefowie załogi mają skontrolować magazynki tych działek. I niech piechota też sprawdzi amunicję.

– Tak jest. – Przekazałem rozkazy dowódczyni skrzydłu okrętów desantowych i obu pozostającym w powietrzu eskadrom

Dzierzb.

Pułkownik Yamin obróciła się do swojego zastępcy.

– Pierwszy, proszę wysłać profosa na pokład lotniczy wraz z drużyną bezpieczeństwa. Szef pokładu ma wyciągnąć karty obsługi i zatrzymać mechaników odpowiedzialnych za uzbrojenie Oskara Trzy oraz Oskara Pięć.

Pierwszy oficer odszedł, żeby podnieść słuchawkę, a ja odetchnąłem głęboko. Nie wiedziałem, czy areszt na „Ottawie” jest przyjemniejszy niż na innych okrętach Floty, ale sześciu techników miało to wkrótce sprawdzić.



Kontrola zajęła trzy godziny. Obie eskadry Dzierzb wróciły na okręt, żeby opróżniono im magazynki i starannie sprawdzono całą amunicję. Zanim ogłoszono, że nikt więcej nie ma ostrych pocisków, ćwiczenia zatrzymały się ze zgrzytem. Wciąż jednak mieliśmy na ziemi batalion wraz z całym skrzydłem desantowców, więc dowódczyni uznała, że zezwoli na kontynuację z połową wyznaczonych jednostek. Oficer taktyczny zmodyfikował symulację, uwzględniając brak wsparcia lotniczego ze strony Dzierzb oraz jedynie połowę planowanego stanu osobowego na powierzchni. Podczas gdy piechociarze wciąż kręcili młynka palcami i czekali na wznowienie akcji, jeden z moich kontrolerów walki, chorąży Garcia, wszedł do BCI i zbliżył się do mojego stanowiska. Zerknąłem na zegar na terminalu i uświadomiłem sobie, że kończy się moja wachta.

– Jest pan gotów do zamiany, sir?

– Chłopie, jak nigdy – odrzekłem. – Chyba słyszeliście o całym wcześniejszym zamieszaniu?

– Tak. Sterczeliśmy dwie godziny w ładowni desantowca. Nie było zbyt wiele do roboty poza słuchaniem radia i zerkaniem na obraz z kamer.

– Za jakieś piętnaście minut symulacja rusza na nowo, więc idealnie wyliczyliście przyjście, chorąży Garcia. – Wstałem z fotela i z uchwytu przy konsoli podniosłem kubek na kawę z nierdzewnej stali. – Proszę bardzo.

Przeciągnąłem się i skrzywiłem, czując lekki ból w dole pleców.

– Noż kurwa. Po to poszedłem do szkoły kontrolerów walki, żeby nie siedzieć już dłużej ciurkiem przez osiem godzin na dupie.

Garcia usiadł i wywołał własny układ ekranów.

– Cóż, sir, mówię to panu niechętnie, ale ma pan teraz to, co najgorsze w obu fuchach. Wysiaduje pan w fotelu jako operator konsoli i wylał wiadra potu, żeby zdobyć beret.

– Powiem wam coś, chorąży – odezwałem się cicho. Pułkownik i jej pierwszy oficer stali w centralnym zagłębieniu, pogrążeni w rozmowie. – Jeśli kiedyś będzie wyglądało na to, że się tu dobrze bawię, chcę, żebyście zawlekli mnie na pokład lotniczy, wcisnęli mi w łapę karabin i wsadzili mnie na następny desantowiec do Gówna Zdroju.

Podoficer roześmiał się.

– Będę o tym pamiętał, sir.

## Rozdział 15

# Przepustka

Ćwiczenie planowane na jeden dzień rozciągnęło się na trzy: pierwszy został przerwany z powodu wypadku z ostrą amunicją, drugi poświęcono na drobiazgowo sprawdzenie sprzętu i przeprowadzenie odpraw, a trzeciego odbyły się właściwe manewry z udziałem dwóch batalionów. Aż do tej chwili krążyły pogłoski, że dowódczyni wkurzyła się na tyle, by anulować oczekiwaną dwudziestoczerogodzinną przepustkę dla załogi na Arkadii, ale wyglądało na to, że pułkownik Yamin nie chciała karać wszystkich za błąd kilku techników. Dzierzby z prawdziwym pociskami w magazynkach zostały wycofane ze statusu gotowości bojowej zaledwie na godzinę przed manewrami i ładując amunicję ćwiczebną, mechanicy nie sprawdzili wszystkich kaset. W korytarzach można było natknąć się na plotki, że byli zbyt zajęci próbami zrobienia wrażenia na stażystce z Eurokorpusu. Nie miałem pojęcia, ile w tym prawdy, ale wiedziałem, że pierwszy oficer dał obu zespołom taki opieprz, że dało się go słyszeć przez pancerne grodzie na dwadzieścia wręg w każdym kierunku.

Z powodu wielkości załogi „Ottawy” przepustki musiały być wykorzystywane na zmianę, żeby w każdej chwili poza okrętem nie znajdowała się więcej niż jedna trzecia stanu osobowego. Halley i ja zostaliśmy przydzieleni do wachty Alfa na dobę oddychania świeżym powietrzem, co stanowiło jeden z niewielu przywilejów służby małżeństwa na tym samym okręcie. Zatem gdy pierwszy oficer ogłosił harmonogram wolnego, spotkaliśmy



się o siódmej rano w mesie na pokładzie lotniczym, żeby zjeść szybkie śniadanie przed lotem desantowcem na dół. Byliśmy w codziennych mundurach, jak zwykle niebieskozielonych. Po zachowaniu Halley widziałem, że wolałaby mieć na sobie kombinezon lotniczy, którego używała niemal przez cały czas pozostawania na służbie.

– Uwaga: transport na Arkadię dla wyznaczonych osób z wachty Alfa wyruszy o godzinie dziewiętej zero zero. Wszystkie osoby z wachty Alfa, które zamierzają opuścić okręt i udać się na dwudziestoczworgodzinną przepustkę, mają zgłosić się do oficera pokładowego na pokładzie lotniczym do godziny ósmej trzydzieści. Zapowiedzi dla wacht Brawo i Charlie zostaną nadane o godzinie dziewiętnastej zero zero i siódmej zero zero.

– Nie wiem, dlaczego nie pozwalają nam po prostu nosić tego, co chcemy – narzekała Halley nad tostem i jajecznicą.

– Przecież wiesz. Będziemy kręcić się wśród cywilów i reprezentować Flotę. Niech popatrzą sobie na piękne nowe mundury, co da im wrażenie, że znajdują się w dobrych rękach.

– Pierdolę to. W większości są to wciąż ci sami ludzie, którzy zostawili nas w gównie trzy lata temu. – Popatrzyła na swoją tunikę i wygładziła nieistniejącą zmarszczkę. – I na pewno nie posunęłabym się do tego, żeby nazwać to coś pięknym.

– A ja już się trochę przyzwyczailem. Regulacja temperatury dobrze działa. Jeszcze nie udało mi się w tym spociec. No i nie gniewaj się, nieważne, co byś nie robiła.

– Tak, ale nie czuję się zbyt wojowniczo w tej pizamce – mruknęła.

– Cóż, ustalono, że mamy mieć na sobie uniform codzienny. To cena, jaką musisz zapłacić za odrobinę świeżego powietrza i czystego nieba.

Opróżniliśmy talerze i oddaliśmy tace, po czym przeszliśmy na pokład lotniczy, żeby zgłosić się do oficera pokładowego.

Tego dnia obowiązki OP pełnił młody podporucznik, niższy stopniem od nas obojga, jednak zasalutowaliśmy mu, meldując się, ponieważ symbolizował władzę dowódcy, co oznaczało, że wszyscy poza pułkownik Yamin podlegali mu w zakresie opuszczania okrętu bądź wracania na niego.

– Udzielam zezwolenia na zejście z pokładu – powiedział do nas. Wzięliśmy worki i idąc za oznaczeniami na podłodze, udaliśmy się do hangaru, żeby znaleźć desantowiec, który zawiezie nas na powierzchnię.

Jeśli Halley nie czuła się zbyt dobrze w uniformie podczas śniadania, to gdy przypięła się w ładowni zamiast z przodu w fotelu pilota, wyglądała niemal żałośnie.

– Na Ziemi wiele razy lataliśmy razem z tyłu – rzekłem, widząc, jak zaciska dłonie i z napięciem spogląda na przednią gródź.

– Ale teraz jest inaczej. Moja praca nie polega na lataniu tamtejszymi transportowcami. Ale jeśli jestem na jednostce bojowej, wolę trzymać drążek.

Gdy klamra nas podnosiła, niemal wszystkie siedzenia były zajęte. Widziałem głównie mundury oficerów, ale w rzędzie pod sterburtą zebrało się kilku podoficerów PK, szukających siły i ochrony w kupie. W ładowni słychać było szmer cichych rozmów, które stały się głośniejsze, gdy pilot podkręcił obroty silników.

– Witamy w Liniach Wycieczkowych Korpusu Obronnego Wspólnoty Północnoamerykańskiej – oznajmiła Halley. – Pragniemy zaprosić pasażerów na ekscytujące wycieczki na inne światy.

– Spróbuj autentycznej wyżerki Floty. Zwiedź pole bitwy. Pogłaszcz Dryblasa – podjąłem podobnym tonem, a ona się roześmiała.

– Przynajmniej nam za to płacą – odparła. – Kiedyś zapłacą. Jeśli będziemy mieć szczęście.

Trafiliśmy na lądowisko w osiedlu Serce. Oryginalnych pięć siedzib kolonistów zbudowano na Arkadii na linii południkowej, zaczynając od Nowego Edenu na północy, później były Idylla, Arkadia, Serce i Przystań na południu, wszystkie rozmieszczone w mniej więcej dwustukilometrowych odstępach. Gdy brudną atomówką wysadziliśmy elektrownię fuzyjną miasta Arkadia, sprawiliśmy, że przestało się ono nadawać do zamieszkania, więc jego dziesięciotysięczną populację trzeba było szybko rozmieścić w pozostałych czterech miasteczkach. Teraz, gdy zaczęliśmy już porządną program osadniczy, kilka kolejnych osad powstało w drugiej linii południkowej na wschód od tych wcześniejszych, wszystkie założone przez nowe władze WPA, po czym zaludnione starannie wybranymi, doświadczonymi ochotnikami. Można by sądzić, że nikt nie zgłosi się sam z siebie, żeby zamieszkać w nowej kolonii sto pięćdziesiąt lat świetlnych od Ziemi, gdy Dryblasy wciąż zajmowali nasze osady i tworzyli kolejne okręty nasienne, ale słyszałem, że gdy ogłoszono ten pomysł, lista zgłoszeń osiągnęła niemal milion nazwisk.

Gdy otworzyła się tylna rampa desantowca, w moim mózgu na pierwszy plan przepchnęło się mnóstwo nieproszonych wspomnień. Temperatura na tym księżycu zawsze utrzymywała się w idealnym zakresie od dwudziestu do dwudziestu kilku stopni Celsjusza. Niebo było dziś niemal bezchmurne i zmrużyłem oczy, gdy schodziliśmy z Halley na betonową powierzchnię Stacji Lotniczo-Kosmicznej Floty w Sercu. Cieszyłem się, że nie pojechaliśmy do Idylli na północ od miasta Arkadia. Tamto miasto mój pluton przeorał ogniem z karabinów, rakiet MARS i ładunków wybuchowych podczas naszej operacji

dywersyjnej, kiedy Masoud i jego SEAL wykorzystali nas w charakterze przynęty, żeby móc podłożyć atomówki pod terraformery. Zabiliśmy wtedy pół garnizonu Idylli i choć wiedziałem, że to my mieliśmy słuszość i że to oni wystrzelili pierwsi, zawsze będę żałował, że przyczyniłem się do śmierci tak wielu ludzi, którzy powinni być po naszej stronie. Nie chciałem spędzać przepustki w mieście, w którym mogłem natknąć się na rodziny tych żołnierzy.

– Błękit nieba ma tutaj inny odcień – powiedziała Halley. – Hmm. Nie zauważyłam tego, gdy byliśmy tu pierwszy raz.

– To dlatego, że wtedy nie mieliśmy czasu na zwiedzanie – odrzekłem. – Poza tym i tak przemieszczaliśmy się głównie nocą.

Podniosłem wzrok i stwierdziłem, że miała rację. Atmosfera przypominała ziemską, ale światło załamywało się w inny sposób. Błękit był ciemniejszy, w związku z czym białe chmury bardziej rzucały się w oczy. Całość wyglądała jak przez wizjer hełmu z włączonym filtrem ultrafioletu i lekko podkręconym kontrastem. Zaś ostatecznym dowodem, że nie jest to Ziemia, była planeta widniejąca na horyzoncie i zajmująca sporą część naszego pola widzenia: wiecznie obecny Leonidas c, niebieski gazowy olbrzym, wokół którego orbitowała Arkadia.

Baza Floty wyglądała jak lustrzane odbicie tej z Idylli. Miała ten sam układ pasów startowych i hangarów, zaś budynek centrum kontroli lotów zapewne pochodził z tej samej fabryki prefabrykatów, jak ten, który zniszczyliśmy. Dokonałem pobieżnych kalkulacji i policzyłem, że w otwartych hangarach stoją jakieś dwie eskadry Dzierzb. Ponad wieżą kontrolną na lekkim wietrze kołysała się wielka flaga WPA.

– Mamy przed sobą dwadzieścia cztery godziny świeżego powietrza – odezwała się Halley. – Co chcesz tu robić do jutrzejszego ranka?

– Znaleźć lokal, który serwuje jedzenie na koszt Floty, a później ubzdryngolić się i poszukać jakiegoś miłego, przytulnego miejsca

na łonie natury, żeby, no wiesz, porozmawiać. Czy co tam zechcemy.

– To brzmi na wspaniały pomysł, kapitanie Grayson – odparła, kiwając z zadowoleniem głową. – Chyba pozwolę panu dalej zajmować się planowaniem tego pobytu.



Kompleks wojskowy rozciągający się wokół lądowiska okazał się znacznie większy niż baza Idylla przed trzema laty. Widzieliśmy cztery kilkupiętrowe budynki koszarowe, garaże na pojazdy, stołówkę i nawet małą strefę rekreacyjną. Nie miałem jednak ochoty, żeby krótki czas, jakim dysponowaliśmy na tym księżycu, spędzić na tłoczeniu się z innymi oficerami w kolejnym barze, więc postanowiliśmy z Halley, że przespacerujemy się do miasteczka Idylla, leżącego w odległości zaledwie trzech kilometrów. Przez dwadzieścia lat, jakie minęły od założenia tej sekretnej kolonii, została sterraformowana do perfekcji. Na żadnym globie nie oddychałem czystszy powietrzem, może za wyjątkiem Nowego Svalbardu, a gleba była ciemna i pełna ziemistych zapachów. Zapewne coś dałoby radę wykiełkować nawet na piachu, który przykleił mi się do podeszew butów. Jediną rzeczą, która wydawała się nie pasować do tej bukolicznej scenerii, była droga biegnąca z bazy do Serca, asfaltowa i na tyle szeroka, żeby umożliwić ruch w dwie strony. Uświadomiłem sobie, że na żadnym kolonialnym świecie nie widziałem nawierzchni z asfaltu.

– Masz rację – zgodziła się Halley, gdy podzieliłem się tą myślą.  
– Spotkałam się co najwyżej z tym szybkoschnącym betonem, który leją z automatycznej maszyny do robienia dróg. Ciekawe, czy mają tu na miejscu możliwości produkcji asfaltu.

– Wątpię, czy wydawaliby pieniądze, żeby przywozić tu komponenty z odległości stu pięćdziesięciu lat świetlnych. Jednak

z drugiej strony, już przed laty przetransportowali kilkadziesiąt tysięcy opakowań ziaren i sadzonek, więc kto wie?

– Zaczekaj tylko, zaraz wejdziemy do miasta i okaże się, że to Liberty Falls w komplecie z wodospadem.

– Pieprzeni członkowie rodzin urzędasów. My musimy ważyć rzeczy przed każdą dyslokacją, a oni przywożą sobie przenośne przedmięcia.

Nie miałem pojęcia, co jeszcze tu potrafili, ale na pewno do ich silnych stron należało rolnictwo. Po obu stronach drogi znajdowały się pola z bujną roślinnością rosnącą na tej żyznej glebie. Pomiędzy grządkami jeździły automatyczne urządzenia podlewające. Na większości kolonii woda była tak cennym zasobem, że widok jej tryskającej z dwudziestometrowych wysięgników wydawał się tutaj bardziej obcy niż okręt nasienny Dryblasów. Na drugim krańcu parcel, bliżej miasta, widzieliśmy sześć wielkich szklarni z panelami słonecznymi na dachach.

– Zanim wstąpiłem do wojska, wydawało mi się, że właśnie tak wyglądają kolonie – powiedziałem.

– Taa, ja też. A nie jak te jałowe, pyliste zadupia, na których głównie walczyliśmy.

– Jałowe, pyliste zadupia albo kule lodu. Nie było nic takiego jak to. Mogę zrozumieć, dlaczego chcieli zachować Arkadię dla garstki wybrańców.

Od strony bazy jechały powoli drogą dwa Muły. Miały z tyłu zamontowane stanowiska działek automatycznych kaliber dwadzieścia pięć milimetrów, których długich luf trzymało się ośmiu czy dziesięciu żołnierzy Floty siedzących na każdym z pojazdów. Stanowiło to drobne naruszenie procedur bezpieczeństwa, zwykle tolerowane jedynie w warunkach bojowych, ale podejrzewałem, że garnizon nie chciał męczyć się ze zgrają narzekających wojaków chcących spędzić wolny dzień w miasteczku i nie mających ochoty czekać, aż Muły nawrócą po raz dwudziesty. Przewożeni ludzie rozmawiali i śmiali się,

najwyraźniej świetnie się bawiąc na zaimprovizowanych hydrobusach. Pojazdy minęły nas przy cichym akompaniamencie szmeru grubo bieżnikowanych opon o asfalt.

Wraz z Halley obserwowaliśmy, jak znikają w oddali za zakrętem drogi.

– Słuchaj, zmieńmy nieco plany – zaproponowała.

– Co masz na myśli?

– Pomińmy etap ubzdryngalania się i wycieczki po mieście. Wolę nie łązić po osadzie pełnej flociarzy na przepustce. Jeśli są tam jakieś bary, to już roi się w nich od turkusowych mundurów.

– Chyba masz rację. – Podrapałem się po głowie i rozejrzałem.

– No to co robimy zamiast tego?

Halley wyciągnęła i włączyła OTI.

– Zastanawiam się, czy mają tu już dostęp do MilNetu.

Przerzuciła kilka ekranów i uśmiechnęła się.

– Co za gnoje. Mają MilNet. I to nie tylko lokalnie. Pełen dostęp satelitarny, pasma wojskowe i cywilne.

– Jaja sobie robisz. – Wyjąłem własny tablet i okazało się, że rzeczywiście dysponuję sygnałem satelitarnym. – Co gnoje – powtórzyłem po Halley. – Wszystkie wygody domu.

– Chyba nawet lepiej niż w domu. Sieć jest szerokopasmowa. I nie muszą jej tu dzielić na wiele terminali. Mogę się założyć, że przepustowość jest tu pięć razy większa niż gdziekolwiek indziej.

Większość kolonii miała tylko sieć lokalną emitowaną z głównych budynków administracyjnych, małe strefy dla każdej osady umożliwiające łączność miejscową i dostęp do informacji zapisanych na serwerach. Osiedla i bazy w Układzie Słonecznym dysponowały opóźnionymi połączeniami z właściwą siecią, ponieważ ich placówki administracyjne mogły przesyłać ruch przez wielkie przekaźniki pomiędzy skolonizowanymi księżycami i planetami. To jednak była pierwsza widziana przeze mnie kolonia, która miała własną globalną sieć satelitarną.

– Naprawdę planowali długodystansowo – powiedziałem.

Halley wyświetliła mapę okolicy i przybliżyła naszą pozycję, po czym znów odsunęła widok i przyglądała się przez chwilę ekranowi.

– Wygląda na to, że zaraz za tymi szklarniami odchodzi droga w lewo. Mapa mówi, że trzy kilometry od skrzyżowania leży jezioro. Chodźmy tam, żeby zanurzyć stopy. Tak dawno nie byłam nad wodą.



Gdy minęliśmy rząd cieplarni, droga wiodła dalej przez krótki most rozpięty nad strumieniem. Woda wydawała się niemal nienaturalnie czysta. Tuż za mostem znaleźliśmy żwirową ścieżkę odchodzącą w lewo i znikającą kilometr dalej za niskim wzgórzem. Skręciliśmy w nią, zostawiając główną drogę za sobą.

– No dobra, te turkusiki nie są takie złe – przyznała Halley. – W takim słońcu powinnam się już spocić jak świnia.

– Samoregulacja. W BCI jest zawsze podkreślona klimatyzacja, ale nigdy nie było mi tam zimno.

Ścieżka biegła wzdłuż strumienia przez trzy czwarte kilometra. Nie był szeroki, zapewne zdołalibyśmy go przeskoczyć z rozbiegu. Odgłos szemrzącej wody wydawał się najspokojniejszą i najbardziej relaksującą rzeczą, jaką słyszałem od dawna.

Po kilkuset metrach minęliśmy ostatnią szklarnię. Po lewej stronie, za potokiem, widzieliśmy rozciągające się w oddali, widziane już wcześniej pola warzyw, dziesiątki hektarów roślin dojrzewających w ciepłym świetle Leonidasa. Po prawej znajdowała się trawiasta łąka, a pół kilometra dalej pierwsze oznaki pobliskiego osiedla.

– Jest tak cicho – rzekła Halley. – Słyszać tylko wodę i wiatr. Nawet żadnych zwierząt.

– Nie przywieźli ze sobą nic żywego poza sadzonkami drzew,



nasionami roślin jadalnych i embrionami zwierząt hodowlanych – wyjaśniłem. – Nawet nie zwierzęta domowe. Czytałem o tym jakiś czas temu. Nie chcieli wypuszczać do ekosystemu niczego, czego nie mogliby kontrolować.

– Potrzebne są ptaki. I insekty.

– Myślę, że robale niedługo się pojawią. Wystarczy, że ktoś przywiezie w bagażu osobistym paru pasażerów na gapę, gdy będzie się tu przesiedlać. Jestem w szoku, że nie brodzą jeszcze po kolana w muchach i komarach.

Strumień skręcał w stronę pól, a my zaczęliśmy wspinać się na niskie wzgórze. Ta część Arkadii składała się z równin i łagodnych pagórków. Na wschodnim horyzoncie majaczył łańcuch górski, w którym kiedyś bawiliśmy się w chowanego z miejscowymi Dzierzbami. Pomiedzy osiedlami i górami rozciągały się lasy sosnowe sięgające aż do pogórza, zasadzone przed dziesięcioleciem, kiedy to miejsce wciąż było jeszcze ściśle tajne i wiedzieli o nim jedynie najwyżsi rangą politycy. Chcieli stworzyć tu nową Ziemię, awaryjne schronienie, w którym elity WPA mogłyby zacząć życie na nowo wraz ze swoimi rodzinami, gdyby we Wspólnocie wszystko się całkiem posypało. Kiedy po stracie Marsa stanęli w obliczu groźby unicestwienia przez Dryblasów, przyspieszyli swój exodus i pociągnęli za wajchę dekadę wcześniej.

– Zastanawiam się, co starzy mieszkańcy myślą o swoich nowych sąsiadach – odezwałem się. – O świeżych osiedlach. Wyobraź sobie ich przerażenie, gdy dowiedzieli się, że trafią tu ci wszyscy niedomocy ludzie z klasy średniej

– Pierdolić ich – odrzekła Halley. – Jeśli im się nie podoba, mogą poprosić o transport z powrotem na Ziemię. I tak jest tu dla nich zbyt dobrze. Gdyby to ode mnie zależało, wszyscy, którzy wybrali bilet w jedną stronę do raj, podczas gdy resztę z nas czekało zagazowanie przez potwory, powinni zostać przymusowo przesiedleni do kolonii karnej wciśniętej w głęboką

rozpadlinę na Merkurym.

Dotarliśmy na szczyt pagórka i przystanęliśmy, żeby się rozejrzeć. Przed nami ku wschodowi rozciągało się jezioro, otoczone kępami sosen. Na południowym brzegu dostrzegaliśmy coś wyglądającego jak stacja pomp, choć nie wychodziły z niej żadne rury, nie psuły więc harmonii. Zakopali je dla ochrony, pomyślałem. Albo dla estetyki.

– I to jest dopiero piękny widok – powiedziała Halley, lekko sapiąc po krótkiej, lecz żwawej wspinaczce. – Na Ziemi trzeba daleko podróżować, żeby zobaczyć coś takiego.

Akwen wydawał się leżeć blisko, lecz przy jego rozmiarach było to tylko złudzenie optyczne. Potrzebowaliśmy kolejnych dwudziestu minut, żeby w końcu dotrzeć do brzegu. Scenerię zaburzały tylko te pompy sto metrów na prawo od nas, mieszczące się w małym, niskim budynku, który nie emitował żadnych hałasów, ale wciąż wyróżniał się w tak perfekcyjnym krajobrazie. Szliśmy na wschód wzdłuż brzegu, oddalając się od stacji. Woda w powolnym, leniwym tempie, niemal jak w transie, uderzała o usiany kamykami piasek.

Gdy straciliśmy z oczu drogę i znaleźliśmy się w małym sosnowym lasku, Halley usiadła na splechietku trawy blisko wody. Wiatr poruszający gałęziami niósł ze sobą lekką woń żywicy i ziemi. Rozpięła tunikę i ściągnęła ją przez głowę, po czym rozłożyła na ziemi i zaległa na niej z pełnym zadowolenia westchnieniem.

– Teraz nie jest nawet tak źle.

Zrobiłem podobnie i wyciągnąłem się obok. Trawa i mech były niczym idealnie miękka pościel. Zamknąłem oczy i wciągnąłem świeże powietrze. Było nawet czystsze niż w górach Vermont, jeśli to w ogóle możliwe.

– Co będziemy robić później? – spytała Halley. Popatrzyłem na nią. Leżała z zamkniętymi oczyma i rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Kiedy „później”? Po tej dyslokacji?

– Nie. Po tej pracy. Gdy już zakończymy służbę. Kiedykolwiek to się stanie.

– Tak naprawdę nie zastanawiałem się nad tym szczególnie – odrzekłem. – Miałem pomysł, że weźmiemy pieniądze i kupimy sobie coś w Liberty Falls. Może to, co nam zostanie, damy chorążemu Kopce i mojej mamie. Za ten darmowy pokój i wyżywienie, które dostajemy.

– Yhhmmm. – Potwierdzenie Halley brzmiało niezbyt pewnie.

– A co? Myślałaś o czymś innym?

– Sama nie wiem. Po prostu rozważam różne możliwości. Zanim zaczęło się to całe gównno z Dryblasami, wraz z odejściem ze służby można było dostać darmowy bilet na planetę kolonialną. Nie pamiętasz tego z obozu dla rekrutów?

– Chyba moją uwagę rozproszyła wtedy niezła laska, którą przydzielili mi na sąsiedniej pryczy – powiedziałem, a ona uśmiechnęła się, nie otwierając oczu. – Nie. Nie pamiętam tego.

– Trzeba było mieć za sobą przynajmniej dwa pełne kontrakty, ale pozwalali wtedy lecieć z pominięciem loterii. Automatycznie wygrywający bilet. Wydaje mi się, że dla weteranów przeznaczono jakieś pięć procent miejsc.

– No ale to i tak zatrzymało się ze zgrzytem. Już nie ma loterii. Ani lotów kolonialnych, chyba że w to miejsce.

– Tak, ale kto wie, co będzie? Jeśli dzięki tym nowym okrętom uda nam się odepchnąć Dryblasów, możemy zacząć wszystko na nowo. Wciąż jest jeszcze parę kolonii, których nie zajęły te stwory – mówiła Halley.

– Sądzisz, że tego dotrwamy?

– Na razie nam się udało. I nie jest tak ponuro jak zaraz po zajęciu przez nich Marsa. Wtedy nie mieliśmy jak kontratakować. Teraz jest inaczej.

– Dopóki nie wrócą do Układu Słonecznego z dwustoma okrętami nasiennymi. Albo czymś innym. Stworzyliśmy nową

broń i taktykę. Dlaczego oni nie mieliby zrobić tak samo?

– W takim razie będziemy mieć przesrane, gdzie byśmy się nie znajdowali. – Wzięła głęboki oddech i wypuściła go powoli. – Zresztą to i tak było jedno wielkie „być może”. Na razie cieszymy się, że nie znajdujemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i podziwiamy krajobraz.

Leżeliśmy przez chwilę w niemal zupełnej ciszy. Słysząc było jedynie delikatny wiatr i plusk wody chlupiącej o niedaleki brzeg. Było tak spokojnie, że mógłbym zasnąć. Halley ujęła moją dłoń.

– A ty o czym myślałaś? – zapytałem. – W sensie, że co zrobimy później?

– Jeszcze nie wiem – przyznała. – Na pewno chcę być jak najdalej od moich rodziców. Vermont to chyba dobry początek.

Przekręciła się na bok, żeby na mnie spojrzeć. Też obróciłem głowę w jej stronę.

– No ale kolonia. Miejsce takie, jak to. Możesz sobie to w ogóle wyobrazić? Pamiętasz, jak zesłaliśmy na Willoughby desantowcem i jak rozmawialiśmy o tym, że moglibyśmy tam zniknąć, a nikt nie miałby pojęcia, gdzie się podzialiśmy?

– Pamiętam.

– W tej kolonii nie mieszka nawet sto tysięcy ludzi, a ma ponad połowę rozmiarów Ziemi. Moglibyśmy osiedlić się w miasteczku lub kazać zbudować specjalnie dla nas dom z prefabrykatów na jakimś zadupiu. Co tydzień jeździlibyśmy terenówką do miasta po zakupy.

– Niedługo będzie taka pusta.

– Owszem, ale co roku przylatuje tu piętnaście tysięcy ludzi. Jedna nowa osada na rok. Jeśli pojedziemy wystarczająco daleko, minie sporo czasu, zanim znów trafią nam się sąsiedzi. Przemyśl to. Tę ciszę.

– Myślę o tym – rzekłem. – Muszę przyznać, że nie brzmi źle.

– Zdecydowanie nie brzmi źle. – Halley ścisnęła mi lekko dłoń

i puściła, po czym znów położyła się na wznak, skrzyżowała ręce na piersi i westchnęła z ukontentowaniem.

Zastanawiałem się nad tym, co właśnie powiedziała. Nad opuszczeniem Ziemi, gdy odejdziemy z wojska. Tak naprawdę oznaczało to tylko zostawienie naszych rodzin, ponieważ nie posiadaliśmy żadnych rzeczy oprócz kilku cywilnych ubrań, ale wiedziałem, że nie zasmuciłaby się zbyt, oddalając się na sto pięćdziesiąt lat świetlnych od swoich rodziców. Ja i tak widywałem się z matką tylko podczas urlopów, a zanim skończymy służbę, mogło jej już nie być. Ludzie, którzy spędzili większość czasu w DZK, żyli przeciętnie krócej niż klasa średnia i wyższa. Kochałem matkę, ale dopasowywanie moich dalszych planów do niej było zapewne błędem. I gdybym miał w tym momencie wybierać między Arkadią a Liberty Falls, bardzo kusiłoby mnie, żeby zdecydować się na Arkadię. Większość obywateli WPA byłaby gotowa zabić w zamian za szansę życia na czystej, pustej planecie pełnej surowców naturalnych, w systemie niezwykle oddalonym od międzyludzkich konfliktów lub Dryblasów. Gdybyśmy kiedyś stanęli przed takim wyborem, dostalibyśmy więcej, niż mogło liczyć dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji.

W sosnowym lasku było ciepło i spokojnie, a nie mieliśmy nic do roboty przez resztę pobytu. Gdy kilka minut później oddech Halley się wyrównał, a później zaczęła cicho pochrapywać, uznałem, że również się zdrzemnę i pozwoliłem umysłowi odpłynąć. W wojsku nie wolno było marnować okazji na odcedzenie kartofelków, wszamanie czegoś czy przycięcie komara, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy trafi się kolejna szansa.



Gdy obudziłem się jakiś czas później, przez chwilę mrugałem,

spoglądając na sosnowe igły na gałęziach kołyszących się nad głową. Później zerknąłem na zegarek. Spaliśmy ponad godzinę i kusilo mnie, żeby dołożyć do tego drugą, bo nigdy nie przebywałem w bardziej sielskim miejscu. Zaczynało mi jednak burczeć w brzuchu, usiadłem więc, żeby poszukać w worku batonów żywnościowych, które zabraliśmy.

Halley wciąż spała z rozchyłonymi lekko ustami. Obserwowałem ją przez moment, zdumiewając się, jak niewiele się zmieniła od obozu przygotowawczego przed niemal dziesięcioma laty. Czas był dla niej łaskawy, choć w tym okresie niemal bez przerwy przebywała w środowisku z filtrowanym powietrzem i na wielu stresujących dyslokacjach. W świetle słońca widziałem w jej włosach parę pasemek siwizny, a w kącikach oczu pojawiły się drobne zmarszczki. Znajoma linia nosa i krzywizna żuchwy były jednak równie wyraziste jak zawsze i mógłbym naszkicować je z pamięci, nawet na wpół śpiący lub zupełnie pijany.

Pochyliłem się, żeby obudzić Halley pocałunkiem.

Nasze OTI jednocześnie wydały z siebie uprzejmie ponagląjące komunikaty alarmowe. Halley podniosła z zaskoczeniem głowę, a ja musiałem się cofnąć, żeby przez przypadek nie uderzyła mnie czołem w zęby. Sięgnąłem po tablet do kieszeni spodni.

– Co teraz, kurwa? – mruknąłem, uruchamiając ekran.

Tym razem nie była to wiadomość tekstowa, lecz głosowa, nadana przez pierwszego oficera „Ottawy”. Zaczęła się odtwarzać, gdy tylko urządzenie wyczuło, że patrzę na wyświetlacz. Obok mnie Halley włączyła własny OTI i spoglądała na niego, mrużąc oczy.

– Tu pierwszy oficer. Cały personel korpusu ma zgłosić się do najbliższej placówki wojskowej i natychmiast wrócić na „Ottawę”. Wszystkie przepustki zostają anulowane. Powtarzam: wrócić do najbliższej bazy najszybciej jak to możliwe i zgłosić się do transportu powrotnego na okręt. Po drodze nie zatrzymywać

się, żeby wachać kwiatki. Przygotowujemy się do odlotu. Pierwszy oficer bez odbioru.

– No to miło – skomentowałem. – Nie podał żadnego powodu.

– Dryblasy? – podsunęła Halley.

– Nie sędzę. Powiedziałyby nam, a „Ottawa” przeszłaby już z pozostałą załogą w tryb stanowisk bojowych. Nie czekaliby na powrót wszystkich.

– Obyś miał rację.

Wiedziałem, że pierwszy oficer nie anulowałby przepustek i nie odwoływał nas bez naprawdę dobrej przyczyny, która nie spotkałaby się z buntowniczymi pomrukami większości załogi. Mimo to czułem się ograbiony z pełnego dnia tu na dole z Halley. Przespacerowaliśmy się i zdrzemnęliśmy, a teraz musieliśmy wracać do kurnika. Druga i trzecia wachta nie dostały jednak nawet tyle – wciąż znajdowali się na okręcie i czekali na swoją kolej, która miała nie nadejść.

Włożyliśmy z powrotem tuniki i podnieśliśmy worki.

– Będziemy musieli się pospieszyć – powiedziałem. – To tylko pięć kilometrów. Możemy przebiec tę odległość w trzydzieści minut.

– Dwadzieścia pięć – odparła Halley.

– Ktoś tu jest pewien efektów treningu aerobowego – skomentowałem.

Gdy szykowaliśmy się do biegu, Halley z wyrazem żalu na twarzy popatrzyła na czyste wody jeziora.

– No kurwa. Przelecieliśmy sto pięćdziesiąt lat świetlnych, a ja nawet nie zanurzyłam stopy.

## Rozdział 16

# Pilna wiadomość

Lot powrotny na okręt zajął dwadzieścia pięć minut od startu do kontaktu płóz z podłogą pokładu lotniczego, ale wszyscy w ładowni byli zaniepokojeni, zatem podróż wydawała się dłuższa niż zwykle.

– Idę do BCI – powiedziałem Halley, gdy zameldowaliśmy się u oficera pokładowego. – I tak wkrótce powiadomią nas, co się dzieje, ale jeśli dowiem się czegoś więcej, dam ci znać.

– Poproszę – odrzekła.

Przytuliła mnie szybko. Jej tunika wciąż pachniała świeżym powietrzem i trawą. Jeśli miała to być nasza ostatnia szczęśliwa chwila razem, to okazała się dobra. Nie mówiłem jednak tego Halley, żeby nie pogłębiać jeszcze bardziej jej stresu. Szef załogi i piloci też nie znali powodów anulowania przepustek albo otrzymali rozkazy, żeby milczeć, dopóki nie zostanie wystosowany oficjalny komunikat.

Halley poszła w stronę Krainy Pilotów, a ja ruszyłem na górę, na pokład dowodzenia, żeby zastąpić kontrolera walki na stanowisku działań operacyjnych. Jeśli czekał nas kolejny kryzys i jeśli chciałem pozostawać na bieżąco, powinienem przebywać w tym samym pomieszczeniu, co dowódczyni i pierwszy oficer.



W BCI panowała atmosfera napięcia, ale nie paniki. Zaraz po wejściu zerknąłem na holoe ekran i zawieszoną bezpośrednio



ponad nim sferę taktyczną. Gdy zobaczyłem, że wszystkie wyświetlane ikony są niebieskie, pozwoliłem sobie na lekkie westchnienie ulgi. Nie wiedziałem jeszcze, w czym leżał problem, ale nie był to okręt nasienny kierujący się na nas gdzieś z głębi systemu. Inaczej już znajdowalibyśmy się na stanowiskach bojowych i rozpoczęli namierzanie.

– Co się dzieje? – spytałem sierżanta sztabowego.

– Nic dobrego – mruknął Wilcox, gdy zwałniał mi konsolę działań operacyjnych. Zobaczyłem, że zerknął na dowódczynię i pierwszego oficera, stojących przy holostole i pogrążonych w cichej rozmowie. – Szyper zaraz odezwie się przez radiowęzeł.

– Idźcie powiadomić resztę drużyny – poleciłem. Skinął głową i ruszył do wyjścia.

Usiadłem i wywołałem swoje ekrany, co było raczej bezcelowe, skoro w powietrzu nie znajdowały się żadne zasoby taktyczne. Większość naszych desantowców wróciła do tej pory na „Ottawę”. Klucz czterech okrętów niemal podchodził już do dokowania, a na orbicie nie widziałem nic więcej oprócz kotwicowiska i zacumowanych przy nim jednostek. Żaden z wyświetlaczy sytuacyjnych przede mną nie dawał mi jakichkolwiek wskazówek co do natury alarmu. Wszystkie systemy okrętu były oznaczone zielenią, na diagramie widziałem jedynie symbole WPA i nie przebywaliśmy na stanowiskach bojowych, więc problem leżał gdzieś na tym szerokim przestworze potencjalnych scenariuszy pomiędzy biegunami „zupełny spokój” i „Dryblasy w zasięgu broni”.

Dziesięć minut później desantowce znalazły się już na pokładzie i na diagramie orbitalnym nie widziałem nic w ruchu.

– Wszystkie zasoby lotnicze wróciły, pani pułkownik – poinformował oficer od operacji lotniczych. – Cały personel obecny.

– Sternik, obróć nas na najszybszy kurs do punktu Alcubierre’a – rozkazała Yamin. – Pełna moc wojskowa.

Próbowałem nie wstrzymywać oddechu, gdy podnosiła i zakładała zestaw słuchawkowy.

- Radiowęzeł.
- Jest pani na linii.
- Do wszystkich, uwaga.

Dowódczyni przerwała na chwilę i wzięła głęboki oddech.

– Żałuję, że musiałam anulować wszystkim przepustki, ale mamy nagłą sytuację. Dwie godziny temu krążownik „Durandal” wszedł do systemu Leonidas i nadał przeznaczoną bezpośrednio dla nas wiadomość priorytetową od Floty. Przed trzema dniami statek zaopatrzeniowy WPA „Jedność” dotarł do Układu Słonecznego, żeby przekazać komunikat od kolonii Nowy Svalbard. Wygląda na to, że po trzech latach względnego spokoju nasz wróg znów przeszedł do ofensywy. „Jedność” donosi, że sensory długodystansowe na Nowym Svalbardzie wykryły kilka okrętów nasiennych lecących bezpośrednio na kolonię. Statek transportowy znajdował się wówczas na orbicie nad Nowym Svalbardem i natychmiast ruszył pełnym ciągiem w kierunku węzła Alcubierre’a, żeby przesłać ostrzeżenie reszcie Floty. Ich eskorta, niszczyciel „Michael P. Murphy”, pozostał na miejscu, żeby bronić kolonii, choć przebywający na „Jedności” dowódca zespołu zadaniowego rozkazał mu opuścić system wraz z zaopatrzeniowcem.

Nagła groza ścisnęła mi żołądek. Samotny niszczyciel nie miał zbyt wielu szans przeciwko okrętowi nasiennemu, nie mówiąc już o kilku z nich. Jeśli te wydarzenia miały miejsce przed niecałym tygodniem, zapewne została już z niego chmura szczątków. Wywołałem kartę danych dla „Michaela P. Murphy’ego”: „NISZCZYCIEL TYPU BŁĘKIT, 9500 TON, OBSADA 358 OFICERÓW I PODOFICERÓW”.

– Nie zamierzam tracić czasu – ciągnęła pułkownik Yamin. – Flota rozkazała, żebyśmy wrócili do Układu Słonecznego i natychmiast przeszli z jak najwyższą prędkością do punktu

Alcubierre'a. Mamy wejść do systemu Fomalhaut, po czym zaatakować i zniszczyć obecnych tam Dryblasów. Na Nowym Svalbardzie znajduje się ponad trzy tysiące cywilów, wraz z garnizonowym batalionem PK w Obozie Sopol. Zamierzają utrzymać się, czekając na posiłki Floty, a my postaramy się, żeby nie czekali i walczyli na próżno.

Znów przerwała. W BCI panowała absolutna cisza i wyobrażałem sobie, że podobnie jest w każdym pomieszczeniu na pokładzie.

– „Ottawa” jest obecnie jedynym okrętem zdolnym stawić czoła Dryblasom w walce. „Archangielsk” nie posiada napędu Alcubierre'a, poza tym jego zadaniem jest obrona Ziemi. Żaden z pozostałych Mścicieli nie jest jeszcze w pełni gotowy. Obowiązek spada zatem na nas. Jeśli nie przybędziemy z pomocą, kolonia upadnie, a przebywający tam żołnierze PK zginą. Musimy pomóc, bo właśnie do tego został przeznaczony ten okręt. Zdaję sobie sprawę, że to paskudny koniec rejsu dziewiczego, i żałuję, że nie mieliśmy jeszcze paru tygodni, żeby podokręcać wszystkie luźne śrubki, ale zależy od nas życie niemal czterech tysięcy ludzi. Musimy po prostu nieco przyspieszyć miesiąc miodowy.

Mówiąc to, dowódczyni wpatrywała się w diagram z miną tak ponurą, jakiej jeszcze u niej nie widziałem. Pamiętałem, że dowodziła krążownikiem podczas pierwszej bitwy o Marsa, kiedy Dryblaszy zaskoczyli garnizon orbitalny i zniszczyli większość tamtejszych jednostek Floty. Nie musiałem się zastanawiać, czy duchy tamtego wydarzenia wciąż nawiedzają ją regularnie we śnie.

– Gdy dotrzemy do Układu Słonecznego, spotkamy się ze statkiem zaopatrzeniowym, żeby wziąć paliwo oraz wyładować cywilnych kontrahentów i stażystów z Eurokorpusu. Po zatankowaniu i uzupełnieniu niezbędnych zapasów ruszymy najkrótszym kursem do węzła Alcubierre'a. Żadna inna

jednostka Floty nie jest w stanie dotrzymać „Ottawie” tempa przy pełnej prędkości, więc będziemy zdani całkowicie na siebie. Jednak to właśnie pod tym kątem skonstruowano ten okręt. Wykorzystajcie czas podróży na ciężki trening. Gdy następnym razem usłyszycie komunikat o stanowiskach bojowych, nie będą to ćwiczenia.

Diagram sytuacyjny przede mną pokazywał to samo, co widok taktyczny na wyświetlaczu holograficznym pośrodku BCI. Nie czułem żadnego przyspieszenia, lecz „Ottawa” zwiększała już ciąg, żeby opuścić orbitę. Planowana trajektoria wiodła nas znów do oddalonego o kilka godzin drogi węzła Alcubierra’a. Wracaliśmy do Układu Słonecznego z gazem do dechy.

– W pełni ufam temu okrętowi i jego załodze. Trzy lata temu „Agincourt” i „Archangielsk” zniszczyli kilka okrętów nasiennych w bezpośredniej walce. „Ottawa” dysponuje dwukrotnie większą siłą ognia i pięciokrotnie potężniejszym pancierzem niż one. Naszą jednostkę zaprojektowano do tego, żeby rozwalala Dryblasów, więc tak właśnie zrobimy. Dowódca bez odbioru.


Pułkownik Yamin wyłączyła stuknięciem zestaw słuchawkowy i ściągnęła go z głowy. Była to dobra przemowa motywacyjna, ale widziałem po minie dowódczyni, że nie do końca była tak przekonana, jak właśnie zabrzmiała. To było jednak jej zmartwienie, odwróciłem więc wzrok i skupiłem się na swoich ekranach, zanim zdążyła zauważyć, że się jej przyglądam.

– Jeszcze sześć miesięcy – powiedziała do pierwszego oficera.

– Pani pułkownik?


– Sześć miesięcy i dysponowalibyśmy kolejnym gotowym Mścicielem. Chciałabym mieć „Waszyngton” na sterburcie, gdy wlecimy do Fomalhaut. Cholera, nawet „Moskwę” albo „Pekin”. – Westchnęła i pokręciła głową. – Cóż, nie ma chyba sensu tak stać i pograżać się w marzeniach. Proszę przygotować okręt do ataku nuklearnego z pięciominutowym wyprzedzeniem. Wszystkie działy mają zgłosić gotowość bojową do osiemnastej zero zero.

Idziemy na wojnę.



Do komina Alcubierre'a prowadzącego z powrotem do Układu Słonecznego wlecieliśmy trzy godziny i trzynaście minut później z maksymalną bezpieczną prędkością. W normalnej przestrzeni „Ottawa” była kilka razy bardziej chyża od najszybszych jednostek Floty, poza tym mogła utrzymywać pełen ciąg znacznie dłużej niż inne okręty, ponieważ dysponowała wieloma reaktorami i ogromnymi zbiornikami paliwa. Samego przejścia kominem nie dało się jednak przyspieszyć, musiało więc ono trwać niemal dwadzieścia cztery godziny, prawie dobę straconą z powodu fizycznych prawideł rządzących podróżami międzygwiazdowymi.

Mój dyżur w BCI kończył się o osiemnastej. Zanim zebrałem swoje rzeczy i opuściłem stanowisko, wysłałem wiadomość do wszystkich członków drużyny taktyk specjalnych, żeby wezwać ich na odprawę za dwie godziny. Następnie poszedłem wziąć prysznic i coś zjeść. Świadomość nadciągającej walki jeszcze bardziej zwiększała dyskomfort wywołany przejściem przez komin, w związku z czym nawet dobry posiłek w mesie oficerskiej wydawał się jakby bardziej mdły.



– Cóż, mam dobre wieści dla tych z was, którzy chcieliby zwiększyć liczbę zaliczonych zrzutów bojowych – oznajmiłem, gdy wszyscy zebrali się w sali odpraw. Niektórzy żołnierze zachichotali, ale młodszy podoficerowie nie byli w stanie wykrzesać z siebie nic więcej niż tylko nerwowe uśmiechy. – Ci z was, którzy desantowali się już przeciwko Dryblasom, wiedzą, o co chodzi. Jeśli na Nowym Svalbardzie już się od nich roi i jeśli uda nam się usunąć z drogi okręty nasienne, to

najprawdopodobniej będziemy lecieć na dół w kapsułach. Na powierzchni jest garnizon, ale obcy byli na podejściu do kolonii już trzy dni temu, a nie wiem, jak długo batalion z Obozu Sopel zdoła utrzymać się przeciwko wielu okrętom nasiennym.

Nie wspomniałem o „Michaelu P. Murphym”, ponieważ nikt poza najbardziej rozmarzonymi optymistami nie miał już złudzeń, że nawet jeśli niszczyciel został, żeby walczyć, to uległ zniszczeniu.

– Pytanie, sir.

– Tak, chorąży Garcia.

– Czy zachowujemy te same przydziały, co przy desancie ćwiczebnym? Dobrze byłoby skakać z jednostkami, które już znamy.

– Nie widzę problemu, chyba że ktoś z was ma coś przeciwko.

Członkowie drużyny pomrukami przekazali, że nie.

– Zatem postanowione. Zostają te same przydziały do kompanii. Ktoś był już na Nowym Svalbardzie?

Jedynie chorąży Taggart podniósł rękę.

– Odsłużyłem turę w Obozie Sopel zaraz po szkole kontrolerów bojowych, sir.

– Znacie więc środowisko. A dla reszty: wyobraźcie sobie Antarktydę, tylko nieco mniej przyjazną w zimie.

Wyświetliłem wykonane z orbity zdjęcia Obozu Sopel oraz pobliskiego miasteczka Nowe Longyearbyen.

– Dobre wieści są takie, że z fizycznego punktu widzenia to najbardziej ufortyfikowana kolonia, jaką posiadamy. Większość zasadniczej infrastruktury znajduje się pod ziemią. Budowano w taki sposób z powodu pogody, a nie dlatego, że spodziewano się wówczas Dryblasów. Wszystko jest jednak solidne. Na przykład kompleks administracyjny to jedyny istniejący w koloniach schron klasy piątej. Będzie to dla Dryblasów twardy orzech do zgryzienia.

Wrzuciłem na ekran schemat sieci tuneli rozciągających się

pod miastem.

– To część podziemna. Leży pod pięćdziesięcioma metrami lodu i wiecznej zmarzliny. Praktycznie każdy budynek ma jeden lub więcej szybów ewakuacyjnych łączących się z tymi korytarzami. Są tam magazyny żywności i paliwa pozwalające wytrwać jakiś czas. Jednak na pewno nie wiecznie, zwłaszcza jeśli Dryblasy zaczęli już kopać własne tunele. Chcę, żebyście zapoznali się z rozkładem tej infrastruktury, bo jeśli będziemy musieli zejść do tuneli, to nie będziecie mieć tam czasu, żeby szukać przewodnika albo oglądać mapę. A jeśli ich sieć padnie, to straciecie też tak-łącza, bo nad głowami będziecie mieć pięćdziesiąt metrów warstwy blokującej sygnał, nie zakładajcie więc, że będziecie na nim polegać. Nawet lokalne połączenia bezpośrednio mogą tam się rwać.

Wyświetliłem mapę Obozu Sopol. Po raz ostatni byłem tam przed czterema laty i od tego czasu przewinęło się przez to miejsce osiem zmian. Już dawno wyjechali żołnierze, których przywieźliśmy na pokładzie „Midway”, lecz wielu znanych mi cywilnych kolonistów zapewne wciąż tam mieszkało.

– A to garnizon. Już od ponad czterech lat utrzymujemy tam pełen batalion. Dysponuje własną eskadrą desantowców i kompanią lekkich pojazdów opancerzonych. Jeśli Nowy Svalbard zostanie zaatakowany, zadaniem Obozu Sopol jest odpowiedzieć na atak i w miarę możliwości odsunąć go od miasta. Natomiast jeśli miasto będzie zagrożone, wtedy garnizon ma je ufortyfikować i utrzymać perymetr aż do przybycia kawalerii.

– Co zrobimy, jeśli garnizonu już nie będzie? – spytał sierżant sztabowy Wilcox.

– To zależy od dowódcy. Przypuszczam jednak, że zlecą nam oczyszczenie miasta i ustanowienie perymetru wokół lądowiska, żeby ewakuować cywilów. Przynajmniej ja bym tak zrobił. Zakładajmy, że w ten czy inny sposób nasza misja będzie się

wiązać z tymi tunelami.

Kontrolerzy walki oraz kosmiczni ratownicy przeglądali schematy i zadawali co jakiś czas pytania, a ja objaśniałem układ tuneli i skład sił garnizonowych. Jednak kiedy moi podkomendni robili notatki na OTI i słuchali uważnie moich słów, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że planujemy pogrzeb. Jeśli Dryblaszy wylądowali na Nowym Svalbardzie, kolonia była już zapewne stracona, chyba że uda nam się zniszczyć każdy okręt nasienny i zabić każdego osobnika. Zaś jeśli zdążą przed naszym przybyciem wkopać się pod ziemię, wówczas będziemy mieć szczęście, jeśli uda się ewakuować kolonistów i odlecieć w jednym kawałku.

– Gdy wejdziemy do systemu, będziemy wiedzieć więcej, co nas czeka. Na razie nie da się stwierdzić, ile jednostek Dryblasów znajduje się na orbicie ani czy wypuścili już swoje lądowniki. Wszystko zależy od rozpoznania na miejscu. Spodziewajcie się odprawy przed walką, ale najlepiej zapoznajcie się też w jak największym stopniu z terenem bitwy, zanim dotrzemy do Fomalhaut. Weterani mogą potwierdzić, że jeśli coś zacznie się dziać, to później poleci już jak lawina. Ćwiczcie, sprawdźcie trzy razy sprzęt, najedzcie się i wypocznijcie. Jeśli wylądujemy, będzie to największa operacja wojskowa od trzech lat. Desantujemy się z najlepszym sprzętem Floty, a na orbicie będziemy mieć jej najlepszy okręt. Wykorzystajmy to dobrze i wykopmy drągali z tego księżyca.

Zakończyłem spotkanie i podoficerowie po kolei wyszli. Młodszy z nich, ci, którzy nie brali jeszcze udziału w walce, może za wyjątkiem paru patroli na Marsie, wyglądali na odpowiednio ponurych i zamyślonych jak na wymogi sytuacji. Starzy wiarusi zapewne również się martwili, ale nauczyli się ukrywać swoje obawy.

Opuszczałem salę jako ostatni. Gdy wyszedłem na korytarz, natknąłem się tam na Halley opierającą się ze skrzyżowanymi



ramionami o pobliską gródź.

– Podoba mi się sposób, w jaki prowadzisz odprawy. Zmieniłeś się w kogoś, kto naprawdę zna się na swoim fachu. Wiesz, że uważam kompetencję za cholernie seksowną?

– Słuchałaś?

– Zostawiliście uchylone drzwi. Szukałam cię i komputer powiedział, że jesteś w tym pomieszczeniu. Gdy usłyszałam, że mówisz do swoich podoficerów, uznałam, że chwilę posłucham.

– I jak wygląda twoja profesjonalna ocena?

– Odprawy czy zrozumienia sytuacji taktycznej?

– Jak wolisz – odparłem.

– Niczego bym nie dodała. Działamy zgodnie z procedurami, niezależnie od tego, co znajdziemy po drugiej stronie komina, i dajemy z siebie wszystko. Naprawdę sądzisz, że zostaną tam jacyś koloniści do ewakuacji?

– Byłaś na Nowym Svalbardzie?

– Ze trzy albo cztery razy. Ale tylko po wodę. Nigdy nie trafiłam na powierzchnię.

– Mieszkają tam twardzi ludzie. Poza tym dysponują ufortyfikowanym podziemnym miastem i całym batalionem PK do walki z Dryblasami. Moim zdaniem mają więcej niż pół na pół szans, żeby utrzymać się tydzień lub dwa.

– No to miejmy teraz nadzieję, że ten okręt zada cios pasujący do kategorii wagowej, w której go wystawiono, inaczej nie wejdziemy nawet na orbitę – rzekła Halley. – Jadłeś już coś? Umieram z głodu.

– Dołączę do ciebie – odparłem, chociaż byłem po obiedzie. Mieliśmy przed sobą ponad dwadzieścia godzin Alcubierre'a, a później kilka dni podróży przez Układ Słoneczny, uznałem więc, że muszę wykorzystać każdą możliwą chwilę, żeby przebywać wraz z Halley, w razie gdyby coś się paskudnie schrzaniło, kiedy dotrzemy już do Fomalhaut. W mesie zawsze była kawa, a moja wieczorna przebieżka mogła poczekać pół

godziny.

## Rozdział 17

# Opowieści wojenne

**G**dy wyłoniliśmy się z węzła Alcubierre'a w Układzie Słonecznym, czekał na nas komitet powitalny. Statek zaopatrzeniowy „Hampton Beach” i krążownik „Excalibur” stacjonowały kilka tysięcy kilometrów od punktu wyjścia. Z radiowężła nie dobiegł żaden komunikat witający nas w ojczystym systemie. Gdy uzupełnimy paliwo i zapasy, nie będziemy się już nigdzie zatrzymywać, dopóki nie dotrzemy do kolejnego węzła za pasem asteroid. Według zaplanowanej trajektorii mieliśmy nie korzystać z asysty grawitacyjnej Ziemi lub Marsa, a zamiast tego pędzić pełnym ciągiem najkrótszą trasą. Podczas tego dziewiczego rejsu wykorzystaliśmy już ogromną ilość paliwa do reaktora, a jednak sprawdziłem ze zdumieniem, że nawet po milionach pokonanych na pełnym gazie kilometrów i dwóch przejściach na sto pięćdziesiąt lat świetlnych zbiorniki „Ottawy” wciąż zawierały ponad pięćdziesiąt procent maksymalnego stanu.

– Uwaga! – Dobiegło dwadzieścia minut później z głośników. – „Hampton Beach” podchodzi z zapasami. Personel zajmujący się przeładunkiem ma przygotować się do rozpoczęcia operacji.

– Mówi pierwszy oficer. – Usłyszeliśmy po chwili z radiowężła. – Do wszystkich cywilnych kontrahentów i członków Eurokorpusu, to jest wasz port pośredni. Zgłóście się do oficera pokładowego przy głównej śluzie transferowej na pokładzie pierwszym, jeśli potrzebujecie transportu z powrotem na stację Węzłową i na Ziemię. Jest to nasz jedyny przystanek, zanim

wejdziemy w komin prowadzący do systemu Fomalhaut. Każdy, kto nie opuści okrętu do chwili rozłączenia z „Hampton Beach”, za cztery dni znów zostawi za sobą Układ Słoneczny. Powtarzam: cały personel cywilny i z Eurokorpusu chcący udać się obecnie na Węzłową ma zgłosić się do OP przy głównej śluzie transferowej na pokładzie pierwszym do godziny jedenastej trzydzieści. Pierwszy dowódca bez odbioru.

Nastrój na jednostce znacznie się pogorszył, odkąd opuściliśmy system Leonidas. Wyglądało na to, jakby wszyscy dostali nagle i dobitne przypomnienie, że „Ottawa” naprawdę jest okrętem bojowym. Gdy poszedłem później pobiegać, zauważyłem na bieżni wyraźnie więcej osób, a większość świeżo zmotywowanych biegaczy była młodszymi podoficerami i szeregowymi. Nawet w stołówkach i strefach rekreacyjnych zrobiło się ciszej. Miałem ponurą satysfakcję, że zachowanie wielu osób stało się poważniejsze, ale nie potrafiłem nie odczuwać sympatii do młodszych członków załogi. Dowiedzieli się, że za cztery dni czeka ich pierwsza bitwa, a z doświadczenia wiedziałem, że na wojnie najgorzej jest mieć czas, żeby zastanawiać się nad zbliżającą się walką.

W połowie moich zwyczajowych pięciu okrążeń ktoś zawołał mnie z tyłu.

– Po twojej lewej. – Usłyszałem znajomy głos.

Przesunąłem się na prawy pas bieżni i Hansen zrównała się ze mną.

– Wiesz co, chyba marnujesz tu czas – powiedziała.

– Jak to? – odparłem, próbując nie dyszeć.

– Nigdy nie brałam udziału w bitwie, w której moja wytrzymałość biegowa zrobiłaby jakąś różnicę. Jeśli się męczysz, silniczki pancerza to nadrabiają.

– Ale jest mi od tego lepiej. Wiem wtedy, że wciąż mogę się ruszać, jeśli zechcę. Niezależnie od silniczków.

Biegliśmy z tą samą prędkością. Co kilkadziesiąt metrów musieliśmy ustawiać się za sobą, żeby kogoś przepuścić, ale Hansen za każdym razem znów mnie doganiała. Nie minęło wiele czasu, a rozpoczęliśmy niewypowiedzianą rywalizację. Wpadliśmy w rytm zmiany i przywracania szyku, płynny i skuteczny. Czasami oficerowie kompanii i sztabowi z PK odpuszczali sobie trochę ćwiczenia fizyczne – w końcu starzeli się i spadało im na głowę coraz więcej administracyjnych bzdur – ale Hansen nie należała do tego grona. Kiedy wreszcie skończyliśmy nasze okrążenia i zwolniliśmy do truchtu, a później wyszliśmy do przedsiönka, byłem bez tchu i spocony.

– Mamy cztery dni do imprezy – rzekła Hansen. – Jeśli dziś wieczorem po jedzeniu masz wolne, może zajrzysz do Krainy Trepów? Moglibyśmy pójść do baru na trzecim poziomie i czegoś się napić. Kończy nam się czas na wspominki o dawnych dziejach.

– Zgadza się – odrzekłem. – Może być osiemnasta?

– To do zobaczenia. Pokład trzeci, wręga sto siedemdziesiąt pięć.

– Zrozumiałem. Osiemnaście zero zero. Trzy. Jeden siedem pięć.

---

Proces uzupełniania zapasów zwykle trwał krótko, jednak pozostaliśmy połączeni z „Hampton Beach” przez niemal sześć godzin, nietypowo długo jak na okręt, którego szyper dokądś się spieszy. Byłem już w połowie czterogodzinnej wachty w BCI, gdy w końcu odczepiliśmy kołnierz transportowy i odsunęliśmy się na pędnikach od zaopatrzeniowca, żeby odpalić główne silniki.

– Uwaga: zakończyła się operacja przeładunkowa.

Rozpoczynamy rejs do punktu Alcubierre'a. Najbliżej Ziemi znajdziemy się za dwie godziny trzydzieści osiem minut – oznajmił przez radiowęzeł pierwszy oficer.

Rozłączył się i obrócił do pułkownik Yamin.

– To nasz ostatni przystanek w układzie, chyba że okrętowi odpadnie coś istotnego – powiedział do niej. – Paliwo do reaktora na poziomie stu procent. Opróżniliśmy „Hampton Beach” ze wszystkich zapasów medycznych i racji żywnościowych. Magazyny amunicji okrętowej są pełne, ale wzięliśmy kilka ton pocisków do broni krótkiej i dwieście rakiet do Dzierzb.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli wykorzystać tego wszystkiego, gdy dotrzemy do celu – odparła dowódczyni. – Sternik, wznowić zaplanowany kurs do węzła. Przyspieszenie do pełnego ciągu.

– Tak jest, pani pułkownik. Wznawiam kurs, cała naprzód.

Moja percepcja grawitacji okrętu nie uległa zmianie, w przeciwieństwie do liczb widniejących obok ikony „Ottawy” na głównym diagramie. Doszliśmy do przyspieszenia ponad dwudziestu metrów na sekundę do kwadratu, a wskaźnik prędkości wskakiwał na kolejne potęgi dziesiątki. Zerknąłem na większy schemat pokazujący cały system i zobaczyłem, że punkt odwrócenia przez nas ciągu leży w dwóch trzecich odległości pomiędzy Ziemią a pasem asteroid. Dotrzemy tam za dwa dni, a do węzła Alcubierre'a za cztery, a więc znacznie szybciej, niż dotąd zdarzało mi się bez użycia grawitacyjnej asysty Ziemi bądź Marsa.

– Mam raport od oficera pokładowego podający liczbę osób, które opuściły okręt, pani pułkownik – poinformował pierwszy oficer.

– Ilu wysiadło? – spytała Yamin.

Pierwszy wyświetlił raport na ekranie swojego OTI i pokazał go dowódczyni, która spojrzała i skinęła głową, uśmiechając się z satysfakcją.

– I dobrze – powiedziała, po czym podniosła zestaw słuchawkowy, a potem gestem poleciła łącznościowcowi, żeby otworzył linię radiowęzła. – Do wszystkich, mówi dowódca. Na „Hampton Beach” przesiadło się siedemnastu cywilnych kontrahentów. Nikt z przebywających na pokładzie stu dwudziestu pięciu członków Eurokorpusu nie zdecydował się na powrót na Ziemię.

Przerwała i rozejrzała się po BCI, gdzie wszyscy albo uśmiechali się, albo kiwali z aprobatą głowami.

– Jako wasz dowódca nie mówię wam, żebyście celowo łamali regulamin – podjęła. – Jeśli jednak zechcecie dziś wieczorem postawić sojusznikowi z Eurokorpusu drinka z własnego przydziału alkoholu, przekonacie się, że nikt nie będzie się temu zbyt bacznie przyglądał. To wszystko. Dowódca bez odbioru.

Świadomość, że nasi europejscy towarzysze co do jednego postanowili zostać, niespodziewanie podniosła morale na okręcie, nawet jeśli oznaczało to, że pakują się wraz z resztą z nas w niebezpieczeństwo. Mnie samego kusiłoby, żeby zejść z pokładu, ale wiedziałem, że gdyby role były odwrócone, ostatecznie Halley i ja zdecydowalibyśmy tak samo.

Napisałem do niej:

*Z powodu tego i Marsa chyba muszę przestać nabijać się z Eurosów.*

Odpisała chwilę później:

*Nie zapędzajmy się za daleko z tą przyjaźnią ponad narodami. Ale mogą dzisiaj wypić moje piwo.*



Po jedzeniu poszedłem do Krainy Trepów, gdzie kwaterowała Piechota Kosmiczna. Pułk PK dzielił się na dwa bataliony z czterema kompaniami w każdym batalionie i czterema plutonami w każdej kompanii, w sumie niemal tysiąc dwustu

ludzi. I to wyłącznie żołnierzy liniowych, ponieważ Flota zajmowała się w ich imieniu logistyką, konserwacją sprzętu i administracją. Zajmowane przez nich pomieszczenia mieszkalne i biurowe zwykle należały do najbardziej zatłoczonych na okręcie, ale i w tej kwestii „Ottawa” kontynuowała tradycję łamania konwencji. Kajuty okazały się przestronne, a korytarze na tyle szerokie, że trzy osoby mogły nimi iść ramię w ramię

Hansen siedziała w swoim gabinecie dowódcy kompanii, rozmawiając z sierżantem zbrojmistrzem stojącym przed jej biurkiem w paradnym spocznij. Zobaczyła, że zaglądam, i przywołała mnie lekkim machnięciem.

– To powinno załatwić sprawę, sierżancie. Macie punkty orientacyjne. Odmaszerować.

– Tak jest, pani kapitan – odparł podoficer, po czym odwrócił się i opuścił pomieszczenie. Mijając mnie, skinął mi z szacunkiem głową.

– Dobry wieczór, kapitanie.

– Dobry wieczór, sierżancie.

Wszedłem do biura Hansen. Grodzi niczym nie ozdobiono. Na Ziemi, gdzie żołnierze nie musieli się martwić ciężarem swoich przedmiotów osobistych, wielu oficerów na stopniu kompanii i sztabowych zwykle urządzało na ścianie gabinetu wystawkę ku czci swojego ego, z odznakami, nagrodami i fotografiami z poprzednich jednostek. Oficerowie PK i Floty podczas dyslokacji nie mogli sobie pozwolić na taki luksus, zresztą ta praktyka była tak typowa dla planetarnych urzędników, że większość z nas nie zdecydowałaby się na nią, nawet gdybyśmy mogli zabierać ze sobą trzy tony ekwipunku.

– To najgorszy element roboty oficera – rzekła Hansen. – Wszystkie te administracyjne bzdury. Nie chcesz czasami wpakować kulki w ekran swojego terminalu?

– Raz czy dwa na tydzień – przyznałem.



– No to masz więcej cierpliwości niż ja. – Hansen wstała z fotela i dotknięciem wyłączyła monitor. – Gotów na drinka?

– Jak zawsze. Proszę przodem, pani kapitan.

Strefa rekreacyjna położona najbliżej Krainy Trepów miała sąsiadujące ze sobą sekcje dla oficerów i podoficerów. Po odgłosach dobiegających z tej drugiej można się było zorientować, że jest tam już dość tłoczno, ale po naszej stronie wciąż jeszcze panował miły luz. Podeszliśmy do baru i odebraliśmy napitki: piwo sojowe dla niej, a bezalkoholowe piwo słodowe dla mnie, w ramach mojej pokuty za niezgłoszoną broń. Zaledwie kilkoro młodszych oficerów PK siedziało w boksach, tuląc w rękach przydziałowe drinki alkoholowe, nie mieliśmy więc problemu ze znalezieniem cichego stolika na końcu pomieszczenia, przed wielkim ekranem pokazującym zewnętrzną przestrzeń. Nie robił takiego wrażenia jak kopuła w placówce dla oficerów Floty, ale i tak był lepszy niż gródź pomalowana farbą.

– Pozbyłaś się kucyka, gdy przeszłaś do PK? – spytałem. Kitka była w AT jej cechą charakterystyczną, Hansen nosiła ją w nietypowym stylu niemal przekraczającym przepisy dotyczące wyglądu.

– Oj nie. Ściąłam go na długo przedtem. – Przejechała dłonią po krótkiej fryzurze. – Zapuściłam jeszcze trochę dłuższe włosy, gdy opuściłaś trzysta sześćdziesiąty piąty. Przez jakiś czas nawet zaplatałam warkocz.

– To dlaczego go obcięłaś?

– Przez walkę w zwarcu. Pewnego dnia wdałam się w bijatykę w DZK. Trzech gości skoczyło na mnie, gdy zmieniałam magazynek. Jeden z nich złapał za ten warkocz i wykorzystał jako dźwignię. Próbował wbić mi głowę w chodnik.

– Pewnie nie skończyło się to dla niego dobrze.

– Owszem. Pamiętasz noże, które nam fasowali w AT? Te wielkie, ciężkie jak diabli teleskopowe ostrza, których nikomu

nie chciało się nawet zabierać na desanty? Cóż, po Detroit znów wszyscy je nosiliśmy. Mój wciąż był fabrycznie naostrzony. Odcięłam facetowi łapę w nadgarstku. A gdy wróciliśmy do bazy, umyłam nóż i ciachnęłam nim ten kretyński warkocz.

– Boże, ale byliśmy wtedy naiwni – rzekłam.

– Oj tak. – Hansen pociągnęła długi łyk z butelki. – Chciałabym cofnąć się w czasie i wytrząsnąć całe gówno z tej małej idiotki, którą wtedy byłam.

– Ona nie była jeszcze tobą. Nie jesteśmy już tymi dzieciakami.

– Chyba nie. Prawdę mówiąc, cały okres z Shughart pamiętam teraz trochę jak przez mgłę. Próbuję nie myśleć o tym zbyt często. Wszystko, i to naprawdę wszystko, poszło w cholerę niecały rok po twoim odejściu. Jackson i sierżant zniknęły. Reszta z nas została rozdzielona do nowych jednostek. Gdy szukali ochotników chcących przejść do PK, podpisałam się tak szybko, że mój długopis zostawił smugę kondensacyjną.

– Fallon mówiła mi o rozsypce jednostki.

– No tak. Jak, do ciężkiej kurwy, namówiłeś ją, żeby służyła w twoim plutonie?

– Grzecznie poprosiłem. A ona chyba sądziła, że jest mi coś winna. Ale myślę, że po Arkadii nawet pod lufą nie namówiłabyś jej na powrót w przestrzeń.

– Chcę się dowiedzieć, co się tam wydarzyło – powiedziała Hansen z nutą podniecenia w głosie. – Podczas misji na Arkadii.

– Pewnie słyszałaś o wszystkim w wiadomościach na kanale Floty. Albo w plotkach podoficerów.

– Taa, ale w sieciowizji znalazła się wersja oficjalna. A plotki tylko zniekształcają prawdę. Byłeś na powierzchni. Nie znam nikogo innego, kto też tam był.

– Miałem pod sobą pluton PK. Wlecieliśmy do systemu, zrobiliśmy rozpoznanie i posadziliśmy kompanię na tym księżycu za pomocą czterech nowiutkich niewykrywalnych desantowców. Przez kilka dni bawiliśmy się plutonem

w chowanego z miejscowym garnizonem. Dowódca uznał za stosowne, żeby wykorzystać nas dla odwrócenie uwagi, żeby jego drużyna SEAL mogła podłożyć nuklearne ładunki wybuchowe pod większość reaktorów fuzyjnych. I zadziało.

Opowiedziałem Hansen z grubsza przebieg misji, wtajemniczając ją we wszystko poza nieprzyjemnymi detalami, o których nie miałem ochoty rozmawiać: o stacji przekaźnikowej, uciekającym promie, który rozkazałem zniszczyć, ludziach, których straciliśmy w desperackim szturmie na główną placówkę dowódczo-kontrolną. Hansen gwizdnęła cicho, gdy dotarłem do chwili eksplozji atomówki, a Masoud przekazał ultimatum siłom garnizonowym.

– Naprawdę ostro zaplanowane i wykonane – przyznała. – Jedną kompanią i czterema desantowcami skłoniliście do kapitulacji wzmocniony batalion i lotniskowcową grupę zadaniową. Zawsze ciekawiły mnie szczegóły.

– Nie mieli wyboru. Masoud rozwaliłby wszystkie reaktory. Nikt nie chce ryzykować, gdy stawka jest tak wysoka. I Masoud nie blefował.

– Jak już mówiłam, ostro. Stary, nigdy nie zrobiłam czegoś choćby w połowie tak zajebiście mocnego. Z miejsca zgłosiłabym się na ochotnika do tej misji.

– Pewnie spisałaś się lepiej niż ja. Nie jestem dowódcą plutonu piechoty, tylko kontrolerem ruchu lotniczego z karabinem i radiem. Ale wtedy brakowało im kapsli. – Wygląda na to, jakby całkiem nieźle ci poszło – skomentowała Hansen.

– Nie mnie to oceniać. Ale wciąż tu jestem. W przeciwieństwie do niektórych żołnierzy, których zabrałem.

– Ale ty wróciłeś i wykonałeś zadanie. To wojna, Grayson. Ludzie giną cały czas. Jeśli dowodzisz czymś więcej niż parą własnych butów, to będziesz tracił podkomendnych. Taka specyfika stopnia. Przynajmniej dla nas, trepów. Niektórzy z tych operatorów konsol z BCI zapewne mogą dochrapać się oficera

sztabowego, nie wystawiając niczyjej dupy na ogień.

Wypiła kolejny łyk piwa.

– Oj tam, pierdolić to. Wszyscy jesteśmy między młotem a kowadłem. Myślę, że jeszcze dziesięć lat i zasłużę sobie na premię.

– Co chcesz robić po woju? – spytałem.

– Jeszcze nie wiem. Może kupię sobie coś na przedmieściach. Spasę się cywilnym żarciem. Zobaczę, czy uda mi się znaleźć kogoś, z kim będę w stanie żyć. Ale to musi być weteran, bo mam absolutnie zero wspólnego z cywilami. Gdy ostatni raz byłam w domu na przepustce, matka chciała mnie swatać z jednym gościem. – Hansen uśmiechnęła się i pokręciła głową na to wspomnienie. – Był w sumie miły. I przystojny. Ale zupełnie jakbyśmy podczas kolacji mówili dwoma różnymi językami. Nie mieliśmy żadnych wspólnych punktów odniesienia. Za to miał fajne ciało, więc przynajmniej wieczór nie okazał się zupełnie stracony.

– Cywile mają inne priorytety. Nie potrafią odnieść się do tego całego gówna, które tu robimy. Oczywiście ja też ich nie rozumiem. Chodzi mi o to, że gdy widziałaś to, co widziałaś, nie możesz dłużej udawać, że cokolwiek z tych cywilnych bzdur ma jakieś znaczenie, nie?

– Powiedziałabym ci, żebyś nie wiązał się z nikim spoza swojego gatunku, ale tym chyba nie musisz się już martwić.

– Tak, miałem szczęście. Już prawie dziesięć lat i staż rośnie.

– A co z tobą? – zapytała. – Co zamierzasz? Chcesz dojechać do dwudziestu lat, do wielkiej wypłaty?

– Nie wiem – odrzekłem. – Może. Kapsle zwykle wypalają się przed czterdziestką. Za dużo stresu fizycznego i mentalnego. Gdybym został dużo dłużej, pewnie cała ta kasa poszłaby na dodatkową opiekę medyczną.

– Naprawdę złapali nas za jaja, Grayson. Im więcej wydają na twoje szkolenie, tym bardziej chcą cię wykorzystać. Przynajmniej

teraz mamy gwiazdki. – Odstawiła butelkę na stół między nami i obróciła ją powoli dłonią. – Prościej jest zrezygnować ze stopnia, niż wyrwać się jako szeregowy. Nie trzeba czekać na koniec kontraktu.

– Ale możesz zapomnieć o premiach i opiece medycznej – powiedziałem.

– Tak, to też. Ale przynajmniej istnieje szybka droga wyjścia. Nie mogą przecież zaciągnąć pętli tak ciasno, że nikt się nie wydostanie.

– Wszystko zależy od tego, co będzie chciała moja żona. Jeśli ja postanowię wyjść, a ona zostać, albo na odwrót, to będziemy mieć problem.

– I tu leży przewaga singli – skomentowała Hansen. – Nie wiem, jak wam się to udaje, przy tym wszystkim, co musimy robić dla korpusu. I ona też jest na tym okręcie?

Skinąłem głową.

– Nie chciałabym tak. Jeśli Dryblasy rozwałą tę łajbę w trzy dupy, oboje kopniecie w kalendarz.

– Szczerze? – zapytałem. – Tak byśmy woleli. W sensie, odejść jednocześnie.

Hansen popatrzyła na mnie, jakby nie mogła się zdecydować, czy żartuję. Później pokręciła głową i się napiła.

– I widzisz? Małżeństwo jest dziwne. Raczej zostanę przy kosmicznych mężach. Trzy miesiące to najdłuższy czas, na jaki potrafię się zaangażować.

– Małżeństwo jest świetne. To jedyna rzecz, do której mogę za każdym razem wrócić, nieważne z jakiego gówna bym wylazł.

– Chyba nie jestem do tego stworzona. Ale to dobrze, jeśli ty jesteś.

Skrzyżowała ze mną wzrok przez chwilę, która wydała mi się odrobinę zbyt długa. Szybko wypilem łyk piwa.

– Chyba pruję się w szwach – rzuciłem, żeby zmienić temat. – W sensie mentalnym. Stresujesz się czasami tak, że chcesz

oderwać komuś głowę?

– Co drugi dzień – odparła Hansen z uśmiechem.

– Byłaś kiedyś z tym u psychologa?

– Za cholerę nie. To gówno nie jest dla mnie. – Upiła łyk i dobitnym gestem odstawiła butelkę na stół. – Dobrze wiem, co mnie dręczy. Nie potrzebuję wsparcia jakichś dekowników od czubków. Potrafią tylko faszzerować cię prochami.

Nie chciałem opowiadać Hansen, że sam pozwoliłem się nafaszzerować lekami, bo zdawałem sobie sprawę, że uznałaby to za oznakę słabości. Zbyt wielu trepów tkwiło w przekonaniu, że żołnierz liniowy powinien być w stanie samodzielnie radzić sobie z takimi rzeczami, że szukanie pomocy u specjalisty jest jakoś nie na miejscu. Wiedziałem, że robiła źle, z miejsca odrzucając takie rozwiązanie, bo środki, które brałem, naprawdę pomagały, wyrównując mi emocjonalne górki i dołki, ale nie zamierzałem teraz o tym dyskutować, bo wiedziałem, że Hansen tego nie pochwali.

– Hej, przecież właśnie po to robią alkohol, nie? – ciągnęła, podnosząc naczynie na poziom wzroku.

– Prawda. – Zgodziłem się fałszywie i stuknąłem z nią butelką.



Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, głównie wspominając wspólny czas w Shughart, ale odkrywałem, że dawne wspomnienia zaczynały blaknąć. Ponowne odświeżanie ich wraz z Hansen wcale nie sprawiało, że się wyostrzały. Służyliśmy w jednej drużynie tylko kilka miesięcy i skończyło się to katastrofą na wielką skalę, wskutek której Stratton i Paterson zginęli, a ja musiałem się przenieść do marynarki. Hansen miała już za sobą rok służby i status weteranki, kiedy dołączyłem do batalionu jako zielony rekrut, więc nawet wspólne doświadczenia nie były takie same dla nas obojga. A później poszła w swoją stronę

i zbudowała własny katalog zwycięstw, żalów i pożywek dla koszmarów nocnych. Mimo to dobrze mi się z nią rozmawiało, ponieważ czułem wtedy, że Halley i ja nie byliśmy statystycznymi odstępstwami, że istnieli też inni, którzy przetrwali dziesięć lat wojny, najpierw z ZCR, a później z Dryblasami. Nie miałem wówczas wrażenia, jakbyśmy po prostu mieli niezwykle szczęście i pewnego dnia jednak ktoś skasuje nam bilety.

– Uwaga. – Dobiegło tuż przed dziewiętnastą z radiowęzła. – Znajdujemy się obecnie w najlepszym punkcie szerokopasmowego dostępu do Ziemi. Sieć neuronowa „Ottawy” przez następne trzy godziny i czterdzieści pięć minut zapewni niskie opóźnienie.

Była to wskazówka dla załogi okrętu, żeby skontaktować się z ukochanymi na Ziemi za pośrednictwem łącza na żywo, jeśli chcieli odbyć bezpośrednią rozmowę wideo bez długiego oczekiwania na odpowiedź. Trudno było gawędzić, jeśli na reakcję trzeba było czekać pięćdziesiąt sekund, a później kolejnych pięćdziesiąt, żeby odpowiedź dotarła do nas. Przez trzy godziny z groszami sporo osób zdecyduje się odbyć konwersację, która dla wielu z nich okaże się ostatnia.

– Powinnam skorzystać z okazji – rzekła Hansen. Już dawno skończyliśmy przydziałowe piwo i przez ostatnich dwadzieścia minut bawiła się butelką. – Zadzwonię do starych, powiem im co i jak. Minęły już trzy miesiące.

– Tak, ja też – odparłem, choć nie miałem do kogo dzwonić. Mama posiadała militarne konto członka rodziny, ale nie dysponowała u siebie bezpiecznym terminalem i żeby odebrać wiadomości ode mnie, musiała iść do najbliższej placówki wojskowej. Nie miałem szans pogadać z nią na żywo, chyba że odezwałbym się w chwili, kiedy akurat siedziałyby przed komputerem, a zorganizowanie czegoś takiego graniczyło z niemożliwością.

Wstaliśmy z krzeseł, po czym wrzuciliśmy puste brązowe butelki z plastiku do szybu utylizacyjnego.

– Dobrze było się z tobą zobaczyć, Grayson – powiedziała Hansen. – Cieszę się, że wciąż dychasz.

– Ciebie również – odparłem. – Powtórzmy to, gdy wrócimy z Fomalhaut.

– Możesz na to liczyć.

Uścisnęła mnie szybko i rozeszliśmy się. Ruszyła do Krainy Trepów, a ja skręciłem w drugą stronę, żeby wrócić na pokład dowodzenia. Język jej ciała podczas rozmowy, sposób, w jaki pochylała się ku mnie i starała się jak najczęściej napotykać mój wzrok, mówiły mi, że byłaby zdecydowanie chętna, gdybym zechciał aplikować na stanowisko jej bieżącego kosmicznego męża, niezależnie od Halley. Nasza rozmowa umocniła mnie jednak w przekonaniu, jak bardzo Halley i ja pasowaliśmy do siebie po tych niespełna dziesięciu latach, jak dobrze czuliśmy się ze swoimi wadami i dziwactwami. Subtelne aluzje Hansen pochlebiały mi, ale nie zamierzałem robić z nimi niczego innego, niż tylko nieco polechtać sobie ego.



Halley otworzyła drzwi swojej kajuty po drugim pukaniu. Miała na sobie podkoszulkę, a górną część kombinezonu lotniczego obwiązała sobie w pasie rękawami.

– Cześć – powiedziała. – Gdzieś źle skręciłeś?

– Nie – odparłem. – Mam wolne do wachty o szóstej. A ty?

– Tak samo.

– No to spędźmy razem trochę czasu. Z dala od mesy.

– Tutaj? To wbrew przepisom – rzekła z krzywym uśmiechem.

– Za trzy dni idziemy do walki z Dryblasami. Powinniśmy przespać następne dwie noce w tym samym pomieszczeniu.



W razie gdyby ten wielki kawał europejskiej technologii okazał się bblem i mielibyśmy skończyć jako gwiazdny pył. Pierdolić przepisy.

– Ty buntowniku. – Złapała mnie za przód tuniki i przeciągnęła przez próg. – Zatem buntujmy się.

## Rozdział 18

# Mściciel

**S**tanowiska bojowe, stanowiska bojowe. Do wszystkich: obsadzić swoje stanowiska bojowe. Ogłaszam status Zebra na całym okręcie. To nie są ćwiczenia.

Skończyłem dopinać klamry skafandra próżniowego tuż przed wejściem do BCI. Wszyscy w centrum dowodzenia również mieli na sobie takie stroje, co stanowiło wyraźne przypomnienie, że zamierzamy wlecieć w nieprzyjazną przestrzeń, być może prosto w zasadzkę Dryblasów. Poprzednie trzy dni spędziliśmy na szybkim rejsie przez wewnętrzny pierścień Układu Słonecznego, a teraz od sześciu i pół godziny trwało przejście przez Alcubierre'a. Wiedziałem, że kazano nam założyć skafandry na wypadek przedziurawienia kadłuba przez okręt nasienny i że miały nas utrzymać przy życiu do momentu załatania dziury albo też wydania rozkazu opuszczenia jednostki w kapsułach ewakuacyjnych. Jednak BCI leżało w centrum „Ottawy”, w jej najsilniej chronionej części, i jeśli penetratory obcych przebiją się przez tyle warstw pancerza, to kombinezony będą miały znaczenie wyłącznie ozdobne.

– Wyjście z Alcubierre'a za trzydzieści minut – oznajmił pierwszy oficer.

– A później siedem godzin do rozpoczęcia zabawy – odparła pułkownik Yamin. Wpatrywała się w diagram na holostole ze znacznie większą uwagą, niż na to zasługiwał. Zbliżaliśmy się do punktu wyjścia, ale na sferze sytuacyjnej nie było widać nic poza samotną ikoną oznaczoną „BCV-60”, ponieważ w trakcie podróży

kominem wszystkie okręty ślepy i głuchy. „Ottawa” spisywała się zgodnie z zapowiedziami i podczas lotu na pełnym gazie przez Układ Słoneczny nie zgubiliśmy żadnych elementów, ani ważnych, ani nieistotnych. Nawet szacunki zużycia paliwa okazały się odbiegać zaledwie o pół procenta od rzeczywistego wykorzystania i miałem nadzieję, że gdy dojdzie do walki, dotychczasowe nienaganne zachowanie jednostki przełoży się też na jej systemy uzbrojenia oraz pancerz.

Dowódczyni zaczęła, aż ucichnie komunikat o stanowiskach bojowych, po czym złapała mikrofon i otworzyła obwód radiowęzła.

– Do wszystkich, mówi szyper. Za trzydzieści minut wchodzimy do systemu Fomalhaut. Całkiem prawdopodobne, że wokół Nowego Svalbardu natkniemy się na spore siły Dryblasów. Naszym zadaniem jest zniszczyć wszystkie jednostki wroga zagrożające kolonii oraz przeprowadzić bezpieczną ewakuację populacji cywilnej, jeśli będzie to konieczne. To najsolidniejszy i najlepiej uzbrojony okręt Floty. Wykorzystajmy go dobrze i uratujmy tych ludzi. A jeśli w tym celu będziemy musieli rozwalić parę okrętów nasiennych, nie mam nic przeciwko. Wygląda na to, że Dryblaszy nie odebrali nauki z Marsa. Dopilnujmy, żeby tym razem przyswoili sobie lekcję.

Odłożyła zestaw słuchawkowy i rozprostowała przód tuniki. W BCI panowała cisza, za wyjątkiem lekkiego szmeru klimatyzacji i delikatnego szumu konsol.

– Rozgrzać reaktory stanowisk Alfa i Bravo oraz przełączyć działa cząsteczkowe w tryb gotowości. Uruchomić pancerz reaktywny i systemy obrony aktywnej. Chcę, żebyśmy byli gotowi do bitwy, gdy wylecimy z tunelu.

Obserwowałem nasze postępy na wyświetlaczu. Jeszcze pół godziny i znajdziemy się w nieprzyjaznej przestrzeni, po raz pierwszy od trzech lat będziemy atakować okręty nasienne w bezpośredniej walce. Przez ten czas znacząco rozwinęliśmy

naszą technologię i miałem szczerą nadzieję, że Dryblasy nie zrobili tak samo, nie chciałem bowiem natknąć się na ich jednostki dwukrotnie większe od poprzednich i pięciokrotnie trudniejsze do zniszczenia. Nie potrzeba jednak było nowszych i solidniejszych okrętów nasiennych, żeby nas unicestwić, bo jeśli obcy ustanowili patrol przy punkcie Alcubierre'a, wówczas mogli nas zaatakować, gdy tylko się pojawimy, podczas gdy my będziemy wtedy najbardziej odsłonięci, jakbyśmy wychodzili z ciemności na światło dzienne. Zaś jeśli zaparkowali na naszym kursie tuż przed węzłem, wówczas wpadniemy prosto na nich.

Wyciągnąłem OTI i szybko napisałem do Halley.

*Kocham cię. Do zobaczenia po drugiej stronie.*

*W tym życiu albo w następnym. Jeśli to drugie, zajmij mi miejsce przy stole Odyna.*

Uśmiechnąłem się i schowałem tablet. Nie byliśmy religijni, ale rozmawialiśmy kiedyś o przyszłym życiu i uznałem, że ze wszystkich zaświatów, o których czytałem, najlepsza jest Walhalla. Całymi dniami bitwy, całymi nocami uczty, wstęp tylko dla trepów. Może dałoby radę pójść w miejsce, które najbardziej się lubiło, i może Odyn zaktualizował swój pałac tak, żeby używać w nim teraz automatycznych karabinów fleszetowych?

Pułkownik Yamin usiadła w fotelu dowódcy, po czym przypięła się pięciopunktowym pasem zainstalowanym przy każdym siedzisku w BCI. Pierwszy oficer zrobił to samo, a nieliczni z obecnych, którzy jeszcze nie zajęli miejsc, poszli za ich przykładem.

– Oświetlenie bojowe – rozkazała dowódczyni i światła w pomieszczeniu zmieniły się z miękkiej bieli na przygaszony bursztyn. Jeśli kadłub zostanie przebity i stracimy moc, łatwiej będzie naszym oczom dostosować się do ciemności, gdy będziemy zmierzać do kapsuł ratunkowych. Uwięzienie na rozpadającym się okręcie było jednym z moich najczęstszych koszmarów od chwili, kiedy wraz z Halley zostaliśmy ponad

osiem lat temu na zniszczonym „Wersalu”, znałem więc świetnie drogę do najbliższej sekcji kapsuł, wiedziałem, ile kroków dzieli mnie od niej biegiem i tempem piechura. Prawdopodobieństwo udanej ucieczki z miejsca położonego w tak centralnej części okrętu było marginalne, ale przypuszczałem, że komfort posiadania kapsuł w pobliżu stanowił nowoczesną i świecką wersję wiary w przyszłe życie.

Zegar na przedniej grodzi odmierzał czas z kliniczną precyzją. Dwadzieścia minut, później piętnaście i dziesięć. W końcu już tylko kilka minut dzieło nas od wyjścia i miałem wrażenie, że wszyscy na okręcie jednocześnie wstrzymali oddech. Jak zawsze końcowe sekundy podróży kominem Alcubierre’a spędziłem, myśląc o Halley, ponieważ chciałem, żeby pozostała ona moim ostatnim świadomym wspomnieniem, w razie gdybyśmy za chwilę mieli rozbić się o okręt nasienny.

– Wyjście za pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Słaby ból szarpiący mnie w zębach trzonowych zniknął i odetchnąłem głęboko. Wyjście z komina zawsze kojarzyło mi się z uczuciem, kiedy drętwieje noga, a później boleśnie i powoli wraca w niej krążenie – nie otepiałającym, ale na tyle nieprzyjemnym, by bać się tego wrażenia, zanim jeszcze się zacznie.

– Przejście zakończone, pani pułkownik – doniósł sternik.

– Astrogacja, proszę o namiar. Taktyczny, pełen skan okolicy – rozkazała Yamin.

Spojrzałem na unoszący się nad holostolem wyświetlacz sytuacyjny. Kilka sekund później na sferę taktyczną nałożyła się nowa trójwymiarowa siatka ze znacznikami współrzędnych.

– Jesteśmy w systemie Fomalhaut, pani pułkownik. Dokładnie na znaczniku. Okolica pusta w promieniu stu tysięcy kilometrów.

Żadnych nieprzyjaciół.

Yamin rozpięła pasy i wstała. Podeszła do holostolu i ruchem palca obróciła sferę. Również zwolniłem uprząż i odtworzyłem wyświetlacz sytuacyjny na jednym z moich ekranów.

– Wyślijmy drony i uzyskajmy pełen obraz, zanim skontaktujemy się z Nowym Svalbardem i ogłosimy swoje przybycie na falach radiowych – powiedziała dowódczyni. – Pełna rozpiętość, pokrycie sferyczne. Tryb aktywny. Nie możemy sobie pozwolić, by cokolwiek przegapić. Jeśli mamy atakować, ma to się dziać na maksymalnym zasięgu naszego uzbrojenia.

– Tak jest.

Wypuściliśmy po kolei cztery klucze dronów. Na wyświetlaczu taktycznym czterdzieści osiem znaczników rozlatywało się we wszystkich kierunkach od naszej pozycji i strefa naszego widzenia stopniowo się powiększała. Z każdym kilometrem, na jaki oddalały się od nas urządzenia, coraz wyżej oceniałem nasze szanse. Im większy dystans między nami a Dryblasami, tym bardziej mogliśmy liczyć na to, że przetrwamy. Elektryczny pancerz reaktywny „Ottawy” miał podobno wytrzymać uderzenie energii kinetycznej penetratorów, ale niespecjalnie chciałem sprawdzać jego możliwości w praktyce.



Czterdzieści minut po rozesłaniu dronów na ekranie taktycznym wyskoczył pierwszy kontakt.

– Drony Osiem, Piętnaście i Czterdzieści Jeden mają Nowy Svalbard w zakresie detekcji pasywnej – oznajmił oficer taktyczny.

Na diagramie, na skraju naszej widoczności, wyskoczyła okrągła ikona. Sekundę później komputer oznaczył ją etykietką „NOWY SVALBARD”, pojawiła się też przerywana linia ukazująca trajektorię księżyca przez nasze pole widzenia.

– Nowe kontakty na względnym kierunku trzysta czterdzieści cztery na plus dziesięć od drona Piętnaście. Jeden... Dwóch... Trzech nieprzyjaciół na orbicie Nowego Svalbardu. Oznaczeni od Lima Jeden do Trzy. Telemetria z dronów Osiem i Czterdzieści Jeden potwierdza obecność wrogich kontaktów.

– Proszę o obraz bezpośredni – rozkazała dowódczyni. – Na taktyczny.

Kwadratowe okno nałożyło się na część sfery taktycznej nad holostolem. Pokazywało obraz z przedniej matrycy optycznej drona Osiem, wycelowanej prosto w kolonię. Urządzenie wciąż znajdowało się niemal milion kilometrów od księżyca, ale miało tak silne kamery, że odniosłem wrażenie, jakby od orbity dzieliło je ledwie dziesięć minut lotu. Komputer nałożył pomarańczowe kwadratowe nawiasy celownicze na trzy znajome kształty. Okręty nasienne były zupełnie czarne, niemal niemożliwe do dostrzeżenia w pustej przestrzeni, jednak gdy sunęły na jasnym tle chmur i białoniebieskiego lodu, dron nie miał problemów ze śledzeniem ich na dystansie dziewięciuset tysięcy kilometrów. Wyświetlacz taktyczny skwapliwie zaktualizował się o trzy kolejne symbole umieszczone wokół Nowego Svalbardu. Nowe ikony były jaskrawopomarańczowe, w kolorze, jakiego żaden szyper nie chciał widzieć w swoim BCI, jednak dopiero po raz trzeci od czasów Marsa jednostka Floty szła w ich stronę celowo.

– Wyłączyć napęd w dronach Osiem oraz Piętnaście i pozwolić im lecieć siłą bezwładności. Niech Czterdzieści Jeden dojdzie do maksymalnego zasięgu telemetrii, żebyśmy mogli przyjrzeć się ciemnej stronie tego księżyca. – Pułkownik Yamin przybliżyła obraz, po czym przełączyła na widok taktyczny. – Mamy trzech nieprzyjaciół i sześć rakiet. To niezły współczynnik. Poproszę o wzorzec ataku Orionami na wszystkich trzech. Mam nadzieję, że nie przyleciało ich więcej na imprezę.

Komputer obliczył sposób użycia baterii Orion i po chwili wyświetlił go na ekranie taktycznym. Dryblasy nie dawali po

sobie w żaden sposób poznać, że dostrzegli przybycie „Ottawy” albo zauważyli obecność dronów. Wciąż nie przywykłem do widoku ofensywnych wzorców ataku i namierzania w przypadku okrętów nasiennych. Zupełnie jakbyśmy znajdowali się na polowaniu i nakładali krzyżyk celownika na niebezpiecznego drapieżnika.

– Coś z Nowego Svalbardu? – spytała dowódczyni.

– Drony wyłapują transmisje niskiej mocy na powierzchni, ale nic wyraźnego. Po sile sygnału i sygnaturze ELINT wnioskuje, że to nadajniki umieszczone w pancierzach – odparł porucznik ze stanowiska walki elektronicznej.

– Czyli nie przylecieliśmy za późno. Tam wciąż są ludzie – powiedziała Yamin.

– Tak jest, proszę pani.

– Nieprzyjaciele Lima Dwa i Trzy wydają się być na orbicie geostacjonarnej – wtrącił oficer taktyczny. – Tuż nad równikowym pasem terraformerów. Lima Jeden trzyma się na wysokiej orbicie nad biegunem północnym.

– I w tym problem – oznajmił pierwszy oficer. Podpułkownik Barry nakreślił prostokąt na wyświetlaczu taktycznym i powiększył wycinek obrazu nadawanego na żywo przez dron Piętnaście. Dwa okręty nasienne nad równikiem znajdowały się nie dalej niż dziesięć długości od siebie, najwyraźniej nieruchome na śnieżnym tle.

– Jak to, pierwszy? – zapytała pułkownik Yamin. Podeszła do niego i spojrzała na powiększone właśnie okno.

– Ci dwaj wiszą na geostacjonarnej tuż nad kolonią – wyjaśnił.  
– Jeśli strzelimy do nich Orionami, rozpadną się, a szczątki spadną na cały fragment kontynentu. I to pod warunkiem, że trafimy.

– Widzę, do czego pan zmierza – rzekła dowódczyni. – To niezbyt dobry kulochwył dla bloku pykretu ważącego dwa i pół tysiąca ton i poruszającego się kilkadziesiąt tysięcy metrów na



sekundę.

– Jeśli któryś z Orionów chybi i uderzy w ląd w pobliżu kolonii... – Pierwszy oficer nie dokończył zdania.

– Megatonowa eksplozja powierzchniowa – dokończyła Yamin.  
– Rozumiem, w czym rzecz.

Spojrzała na wyświetlacz taktyczny, marszcząc brwi.

– Moglibyśmy zaryzykować i przejść na zasięg bezpośredni – rzekła. – Jest szansa, że obróciliby się w naszą stronę, a wtedy moglibyśmy swobodnie strzelać działami cząsteczkowymi.

– Trzy szybkie jednostki nieprzyjaciela na dystansie dwudziestu tysięcy kilometrów lub mniej – odparł podpułkownik Barry. – To zbyt mały margines. Jeśli działa nie przeładują się dość szybko albo się popsują, wtedy przeszorujemy po Dryblasach i dużo z nas nie zostanie.

– Jestem otwarta na inne propozycje – odrzekła dowódczyni.

– Moglibyśmy trochę przechylić szalę – zaproponował oficer taktyczny.

– Czyli, kapitanie Baye?

Taktyczny przeszedł od swojego stanowiska do centralnego zagłębienia, podniósł pióro świetlne i wymierzył nim w wyświetlacz.

– Lima Jeden umożliwia nam teraz idealny strzał w burtę. Gdy ostatnim razem strzelaliśmy do nich nad Marsem, nie widzieli nas. Jeśli teraz pokażemy im się przed atakiem, zaczną manewrować, a Oriony nie są tak zwinne. Kiedy jednak pierwszy Dryblas pójdzie w drzazgi, wtedy będą wiedzieli, że jesteśmy w okolicy. Zatem najpierw likwidujemy Limę Jeden – oznaczył pozycję wroga nad biegunem północnym – za pomocą Oriona. Przechyliamy szalę na naszą korzyść. Jeśli ten pocisk chybi, wtedy pójdzie w przestrzeń albo uderzy w strefie polarnej.

– Gdy rozwalimy Limę Jeden, pozostałe okręty nasienne skrećą w naszą stronę i zaczną węszyć – powiedział pierwszy oficer.

– Mogą nam wtedy dać okazję do strzału w dziób w sposób

bezpieczny dla kolonii – uzupełnił kapitan Baye.

– Zostanie nam pięć Orionów na dwóch nieprzyjaciół – dumiała pułkownik Yamin. – A jeśli zaczną się za bardzo kręcić i manewrować, mamy działa cząsteczkowe. Dwie lufy w gotowości pozwolą nam zlikwidować dwa okręty naraz.

Dowódczyni powiększyła diagram taktyczny i podświetliła czerwoną linię biegnącą od ikony oznaczonej „BCV-60” do Dryblasa nad biegunem północnym.

– Nie ma sensu rezygnować z przewagi. Uderzamy w pierwszy okręt z długiego dystansu, zmniejszając w ten sposób ich siły o jedną trzecią, zanim zacnie się ciąg dalszy zabawy. Z pozostałymi dwoma będziemy sobie radzić zgodnie z rozwojem sytuacji. Rozgrzać wyrzutnię Orion i przygotować raketę do wystrzelenia.

– Tak jest, pani pułkownik.

Monitorowałem wszystko na swoich ekranach, ale chwilowo nie brałem udziału w akcji. Działania operacyjne wejdą do gry dopiero, gdy desantowce i samoloty szturmowe opuszczą klamry i pomkną ku powierzchni księżyca. Trudno było mi robić wyłącznie za widza, ale przynajmniej wiedziałem, że dowódczyni zna się na swojej pracy. Na wojnie zawsze istniał jednak element niepewności. Chciałem, żeby starcie się rozpoczęło, bo gdy będę miał zajęcie, zabraknie mi czasu na strach.

– Wyrzutnia sześć, ognia.

Dziesięć minut później „Ottawa” oddała pierwszy strzał w historii swojej służby. Gdy ładunek miotający wypchnął ważącą dwa i pół tysiąca ton raketę Orion III o napędzie nuklearnym, pokład pod moimi nogami zadrżał z powodu wywołanych wibracji. Obserwowałem start z zewnętrznych

kamer i żałowałem, że nie będzie to również ostatni wystrzał „BCV-60”.

– Wyrzutnia sześć pusta. Ptaszek poleciał – oznajmił oficer od uzbrojenia.

Na diagramie tuż przy „Ottawie” pojawiła się błękitna ikonka w kształcie odwróconego V. Oddalała się z przyspieszeniem trzystu metrów na sekundę do kwadratu, posuwając się wzdłuż czerwonej linii biegnącej od nas do okrętu nasiennego nad biegunem północnym Nowego Svalbardu.

– Leci zgodnie z planem. Nuklearny napęd pulsacyjny uruchomi się za pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Zapłon.

Ładunek miotający służył do wystrzelenia rakiety z wyrzutni i przemieszczenia jej na bezpieczną odległość od „Ottawy”. Gdy Orion III był już trzydzieści kilometrów od nas, za jego rufą pojawił się rozbłysk pierwszej z setek małych eksplozji jądrowych i pykretowy blok rozpoczął właściwą akcelerację, nabierając prędkości znacznie szybciej, niż byłby w stanie to zrobić jakikolwiek okręt kosmiczny albo pocisk konwencjonalny.

Zasada działania Orionów polegała na brutalnym rozpedzeniu wielkiej masy do ogromnej prędkości w bardzo krótkim czasie. Działa cząsteczkowe pozwalały nam skutecznie rozbić kadłub okrętu nasiennego, ale dysponowały bardzo krótkim zasięgiem i wymagały mnóstwa energii. Oriony nie miały ograniczeń odległości, przyspieszały bowiem, póki nie skończyły im się ładunki nuklearne, po czym utrzymywały prędkość, póty w coś nie uderzyły. Jediną przeszkodą był fakt, iż dało się nimi sterować jedynie w minimalnym zakresie i że cel musiał być widoczny dla wyrzutni w momencie startu.

Obecnie nasze trzy niewykrywalne drony robiły za wysuniętych obserwatorów, przekazujących na okręt optyczne dane celownicze. Taką samą taktykę zastosowaliśmy przy okazji udanego ataku na flotę Dryblasów nad Marsem, tyle że teraz jeden okręt wykonywał zadania całej grupy uderzeniowej.

Przez kolejnych jedenaście minut mogłem jedynie patrzeć na Oriona zmniejszającego gwałtownie dystans pomiędzy naszą niebieską ikoną a pomarańczową oznaczoną „LIMA-1”. Obraz z kamer był teraz nawet lepszy, ponieważ urządzenia podeszły jeszcze bliżej Nowego Svalbardu i pokazywały nam cel z trzech stron.

– Trzydzieści sekund do kontaktu – poinformował oficer taktyczny. – Ptaszek leci zgodnie z planem.

Orion III minął linię dronów i pojawił się w ich kamerach niczym rozwścieczony świetlik. W mroku przestrzeni jaskrawa sekwencja eksplozji nuklearnych ciągnących się za pociskiem w wyjątkowo widoczny sposób podkreślała tor jego lotu.

– Dwadzieścia sekund. Kurs i prędkość nieprzyjaciela bez zmian.

Pułkownik Yamin tak mocno trzymała się obiema dłońmi krawędzi holostolu, że niemal słyszałem, jak trzeszcza w jej chwycie. Okręt nasienny kontynuował powolną pętlę wokół strefy polarnej, nie mając pojęcia o destrukcyjnej energii, jaką cisnęliśmy w jego stronę.

– Co z Limą Dwa i Trzy? – spytała dowódczyni.

– Wciąż na geostacjonarnej orbicie równikowej. Kurs i prędkość bez zmian.

– Dziesięć sekund do celu. Dziewięć, osiem, siedem...

Yamin pochyliła się do przodu i oburącz powiększyła okno z obrazem Limy Jeden.

– Za Dariusa – wycodziła cicho.

– Kontakt – oznajmił oficer taktyczny. – Czekam na opóźnione potwierdzenie wizualne.

Przy tej odległości trzeba było niemal dwudziestu sekund, żeby sygnały radiowe z dronów dotarły na „Ottawę”. Cała obsada BCI przez boleśnie długą chwilę wpatrywała się w ekran wciąż pokazujący Dryblasa sunącego przez przestrzeń. Następnie pojawił się jaskrawy błysk. Gdy uruchomiły się filtry kamer

i znów zobaczyliśmy wycinek próżni, wyświetlacz pokazywał jedynie opalizującą chmurę promieniowania i szczątków.

– Jest trafienie! – poinformował oficer taktyczny, przy drugim słowie wznosząc głos do krzyku. – Lima Jeden zniszczony.

Wokół mnie wybuchł harmider. Ścisnąłem dłoń w pięść i kilkakrotnie stuknąłem nią w obudowę konsoli.

Gdy początkowy obłok po wybuchu rozproszył się nieco, zobaczyłem, że okręt nasienny nie rozpadł się całkowicie. To, co zostało z wydłużonego kadłuba, wyglądało na więcej niż połowę wcześniejszych rozmiarów i było wyraźnie niesprawne. Obserwowaliśmy, jak wielki fragment koziółkuje w zupełnie nieskoordynowany sposób w kierunku bieguna północnego. Orion III nie uderzył tak mocno jak pierwotna wersja pocisku, ale chyba i tak wystarczył, żeby wyeliminować wroga.

– No dobrze, słuchajcie – odezwała się pułkownik Yamin, gdy ucichły wiwaty. – Nie otwierajmy jeszcze zimnych piw. To dopiero pierwszy z trzech.

– Lima Dwa i Trzy wciąż są na orbicie – oznajmił oficer taktyczny. – Albo nie zauważyły fajerwerków, albo się nie przejęły.

– Proszę się skontaktować z Nowym Svalbardem. Wysłać im wiadomość na wąskim paśmie, informując o naszej obecności i zamiarach. Może kilkadziesiąt tysięcy watów energii radiowej sprawi, że te paskudy nas zauważą. Rozgrzać wyrzutnie jeden i trzy.

– Tak jest, proszę pani. Przygotowuję wyrzutnię jeden i trzy do startu.

– Centrum kontroli Nowy Svalbard, tu OWPA „Ottawa” – wygłosił do swojego mikrofonu oficer łącznościowy. – Zmierzamy z misją bojową i ratunkową w kierunku waszych współrzędnych. Słyszycie mnie?

Przez kilka minut nie doczekaliśmy się odpowiedzi. Łącznościowiec powtórzył kilkakrotnie komunikat. Nastrój w BCI

zmienił się z radości w przygaszoną troskę. Jeśli na Nowym Svalbardzie nie został nikt żywy, wówczas przebyliśmy taką drogę na pełnym gazie na nic.

Nagle w głośnikach rozbrzmiał najpierw szum, a później podekscytowany głos.

– „Ottawa”, tu centrum kontroli Nowy Svalbard. Słyszymy was głośno i wyraźnie. Dzięki niech będą całemu pierdolonemu panteonowi bogów.

Uśmiechnąłem się na te słowa, wypowiedziane lekko nosowym głosem z przeciągniętymi samogłoskami. Wyglądało na to, że koloniści z lodowego księżycy przyswoili sobie taki sposób mówienia. Minęły lata, odkąd przebywałem tam ostatni raz, a jednak wciąż pamiętałem ten akcent.

– Centrum kontroli, tu „Ottawa”. Jaki jest wasz status? Informuję, że właśnie zaatakowaliśmy jeden z wrogich okrętów na orbicie. Teraz zamierzamy zbliżyć się do pozostałych dwóch i również je zaatakować.

– „Ottawa”, tu centrum kontroli. Zrozumiałem. Na powierzchni cały czas walczyliśmy z Dryblasami. Wylądowali cztery dni temu na północnym płaskowyżu i podeszli na dwa kilometry od miasta. Garnizon utrzymuje perymetr, ale brakuje im niemal wszystkiego. Obcy zniszczyli Obóz Sopol. Desantowcom na lądowisku skończyło się paliwo i amunicja. Mamy trzy tysiące ludzi pod ziemią i w centrum administracyjnym.

Pułkownik Yamin złapała swój zestaw słuchawkowy.

– Nowy Svalbard, tu Dowódca „Ottawa”. Lecimy z pomocą. Czekać na informacje. Czy możecie połączyć mnie z dowódcą garnizonu?

– Czekać, Dowódca „Ottawa”.

Zwyczajowe opóźnienie odpowiedzi przeciągnęło się o trzydzieści sekund, po czym usłyszeliśmy kobiecy głos, bardziej szorstki i zdecydowanie bardziej zmęczony.

– Zespół zadaniowy WPA, tu major Archer, dowódca

garnizonu. Proszę o identyfikację.

– Major Archer, tu pułkownik Yamin, OWPA „Ottawa”. Jak wygląda wasza sytuacja na powierzchni?

– Pani pułkownik, dobrze słyszeć, że tu leciecie. Utrzymujemy się, ale ledwo. Moje plutony są zanadto rozproszone po terenie. Kończy nam się amunicja, desantowce mają sucho w bakach, a połowa Mułów jest zniszczona. W tych, które zostały, mamy po kilkadziesiąt pocisków. Jeśli nie dostaniemy wkrótce pomocy, Dryblasy zepchną nas do centrum miasta, zajmą lądowisko i zniszczą matryce łącznościowe. Proszę mi powiedzieć, że ma pani na pokładzie batalion piechoty i skrzydło desantowców gotowych na załadunek.

– Nawet więcej, pani major. Mamy dwa bataliony i cztery eskadry szturmowe. Gdy tylko wejdziemy na orbitę, pošlemy wam posiłki i bliskie wsparcie lotnicze. Wytrzymajcie tam jeszcze dwie godziny.

– Zrozumiałam, pani pułkownik. Od tygodnia nie miałam lepszych wieści. Przekażę je batalionowi – odparła major Archer.

Pułkownik Yamin zdjęła zestaw słuchawkowy i oddała kanał oficerowi łącznościowemu.

– Status dwóch pozostałych nieprzyjaciół.

– Wciąż na orbicie, pani pułkownik. Nawet nie drgnęli.

– No to działamy siłowo. Lecimy. Sternik, ustawić kurs na Nowy Svalbard, cała naprzód.

– Tak jest. Cała naprzód.

„Ottawa” uruchomiła główne silniki i zaczęła przesuwać się w głąb systemu z przyspieszeniem dwanaście g. Jak zwykle nie czułem sił, które bez sztucznej grawitacji wcisnęłyby mnie w gródz i pozbawiły tchu. Jedynie rosnąca raptownie liczba obok naszej ikony taktycznej dowodziła, że znów jesteśmy w drodze, że pędzimy na Dryblasów zabijających naszych przyjaciół i towarzyszy. Choć wciąż obawiałem się nadciągającej bitwy w zwarciu, dobrze było robić tym razem za kawalerię, zamiast

uciekać przed okrętami nasiennymi. Zastanawiałem się, czy Dryblasy znają strach. Jeśli tak, to miałem nadzieję, że poczują go w tych wielkich łbach, gdy tylko zauważą, że na nich lecimy.



## Rozdział 19

# Walka w zwarciu

Półtorej godziny później pokonaliśmy już połowę dystansu do Nowego Svalbardu i odwróciliśmy ciąg do hamowania. Dryblasy wciąż utrzymywali pozycję geostacjonarną, nieświadomi lub nieprzejęci, że zbliża się do nich pancernik WPA.

– Dron znalazł nowy kontakt, kurs dwieście na minus osiemdziesiąt trzy! – zawołał oficer taktyczny. – Pani pułkownik, to „Michael P. Murphy”!

– Na holostół – poleciała Yamin. Sekundę później na ekranie taktycznym otworzyło się okno pokazujące charakterystyczną kanciastą sylwetkę niszczyciela Floty typu Błękit.

– Utrzymuje ciszę radiową. Nie nadają nic aktywnie, mają wyłączone światła pozycyjne.

– Też bym tak zrobiła, gdybym znajdowała się teraz w niszczycielu – skomentowała dowódczyni. – Proszę pingnąć ich jednokrotnie na wąskim paśmie niskiej mocy. Zobaczymy, czy mają zepsute radio, czy po prostu jeszcze nas nie zauważyli.

Oficer łącznościowy wykonał polecenie. Cokolwiek robił tam „Murphy”, nie zdoła przegapić odbijających się od jego pancerza aktywnych fal radiowych. Po chwili odpowiedzieli własnym wąskopasmowym sygnałem.

– Do niezidentyfikowanego okrętu, tu OWPA „Michael P. Murphy”. Proszę o uwierzytelnienie.

– Niech pan wyśle nasz identyfikator Floty i przełączy mnie na tę wąską wiązkę – rozkazała dowódczyni.

– Jest pani na wąskiej wiązce.

– „Michael P. Murphy”, tu OWPA „Ottawa”, mówi Dowódca „Ottawa”. Sądziliśmy, że do tej pory została z was chmura szczątków. Cieszę się, że jest inaczej. Jaki jest wasz status i zamiary, odbiór?

– „Ottawa”, tu dowódca „Murphy”. Jesteśmy niezdolni do walki. Informuję, że w okolicy Nowego Svalbardu znajdują się trzy okręty nasienne. Zaatakowaliśmy ich, ale zdążyli zadać nam kilka ciosów, zanim mogliśmy się wycofać. Nie działa główna matryca sensorów, nie mamy radaru ani lidar, wyczerpaliśmy całą amunicję i straciliśmy działo elektromagnetyczne.

– „Murphy”, informuję, że liczba wrogich okrętów spadła do dwóch. Za jakąś godzinę zamierzamy zmniejszyć ją jeszcze bardziej. Jeśli nam się nie uda, lećcie z jak najwyższą prędkością do węzła Alcubierre’a i opuśćcie system. Zrobiliście, co mogliście. Pozwólcie teraz, żeby „Ottawa” odwaliała ciężką robotę.

– „Ottawa”, tu „Murphy”. Nie zgłaszam szczególnych obiekcji do tego planu. I mam nadzieję, że wiecie, w co się pakujecie.

– Potwierdzam, „Murphy”. Czekaj na informacje. I jeśli usłyszycie naszą boję awaryjną, pędźcie do węzła i uciekajcie stąd w cholerę.

– Zrozumiałem, „Ottawa”. Powodzenia. „Murphy” bez odbioru.

Pułkownik Yamin znów skupiła uwagę na diagramie, gdzie na skraju naszej widoczności pojawiła się nowa ikona oznaczona „DD-665”, po przeciwnej stronie sfery niż znacznik Nowego Svalbardu. „Murphy” leciał siłą bezwładności mniej więcej w kierunku komina Alcubierre’a z silnikami fuzyjnymi na biegu jałowym, żeby zredukować promieniowanie i sygnaturę termiczną. Jeśli w wyniku walki stracili główną matrycę sensorów i radar, poruszali się niemal zupełnie na ślepo, zaś bez dział elektromagnetycznego i rakiet byli w zasadzie bezbroni, za wyjątkiem punktowych działek obronnych. Wciąż pozostawali jednak prawie w jednym kawałku. Wcześniej nie stawiałbym na

taką ewentualność.

– Nieprzyjaciele wciąż na geostacjonarnej. Są przyklejeni do orbity – doniósł oficer taktyczny.

– Musimy zacząć myśleć, jak wywabić ich z tego parkingu – powiedziała dowódczyni. – Trzeba im dać jakiś powód do zmartwienia.

– Na diagramie przynajmniej pięć milionów kilometrów za Nowym Svalbardem jest czysto – rzekł podpułkownik Barry. – Moglibyśmy włączyć wszystkie nadajniki na pełną moc i ogłuszyć ich hałasem. Są wrażliwi na fale radiowe, prawda? Jeśli nagle się ujawnimy w taki sposób, na pewno nas wykryją.

– Można by ich sprowokować, żeby obrócili się i ruszyli w naszą stronę. Wymusić pójdzie na czołówkę z dwoma okrętami nasiennymi – zastanawiała się pułkownik Yamin.

– Nie zyskamy możliwości oddania czystego strzału, dopóki pozostają na orbicie. Jeśli ich wywabimy, przynajmniej będziemy mieć bezpieczny kulochwyty i pole do manewru. Działa cząsteczkowego nie obchodzi, czy strzela w burtę, czy od przodu.

– A jeśli będziemy iść prosto na nich, sami nie strzelą z burt.

– Mogą próbować dążyć do staranowania nas, ale wiemy, że „Ottawa” jest od nich zwinniejsza. Powinno nam się udać zniszczyć ich od razu, a jeśli nie wyjdzie to za pierwszym przelotem, to zdołamy się wymknąć.

– Dysponujemy mobilnością i przewagą siły ognia – rzekła dowódczyni. – Zatem to wreszcie my podyktujemy warunki starcia.

Wpatrywała się jeszcze przez chwilę w diagram, ale widziałem, że podjęła już decyzję. Sięgnąłem za siebie i pociągnąłem za pasy uprząży, żeby znowu się zapiąć.

– No dobrze. Ujawniamy się. Łączność, rozpocząć przekaz na pełnej mocy nadajników. I jeszcze pingnijmy ich kadłuby radarem. Nic do nas nie wróci, ale może wszystkie te megawaty ich połaskoczą.

– Co mam nadać, proszę pani? – zapytał oficer łącznościowy.

– Oj, nie wiem. Może niech pan wyciągnie jakąś muzykę z banków pamięci? Dajmy paskudom próbkę ziemskiej kultury. Proszę nadawać od fal ultrakrótkich do długich. I jeszcze powiercić ich ładnie skupionym wąskim pasmem.

– I to lubię. – Łącznościowiec wyszczerzył zęby w uśmiechu i zwrócił uwagę z powrotem na swoje ekrany. – W dalszej części programu wybór ziemskiej muzyki.

Po chwili z głośnika jego konsoli zaczęła dobiegać energiczna muzyka klasyczna. Oficer uśmiechnął się i obrócił w stronę holostolu.

– Nadaję naszą kulturę na wszystkich częstotliwościach z mocą pięćdziesięciu megawatów.

– Podoba mi się ta muzyka – skomentował podpułkownik Barry. – Co to jest? Wagner?

– Tak jest, sir. „Cwał Walkirii”. Z dziewiętnastowiecznej opery.

– Proszę to puścić na radiowęzeł dla całej załogi – poleciła Yamin. Pierwszy oficer spojrział na nią z rozbawioną miną, a ona wzruszyła ramionami. – Równie dobrze możemy szarżować z fasonem.

– Tak jest, proszę pani. – Łącznościowiec uśmiechnął się jeszcze szerzej. Stuknął kilka ekranów i muzyka zaczęła dobiegać ze wszystkich głośników.

– Załoga „Murphy’ego” pomyśli, że całkiem nam odbiło – powiedziałem, ale sam nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu.

Byłem przekonany, że jesteśmy pierwszą jednostką Floty aktywnie próbującą zwrócić na siebie uwagę Dryblasów, a już na pewno pierwszą, która czyni to za pomocą dudniącego Wagnera.

Zbliżaliśmy się do Nowego Svalbardu, stopniowo zwalniając na odwróconym ciągu. Z początku wydawało się, jakby nasz nadawany na cały system program rozrywkowy nie zrobił wrażenia na obcych, ale po kilku minutach od rozpoczęcia transmisji dwie pomarańczowe ikony lekko zmieniły pozycję na

diagramie taktycznym.

– Usłyszeli nas – poinformował oficer taktyczny. – Lima Dwa oraz Lima Trzy opuszczają orbitę i dokonują zwrotu. Przyspieszają.

– Miło z ich strony, że chwycili przynętę – powiedziała pułkownik Yamin. – Wyłączyć radiowęzeł. Nadawać dalej na wszystkich częstotliwościach. Zwabmy ich na tyle blisko, żeby dało się im skopać tyłki.

– Nieprzyjaciele są teraz na kursie kolizyjnym. Chyba zwróciliśmy ich uwagę.

Kurs kolizyjny – stały kierunek i zmniejszająca się odległość – oznaczał, że Dryblaszy kierowali się bezpośrednio na nas, a zatem byli w stanie zlokalizować źródło transmisji radiowych. Obserwowałem, jak dystans między nami, czyli centrum diagramu, a zbliżającymi się okrętami, kurczy się z każdą minutą.

– Wciąż złe ustawienie dla Oriona – ostrzegł oficer taktyczny. – Nieprzyjaciele ciągle są między nami a księżycem.

– I tak za kilka minut zejdziemy poniżej minimalnego zasięgu dla Orionów – rzekł pierwszy oficer.

– Obrócić okręt. Namierzyć obu nieprzyjaciół stanowiskami Alfa i Bravo – poleciła dowódczyni. – Włączyć reaktory na pełną moc.

Pędniki prostopadłe na brzuchu „Ottawy” dały długi ciąg i obróciliśmy się wzdłuż osi poprzecznej, ustawiając umieszczone na dziobie wyloty dział cząsteczkowych w stronę zbliżających się Dryblasów. Kiedy skierowaliśmy się już przodem do Nowego Svalbardu i nieprzyjaciół, pędniki grzbietowe dały przeciwciąg, żeby zatrzymać nasz obrót.

– Mamy namierzone Limę Dwa i Limę Trzy – doniósł oficer taktyczny. – Śledzę cele. Zbliżają się z prędkością tysiąc sto metrów na sekundę i przyspieszają.

Dwa okręty Dryblasów znalazły się już na tyle blisko „Ottawy”,

że potężne ogniskowe naszej matrycy optycznej mogłyby dostrzec pojedyncze nity, gdyby obcy używali ich do łączenia poszycia. Wrogie jednostki wyglądały niczym para rekinów: śmiertcionośne, opływowe sylwetki pędzące do łatwego posiłku.

– Pięćdziesiąt tysięcy kilometrów i szybko się zmniejsza.

– Otworzyć ogień na dwudziestu tysiącach. Namierzyć Limę Dwa oboma stanowiskami i rozwalić tego skurwysyna w drzazgi – rozkazała pułkownik Yamin.

Wszyscy teraz siedzieliśmy przypięci pasami. Za niecałą minutę Dryblasy wejdą w zasięg naszej broni, ale jednocześnie my w ich. Nie będzie to cios zadany z zaskoczenia z dystansu miliona kilometrów, tylko bijatyka na noże w ciasnym kiblku.

– Czterdzieści tysięcy.

Sprawdziłem, czy mam dostatecznie zaciągniętą uprząż i klamry kombinezonu. „Ottawa” była ogromną jednostką, ale okręty nasienne nadal trzykrotnie przewyższały ją długością i zapewne dziesięciokrotnie masą. Jeśli któryś z nich postanowi staranować nas przy takich względnych prędkościach, rozpadniemy się niczym przejrzały owoc.

– Trzydzieści tysięcy.

– Stanowiska Alfa i Bravo w pełni gotowe do działania – oznajmił oficer do spraw uzbrojenia. – Moc reaktora na pełne doładowanie.

– Ustawić oba stanowiska na impuls jednosekundowy – poleciła dowódczyni.

– Tak jest, impuls jednosekundowy. Wchodzimy w zasięg broni za trzy, dwa, jeden.

– Ognia.

Światła w BCI nieznacznie przygasły. W głębi okrętu dwa działa cząsteczkowe biegnące przez całą przednią tercję kadłuba skupiły więcej destrukcyjnej mocy, niż ludzkość skoncentrowała kiedykolwiek w jednym miejscu. Wpatrywałem się w ekran pokazujący nadawany na żywo obraz dwóch wrogich jednostek

pędzących ku nam niemal bok w bok, w odległości zaledwie dziesięciu kilometrów od siebie.

Impulsy z dział rozjarzyły wyświetlacz do białości. Kamery dronów śledziły Dryblasów z trzech różnych kierunków i dzięki nim zobaczyliśmy, że okręt nasienny Lima Dwa zniknął w gwałtownym rozbłysku promieniowania i rozpalonych cząsteczek.

– Trafienie bezpośrednie – oznajmił triumfalnym tonem oficer od uzbrojenia. – Cel zniszczony.

– Zbyt wysoka prędkość zbliżania – ostrzegł oficer taktyczny. – Lima Trzy minie nas dziesięć kilometrów od bakburty.

– Manewry uchyleniowe! – zawołała pułkownik Yamin. – Przednie pędniki grzbietowe czterdzieści stopni w dół.

– Tak jest, minus czterdzieści stopni – potwierdził sternik. Dziób „Ottawy” zaczął pochylać się przed nadciągającym Dryblasem, ale zbliżaliśmy się do siebie tak szybko, że wróg zdążył pokonać ten dystans, zanim zmieniliśmy znacząco kurs.

– Wszystkie rufowe baterie elektromagnetyczne na tryb automatyczny – poleciła dowódczyni. – Pełna salwa, maksymalna szybkostrzelność.

Rozbrzmiał metaliczny brzęk, gdy amunicja wylatywała z wyrzutni elektromagnetycznych z prędkością kilku tysięcy metrów na sekundę. Dryblas majaczył ponad nami na bakburcie tak wielki, że dzielące nas dziesięć kilometrów wydawało się drobnostką. Sprawiał wrażenie, jakby znajdował się tak blisko, że niemal ocieraliśmy się kadłubami.

– Nadlatujące pociski! – zawołał oficer taktyczny. – Wektor zagrożenia dwieście siedemdziesiąt.

– Przechylić okręt! – warknęła pułkownik Yamin. – Obrócić nas do nich pancierzem grzbietowym.

– Tak jest – odparł sternik. – Przechylam okręt.

Penetratory Dryblasów nie dorównywały prędkością pociskom z naszych dział elektromagnetycznych, ale były znacznie

większe, a nasz kadłub nie miał dwudziestu metrów grubości. Bywałem na jednostkach, które zostały trafione tymi zwartymi organicznymi prętami. W miejscu uderzenia wyrywały dwumetrowy otwór i przechodziły przez pancerny kadłub okrętu jak przez masło, od bakburty do sterburty albo od dziobu do rufy. Choć wiedziałem, że „Ottawę” konstruowano, mając to na uwadze, to jednak tak mocno chwyciłem podłokietniki fotela, że zaskrzypiał metal.

– Do wszystkich: przygotować się na uderzenie! – wrzasnęła do radiowęzła pierwszy oficer.

Chmura penetratorów uderzyła w nas niczym burza gradowa. Słyszałem odgłosy uderzeń pocisków o kadłub na zmianę z licznymi drobnymi eksplozjami. „Ottawa” drżała pod tym naporem, lecz parła dalej i po połowie sekundy zostawiliśmy Dryblasa za rufą. Wtedy dobiegła nas druga seria trafień od strony dziobu i sterburty.

– Przechodzimy przez chmurę szczątków Limy Dwa – poinformował oficer taktyczny.

– Raport o uszkodzeniach. – Chwył dowódczyni na podłokietnikach nie wydawał się ani trochę delikatniejszy niż mój. Wciąż jednak dysponowaliśmy w pomieszczeniu powietrzem i nie doszło do eksplozji reaktora, więc nieco rozluźniłem palce.

– Kilka przebić kadłuba – doniósł pierwszy oficer. – Przedziały otwarte na przestrzeń przy wręgach sto osiemdziesiąt, dwieście dwadzieścia cztery i trzysta sześćdziesiąt sześć. Cokolwiek nas trafiło, nie przeszło na wylot. Żadnych przebić przed wręgą sto osiemdziesiąt.

– Pancierz grzbietowy wszystko odbił – powiedziała pułkownik Yamin. – Proszę rozesłać ekipy naprawcze. I niech ktoś kopnie mnie w zęby następnym razem, gdy odsłonię burtę i rufę.

– Lima Trzy zaczyna zawracać – ogłosił oficer taktyczny. – Obraca się i... włącza kontrciąg? Nie mam pojęcia. Ale zwalnia.



– Chce wykonać kolejny przelot – uznała ponuro dowódczyni.  
– No to poczęstujmy go drugą porcją. Status stanowisk Alfa i Bravo?

– Osiemnaście sekund do naładowania.

– Czy możemy zwiększyć dystans, żeby użyć kolejnego Orionu?

– Wątpię – odrzekł pierwszy oficer. – Nie przy ich akceleracji. Muszą podejść bezpośrednio do nas, ponieważ nie mają amunicji długodystansowej. A my musimy podejść do nich, bo nie uda nam się znów oddalić.

– Zatem dostanie z dwururki – oznajmiła pułkownik Yamin, zerknąwszy na wyświetlacz taktyczny, gdzie wciąż jeszcze zwiększała się odległość między nami a okrętem nasiennym. – Prostopadłe tylne pędniki, pełny ciąg. Obracamy się i idziemy pełnym kontrciągiem, cała naprzód.

– Cała naprzód po rotacji, tak jest.

Znów sprawdziłem pasy, upewniając się, czy nie ma luzów. Pole sztucznego ciężenia świetnie sprawdzało się przy manewrach w niskiej grawitacji, ale gdy okręt przesuwał się raptownie bokiem, mogło trochę trząść.

„Ottawa” obróciła się z powrotem, aż nasze dysze wylotowe były skierowane znów na Nowy Svalbard. Odległość między nami a Dryblasem w ciągu dwudziestu sekund zwiększyła się znów do pięćdziesięciu tysięcy kilometrów, ale różnica prędkości zmniejszała się drastycznie, gdy obie jednostki stosowały kontrciąg, żeby wyhamować. Zupełnie jak w powolnym i niezgrabnym pojedynku zakutych w zbroi rycerzy z kopiami, tylko że znajdowaliśmy się na zlanym deszczem, zamarznętym jeziorze, a konie miały założone łyżwy.

– System obrony aktywnej unicestwił połowę nadlatujących penetratorów – poinformował pierwszy oficer, przerzucając ekrany na wyświetlaczu. – Pancerny reaktor odbił niemal całą resztę. Cywilni kontrahenci zsikają się z radości, gdy się dowiedzą.

– Będą mieć więcej powodów – odparła pułkownik Yamin.

Przez kilka następnych minut wytracaliśmy prędkość wsteczną, a okręt nasienny robił to samo. Dystans pomiędzy nami zwiększył się do sześćdziesięciu, siedemdziesięciu, wreszcie osiemdziesięciu tysięcy kilometrów. „Ottawa” ruszyła jako pierwsza. Gdy przestaliśmy ślizgać się w tył i poleciliśmy w przeciwnym kierunku, obcy wciąż deptali po hamulcach i odsuwali się od nas.

– Mamy czerwone światło na stanowisku Alfa – ostrzegł oficer od uzbrojenia. – Usterka magnetycznego pola ochronnego. Alfa jest nie do użytku, proszę pani.

– Co z Brawo?

– Wciąż działa i jest naładowane.

– Cholera. Odciąć główny napęd. Przygotować Oriony. Opracować wzorzec ataku na Limę Trzy i odpalić, gdy będzie gotowy.

– Tak jest, maszyny stop. – Sternik ściągnął wszystkie przepustnice przed sobą do pozycji jałowej.

– Pani pułkownik, jesteśmy poniżej połowy minimalnego zasięgu dla Orionów – sprzeciwił się zbrojmistrz. – Mogą nie rozbić wrogom kadłuba, jeśli nie uderzą z odpowiednią prędkością.

– Czytałam instrukcję obsługi, poruczniku. A teraz proszę wypuścić ptaszka. Chyba że woli zaryzykować pan własnym życiem, iż stanowisko Brawo nie zepsuje się w ciągu najbliższych pięciu minut.

– Tak jest. – Oficer zbladł lekko i skupił się na swoich ekranach.

– Może i go nie zniszczy, ale ma szansę rozszczepić pancierz. Albo nawet rozłupać go na pół – stwierdziła pułkownik Yamin.

– Lima Trzy zaczyna znów zmniejszać dystans – doniósł oficer taktyczny. – Kurs zero na zero, kolizyjny, odległość dziewięćdziesiąt tysięcy kilometrów i maleje.

– Wyrzutnia jeden ma zamiar na cel i jest gotowa do strzału.

Wystrzał za trzy, dwa, jeden. Ognia. – Oficer od uzbrojenia spojrzął na Yamin. – Wyrzutnia jeden pusta. Ptaszek wyfrunął, pani pułkownik.

– Bardzo dobrze. Proszę trzymać namiar stanowiskiem Brawo, w razie gdybyśmy spudłowali.

Orion zaczął przyspieszać trzydzieści kilometrów przed dziobem „Ottawy”. I znów wyświetlacz rozjarzył się serią eksplozji nuklearnych, które na chwilę oślepiły kamery. Nasze przednie sensory nic nie widziały przez szum promieniowania i fal elektromagnetycznych wywołany atomówkami wybuchającymi między nami a okrętem nasiennym, ale przekaz z dronów dawał nam idealny widok z kilku kierunków.

Rakieta pokonała odległość dzielącą nas od obcych niemal w mgnieniu oka. Jeśli jednostka Dryblasów wyczuła nawet nadciągającą głowicę bojową, nie miała czasu na manewry uchyleniowe. Mniej niż dziesięć sekund od startu dwa i pół tysiąca ton pykretu wbiło się w dziób okrętu nasiennego z prędkością kilkuset tysięcy metrów na sekundę. Efekty uderzenia były dalece mniej spektakularne niż w przypadku trafienia działem cząsteczkowym, ponieważ brakowało rozprysku promieniowania gamma. Głowica po prostu grzmotnęła w nieprzyjaciela surową energią kinetyczną. Gdy rozproszył się obłok zderzenia, przez sekundę czy dwie okręt nasienny wyglądał na nietknięty. Nagle wielki kawał przedniej części kadłuba oderwał się i zaczął sypać szczątkami za jednostką. Przypomniały mi się rezultaty desperackiej próby podjętej kilka lat temu nad Ziemią przez OWPA „Indianapolis”, kiedy nie dysponowaliśmy jeszcze raketami Orion ani działami cząsteczkowymi przeciwko zbliżającemu się wrogowi i pułkownik Campbell postanowił zamienić swój okręt w improwizowaną głowicę kinetyczną.

– Bezpośrednie trafienie w Limę Trzy – oznajmił oficer taktyczny. – Jest uszkodzony. Rozłupaliśmy kadłub, pani

pułkownik.

– Ciekawe, czy stosują u siebie wykładziny przeciwodłamkowe  
– zastanawiał się podpułkownik Barry. – Fragmenty pancerza muszą się im teraz odrywać od dziobu do rufy.

– Lima Trzy wciąż utrzymuje kurs i przyspieszenie.

– Jeszcze za słabo ich uszkodziliśmy – uznała dowódczyni. – Zbrojmistrz, proszę otworzyć silosy Hades od jeden do cztery. Udzielam zezwolenia na użycie broni jądrowej. Przekazać namierzenie celu najbliższym dronom i celować w tę szczelinę w kadłubie. Strzelać, gdy rakiety będą gotowe.

– Tak jest, pani pułkownik. Otwieram silosy od jeden do cztery.

Po bokach przedniej części „Ottawy”, tuż przy jej ciężkim pancerzu grzbietowym, rozsunęły się bezszelestnie cztery włazy. Każdy z nich mieścił ciężki pocisk z ładunkiem jądrowym, przeznaczony do bombardowania innych okrętów lub powierzchni. Użycie ich przeciwko nietkniętej jednostce Dryblasów oznaczałoby zmarnowanie dobrego plutonu, jednak z bitwy o Ziemię wiedziałem, że jeśli trafimy w tę dziurę, głowice atomowe rozerwą Dryblasa na strzępy od środka.

– Odległość sześćdziesiąt tysięcy, wciąż kurs kolizyjny.

– Odpalam rakietę z silosów jeden, trzy, dwa, cztery. Pociski wystrzelone.

Kadłub znów rozbrzmiał niskim rumorem. Na środku diagramu pojawiły się cztery błękitne ikony w kształcie litery V i ruszyły w stronę zbliżającego się okrętu nasiennego. Nie dorównywały szybkością Orionom, ale dystans kurczył się stopniowo i rakiety pokonały go zaledwie w kilka minut. Okręt nasienny parł przez radioaktywne szczątki z nuklearnych ładunków miotających użytych do rozpędzenia Oriona, uszkodzony, lecz wciąż na tyle sprawny, by dalej na nas polować.

Rakiety Hades spotkały się z ostatnią jednostką Dryblasów po pokonaniu czterdziestu tysięcy kilometrów. Dwie z nich eksplodowały na nieuszkodzonej części pancerza, dając

efektowny, acz nieefektywny pokaz fajerwerków. Kolejna przemknęła obok szczeliny, mijając wroga zaledwie o jakieś kilka metrów. Jednak ostatni Hades zniknął w uszkodzonym wnętrzu okrętu nasiennego. Sekundę czy dwie później kadłub wyrzucił się i rozdarła się cała przednia część grzbietowa. Wiedziałem, że poszycia okrętów obcych były niewrażliwe na radiację, lecz działało to w dwie strony, ponieważ promieniowanie gamma wyzwolone przez głowicę o mocy pół megatony odbijało się po prostu we wnętrzu, gotując wszystko, na co się natknęło.

– Lima Trzy wciąż na kursie kolizyjnym – ostrzegł oficer taktyczny.

Może i zabiliśmy wszystko, co żyło we wnętrzu tej jednostki, ale kadłub zachowywał się zgodnie z prawami fizyki, więc jeśli nie podlegał wpływom żadnej siły, będzie dalej szedł bieżącą trajektorią.

– Manewry uchyleniowe – rozkazała pułkownik Yamin. – Maksymalna prędkość, kurs czterdzieści pięć na zero. Musimy usunąć im się z drogi!

Sternik potwierdził komendę i przerzucił znów przepustnicę do samego końca. Próbowałem jednocześnie śledzić diagram i obraz z kamer, gdy zwinnie odsuwaliśmy się przed nadciągającym okrętem nasiennym. Kiedy Lima Trzy przemknęła przez miejsce, które jeszcze niedawno zajmowaliśmy, oddaliliśmy się już na pięćset kilometrów i przyspieszaliśmy. Nawet jeśli Dryblasy wypuścili penetratory, gdy nas mijali, to byliśmy zbyt daleko, żeby je wykryć.

– Obrócić okręt – poleciła dowódczyni. Wyglądała, jakby przez ostatnie godziny postarzała się o kilka lat. – Śledzić tego gnoja i przygotować się na kolejny strzał Orionami.

– Jest na kursie kolizyjnym z Nowym Svalbardem – poinformował oficer taktyczny. Podbiegł do holostolu i wyświetlił szacowaną trajektorię okrętu nasiennego.

– Gdzie uderzy?

– Tutaj. – Wskazał miejsce na północnym płaskowyżu, czterysta kilometrów od Nowego Longyearbyen. – Jeśli nie rozpadnie się wcześniej w atmosferze.

– Nie rozpadnie – odparł podpułkownik Barry. – I gdy spadnie, zrobi krater wielkości Central Parku.

– Łączność, proszę ostrzec garnizon, że w ich stronę lecą szczątki. Niech znają przewidywany punkt uderzenia, żeby nie zastanawiali się, dlaczego nagle zatrzęsa się im ziemia.

– Chyba nie przegapią tego kadłuba lecącego w atmosferze, pani pułkownik. Nawet z czterystu kilometrów.

Puściłem podłokietniki i z drzeniem wypuściłem powietrze. Całe starcie trwało niewiele ponad trzy godziny, odkąd wypuściliśmy drony, i przez ten czas nie ruszyłem się ze swojego stanowiska, ale miałem wrażenie, jakbym przebiegł maraton przez strzelnicę z ostrą amunicją.



Kadłub okrętu nasiennego wyraźnie pozbawiony był sterowania. Wszedł w górne warstwy atmosfery nad Nowym Svalbardem, koziółkując wzdłuż osi pionowej. Martwa, wyszczerbiona bryła obcej materii spadała bokiem, ciągnąc za sobą rozpalone smugi silnie rozgrzanych gazów. Śledziliśmy ją kamerami, dopóki nie zniknęła w pokrywie chmur. Kilka minut później w podczerwieni ujrzeliśmy wielki termiczny rozbłysk.

– Uderzenie! – poinformował kapitan przy stanowisku wywiadu elektronicznego. – Walnęło mocno. Przekazuję współrzędne do centrum kontroli.

– Na diagramie pusto – powiedział oficer taktyczny. – Żadnych nieprzyjaciół w promieniu dwudziestu milionów kilometrów.

Okrzyki w BCI były znacznie mniej żywiołowe niż przy pierwszym zniszczonym okręcie. Zwyciężyliśmy, ale z „Ottawy” wciąż uciekało powietrze, poza tym straciliśmy jedno z dział

cząsteczkowych, czyli naszej głównej broni przeciwko Dryblasom na krótki zasięg. Zaś skoro penetratory przebiły nam pancerz, to zapewne doszło też do ofiar w ludziach. Spisaliśmy się znacznie lepiej w starciu z obcymi niż jakikolwiek okręt przed nami, ale ta krótka i zaciekła potyczka powinna rozwiać wśród załogi wszelkie iluzje, że od tej pory wojna będzie szła nam jak z płatka.

– Proszę przekazać „Michaelowi P. Murphy’emu”, że teren czysty. Niech leci jak najszybciej do Nowego Svalbardu i spotka się z nami na orbicie. – Pułkownik Yamin odetchnęła głośno i przejechała dłonią po włosach. – Dzień się jeszcze nie skończył. W zasadzie to dopiero się zaczął.

Podeszła do holostolu i zmieniła skalę, by pokazywał jedynie Nowy Svalbard i jego bliską orbitę.

– Proszę poinformować pułk PK, żeby szykował się do desantu. Najpierw sadzamy drugi batalion. Pierwszy batalion ma póki co pozostawać w odwodzie. I chcę, żeby za trzydzieści minut pierwszy klucz samolotów bojowych opuścił klamry i ruszył na dół, żeby zapewnić tam bliskie wsparcie lotnicze.

Wysłałem komunikat priorytetowy do swojej drużyny taktyk specjalnych, nakazując im, żeby ubrali się w osprzęt bojowy. Następnie nadałem bezpośrednią wiadomość do chorążego Garcii, mojego najwyższego rangą kontrolera walki. Był przydzielony do kompanii Alfa drugiego batalionu i rozkazałem mu, żeby zastąpił mnie w BCI pół godziny wcześniej, żebym mógł zająć jego miejsce na desantowcu. Znałem teren i uważałem, że już wystarczająco długo obserwowałem wydarzenia, siedząc na tyłku w klimatyzowanym centrum kontroli. Nie wiedziałem, czy w kolonii wciąż znajdowali się ludzie, których spotkałem cztery lata wcześniej, ale i tak chciałem znaleźć się w pierwszej fali operacji ratunkowej. Walczyliśmy kiedyś dla cywilnej administracji Nowego Svalbardu i zapłaciliśmy krwią naszych dobrych ludzi, żeby mogła dalej istnieć. To tam poznałem mojego

przyjaciela Dmitrija i to tam zadzierzgnąłem silniejszą więź z chorąży Fallon nad najmocniejszymi drinkami w zasiedlonej galaktyce. Jeśli więc czekała nas bitwa w imię tego, żeby Dryblaszy tego wszystkiego nie zdeptali, nie zamierzałem przyglądać się jej z drugiego rzędu.



## Rozdział 20

# Duchy w śniegu

**D**obrze było znowu znaleźć się w pancerzu bojowym. Zapinanie wszystkich klamer i kilkakrotne sprawdzanie połączeń oraz funkcji składało się na procedurę sygnalizującą mojemu mózgowi, że idę na wojnę. Odkąd wszedłem na pokład „Ottawy”, nie miałem na sobie nic oprócz turkusowej tuniki czy skafandra próżniowego i aż do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tęsknię za pancerzem oraz wrażeniem gotowości i kompetencji, jakie zapewniał. Zupełnie jakbym owijał dłonie i zakładał rękawice tuż przed wejściem na boksinerski ring.

Gdy pancerz się zhermetyzował, a system diagnostyczny pokazał, że wszystko działa prawidłowo, do kabury na piersi, tuż nad gniazdami mieszczącymi magazynki do karabinu, wsunąłem staroświecki pistolet M17, który pozwoliła mi pobrać pułkownik Yamin. Amunicję umieściłem w mniejszych gniazdach, po czym udałem się w stronę pokładu lotniczego.



W hangarze szalała gorączkowa aktywność. Kilka plutonów ustawiło się już za desantowcami, czekając na transport, a gdy wchodziłem do pomieszczenia, cztery Dzierzby wisiały w klamrach, niesione jednocześnie do komór startowych. Pod ich krótkimi skrzydłami podpięto maksymalną dopuszczalną liczbę rakiet powietrze-ziemia i pocisków z amunicją kasetową. Sam

niosłem M-95 zamiast zwykle używanej przeze mnie lżejszej broni obrony osobistej – nie było wątpliwości, że czekała nas zaciekle walka z wrogiem dysponującym przewagą liczebną i jeśli nasze linie zostaną przerwane, chciałem móc odpowiedzieć ogniem z czegoś skuteczniejszego niż pukawka do pacyfikowania tłumów.

– Kompania Alfa? – spytałem żołnierza z najbliższej grupki.

– Tak jest, sir. Trzeci pluton.

– Gdzie jest pierwszy?

Wskazał desantowiec na drugim końcu szeregu, na który okrętowali się już ludzie. Podbiegłem do tylnej rampy i wszedłem do ładowni.

Najwyższym stopniem oficerem był dowódca kompanii, kapitan nazwiskiem Porter. Na mój widok uniósł wizjer hełmu i spojrzał pytająco.

– Kapitan Grayson – przedstawiłem się. – Jestem oficerem operacyjnym. Będę waszym kontrolerem walki podczas tego desantu.

– Co stało się z chorążym Garcia?

– Zapewne popija sobie właśnie kawę przy stanowisku w BCI – odparłem. – Lepiej od niego znam teren działania, więc uznałem, że zastąpię go w tej misji.

– Nie zgłaszam sprzeciwu – uznał Porter.

Zająłem miejsce przy konsoli pod tylną grodzia, wsunąłem broń w klamrę i wpiąłem pancerz w system. Następnie uruchomiłem konsolę i zwyczajowo poprosiłem pilota o dostęp do systemów pokładowych. Wreszcie sprawdziłem łączność z BCI.

– Mówcie do mnie, Garcia – powiedziałem na kanale operacyjnym.

– Niech pan pamięta o protokole radiowym, kapitanie – odrzekł z lekkim śmiechem chorąży. – Ale słyszę pana głośno i wyraźnie.

– Dowództwo kompanii Alfa zamierza rozstawić się na lądowisku. Gdy posadzimy płozy, zamierzam pobiec najkrótszą trasą do wieży i uzyskać stamtąd szerszy obraz.

– Powodzenia, kapitanie. I niech pan nie da się zabić. Jeśli Taggart zostanie nowym starszym kontrolerem walki, będzie zupełnie nie do zniesienia.

– Zrozumiałem – odparłem, powstrzymując chichot. – Odezwe się z powierzchni. Wydech Jeden bez odbioru.

Kłapa Ważki zamknęła się szybko i niemal bezszelestnie, a światło w ładowni zmieniło się w bojową czerwień. Ekran przed mną automatycznie dostosowały się do mroku. Wyświetliłem swoją zwyczajową kombinację diagramu i widoku z kamer zewnętrznych. Desantowiec, na który trafiłem, należał do Eskadry Transportu Bojowego Jedenaście, nie do Piątki Halley. Uświadomiłem sobie, że choć latałem z nią parę razy, gdy siedziała za sterami, nigdy nie była moim pilotem podczas właściwego desantu.

Kilka minut później znaleźliśmy się w kłamrze i przez chwilę unosiliśmy się trzy metry nad podłogą hangaru, przenoszeni do komory zrzutowej. Rozglądałem się, szukając Ważek ETB-5, ale nie dostrzegłem swojej żony w środku ani obok żadnej z nich. Ich zadaniem było przewiezienie na dół batalionu rezerwowego w razie potrzeby, więc Halley poleci w drugiej fali albo wcale. Kiedy jednak znajdę się na ziemi, a ona w swoim desantowcu, musi stać się dla mnie po prostu kolejnym zasobem lotniczym, latającą bronią, którą muszę nakierować na cel. Chciałem wierzyć, że zdołam nastawić w taki sposób mózg, choć intuicja podpowiadała mi inaczej. Nie znałem jednak lepszego pilota niż moja żona, a ona potrafiła zadbać o siebie, gdy znajdowała się w powietrzu i za sterami.

Klamra opuściła nas do komory startowej, która zamknęła się nad nami. Wtedy rozsunęły się wrota zewnętrzne i pod Ważką nie zobaczyłem nic oprócz przestrzeni.

– Trzy, dwa, jeden. Zrzut – odliczył pilot. Klamra puściła desantowiec, który przez chwilę opadał swobodnie. Żołnierze w ładowni wydali z siebie zwyczajowy okrzyk, zupełnie jakbyśmy zaczęli zjeżdżać z najwyższego wzniesienia na torze kolejki górskiej. Trzymałem zamknięte oczy, dopóki nie opuściliśmy pola sztucznej grawitacji „Ottawy”, a żołądek w końcu przestał próbować wyskoczyć mi przez gardło.

Pilot obrócił dziób i stanął na czele klucza desantowców lecących ku powierzchni. Nowy Svalbard wyglądał tak, jak zapamiętałem go sprzed czterech lat: równiny grubego lodu, góry zwieńczone śniegiem i wirujące białoszare połacie chmur. Było to jedno z najmniej przyjaznych miejsc, w jakich przebywałem, a jednak polubiłem jego surowe i proste piękno.

– Widać miejsce uderzenia na kierunku dwieście siedemdziesiąt, odległość czterysta kilometrów – oznajmił pilot. Przełączyłem się na matrycę optyczną na lewej burcie i spojrzałem we wskazaną stronę. W oddali wznosiła się wielka ciemna chmura. Przez lata widziałem już wiele przypadków trafienia powierzchni z wielką energią kinetyczną i to niezwykle, w jakim stopniu przypominały grzyb powstający po eksplozjach jądrowych. Wrak okrętu Dryblasów łupnął w kontynent z wystarczającą siłą, żeby podrzucić w górę kilkaset tysięcy metrów sześciennych rozgrzanego lodu oraz skał i wszystko to będzie spadało jeszcze następnego dnia.

– Garcia, tu Grayson – nadałem do stanowiska w BCI.

– Słucham.

– Dajcie znać dowódczyni, że musimy jak najszybciej oczyścić miejsce zderzenia. Chciałbym móc powiedzieć, że nic nie zdołałoby przetrwać takiego lądowania, ale po Grenlandii już bym na to nie postawił.

– Już się za to wzięłem, kapitanie – odparł Garcia. – Właśnie zleciłem dwóm skrzydłom Dzierzb wypalenie tego atomówkami.

Przez chwilę oburzyła mnie myśl zbombardowania miejsca

katastrofy bombami jądrowymi. Nowy Svalbard był lodowym księżycem i woda pitna stanowiła główny powód utrzymywania go jako kolonii. Przed wojną z Dryblasami stanowił jedno z głównych miejsc, gdzie jednostki OWPA zaglądały, żeby uzupełnić zapasy. Odpalenie tu atomówek sprawi, że większość tego lodu stanie się bezużyteczna i przez przynajmniej pięćdziesiąt lat nie będziemy mogli z niego korzystać. Wtedy jednak znowu przypomniałem sobie Grenlandię i niespodziewaną odporność obcych nawet pod kilkudziesięcioma metrami lodu. Jeśli jacyś pasażerowie okrętu nasiennego przetrwali zderzenie, wówczas za kilka tygodni ufortyfikują się pod powierzchnią, a za rok spod lodu wyłoni się kolejny wielki okręt.

– Pogoda nam nieco odpuściła – nadał pilot. – Chmury z przejaśnieniami nad obszarem docelowym i lekki wiatr poniżej tysiąca siedmiuset metrów. Na wyższym pułapie będzie jednak nieco kołysało, więc niech trepy dobrze się zapną i trzymają.

Przekazałem wiadomość żołnierzom w ładowni i sprawdziłem, czy moja uprząż też przylega jak najściślej. Gdy pilot desantowca mówi, że podczas lotu będzie nieco kołysało, trzeba się liczyć z możliwością utraty jednej czy dwóch plomb.



Wydawało mi się, że pamiętam, jak gówniana może być pogoda nad Nowym Svalbardem, ale po pięciu minutach schodzenia w atmosferze wciąż byłem zaskoczony, jak miało desantowcem. Ponad pasem umiarkowanym wokół równika zwykle unosiło się nieco cieplejsze powietrze niż w górach na północy i południu – efekt procesu terraformowania – a zimne wichry z obu półkul potrafiły być naprawdę zaciekle. Wstrząsy przechodziły od paskudnych do zaledwie dokuczliwych, gdy schodziliśmy niżej. Kiedy Ważka wyszła z pokrywy chmur tysiąc

siedemset metrów nad powierzchnią, uderzenia wiatru osłabły, a ja zmówiłem krótką modlitwę dziękczynną do bogów pogody, że nie roztrzaskali nas o lodowiec.

Nie byłem przygotowany mentalnie na to, że nagle znalazłem się znów ponad polem bitwy rojącym się od Dryblasów. Gdy odzyskaliśmy pole widzenia, zobaczyliśmy dziesiątki, może nawet setki obcych rozproszonych jak okiem sięgnąć po równinie. Szli pojedynczo lub niewielkimi grupkami, choć ze sporymi odstępami między poszczególnymi osobnikami. Wszyscy kierowali się w tę samą stronę, co nasz desantowiec, ku miasteczku Nowe Longyearbyen, które leżało trzydzieści kilometrów na zachód. Palcami działającymi jak na autopilocie uruchomiłem ekran tak-łącza i wyznaczyłem punkty referencyjne celów tak szybko, jak tylko potrafiłem je nanosić na mapę.

– Działania operacyjne, tu Wydech Jeden – nadałem do Garcii, tym razem używając prawidłowego protokołu łączności. – Na lodowcu trzydzieści kilometrów na wschód od miasta widzę coś, co można nazwać środowiskiem bogatym w cele. Aktualizuję tak-łącze.

Pilot naszego desantowca nie zawracał sobie głowy zwalnianiem, żeby atakować. Przed nami było mnóstwo kolejnych Dryblasów, Ważka kołysała się i wiła, gdy pilot strzelał z działek lub wypuszczał we wrogów rakiety. Pozostałe okręty z naszego klucza po kolei wyłaniały się z chmur i również zaczynały ostrzeliwać nieprzyjaciół. Jednak to swoiste polowanie na kaczki nie trwało długo. Niedługo po tym, gdy opuściliśmy obłoki, nasza grupa desantowców wpadła w kolejny front pogodowy, wyglądający niczym ściana niesionego wichrem śniegu wysoka na siedem kilometrów. Wróciły wstrząsy, gdy Ważkami miotało jak korkami niesionymi przez bystry strumień.

– Zerowa widoczność od przodu – poinformował pilot. – Lecę na radiowysokościomierzu. Wiatr boczny ma prędkość

osiemdziesięciu węzłów. Jeśli to głównie będzie się utrzymywać aż do celu, to przygotujcie się na interesujące lądowanie.

Gdy tylko znów znaleźliśmy się w mętnej zupie, ikony Dryblasów na moim ekranie taktycznym zbladły z jaskrawego pomarańcza na jasny, co oznaczało, że nie podlegają już aktywnej obserwacji. Nie dało się ich dostrzec w podczerwieni lub na radarze, więc w takiej pogodzie okazywali się praktycznie niewidoczni, chyba że znajdowaliśmy się tuż przy nich. Za naszymi desantowcami kilka Dzierzb popędziło w kierunku punktów referencyjnych, które oznaczyłem wcześniej jako miejsca do zrzucenia na ślepo amunicji kasetowej. Obcy byli jednak mocno rozproszeni i jeśli chcieli, potrafili poruszać się z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jeśli nie uda się ich przerzedzić z powietrza, dotrą do perymetru Nowego Svalbardu nieobserwowani, a obrońcy nie będą mieli wiele czasu, żeby móc ich atakować.

– Działania operacyjne, tu Wydech Jeden. Poinformuj dowódcę naziemnego, że Dryblaszy w sile kompanii idą od południa, południowego wschodu. Ukrywają się w zamieci i zbliżają do osiedla. Bliskie wsparcie lotnicze nie może ich skutecznie namierzyć.

– Zrozumiałem, Wydech Jeden. Zamierzamy zrzucić kinetyczne na ich prawdopodobną trasę podejścia. Nie cofajcie się.

Blżej miasta pogoda poprawiła się, choć nieznacznie. Kiedy przekroczyliśmy zewnętrzny pierścień obronny, ustawiony przed pasem startowym na zachodnim skraju osiedla, widoczność wynosiła pół kilometra i utrzymywał się tak silny wiatr, że pilot musiał zdać się na automatyczny system lądowania, zamiast próbować sterować ręcznie. Komputer przejął kontrolę nad okrętem i już przy pierwszym podejściu posadził nas na środku stanowiska, choć nie obyło się bez zarzucania na boki i gwałtownych korekt pędnikami.

Kiedy tylna rampa się otworzyła, do ładowni wdarło się zimne powietrze. Ładowisko zakrywały wirujące na wietrze tumany śniegu. Gdy przebywałem tu ostatnim razem, panowało miejscowe lato i było zimno, ale nie aż tak nieznośnie. Kiedy wysiadłem, wskaźnik w pancerzu wskazał dwadzieścia pięć stopni Celsjusza poniżej zera, ale przy tak silnym wietrze odczuwalna temperatura dochodziła do minus pięćdziesięciu. Opuściłem wizjer hełmu, żeby nie dopuszczać mrozu, i pozwoliłem, żeby wbudowany system grzewczy zabrał się do pracy.

Na skraju lądowiska czekał komitet powitalny. Podeszliśmy tam i zasalutowałem najwyższemu stopniem oficerowi, major PK, dowodzącej zapewne batalionem garnizonowym. Kapitan Porter uczynił tak samo, a oficer odwzajemniła honory i gestem wskazała, żebyśmy zeszli z hałaśliwej płyty.

– Gdybym powiedziała, że cieszę się na wasz widok, byłoby to potężne niedopowiedzenie – oznajmiła oficer. – Major Archer, dowódca garnizonu.

– Kapitan Grayson – odparłem. – Jestem dowódcą drużyny taktyk specjalnych. A to kapitan Porter, dowódca kompanii Alfa.

– Wejdźmy do środka, z dala od wiatru – zaproponowała major. Wieża kontrolna znajdowała się niecałe sto metrów od lądowiska i pobiegliśmy ku niej truchtem, spowalniani wichrem napierającym na nas jak nieustępliwa niewidzialna dłoń.

We wnętrzu zdjęliśmy hełmy, już pokryte śniegiem i lodem. Major Archer wyglądała, jakby miała za sobą bardzo paskudny tydzień, a pod oczyma widniały ciemne podkrążenia.

– Sytuacja – zaczęła. – To siódmy dzień, odkąd pokazali się na orbicie. Z początku atakowaliśmy miejsca lądowania Osami i próbowaliśmy utrzymać ich z dala od miasta, jednak dwanaście desantowców nie wystarczy, żeby blokować Dryblasów z trzech różnych kierunków. Magazyny amunicji w Obozie Sopol opróżniły się w trzy dni. Paliwa wystarczyło do czwartego.



Przeszliśmy korytarzem parteru zajmowanego przez część administracyjną. Nie widziałem tu żadnych cywilów, jedynie żołnierzy PK w pancerzach bojowych. Major Archer poprowadziła nas po schodach na górę. Gdy byłem tu po raz ostatni, rakietą z Dzierzby rozwaliła zbiorniki paliwa niespełna sto metrów stąd i fala uderzeniowa rozbiła większość okien w budynku. Już dawno zostały wymienione, lecz po ogólnym stanie wnętrza wnioskowałem, że była to jedyna poważniejsza naprawa, jaką przeprowadzono tu przez ten czas.

Major uruchomiła holostół na środku pomieszczenia i wywołała mapę taktyczną. Miałem stąd dobry widok na większość lądowiska i miasto. Śnieg pędził ulicami i spiętrzał się pod budynkami, a na drogach nie widziałem żadnej aktywności. Wiedziałem, że budynek administracyjny leżał kilometr na wschód, ale zasłaniała go nawałnica i jedynie od czasu do czasu dostrzegałem przez tuman błyski czerwonego światła ostrzegawczego umieszczonego na dachu, na matrycy antenowej. Dwie pary Dzierzb przemknęły nad osiedlem na niskim pułapie, kierując się na północ. Major Archer podniosła wzrok znad wyświetlacza i uśmiechnęła się krótko.

– Myślałam, że już nigdy czegoś takiego nie zobaczę – powiedziała. – Piękny widok.

Rozciągnęła mapę i wskazała nam gestem, żebyśmy podeszli bliżej.

– Zatem jest tak. Dryblasy wciąż dokonują próbnych ataków po kilku osobników naraz. Podchodzą, dostają w ucho i znikają w śnieżycy. To, co nam zostało, nie wystarczy do utrzymywania całego perymetru, więc skoncentrowałam obronę na kilku kluczowych lokacjach. Szklarnie, magazyny żywności, elektrownia fuzyjna i oczywiście lądowisko. Teraz, gdy dysponujemy wzmocnieniami i wsparciem lotniczym, będzie znacznie łatwiej.

Powiększyła skalę, aż Nowe Longyearbyen zajęło pół

diagramu, i oznaczyła na mapie wspomniane właśnie miejsca.

– Nie istnieje już coś takiego jak linia frontu. Nie w tej pogodzie. Napierają na miasto od jednej strony, przenosimy tam ludzi i zabijamy paru obcych, a oni wracają w nawałnicę i pół godziny później powtarzają to samo od drugiej strony. Dryblasy nie nacierają już na ślepo jak kiedyś i to mnie martwi.

– Wciąż zbierają mnóstwo bezsensownych ofiar – powiedziałem. – Za każdym razem, gdy was naciskają, zostawiają trupy.

– To jest bezsensowne tylko wtedy, jeśli nie kryje się za tym jakaś metoda – odparła major Archer. – Wciąż wolę uważać, że są głupi jak mrówki, ale wystarczająco sprytni, żeby poruszać się tylko wtedy, gdy nie widzimy ich z odległości kilometra. Przez to zupełnie tracimy przewagę odległości. I marnujemy w cholere amunicji za każdym razem, gdy powstrzymujemy ich wycieczkę.

– Na Marsie byli całkiem sprytni – rzekłem. – I na Grenlandii. Może nie myślą podobnie jak my, ale na pewno nie są głupi jak mrówki. Potrafią zastawiać pułapki. Reagować na zmiany taktyki. Znajdować sposoby, żeby neutralizować naszą przewagę technologiczną.

– Tak, raczej wpadliśmy w niezłe głębokie gówno. Być może nie zdołamy utrzymać się na tym księżycu.

– Gdzie chce pani skierować moje plutony? – zapytał kapitan Porter. – Moja kompania jest już cała na powierzchni, a kompania Brawo wyląduje za pięć minut.

– Chciałabym, żeby pańscy ludzie wzmocnili nasze cztery posterunki. Proszę wysłać po plutonie do kompleksu szklarni, silosów żywnościowych i elektrowni. Mam tam zmęczone plutony, które bardzo potrzebują wytchnienia. A czwarty niech wzmocni obronę lądowiska.

– Zrozumiałem. Już ruszamy – odparł Porter. Przełączył się na kanał dowódcy kompanii i wyszedł, przekazując instrukcje swoim porucznikom.

– Lecąc tutaj, widzieliśmy na południowym zachodzie wielką grupę Dryblasów na lodowcu trzydzieści kilometrów stąd – poinformowałem panią major. – Jeśli się pospieszą, mogą tu być za pół godziny. Sugeruję, żeby wysłać kompanię Brawo do wzmocnienia południowego krańca lądowiska.

– Mogę się założyć o butelkę wody, że skoro ich dostrzeżecie, to już nie podejną od tamtej strony. Ale i tak wyślijmy tam kompanię. Jeśli przyjdzie co do czego, będzie mogła robić za ruchome odwody. Oj... Moment.

Podniosła dłoń i słuchała wiadomości na swoim kanale dowódczym.

– Zrozumiałam, poruczniku. Wysyłam wam właśnie posiłki. Pierwsza kompania z okrętu ewakuacyjnego jest już na ziemi.

Archer obróciła się do mnie i wskazała kciukiem przez ramię, ku północnemu wschodowi.

– Dotarliście tu w ostatniej chwili. Dryblasy naciskają na szklarnie, a moim ludziom niemal skończyły się rakiety MARS. Proszę przekazać kapitanowi Porterowi, żeby jak najszybciej wysłał tam pluton wsparcia.

– Pójdę z nimi. Wiem, gdzie są szklarnie.

Zbiegłem po schodach, wywołując starszego sierżanta sztabowego Kanedę, kontrolera walki przydzielonego do kompanii Brawo, który leciał w pierwszym desantowcu drugiego skrzydła, podchodzącego właśnie do lądowania.

– Wydech Dwa, tu Wydech Jeden.

– Wydech Jeden, słucham.

– Sierżancie Kaneda, gdy tylko wsiądziecie, kierujcie się do wieży kontrolnej i koordynujcie stamtąd bliskie wsparcie lotnicze. Ja idę z pierwszym plutonem Alfa, żeby odepchnąć natarcie Dryblasów.

– Zrozumiałem, sir. Koordynować BWL z wieży kontrolnej. Udanych łowów.

Na lądowisku pierwszy pluton lądował się znów do ładowni desantowca i wszedłem za nimi po rampie. Nie zawracałem już sobie głowy siadaniem przy konsoli, zamiast tego wybrałem najbliższe wolne miejsce, żeby się przypiąć. Pilot podkreślił silniki i podniósł płozy, zanim jeszcze kłapa całkowicie się zamknęła.

– Poszukaj na mapie okrągłych budowli pół kilometra od północnego skraju miasta – powiedziałem pilotowi. – To kompleks szklarni.

– Zrozumiałem – odparł. – Przewidywany czas przybycia: pięćdziesiąt sekund.

Okręt opuścił dziób i nabrał raptownie prędkości. Chwilę później przemykaliśmy już nad kopulastymi dachami Nowego Longyearbyen na karygodnie niskim pułapie. Wróciłem myślą do tego dnia przed czterema laty, kiedy jako pasażer leciałem nad tym miastem w desantowcu, zamierzając wziąć udział w buncie, żeby jednogwiazdkowy urzędas nie zajął cywilnych zasobów dla wojska. Szklarnie, do których lecieliśmy, były wtedy jednymi z tych zasobów, a teraz miałem pomagać bronić ich przed zupełnie innym wrogiem, którego nie dało się zmusić do ustępstw.

Cztery wielkie okrągłe budowle wykonano z trójkątnych poliplastowych paneli rozpiętych na aluminiowych szkieletach. Wznosiły się trzydzieści metrów nad powierzchnię lodowca pół kilometra od granic osiedla. Ze swojego krótkiego pobytu na tym księżycu wiedziałem, że stanowiły kluczowy element systemu zaopatrywania kolonii w żywność, bowiem zapewniały tysiącom ludzi świeże owoce i warzywa.

Przelecieliśmy nad kompleksem, po czym pilot obrócił desantowiec na południe, w stronę Nowego Svalbardu. Przynajmniej dziesięciu Dryblasów barwy skorupki jajka wyłaniało się ze śnieżycy kilkaset metrów od szklarni, niemal

niewidzialnych w panującej pogodzie. Z powodu swoich długich kończyn i dziwnego układu stawów nigdy nie wyglądali na szczególnie szybkich, ale nie miałem wątpliwości, że ci tutaj szli pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Pilot odpalił działko automatyczne zainstalowane na sterburcie pod kadłubem, a następnie uzupełnił salwę pociskami kierowanymi wystrzelonymi z pylonów skrzydłowych. Pomknęły w skłębioną biel i trafiły dwóch nacierających obcych. Pierwszy dostał rakieta w pierś, tuż poniżej szyi. Przewrócił się na ziemię, podrywając kłęb śniegu. Drugi uniósł czteropalczystą dłoń, jakby chciał strącić pocisk w powietrzu. Głowica bojowa ugodziła go w rękę i rozerwała ją na pół. Obserwowałem z fascynacją i zgrozą, jak przedramię upadało, koziołkując. Dryblas zaskowyczał tak głośno, że usłyszałem go z odległości pięciuset metrów przez kadłub okrętu, wycie wichru i odgłosy strzelaniny. Zaraz potem działko rozdarło go od tułowia do kolan i upadł.

Poniżej desantowca dostrzegłem błyski z luf kilku karabinów. Kolejny obcy zatoczył się, lecz wyprostował i podjął szybki marsz. Wtedy na prawo od wiszącej w powietrzu Ważki odpalono rakieta. Przełączyłem widok na matrycę na sterburcie i dostrzegłem, że na szczycie kopuła szklarni umieszczono platformy, a na tej na prawo od nas znajdował się dwuosobowy zespół obsługujący wyrzutnię MARS. Ich pocisk w półtorej sekundy pokonał odległość dzielącą ich od idącego na czele Dryblasa, który znów się zachwiał, po czym upadł pyskiem w dół i pośliznął się kilkanaście metrów na pokrytym śniegiem lodzie.

Przełączyłem się na lotniczy kanał taktyczny, nie zawracając sobie głowy sprawdzaniem zasobów znajdujących się w przestrzeni powietrznej nad miastem. Wiedziałem, że dwanaście Dzierzb lata gdzieś tam, szukając dla siebie celu, i mogłem im zaoferować coś wartościowego.

– Działania operacyjne, tu Wydech Jeden. Proszę o natychmiastowe bliskie wsparcie lotnicze. Nieprzyjaciół na

otwartej przestrzeni, czterysta pięćdziesiąt metrów na północny zachód od szklarni. Oznaczam punkt referencyjny celu. Strzelać bez rozkazu. Wszystko na północ od pierwszej linii budynków to wróg.

Pozostali obcy zawracali jeden po drugim i ruszali, skąd przyszli, zostawiając swoich poległych na zamarznętej ziemi. Gdy para Dzierzb przeleciała dwadzieścia sekund później i przeorała teren przed szklarniami, Dryblaszy schowali się już pod osłonę zawieruchy, niczym ogromne duchy z naprawdę popieprzonego koszmaru sennego. Wybuchowe pociski z działek poderwały strumienie lodu i śniegu, ale żaden z nich nie trafił w coś, co nie byłoby już martwe.

– Wydech Jeden, tu działania operacyjne. Dzierzby mają tam na dole problemy ze skutecznym działaniem. Zasięg widoczności to mniej niż pół kilometra i muszą strzelać na ślepo, zanim wyjdą z niskich chmur.

– Zatem na razie przerzucimy bliskie wsparcie na Ważki – odparłem.

Pilot obrócił okręt i usiadł kilkadziesiąt metrów na południe na kompleksu, ślizgając się w ostatnich sekundach na silnym wietrze i ciągnąc prawą płozę po lodzie. Wstrzymałem oddech, spodziewając się, że przewrócimy się na bok i eksplodujemy, ale desantowiec utrzymał pion i chwilę później spoczął na wszystkich trzech płozach. Ucieszyłem się, że nie zająłem stanowiska kontrolera walki przy grodzi, ponieważ gdy rozpiąłem pasy i złapałem karabin, byłem jednym z pierwszych żołnierzy zbiegających po rampie.

Ludzie z garnizonu PK byli rozstawieni w żałośnie rozproszonej linii strzeleckiej przed dwiema szklarniami po północnej stronie kompleksu. Policzyłem ich szybko i wyszło mi mniej niż dwudziestu, czyli zdecydowanie zbyt mało jak na pluton, nawet doliczając zespół od wyrzutni rakiet z platformy na dachu w północno-zachodnim rogu. Żołnierze z pierwszego

plutonu nie musieli prosić o wskazówki czy dalsze rozkazy. Rozbiegli się, wzmacniając dotychczasowe siły swoimi trzema pełnymi drużynami, liczącymi trzydziestu sześciu wypoczętych trepów z nienaruszonymi zapasami amunicji i dwiema wyrzutniami rakiet na drużynę.

Za naszymi plecami desantowiec wzniósł się z powrotem. Jego światła pozycyjne i ostrzegawcze malowały czerwono-pomarańczowe plamy na śniegu. Dziesięć metrów nad ziemią pilot schował płozy i zajął miejsce nieco przed naszą linią strzelecką. Wicher szarpał Ważką, lecz lotnik utrzymywał pozycję i włączył wszystkie przednie reflektory, rozświetlając kłębiącą się przed nami białą masę. Pogoda pogarszała się z każdą mijającą minutą, a im bardziej spadała widoczność, tym krócej nawet desantowce będą mogły korzystać z uzbrojenia. Miałem wrażenie, jakbym znowu znalazł się na Grenlandii, tylko pomnożonej przez pięć.

Wywołałem ekran taktyczny i zobaczyłem, że nie jesteśmy jedynym plutonem walczącym z Dryblasami. Na południowym perymetrze, w przeciwległym krańcu lotniska, ustawiła się linia żołnierzy strzelających do dużej grupy nieprzyjaciół wychodzących z burzy na południowym zachodzie. Kompania Brawo dotarła w tamtą część bazy akurat w samą porę, żeby wesprzeć miejscową obronę.

Chyba jest mi pani winna butelkę wody, pani major, pomyślałem.

Odczytałem przebieg walki z tak-łacza i nie podobało mi się to, co widziałem. Nawet z dwiema świeżymi kompaniami na ziemi i kolejnymi w drodze było nas za mało, żeby jednocześnie odpierać ataki z północy i południa, nie na tak dużym terenie. Gdyby w którymś ze słabiej chronionych sektorów Dryblasom udało się natarcie, po prostu przedarliby się przez nas i podzielili nasze siły na dwie części.

– Potrzebujemy posiłków na północnym perymetrze –

nadałem do major Archer. – Cokolwiek może pani przysłać, inaczej nieprzyjaciel dotrze do lądowiska za dziesięć minut.

– Rozumiem. Ląduje właśnie klucz desantowców. Nie mam za cholerę pojęcia, co się z niego wyładuje, ale wyślę ich do was.

Egzoszkielety. Uśmiechnąłem się pod hełmem, obserwując, jak na wyświetlaczu pojawia się właśnie osiem ikon symbolizujących nowy sprzęt. Nie miałem pojęcia, kto dowodził teraz załadunkiem na pokładzie lotniczym „Ottawy”, ale za tę decyzję zasługiwał na medal.

– Nadciągają pancerni – przekazałem plutonom na północnym perymetrze. – Utrzymajcie się, dopóki tu nie dotrą.

– Kontakt! – wrzasnął jeden z sierżantów z pierwszego plutonu. Widoczność spadła do najwyżej dwustu metrów i z zamieci znów wyłaniały się znajome wysokie sylwetki. Śnieg sypał teraz poziomo, prosto w nasze twarze. Sprawdziłem stan karabinu i odkryłem, że zamek zamarł. Uderzyłem w rączkę zamkową krawędzią pancernej rękawicy i mechanizm cofnął się do połowy, odsłaniając pocisk przeciwpancerny.

Desantowiec znów otworzył ogień, tym razem z działka umieszczonego na kadłubie i wieżyczki dziobowej o mniejszym kalibrze. Grad miedzianych łusek posypał się na śnieg przed naszymi pozycjami. Jako co piąty pocisk umieszczono na taśmie smugowiec i broń ustawiono na tak wysoką szybkostrzelność, że miałem wrażenie, jakby operator smagał nadciągających Dryblasów promieniem lasera.

Cały szereg zaczął strzelać z karabinów i MARS-ów. Nieprzyjaciele niepokojąco łatwo wtapiali się w śnieg jak na stworzenia ich rozmiarów. Reflektory Ważki podświetlały pole bitwy i jeszcze bardziej wzmagwały surrealistyczne odczucia.

Kilku Dryblasów padło pod skoncentrowanym ogniem okrętu i plutonu, ale obcy idący za nimi ominęli trupy, by nacierać dalej. Silniki desantowca zawyły głośniej, kiedy pilot walczył z silnym wiatrem, próbując utrzymać pozycję. Znajdował się teraz sto



metrów przed zbliżającymi się wrogami, ledwo widoczny w polarnej zawierusze. Nagle jeden Dryblas wyprostował się z dotychczasowej pochylonej pozycji i zamachnął się długą łapą. Niemal natychmiast oberwał w tułów kilkoma pociskami, ale zdołał musnąć palcami dziób Ważki. Silniki zaskowyczały, a okręt obrócił się wzdłuż osi pionowej i przechylił na sterburcie. Obcy padł z wrzaskiem, ale desantowiec wyraźnie miał kłopoty. Pilot próbował go wyprostować i znów obrócić się ku nieprzyjacielowi. Serce zatrzymało mi się na chwilę, kiedy zobaczyłem, jak dziób Ważki pochyla się, kiedy nabierała prędkości.

Pilot niemal zdołał przelecieć nad kopułą najbliższej szklarni. Niemal. Usłyszałem tępy trzask, gdy przód okrętu przebił poliplastowe panele dwa lub trzy metry poniżej platformy obserwacyjnej. Pancerny brzuch okrętu zmiażdżył aluminiowe rusztowanie i Ważka wleciała do cieplarni z prędkością sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu węzłów z hukiem brzęącym, jakby waliło się niebo.

Okręt wypadł z drugiej strony trzydziestometrowej kopuły i uderzył w sąsiednią, po czym z donośnym metalicznym trzaskiem spadł obok niej. Nagle coś zapłonęło – zewnętrzne pociski, zbiorniki paliwa, może jedno i drugie naraz – i druga szklarnia eksplodowała z potężnym grzmotem w kuli pomarańczowo-czarnego ognia. Zaczęły na nas spadać płonące elementy desantowca i cieplarni. Nie czułem gorąca pożogi przez wizjer hermetycznego pancerza, ale wskaźnik temperatury otoczenia na parę chwil wzniósł się powyżej zera.

Najbliższy Dryblas znajdował się sto metrów przed naszą linią obroną, gdy wokół niego zaczęły podnosić się gejzery śniegu i lodu. Sekundę później usłyszałem niski, dźwięczny ryk wielolufowego działka Dzierzby. Obcy zatoczył się pod potężnymi uderzeniami przeciwpancernych pocisków, które zdołałyby przeciąć na wskroś transporter piechoty.

Nieprzyjaciele nacierali pod zmasowanym ogniem karabinów, wyrzutni MARS i desantowców, ale nie ustępowali. Za dwadzieścia sekund zaleją nas dzięki swej masie i rozpędowi.

Śnieg w powietrzu i na ziemi tłumiał większość odgłosów, więc nie dostrzegałem pierwszych egzozkietów zbliżających się do naszych linii, dopóki nie znalazły się tuż przy nas. Szły w kierunku zbliżających się Dryblasów, z każdym krokiem podnosząc białe tumany.

– Przechodzą pancerni! – Dobiegło ostrzeżenie na naszym kanale taktycznym.

– Zrobić korytarz! – ostrzegłem żołnierzy. – Egzozkiety przechodzą od tyłu!

Pancerny kroczący obok mnie wycelował umocowane pod ramieniem działko w nieprzyjaciół i wypuścił krótką serię, trzy metry przed sobą wyrywając w zamrzniętej ziemi dziurę o średnicy trzech metrów. Dryblas upadł, powalony superzwartymi pociskami kaliber dwadzieścia pięć milimetrów. Operator nie tracił czasu. Na moich oczach z komputerową precyzją przesuwiał lufę od wroga do wroga: trzy pociski, ruch, trzy pociski, powtórzenie. Kolejne mechy wyłaniały się spomiędzy budynków, niemal zupełnie nie tracąc tempa w zalegającym do wysokości metra śniegu, a gdy dodały swoje uzbrojenie do strzelaniny, hałas wzmógł się po dziesięciokroć. Wszystkie systemy egzozkietów były połączone siecią, więc w przeciwieństwie do spanikowanych żołnierzy PK z bronią manualną, ich operatorzy nie marnowali strzałów na te same cele. Stanowili wspaniałą pokaz skuteczności wzmocnionej technologią. Dryblasy upadali pod precyzyjnym wysokokalibrowym ogniem znacznie szybciej niż pod naszymi karabinami. Minęło ledwie parę sekund, gdy egzozkiety już znalazły się pomiędzy nami a wrogiem, a stukot działek co jakiś czas przerywał świst wyrzutni rakiet.

– Wstrzymać ogień! – zawołałem na kanale plutonu, choć

ostrzeżenie nie było konieczne. Wszyscy widziani przeze mnie żołnierze obserwowali rozgrywający się spektakl. Dryblasy wciąż znacznie górowali nad mechami wzrostem i zapewne byli od nich kilkanaście razy silniejsi, ale egzozskielety z kolei przewyższały zwykłych trepów, a ich broń zbierała znacznie większe żniwo. Zupełnie jakby ktoś skrzyżował ofensywne właściwości okrętu desantowego z mobilnością piechociarza.

– Dowódca Sopol, dzięki za wsparcie – nadałem do Archer. – Pojawili się w samą porę.

– Wciąż nie wiem, co to, kurwa, jest – odparła major – ale jeśli działa, to mam nadzieję, że przyślą jeszcze ze sto.

Bezlitosny szereg mechów napierał do przodu, aż ledwo widzieliśmy już umieszczone nad nimi pomarańczowe światła ostrzegawcze. Strzały cichły powoli, gdy kolejni wrogowie padali i coraz mniej ochotników przepychało się, żeby zginąć obok towarzyszy.

I znowu ratunek w ostatniej chwili, pomyślałem. I ponownie wszystko zależało od dwudziestu sekund pożyczonego czasu.

Po prawej stronie widziałem przebijający się przez śnieżycę blask płonącej szklarni.

– Działania operacyjne, mamy tu rozbity okręt desantowy – wysłałem na „Ottawę”. – Nie zwracajcie sobie głowy lotem ratunkowym. Amunicja zewnętrzna odpaliła przy uderzeniu.

– Zrozumiałem. Odczytaliśmy boję ewakuacyjną.

– Przynajmniej był już pusty – powiedziałem, natychmiast wyrzucając sobie, że ucieszyłem się, iż zginęło tylko dwóch pilotów i dwuosobowa załoga wyrzutni zamiast czterdziestu. – Macie znaczniki identyfikacyjne załogi?

– To był Orzeł Zero Pięć z ETB Jedenaście, sir. Piloci Fisher i Beals.

Gdy usłyszałem nazwisko, przebiegł mnie nieprzyjemny dreszcz. Kiedyś poczułbym satysfakcję, dowiadując się o śmierci kapitana Bealsa, uznałbym ją bowiem za spóźnioną

sprawiedliwość wymierzoną w imieniu pilotów i żołnierzy PK zabitych w wyniku jego ataku na Arkadii. Zginął jednak w obronie naszego plutonu, prowadząc diabelnie trudne wsparcie lotnicze w paskudnej pogodzie, i czułem, jak moja nienawiść do niego wyparowuje niczym płatki śniegu na gorącej lufie broni. Nieistotne, co zrobił wcześniej i co o nim myślałem, za to wszystko zasłużył sobie na odrobinę odkupienia.

Kilka minut później mechy wyłoniły się z zawieruchy, krocząc przez głęboki śnieg w uporządkowanym szeregu. Było ich zaledwie osiem, a jednak właśnie powstrzymały szturm, pod którym niemal padł wzmocniony pluton PK. Byłem przekonany, że stanowiło to dostateczną odpowiedź na pytanie, czy cztery egzozkielety są warte dziesięć razy więcej niż pełen desantowiec żołnierzy z karabinami.

– Dryblaszy przerwali natarcie – powiedział na kanale taktycznym dowódca plutonu mechów. – Nie chciałem ich ścigać, żebyśmy nie wpadli w pułapkę.

– Moim zdaniem słusznie – odparłem. – Dzięki za pomoc.

Burza osłabła nieco, choć dokładnie dziesięć minut później, niż mogłoby się to nam przydać. Lodowiec przed naszymi pozycjami był zasłany trupami chyba ponad dwudziestu Dryblasów – trudno było ich policzyć z powodu wielkości cielsk. Za naszymi plecami wciąż dopalał się pożar wywołany przez rozbity desantowiec. Kopuła jednej ze szklarni uległa poważnym uszkodzeniom, a druga została całkowicie zniszczona, zostały z niej osmalone łuki rusztowania i stopiony polioplast. W dwóch pozostałych cieplarniach popękały panele skierowane ku północy. Wygraliśmy potyczkę, lecz nawet jeśli obcy nie podeszli

bezpośrednio do szklarni, zawalił się z powodu jednego dobrze wymierzonego ciosu łapą i pilota utrzymującego okręt o metr za nisko. Wiedziałem, że nie był podkomendnym Halley, bo jej eskadrę przydzielono do batalionu rezerwowego, nie do mojego, jednak palące się resztki stanowiły wyraźne przypomnienie, że życie lotników było równie narażone na niebezpieczeństwo jak żołnierzy na ziemi.

– Przeładować broń i zachować czujność – poleciłem mojemu plutonowi. – Nie sądzę, by już z nami skończyli. Za bardzo pragną tego miejsca.

– Wycofać się do północnej linii obronnej, pięćset metrów na południe od was – rozkazała major Archer, gdy poinformowałem ją o utracie kompleksu szklarni. – Nie ma już czego tam bronić, a jesteście zbyt odsłonięci. Niech te egzozskielety osłaniają wasze przemieszczenie. Wzmocnijcie nimi północny perymetr i utrzymajcie go, dopóki chmury się nie podniosą i będziemy mogli znów korzystać z bliskiego wsparcia lotniczego.

– Tak jest.

Rozłączyłem się i przekazałem rozkazy porucznikowi pierwszego plutonu.

– No to cały wysiłek poszedł w pizdu – mruknął, gdy skończyłem.

– Niech pan to powie trepom z garnizonu, którym właśnie uratowaliśmy tyłki – odparłem. – Wycofujemy się drużynami. Wysunięta obserwacja. Dwie drużyny osłaniają, reszta się rusza. To pół kilometra, a nie mamy już podwózki. Spadajmy stąd, zanim zaraz postanowią wrócić.

– Pospieszcie się – rzekł dowódca plutonu mechów. – Właśnie zużyliśmy połowę amunicji, a możemy ją uzupełnić tylko na orbicie.



Kilka minut później rozpoczęliśmy odwrót do linii obronnej na skraju miasteczka. Egzoszkielety ustawiły się przed naszymi dawnymi pozycjami, a my przeskakiwaliśmy po dwie drużyny po lodowej równinie, co kawałek wymieniając się przy przemieszczaniu i osłanianiu. Śnieg sięgał nam do kolan i nawet przy wspomaganiu serwomechanizmów pancerza działających z najwyższą mocą półkilometrowy bieg okazał się wyjątkowo wymagający pod względem fizycznym. Zanim dotarliśmy do perymetru i pod ochronę pierwszych budynków, czułem się wyczerpany. Zatrzymałem się, żeby odzyskać oddech.

– Pierwszy pluton kompanii Alfa jest znów w obrębie perymetru – nadałem do major Archer, gdy przestałem dyszeć, mimo że zapewne wiedziała to już z położenia naszych ikon, jeśli choć jednym okiem śledziła ekran taktyczny.

– Zrozumiałam – odparła. – Wzmocnijcie linię w tym sektorze i utrzymajcie pozycję. Wysyłam w waszą stronę pluton z kompanii Charlie.

Spojrzałem znów na kompleks ciepłarni, który właśnie porzuciliśmy na pastwę kolejnego natarcia Dryblasów. Płomienie ze zniszczonego desantowca wciąż gorzały, malując w oddali białą mgłę pomarańczowym blaskiem. Stojących wciąż kopuł nie było już widać z tej odległości. Jeśli nawet bombardowanie nuklearne w miejscu rozbicia okrętu obcych nie skazało tej kolonii na zagładę, to utrata głównego źródła żywności raczej przypieczętowała jej los, chyba że uda nam się usunąć stąd całkowicie wszystkich nieprzyjaciół. Na razie, skoro nie dysponowaliśmy pełnym wsparciem lotniczym i orbitalnym, a na ziemi mieliśmy jedynie osiem egzoszkieleatów, wyglądało na to, że to my możemy zostać usunięci z Nowego Svalbardu.

## Rozdział 21

# Druga bitwa o Nowy Svalbard

O kres nieco lepszej pogody nie trwał długo. Kwadrans po tym, jak czwarty pluton kompanii Charlie przybył, żeby wzmocnić nasze pozycje, widoczność znów spadła poniżej dwustu metrów. Elementy grzewcze w pancerzu tak ciężko pracowały, by utrzymać mnie przy życiu, że poziom naładowania akumulatorów spadał w niepokojącym tempie. Nigdy nie znalazłem się w surowszym środowisku, a konieczność walki w nim wydawała się graniczyć z samobójczym obłędem. Stanowiliśmy jednak linię obrony przed tym, co czało się w zamieci, zajęliśmy więc naprędce przygotowane stanowiska i czekaliśmy na szturm.

– Na południowym perymetrze całkowicie powstrzymano ofensywę Dryblasów – poinformowała major Archer, gdy przekazałem jej nasz status. – Możemy odciągnąć stamtąd pluton czy dwa, żeby pomóc wzmocnić północ, ale będą musieli do was jechać Mułami albo iść pieszo. Pogoda jest zbyt paskudna, żeby ryzykować lot desantowcem.

– Zrozumiałem – odrzekłem. – Proszę przysłać, co tylko pani może. Mamy zbyt rozciągnięte flanki, a widoczność jest gówniana. Jedno zdecydowane natarcie i przedrą się przez nasze szeregi.

– Radar mówi, że wkrótce pogoda się uspokoi. Ta burza powinna ustać za godzinę.

– To świetne wieści – powiedziałem. – Oby Dryblaszy zrobili nam przysługę i zaczęli tyle czasu.

Po przybyciu nowego plutonu nasz sektor stał się najlepiej bronionym odcinkiem północnego perymetru, zatem gdy po kwadransie nastąpiła ofensywa obcych, miała oczywiście miejsce gdzie indziej. Na lewo od nas usłyszałem palbę z karabinów i odgłosy wystrzeliwania rakiet, ale padający śnieg tłumił wszystko w takim stopniu, że nie potrafiłem oszacować odległości. Tak-łącze też nie dawało jednoznacznych wyników. Gdy tylko pierwsi wrogowie pojawili się w polu widzenia jednostki na zachodzie, na mapie wyskoczyły ich pomarańczowe ikony. W oślepiającej zamieci i przy śniegu do kolan utrudniającym każdy ruch pięćset metrów równie dobrze mogło być pięcioma kilometrami.

– W centrum nieprzyjaciel mocno naciska. Czy możecie się przesunąć i uderzyć na niego z flanki?

– Niemożliwe – odparłem. – Nie bez pojazdów. W tym głównie zajmie to nam pół godziny. Zanim dotrzemy, będzie po wszystkim, i zostawimy odsłoniętą prawą flankę. Proszę przemieścić egzozskielety.

– Już to zrobiłam, ale kończy im się amunicja. Osłaniajcie dalej swój odcinek, ale uważajcie na lewą flankę, gdyby udało im się przedrzeć.

Palba z boku nabierała intensywności, aż miałem wrażenie, że znalazłem się na strzelnicy w jakimś obłądnym czasie, kiedy wszyscy opróżniali magazynki tak szybko, jak tylko byli w stanie przeładowywać broń. Ostre odgłosy karabinów M-95 przerywał huk rakiet MARS i przeszywające wrzaski trafianych Dryblasów. Widziałem też na ekranie cztery Dzierzby i dwie Ważki krążące nad polem bitwy, ale wrogowie znaleźli się już zbyt blisko żołnierzy i wszelkie bombardowanie lub przelot z ostrzałem oznaczałyby więcej ofiar w naszych szeregach niż u Dryblasów. Dwie Dzierzby i tak zanurkowały, po czym zrzuciły kartacze



z wolframowymi strzałkami i bomby kasetowe przed linią obrony w nadziei, że na otwartym terenie porażą niedostrzeganych jeszcze przez nas nieprzyjaciół i osłabią główne siły ofensywy. Nawet jeśli jednak w coś tam trafili, nie wystarczyło, żeby zrobiło to różnicę. Kilka minut później strzelanina ucichła. Na ekranie taktycznym zobaczyłem, co się dzieje, zanim jeszcze dowódca plutonu z zachodu potwierdził sytuację na kanale kompanii.

– Dryblasy przebili się przez linię obrony. Ponad trzydziestu osobników, idą na południe wzdłuż drogi technicznej. Wycofujemy się na zachód, żeby się przegrupować.

Jaskrawopomarańczowe ikony na ekranie taktycznym przenikały przez niebieski perymetr. Gdy znikwały z pola widzenia żołnierzy, ich barwa bladła. Ponieważ reszta sił koncentrowała się na odpieraniu ofensywy na południu, nic i nikt nie mogło powstrzymać obcych przed wejściem do miasta.

– Alfa Jeden i Charlie Cztery, wycofać się do centrum administracyjnego w sektorze Bravo Fokstrot Jeden Siedem i bronić perymetru – rozkazała major Archer. – Musimy zlikwidować północny przyczółek, inaczej zajdą was z boków i zmiażdżą z dwóch stron. Z „Ottawy” leci kompania. Wyślę ich, żeby bronili osi południkowej na linii Bravo Charlie.

Godzinę wcześniej byliśmy przekonani, że nasze uzupełnienia odwrócą szale i zgniotą Dryblasów. Cztery eskadry bojowe, dwa pełne bataliony ludzi, wsparcie orbitalne. Jednak pogoda i konieczność utrzymania nadmiernie rozciągniętej statycznej linii obrony pozbawiły nas całej przewagi, a teraz, gdy nieprzyjaciół przebił się pośrodku północnego perymetru, utraciliśmy również inicjatywę.



Budynek administracyjny wyglądał tak, jak go zapamiętałem –

wysoki, pozbawiony okien klocek z betonu. Wszystkie budowle na Nowym Svalbardzie zaprojektowano w taki sposób, żeby wytrzymywały tutejsze ostre zimy, ale ośrodek urzędowy stanowił pewną przesadę nawet jak na warunki lokalne. Przebywałem wiele razy w środku i wiedziałem, że ściany miały kilka metrów grubości. Całość była tak masywna, że dałoby się ją zniszczyć jedynie atomową bombą penetrującą.

Przemieściliśmy się i naprędce zorganizowaliśmy pozycje obronne na obu wychodzących na zachód narożnikach. Wciąż widniały na nich ślady po pociskach z działka Dzierzby, wyrte przez samolot z „Midway” przed laty, kiedy próbowano zdusić nasz bunt. Tyle wydarzyło się od tamtego dnia, że odnosiłem wrażenie, jakby ktoś inny przeżył to wszystko. Ponieważ nie mogłem kierować bliskim wsparciem powietrznym, nie miałem zbyt wiele do roboty, a skoro obaj porucznicy dowodzący plutonami dobrze sobie radzili, wszedłem do przedsionku budynku.

Kiedy otworzyły się wewnętrzne drzwi, nagły podmuch ciepłego powietrza sprawił, że natychmiast zaparował wizjer hełmu. Podniosłem go i przeszedłem do holu. Było w nim pełno skrzyń i palet, a kilku cywilów wynosiło kolejne z przyległych pomieszczeń. Na przeciwległym krańcu korytarza bardzo wysoki i znajomo wyglądający mężczyzna w ciemnym mundurze policji kolonialnej rozmawiał z małą grupką cywilnych techników. Obrócił się, gdy zapadki bezpieczeństwa znów zamknęły wewnętrzne wrota z metalicznym brzękiem. Skinąłem mu głową, a on podszedł, trzymając solidnie zużyty karabin fleszetowy M-66C, wyglądający w jego ramionach jak zabawka.

– Jakie wieści, żołnierzu? – spytał.

– Dobrze znów pana widzieć, komendancie Guest – powiedziałem, a on lekko zmrużył oczy z zaskoczeniem.

– Znamy się?

Spojrzał na tabliczkę z nazwiskiem na moim pancerzu, ale gdy

spuściłem na nią wzrok, zobaczyłem, że jest pokryta warstwą śniegu i lodu. Zamiast ją oczyścić, po prostu rozpiąłem klamry hełmu i ściągnąłem go z głowy.

– A niech mnie! Sierżant sztabowy Grayson. Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś pana zobaczę.

Guest wyciągnął dłoń do uścisku. Choć miałem na sobie pancerne rękawice, a on nie, i tak moje palce zniknęły w jego ogromnej łapie. Komendant był najwyższą i najpotężniejszą osobą, jaką widziałem w życiu. Mierzył sporo ponad dwa metry wzrostu, a jeszcze więcej w obwodzie klatki piersiowej. Nie było w nim nic delikatnego.

– Teraz już kapitan Grayson – sprostowałem. – Gwiazdkami skusili mnie do pozostania w wojsku.

– Nie dziwi mnie to – odparł policjant z uśmiechem. – Śmietanka zawsze wypływa na wierzch.

– Tak, podobnie jak i inne rzeczy – rzekłem, a Guest wyszczerzył zęby. – Dopiero dotarłem tu z dwoma plutonami piechoty. Organizują obronę na zewnątrz. Dryblasy przełamali nasz perymetr i weszli do miasta.

– Już gdy Flota powiedziała nam, że trzy okręty nasienne lecą w naszą stronę, wiedziałem, że nie uda nam się ich powstrzymać. – Guest pokręcił głową i westchnął. – Dlaczego teraz? Dawali nam spokój niemal przez dziesięć lat. Nigdy nie okazywali zainteresowania tym księżycem. Nawet po tym, jak cztery lat temu zajęli kolonię ZCR w układzie. Sądziłem, że już zawsze uda nam się przemykać pod ich radarem.

– Ilu tu jest cywilów?

– Niewiele poniżej dwóch tysięcy. Przez lata ograniczaliśmy działania. Został jedynie kluczowy personel. Większość ewakuowała się wcześniej na Ziemię.

– A co z pańską rodziną?

– Idą tam, dokąd ja – odpowiedział. – Skierowaliśmy wszystkich do tuneli, zanim Dryblasy weszli na orbitę. Nie

wymagało to większego wysiłku logistycznego. I tak zaczynała się zima.

- Czy centrum operacyjne jest tam, gdzie dawniej?
- Owszem. Pójdę z panem. – Odwrócił się i wskazał gestem, żebyśmy ruszył za nim.

Miałem naprawdę dziwne wrażenie *déjà vu*, gdy szedłem znajomymi korytarzami do bezpiecznego centrum operacyjnego pośrodku parteru. Podczas nowosvalbardzkiego buntu spędzałem w tym pomieszczeniu całe dni i noce, kontaktując się z „Indianapolis” na orbicie i koordynując obronę miasta. Wszystko wyglądało tak samo, jak przed ponad czterema laty, ale podobnie jak w wieży kontrolnej na lądowisku, widziałem więcej oznak zużycia i nieczęstych napraw. Uznałem, że jeśli żyje się na księżycu, który niemal nieustannie próbuje zabić swoich mieszkańców, okresowe odmalowywanie ścian znajduje się nisko na liście priorytetów.

W środku natknąłem się na więcej osób, niż pamiętałem z poprzedniego pobytu. Gdy wszedłem wraz z komendantem, wszyscy spojrzeli w stronę drzwi, a ja skinąłem ogółowi zebranych głową.

– Kapitanie Grayson, oto administrator, dyrektor Maynard. Panie dyrektorze, to kapitan Grayson z Floty. Pomógł nam cztery lata temu podczas problemów z garnizonem.

– Kapitanie – odezwał się administrator – co możemy dla pana zrobić?

– Na zewnątrz znajduje się grupa PK, której zadaniem jest obrona budynku. Dryblasy dokonali przełomu i teraz wchodzą do miasta od północnej drogi technicznej. Ze smutkiem muszę poinformować, że straciliśmy szklarnie. Próbowaliśmy je utrzymać, ale musieliśmy się wycofać, żeby wróg nie zaszedł nas

z boków.

– Dowódca z lotniska przekazał mi już ogólny obraz – odparł dyrektor Maynard. Był szczupły, żylasty i nieco niechlujny, jak większość tutejszych osadników, a na głowie nosił spłowiałą niebieską czapkę z logiem Administracji Kolonialnej. – Skoro udało się zlikwidować ich okręty, jakie są szanse na to, że pozbędziecie się nieproszonych gości?

– W obecnych okolicznościach raczej niewielkie, proszę pana.

– Doceniam pańską szczerość, kapitanie. Bill, podejdź tutaj i przekaz oficerowi Floty to, co mówiłeś mi wcześniej.

Jeden z cywilnych inżynierów odsunął się od konsoli.

– Bill Cunningham – przedstawił się, gdy wymienialiśmy uścisk dłoni. – Jestem głównym meteorologiem w tej placówce.

– Andrew Grayson. Oficer operacyjny. Proszę mi powiedzieć, że czeka nas choć trochę dobrej pogody. Nasze bliskie wsparcie lotnicze jest teraz zupełnie uziemione.

– Cóż, mam dla pana dobre i złe wiadomości, kapitanie.

Cunningham wskazał gestem konsolę i wraz z nim podszedłem do stanowiska. Z westchnieniem usiadł na krześle i wywołał ekrany na terminalu. Przerzucił kilka z nich i zostawił mapę radarową.

– Oto sytuacja w tej części kontynentu – powiedział. Na jego biurku obok na wpół opróżnionego kubka z kawą leżało pióro świetlne. Podniósł je i uruchomił. – Jesteśmy tutaj. Ta czerwona plama nadciągająca od północy to pierwsza duża zimowa burza w tym sezonie.

– Chce pan powiedzieć, że to na zewnątrz to nie jest zimowa burza? Ledwo widzimy na sto metrów.

Meteorolog pokręcił głową z uśmiechem.

– Nie, to nie burza, a tylko zwykła śnieżycą. To czerwone pasmo to dopiero burza. Taka z wiatrem o prędkości trzystu kilometrów na godzinę.

– W mordę – odparłem. – Ile to potrwa?

– Dwa tygodnie, może trzy.  
– Trzy tygodnie?!  
– Jeśli nie będzie zbyt intensywna. Zdarzały już się nam dłuższe.

Przejechałem dłonią po wilgotnych od potu włosach.

– Zatem jakie są dobre wiadomości? – spytałem.

– Czeką nas chwila dobrych warunków. Relatywnie dobrych, oczywiście. Według naszej sieci stacji pogodowych wiatr powinien osłabnąć do jakichś pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przyspieszy dopiero za kilka godzin, zanim dotrze tu główny front burzowy.

– Jak długo potrwa ta przerwa?

– Mniej więcej dwie i pół godziny. Później będzie robiło się stopniowo coraz gorzej.

– No po prostu zajebicie. – Spojrzałem na gniewnie wyglądającą czerwoną plamę w kształcie półksiężyca na północ od nas. Przy wicherze o tej sile nic nie będzie mogło lądować ani startować, nawet przy użyciu ASL, automatycznego systemu lądowania. – Przepraszam na chwilę. Muszę porozmawiać z dowódcą garnizonu.

Nałożyłem z powrotem hełm i połączyłem się z kanałem dowodzenia.

– Dowódca Sopol, tu Wydech Jeden.

– Wydech Jeden, słucham – odparła po kilku sekundach major Archer.

– Pani major, jestem w centrum administracyjnym. Zajęliśmy pozycje obronne. Tutejszy zespół meteorologiczny śledzi na radarze nadciągającą burzę.

– Sekundę. – Kanał ucichł na chwilę, gdy major zaglądała do własnego terminalu, szukając najnowszych informacji pogodowych. – Widzę front burzowy. Wygląda na to, że nie mamy wiele czasu, żeby opróżnić miasto i przywrócić perymetr.

– To bezcelowe – odparłem. – Musimy się stąd wydostać przed

nadejściem burzy, inaczej przez długi czas już donikąd nie pójdziemy. Nie da się bronić tego miejsca przez trzy tygodnie przy wietrze o prędkości trzystu kilometrów.

Obok mnie Cunnigham pokręcił głową.

– Zgadza się. Będzie zerowa widoczność – powiedział. – Wchodzi się wtedy w ściany, bo nie widać zupełnie nic przed twarzą. A i to tylko wtedy, jeśli wichur nie przerzuci cię przez pół kontynentu.

– Musimy ewakuować wszystkich cywilów i siły naziemne, dopóki wciąż możemy – rzekłem. – Ta kolonia jest stracona.

Obok mnie komendant Guest i dwóch cywilów zassało powietrze, jakbym właśnie wypowiedział szczególnie paskudne i obraźliwe bluźnierstwo.

– Proponuje pan ewakuację dwóch tysięcy cywilów i tysiąca żołnierzy w niecałe trzy godziny, kapitanie?

– „Ottawa” ma dwie eskadry okrętów desantowych plus dwanaście zapasowych – odparłem. – Możemy to zrobić w dwóch turach. Czterdzieści pięć minut na lot, piętnaście minut po każdym locie na załadunek i wyładunek.

– Nie oddam tej kolonii – oznajmił stanowczo dyrektor Maynard. – Możemy ich przeczekać pod ziemią. Zobaczymy, jak im się spodoba tak silny wiatr i minus sto stopni.

– Zagrzebią się pod lodem i zawałą wasze tunele – odrzekłem. – Widziałem, jak na Grenlandii w zaledwie tydzień wykopali pięciusetmetrowy korytarz i jaskinię w litym lodzie, a było ich tam tylko kilkunastu. Proszę pana, ta kolonia jest stracona. Trzeba wydostać stąd ludzi, zanim wszyscy zostaniemy tu zakopani.

Komendant Guest wzruszył ramionami.

– Przykro mi to mówić, Sam, ale kapitan ma rację. Zresztą bez szklarni i tak jesteśmy spaleni. A zanim minie burza, zniszczą też elektrownię fuzyjną.

– Niech to diabli. – Maynard ściągnął czapkę i trzasnął nią

o obudowę konsoli meteorologicznej. – Dziesięć lat ciężkiego zapierdalania, a potem przychodzi coś takiego.

– No dobrze – na kanale dowodzenia odezwała się major Archer. – Skontaktuję się z dowódcą „Ottawy” i przekażę nasze zamiary. Rozkazuję całemu personelowi wojskowemu na tym księżycu wycofać się na lotnisko i ustanowić perymetr zabezpieczający ewakuację. Przekazać wszystkim jednostkom.

– Zrozumiałem – odparłem, po czym spojrzałem na dyrektora Maynarda. – Proszę pana, dowódczyni sił naziemnych nakazała ewakuację. Szczerze sugeruję, żeby poszedł pan za jej przykładem i skierował swoich ludzi na lądowisko. Gdy nadejdzie burza, nie zdołamy już nikogo ochraniać. Przykro mi.

Maynard skinął głową, lecz widziałem, jak napiął mięśnie szczęki.

– Chciałbym się sprzeciwić, ale nie mam prawa ryzykować życiem dwóch tysięcy ludzi. – Przeszedł do innej konsoli i podniósł zestaw słuchawkowy. Po chwili z głośników pod sufitem dobiegł jego głos: – Do wszystkich cywilów, mówi administrator. Ewakuujemy kolonię. Wszyscy mają w spokojny i uporządkowany sposób udać się na lądowisko za pośrednictwem tunelu ekspresowego Broadway i wykonywać wszelkie polecenia personelu wojskowego. Można mieć przy sobie wyłącznie najpotrzebniejsze rzeczy. Nie ma miejsca na bagaże, więc proszę ich nie zabierać. Szkoliliśmy się w tym. Przykro mi stwierdzić, że tym razem to nie są ćwiczenia. Powodzenia dla wszystkich.

Zdjął zestaw słuchawkowy i odłożył na konsolę, a następnie potarł dłonią szczecinę na brodzie i rozejrzał się po centrum kontrolnym.

– Co za marnotrawstwo – powiedział, kręcąc głową. – Co za cholerne marnotrawstwo.



– Alfa Jeden i Charlie Cztery, porzućcie swoje pozycje i wejdźcie do środka – nadałem do dowódców plutonów sprzed budynku administracyjnego. Komendant Guest i ja wracaliśmy szybkim krokiem do holu, policjant z łatwością mnie przeganiał.

– Do tuneli przez poziom minus trzy? – spytałem, a Guest przytaknął. – Nie miałem okazji zajrzeć kolejny raz do tego baru na Elipsie. Jak on się nazywał?

– „Z Lodem” – odparł komendant. – Cholera, będę za nim tęsknił. Moja córka dostała tam pierwszą robotę. Najlepsze drinki na tym księżycu.

– Zapracowałem tam na najgorszego kaca w życiu.

– Paskudne jedzenie i ordynarni klienci, ale barmani wiedzieli, jak dobrze mieszać koktajl. – Guest zmienił nieco kurs i wszedł do jednego z pomieszczeń przylegających do holu. Był to mały posterunek policyjny, którym kierował przez ostatnich dziesięć lat. Wszedłem za nim do środka i rozejrzałem się, nie czując zaskoczenia, że niewiele się tam zmieniło w porównaniu z moimi wspomnieniami.

Komendant podszedł do radiostacji na ścianie i podniósł mikrofon.

– Mówi szef. Do wszystkich funkcjonariuszy: udajcie się na Broadway i zajmijcie regulowaniem ruchu, proszę. Nie potrzebujemy żadnych przepychanek. Mówcie ludziom, że nie ma potrzeby się spieszyć. Mamy mnóstwo czasu, żeby wsiąść na okręty. Phelps i Martin, przejdźcie się po Elipsie i sprawdźcie, czy nikt nie się nie ociąga z odejściem, bo chce dopilnować, żeby alkohol się nie zmarnował. Dziękuję wam, panie i panowie, i do zobaczenia na orbicie.

Policjanci nadesłali potwierdzenia, a Guest odwiesił słuchawkę.

– No to chyba wszystko. – Rozejrzał się po biurze. Jego dyplomy i zdjęcia wciąż wisiały na ścianach, jak ponad cztery lata temu, i nie zaczął ich zdejmować.

– Nie pakuje ich pan?

– Oj nie – odrzekł. – Zawsze mogę wydrukować nowe. Nie przywiązuję się do rzeczy materialnych.

W holu otworzyły się wewnętrzne wrota i weszła grupa żołnierzy PK z pierwszego plutonu w pancerzach pokrytych lodem.

– Dam panu minutę – powiedziałem komendantowi. – Muszę pokazać moim ludziom, jak trafić do tuneli.

– Poradzę sobie – odparł. – Mam wszystko, czego trzeba. Po prostu nie do końca tak wyobrażałem sobie koniec swojej ostatniej zmiany tutaj.

– Przykro mi z tego powodu.

– Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy, i tak dalej. Przynajmniej możemy się ewakuować. Mogło być gorzej.

– Zawsze mogło być gorzej – zgodziłem się, przypominając sobie martwych osadników w kolonii o nazwie Willoughby i ciała ciągnięte przez Dryblasów do ich nor na Marsie.



Strumienie cywilów wylewały się z Elipsy do Broadwayu, tunelu pięciometrowej szerokości, biegnącego niemal idealnie prostą linią od podziemnej dzielnicy do budynku administracyjnego położonego kilometr dalej na lotnisku. Na skrzyżowaniu stało dwóch policjantów formujących ludzi w uporządkowany szereg. Panował nastrój smutku, ale nie paniki. Nie widziałem w tłumie nikogo z dziećmi. Po kilku falach migracyjnych z ostatnich lat na Nowym Svalbardzie zostali tylko najbardziej zahartowani górnicy oraz technicy. Gdy przebywałem tu wcześniej, całość wyglądała jak właściwa kolonia, z rodzinami i małymi dziećmi, teraz jednak przypominała każdą inną placówkę górniczą w Układzie Słonecznym, z twardymi ludźmi wiodącymi twarde życie.

– Zostanę tu i dopilnuję, żeby wszyscy wyszli – powiedział komendant Guest, gdy opuściliśmy okrężny korytarz i weszliśmy do tunelu ekspresowego.

Zatrzymałem się i obróciłem w jego stronę.

– Pod warunkiem, że nie ma pan żadnych bohaterskich pomysłów, by pójść na dno razem z tonącym statkiem – odparłem.

– Nie jestem idiotą. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Moja żona i córki by się na mnie nieźle wkurzyły, gdybym dał się zabić za kilka milionów metrów sześciennych lodu. Możemy się założyć, że trafię na ostatni odlatujący okręt.

– Umowa stoi – rzekłem, ściskając mu dłoń. – Widzimy się na górze.

W Broadwayu mijaliśmy truchtem cywilów. Zerkali na nas z ciekawością, gdy biegliśmy obładowani pancierzami bojowymi i bronią. Przypomniałem sobie, by powiedzieć Hansen, że w końcu znalazłem sytuację, do której dobrze przygotowywały ćwiczenia na bieżni.

Gdy znajdowaliśmy się w połowie drogi, nad nami rozległ się donośny huk i podłoga się zatrzęsała. Niektórzy ludzie krzyknęli zaniepokojeni. Po kolejnym trzasku, tym razem silniejszym, ze stropu zaczęły spadać sople. Cywile ruszyli szybciej, podobnie jak my. Jeśli miałem tego dnia zdać nieśmiertelniki, nie chciałem, by stało się to przez pogrzebanie żywcem pod dwudziestoma metrami lodu. Powtarzałem sobie, że gdy już się stad wydostanę, do końca życia nie wejdę do żadnego tunelu.

Końcówkę nieco poprawiono, odkąd byłem tu ostatnio. Zamiast drabiny zobaczyłem biegnącą do drzwi metalową klatkę schodową. U szczytu stopni stało dwóch żołnierzy PK w pancierzach. Wrota prowadziły na podziemne piętro centrum kontrolnego umieszczonego pod wieżą i kiedy wyszliśmy do położonego za nimi przedsionka, usłyszeliśmy rumor strzelaniny, ponieważ tysiące ton lodu nie tłumiły już dźwięków.

Ani sygnału bezprzewodowego. Gdy zaktualizował się mój ekran taktyczny, przeszedł mnie dreszcz strachu, bo zobaczyłem, jak bardzo skurczył się nasz perymetr. Dryblasy mogli swobodnie hasać po mieście od linii Brawo Alfa do centrum administracyjnego na wschodnim krańcu, a linia frontu leżała zaledwie sto metrów od granicy lotniska.

– Idźcie wzmocnić szeregi! – zawołałem do towarzyszących mi poruczników. – Nie dopuście ich do lądowiska, jeśli chcecie dziś wrócić na okręt.

Gdy wszedłem na górę do wieży kontrolnej, major Archer w jakiś sposób wyglądała na jeszcze bardziej wymizerowaną niż przed zaledwie godziną.

– W tunelu znajduje się dwa tysiące cywilów – doniosłem. – Centrum administracyjne jest czyste.

– Te skurwiele już zerwały tam główną matrycę antenową – odparła major. – Będą się świetnie bawić, próbując dostać do tego brzydkiego jak dupa bunkra.

Ponad nami na niskim pułapie przemknął klucz niewidocznych Dzierzb. Niedługo później na ślepo otworzyły ogień nad miastem i spuściły zasobniki z amunicją. Wszystko na wschód od linii Brawo Alfa było teraz strefą ataku, nawet jeśli samoloty nie były w stanie dostrzec żadnych konkretnych celów.

– Są jak pieprzona szarańcza – skomentowała Archer.

– Nigdy nie widziałem, żeby aż tak dążyli do walki w zwarciu. Zupełnie jakby wiedzieli, że nie możemy użyć zasobów lotniczych, gdy znajdują się tuż przy nas.

– Może potrafią wyczuć burzę i wiedzą, że muszą się schować, zanim tu dotrze? – podsunęła major.

Wieża kontrolna zapewniała mi niepokojąco dobry punkt obserwacyjny. W poprzek pasa startowego, na południe od hangarów i stanowisk paliwowych, stała linia żołnierzy, a druga na wschodnim krańcu lądowiska. W niesionym wiatrem śniegu

widziałem sylwetki Dryblasów, zbliżających się do naszych szeregów i witanych ogniem. Nasz przyczółek skurczył się do spłachetka terenu o średnicy może trzystu metrów i z każdej strony znajdowały się teraz pomarańczowe ikony. Działania na Marsie miały większy rozmach, ale tutaj sytuacja z jakiegoś powodu wydawała mi się gorsza, a zachowanie obcych bardziej skoncentrowane i bezwzględne. Ktoś rozstawił na dachu wieży dwa zespoły z działkami automatycznymi, które wystrzeliwały strumienie smugowców za każdym razem, gdy w coraz gęstszej bieli na wschodzie dostrzegały nieprzyjaciół.

Klucz desantowców sfrunął z nisko zawieszanej pokrywy chmur bezpośrednio nad lotniskiem. Po równych odstępach między nimi i precyzyjnym manewrowaniu mogłem stwierdzić, że leciały na autopilocie, ich komputery wykorzystywały wiązkę automatycznego systemu lądowania. Zerknąłem na oznaczenia na ich ogonach i serce podskoczyło mi z niepokojem, kiedy zobaczyłem, że siadające właśnie Ważki należały do ETB-5, eskadry Halley. Jedna po drugiej nieruchomiały na lądowisku i opuszczały rampy. Jednak zamiast kolejnych piechociarzy, dwa okręty wypluły po czterech żołnierzy w egzozkieletach. Ciężkie mechy zeszły po stalowych klapach na pokryty lodem beton, gdzie przy każdym kroku podrywały małe białe kłęby.

– Ktoś może mnie uświadomić, o co chodzi z tymi nowymi zabawkami?

– Sprzęt eksperymentalny – odpowiedziałem. – Bojowy system wzmacniający. Przywieźliśmy trochę takich na „Ottawie”. Godzinę temu dały nieźle czadu na północnym perymetrze. Gdybyśmy mieli kilkadziesiąt więcej, oczyścilibyśmy cały księżyc.

Mechy podzieliły się na pary i każda z nich udała się w innym kierunku na perymetr. Te idące na wschód i zachód szybko zniknęły nam z oczu za hangarami i budynkami technicznymi. Obserwowałem dwa egzozkielety posuwające się na północ swymi z pozoru niedbałymi, sprężystymi krokami szybciej, niż

mógłby biec lekko obładowany żołnierz.

– Okręty gotowe na cywilów – nadał na kanale dowodzenia pilot kierujący kluczem. Nie był to głos Halley, wiedziałem więc, że nie siedziała za drążkiem w żadnej z tych Ważek.

Żołnierze PK zaczęli kierować ludzi z budynku do oczekujących desantowców. Szefowie załogi stali u spodu ramp i liczyli wchodzących. Pomimo trwającej strzelaniny i słyszanych z bliska skowytów Dryblasów lodowi górnicy utrzymywali imponującą dyscyplinę. Wszyscy poruszali się szybko, lecz nikt nie przepychał się do okrętów. Piloci nie czekali, aż załaduje się cały klucz. Gdy tylko zapełniła się pierwsza Ważka, podniosła klapę i wzniosła pełnym pędem w ołowiane niebo. Za chwilę w jej ślady poszła druga, a później trzecia i czwarta.

– Przyłot kolejnego klucza spodziewany za jedną minutę i dwadzieścia pięć sekund – nadały działania operacyjne.

– Zrozumiałem. Przysyłajcie desantowce tu tak szybko, jak tylko da się je wypuszczać z klamer. Mamy tu niemal dwa tysiące oczekujących cywilów, a w okolicy robi się nieprzyjaźnie. I Garcia, jeszcze jedno?

– Proszę mówić, sir – odparł chorąży Garcia ze swojego stanowiska setki kilometrów nade mną.

– Gdy następnym razem powiem wam, żebyście pozwolili mi zająć swoje miejsce w desancie, walnijcie mnie w krocze.

Podoficer roześmiał się.

– Szczerze mówiąc, sir, wcześniej prosił pan, żeby wsadzić pana na desantowiec do Gówna Zdroju, jeśli zrobi się panu zbyt wygodnie za konsolą.

– Też prawda – przyznałem.

## Rozdział 22

# Requiem dla kolonii

**N**igdy bardziej nie podziwiałem umiejętności pilotażowych załóg naszych desantowców niż teraz.

Przez następne dwie godziny dwie eskadry transportu bojowego wykonywały najlepiej skoordynowany powietrzny balet wysokiego ryzyka, jaki kiedykolwiek widziałem. Latali jak w zegarku, poczwórny klucz przybywał co kilka minut, siadał, zabierał pasażerów i startował, żeby wspiąć się znów do „Ottawy” i zrobić miejsce kolejnej grupie. Miałem wrażenie, że przynajmniej dwukrotnie dostrzegłem okręt Halley. Większość Ważek opróżniała działka w Dryblasów, zanim schodziła na lądowisko, i druzgoczący ogień z tak wielu luf wydawał się skuteczny. Powoli i mozolnie nasi kosmiczni piechociarze spychali obcych ze wschodniej krawędzi lotniska z powrotem do miasta, dopóki na dwieście metrów w głąb osiedla nie rozciągnęła się swoista ziemia niczyja. Wiedziałem, że ponosimy ofiary, ponieważ żaden z kluczy nie odlatywał bez sanitariuszy ładujących przynajmniej kilku rannych trepów do czekających ptaszków. Obowiązkami kontrolera walki dzieliłem się w wieży ze starszym sierżantem sztabowym Kanedą, a w powietrzu nad nami znajdowało się tak wiele desantowców i samolotów szturmowych, że obaj dochodziliśmy do kresu naszej mentalnej przepustowości.

– Wszyscy cywile załadowani i odlatują – nadał w końcu startujący klucz z ETB-11. Wiatr znów się wzmógł, a wściekła czerwona plama dotarła na radarze pogodowym na pięćdziesiąt

kilometrów od miasteczka. Z powodu niesionego wichrem śniegu nie widziałem chmur w oddali, lecz niebo wyraźnie pociemniało.

– Do wszystkich, cywile odlecieli bez ofiar – na miejscowym kanale obrony poinformowała major Archer. – Zaczynamy powolny odwrót i zacieśnianie perymetru. Będziemy dysponować osłoną z góry, dopóki ostatni okręt nie opuści powierzchni.

Plutony PK wycofywały się w kierunku lądowiska. Przejście od walki do ewakuacji oczekującym desantowcem nazywało się „spuszczaniem powietrza z balonu” i żołnierze demonstrowali, jak dobrze zostali wyszkoleni, utrzymując perymetr nawet pomimo szalonego stresu wywoływanego przez ponaddwudziestometrowych wrogów, którzy jednym ciosem mogliby zmiażdżyć całą drużynę, gdyby zdołali podejść dostatecznie blisko. Operatorzy meków stanowili fundament kurczącej się linii obrony. Przemieszczali się w razie potrzeby, wypełniając luki w szeregach i powstrzymując podchodzących zanadto obcych dzięki ogniewi osłonowemu ze swoich działek. Starzy wiarusi z Floty i PK zwykle naśmiewali się z koncepcji egzoskieletów, ale ja uznałem, że mój sceptycyzm był nieuzasadniony. Dysponowały licznymi zaletami wozów bojowych, a jednocześnie nie ograniczały ich ani ciężar, ani rozmiary, zaś gdy obserwowałem na tak-łęczu, jak rozrywają Dryblasów, żałowałem, że nie mamy na stanie tysiąca takich. Do tego przez cały czas w coraz bardziej gównianej pogodzie przylatywały desantowce, ostrzeliwując ze swoich działek obszar poza naszą linią obrony, a następnie siadając, żeby zabrać ludzi. Przy każdym starciu kolejnych czterdziestu pięciu żołnierzy wracało na „Ottawę”, każdy liczący cztery jednostki klucz ewakuował w bezpieczne miejsce stu osiemdziesięciu trepów.

– Pora się zbierać, kapitanie – powiedziała do mnie major Archer, gdy nasz perymetr sięgał już tylko pięćdziesiąt metrów na wschód od wieży kontrolnej, a odgłos działek meków



wstrząsał jej szybami. Na ziemi zostało stu osiemdziesięciu żołnierzy i szesnaście egzozkieletów, czyli na tyle mało, żeby zabrał nas jeden klucz Ważek. Formacja czterech okrętów przemknęła nad pasem startowym i kosmicznymi piechociarzami oraz mechami utrzymującymi linię na południe od hangarów. Desantowce siadły na lądowisku w trybie ręcznym, ledwo się kołysząc, chociaż wiatr znów zwiększył się do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Sierżant Kaneda i ja zeszliśmy na lądowisko. Obserwowałem, jak drużyna ze wschodniego perymetru podbiega, żeby wsiąść na okręt, chroniona przez ostatnią drużynę i dwa egzozkielety. Nagle z oślepiającej bieli wyłonił się Dryblas, próbując ich ścigać, ale zachwiał się, gdy oba mechy zaczęły do niego strzelać pojedynczymi pociskami, a kosmiczni piechociarze poprawili rakieta MARS. Obcy znajdował się już w odległości zaledwie stu metrów, gdy przewrócił się, miażdżąc jeden z domów mieszkalnych. Przed tą drużyną leżało już sześciu jego martwych pobratymców i byłem pewien, że w śniegu poza moim polem widzenia, kryło się ich więcej. W zasadzie skopaliśmy im tyłki, a jednak znów odnieśli ogólne zwycięstwo, ponieważ to my opuszczaliśmy kolonię, a nie oni.

Jeden z desantowców zakończył załadunek, uniósł się nad ziemię i schował płozy. Widziałem, że wiatr nim szarpał, ale pilot korygował lot z opanowaniem, płynnie, co mówiło mi, że okręt nie startuje w trybie automatycznym. Odlatująca Ważka wystrzeliła jeszcze jedną serię w kierunku obszaru zajętego przez nieprzyjaciół i zniknęła z rykiem w chmurach.

Podbiegłem do okrętu, który właśnie opuścił rampę. Na ogonie dostrzegłem oznaczenia ETB-5 i zerknąłem na kokpit, gdzie tuż pod szybą umieszczano nazwiska i sygnały wywoławcze pilotów. Przeczytałem: MAJ. HALLEY „KOMETA” i roześmiałem się z ulgą.

Halley była nie do rozpoznania pod wizjerem hełmu i przypuszczałem, że podobnie jest ze mną w pancerzu. Kolejna

drużyna czekała na załadunek, wsiadłem więc z nimi na pokład i przeszedłem do miejsca przy przedniej grodzi, przeznaczonego dla dowódców jednostek i specjalistów od kontroli walki. Żołnierze wbiegali po rampie i siadali, pospiesznie umieszczając karabiny w klamrach i zapinając się. Nic nie potrafiło bardziej ponaglić trepa niż wsiadanie do jednej z ostatnich powietrznych taksówek wylatujących z atakowanej strefy.

Egzoszkielety wycofywały się jako ostatnie. Trzy desantowce, które już wystartowały, wisiały teraz w powietrzu i opróżniały magazynki, osłaniając operatorów, którzy musieli wypiąć się z mechów, wyjść z nich i podbiec do Ważki Halley. Uświadomiłem sobie, że nawet gdybyśmy mieli miejsce, w tych okolicznościach nie dałoby się załadować egzoszkieleatów na pokład, nie narażając na niebezpieczeństwo wywożących je okrętów. Operatorzy wbiegli do ładowni i znaleźli puste miejsca. Na końcu wsiadła major Archer, która czekała wcześniej przy wejściu, pilnując, by to ona jako ostatnia opuściła księżyc, którego obrona przez tak długi czas była jej obowiązkiem, za który jej ludzie wykrywawiali się i ginęli przed naszym przybyciem. Puste mechy, warte miliony dolarów Wspólnoty, stały w nierównym szeregu na lądowisku i wkrótce miały zamienić się w bardzo kosztowny złom. Wiedziałem, że to tylko maszyny, ale miałem wrażenie, jakbyśmy porzucali sferę wiernych psów. Był to najskuteczniejszy sprzęt, jaki zabraliśmy ze sobą w bój, eksperymentalne uzbrojenie, które spisało się nawet lepiej, niż się spodziewaliśmy, a jednak je zostawialiśmy.

Co za marnotrawstwo, powtórzyłem w głowie słowa administratora kolonii. Co za cholerne marnotrawstwo.

– Załadunek zakończony! – zawołał do mikrofonu hełmowego szef załogi, wduszając przycisk zamykający tylną klapę. – Jazda, jazda, jazda!

Halley podniosła okręt i obróciła go, żeby polecieć z wiatrem. W szczelinie zasuwającej się rampy dostrzegłem przelotnie

szklane okna wieży kontrolnej i stertę pojemników po amunicji do działka, porzuconych na dachu. A później znaleźliśmy się już na tyle wysoko, że wyszliśmy z zasięgu nawet najbardziej zuchwałych i długoręcznych Dryblasów. Poczułem taką ulgę, że zaczęły mi się trząść kolana.



Zwyczajowo odezwałem się do kokpitu, pragnąc usłyszeć głos Halley.

– Mówi Wydech Jeden, jestem z tyłu, proszę o zezwolenie na operacyjne wykorzystanie matrycy sensorycznej – nadałem. – Musiałaś się tak cholernie popisywać i zostać jako ostatnia na ziemi?

Gdy siedziała za drążkiem, mówiła w odmienny sposób, podobnie przeciągając samogłoski jak inni piloci, zupełnie jakby uczyli się tego na zajęciach obowiązkowych w szkole lotniczej.

– I mówi to bałwan, który po prostu musiał poczekać na ostatniego ptaszka – odparła, a ja uśmiechnąłem się, słysząc ulgę w jej głosie.

Po misji zawsze czułem się wykończony tym specjalnym rodzajem zmęczenia, które pojawia się, gdy zejdzie wywołana walką adrenalina. Ciało jest znużone i drży, a mózg sprawia wrażenie, jakby ktoś właśnie przepuścił go przez wyżymaczkę i rozwiesił do wyschnięcia. Jednak tym razem byłem jeszcze bardziej wycieńczony niż zazwyczaj. Kiedy rzucało nami w atmosferze w drodze na orbitę, ledwo to zauważałem i w ogóle się nie przejmowałem. Nie odczuwałem głodu czy pragnienia, choć ostatni raz jadłem przed opuszczeniem „Ottawy”. Pragnąłem teraz jedynie koi i jakichś trzech dni nieprzerwanego snu, choć nie byłem pewien, czy nawet tyle by wystarczyło.

Może robię się za stary na to cholerstwo? – pomyślałem. Teraz już dobrze rozumiałem, dlaczego wszyscy doświadczeni kapsle,

tacy jak pułkownik Masoud, wydawali się starsi, niż byli w rzeczywistości.

Pomimo wcześniejszej prośby nie podłączyłem się do sensorów okrętu, żeby jak zwykle obejrzeć teren po bitwie. Nowy Svalbard i tak pozostawał zaciągnięty chmurami, ale nawet gdyby niebo było czyste, w dole została jedynie była kolonia, zniszczona i zbrukana, rojąca się od istot, które wykorzystywały nasze ciała jako budulec. Zawsze lubiłem ten glob pomimo tak surowych warunków. Kiedyś nawet myślałem, żeby właśnie tam się osiedlić, gdy zakończę służbę i będę mógł za darmo przenieść się poza Ziemię. Teraz i tak już to nie miało znaczenia, ponieważ po opuszczeniu przez nas systemu Fomalhaut nie pozostanie w nim żaden człowiek. Zamiast spoglądać na kolejne cmentarzysko, oparłem hełm o miękką wyściółkę grodzi i zasnąłem. Obudziłem się dopiero wtedy, gdy trzydzieści minut później automatyczna kłamra dokująca wciągała Ważkę na pokład lotniczy „Ottawy”.



Gdy schodziłem tylną rampą, Halley wciąż siedziała w kokpicie, wyłączając przyrządy. Choć wydawało się to niemożliwe, olbrzymi hangar „Ottawy” po raz pierwszy wydawał się zatłoczony. Dwa tysiące cywilów kręciło się po okolicy lub siedziało na podłodze, i wielu z nich wyglądało na równie wyczerpanych jak ja.

– Proszę o zezwolenie na wzięcie tygodnia wolnego – powiedział obok mnie sierżant Kaneda, a ja uśmiechnąłem się słabo.

– Zameldujcie się u oficera pokładowego, a później idźcie najkrótszą drogą do swojej kajuty, sierżancie. I jeśli zobaczycie kogoś z naszej drużyny, każcie zrobić tak samo. Nie wychodźcie, dopóki nie weźmiecie prysznic i nie zaliczycie przynajmniej

ośmiu godzin snu bez jednej przerwy. To rozkaz.

– Tak jest, sir. Z całym szacunkiem, pan też powinien. Wygląda pan, jakby przejechał pana pojazd opancerzony.

– To kolejny punkt w moim harmonogramie, sierżancie. A teraz idźcie spać.

Obszedłem lewe skrzydło desantowca i znalazłem się przed kokpitem. Halley podniosła wzrok znad ekranów, gdy mnie zauważyła. Ważka była nisko zawieszoną jednostką i gdy stała na płozach, głowa siedzącego pilota znajdowała się tylko nieznacznie wyżej niż kogoś stojącego na zewnątrz. Podeszedłem do pancernego okna, zdjąłem hełm i oparłem czoło o szybę. Halley zrobiła to samo od drugiej strony i tkwiliśmy tak przez krótką chwilę, dopóki obok mnie nie pojawili się technicy i zaczęli podpinać przewody serwisowe.



Pomimo zmęczenia zdążyłem przespać tylko dwie godziny, zanim obudził mnie komunikat o zmianie wachty. Pozwoliłem sobie na luksus wzięcia kolejnego prysznicu, choć myłem się już przed położeniem. Następnie ubrałem się w niebieskozielony mundur dzienny, wydający się dekadentcko miękki po połowie dnia spędzonej w pancernym bojowym. Uznałem, że nowy wzór uniformów nie jest jednak taki zły, nawet jeśli kojarzył się nieco z dressem do ćwiczeń.

Zwolniłem w BCI chorążego Garcię, który miał chyba za sobą najbardziej pracowitą wachtę w całej swojej wojskowej karierze, choć na pewno nie tak ekscytującą, jak w przypadku mnie czy sierżanta Kanedy. Wszystkich kontrolerów walki przydzielono do którejś kompanii PK i Taggart, Wilcox, Winters oraz Graff spędzili trzy godziny w gotowych do odlotu Ważkach, zanim postanowiono, że pierwszy batalion nie będzie się desantował. Pozostali członkowie mojej grupy, Kaneda, Hernandez i Lang,

byli na dole i teraz zgodnie z obowiązującym rozkazem spędzali kolejny cykl zmianowy w swoich kajutach. Ponieśliśmy sporo ofiar na Nowym Svalbardzie, ale cieszyłem się, że nie straciłem nikogo ze swojej ekipy. Inni dowódcy będą musieli uczestniczyć w pogrzebach i pisać listy do rodzin młodych mężczyzn i kobiet, jak ja robiłem po Arkadii, ale przynajmniej dzisiaj nie musiałem dodawać tego przykrego obowiązku do listy swoich zmartwień.

Diagram wciąż pokazywał nas na orbicie geostacjonarnej nad tym, co dawniej było Nowym Longyearbyen, o obecnej populacji wynoszącej zero. „Michael P. Murphy” leciał w zwartym szyku na naszej sterburcie. Niszczyciel miał w kadłubie świeżo załatane otwory charakterystyczne dla niedawnych trafień przez penetratory Dryblasów, ale pozostawał w zasadzie w jednym kawałku. Jak na to, co udało nam się zniszczyć i zabić w zamian, wyszliśmy całkiem obronną ręką, w związku z czym utrata kolonii wydawała się jeszcze boleśniejsza. Zwycięstwa nie powinny być tak gorzkie.

– Pokład lotniczy jest czysty, pani pułkownik – powiedział pierwszy oficer do Yamin. – Cywile zostali zarejestrowani i przydzielono im miejsca do spania. Tysiąc dziewięćset trzydzieści trzy osoby.

– Gdzie kwatermistrz znalazł dodatkowe miejsce dla niemal dwóch tysięcy ludzi?

– Skierowaliśmy ich na bieżnię. Z namiotami i śpiworami.

– Rozumiem. – Dowódczyni uniosła brew. – Ważne, że się sprawdziło. Przynajmniej nie zajmują mi hangaru.

Skierowała uwagę z powrotem na holostół i westchnęła głęboko.

– Czyli zostało nam tylko jedno do zrobienia, zanim opuścimy ten zasrany system.

– Tak jest, proszę pani – odrzekł pierwszy oficer.

– Zbrojmistrz, proszę otworzyć silosy Hades pięć i sześć. Udzielam zezwolenia na użycie broni jądrowej. Celem jest miasto

Nowe Longyearbyen. Ustawić głowice na penetrację gruntu, maksymalna moc. Wypalmy tych skurwieli i wynośmy się stąd.

– Tak jest. Otwieram silosy pięć i sześć. Cel zaprogramowany i namierzony. Gotowość do wystrzału na pani komendę.

---

Ogromny ekran na przedniej grodzi pokazywał wielki wycinek równikowego obszaru Nowego Svalbardu, miałem więc świetne miejsce z widokiem na Armagedon. Rakiety z „Ottawy” weszły w atmosferę znacznie szybciej, niż mogłyby to zrobić desantowiec lub Dzierzba. Nad Nowym Longyearbyen wciąż wisiały ciężkie chmury, nie widziałem zatem samej chwili detonacji, ale później nie dało się już jej przegapić. Błysk jasny jak słońce rozświetlił chmury od spodu, a minutę później przebił się przez nie grzyb eksplozji termonuklearnej o mocy dwudziestu megaton, skotłowana czerń i czerwień, popiół i ogień. I na dole już nic nie było. Wszystko, w imię czego ryzykowaliśmy własnymi tyłkami cztery lat temu, zdecydowani zrezygnować z karier wojskowych i wolności, żeby tylko koloniści mogli dalej kierować swoim światem, rozproszyło się w atmosferze i napromieniowało na przynajmniej kolejnych sto lat.

Los Nowego Svalbardu został przypieczętowany, gdy tylko trzy okręty nasienne weszły na orbitę. Nie dało się go już odzyskać po tym, jak Dryblasy mieli tam tydzień na desant. Zaczęli już niszczyć nasze terraformery i nawet gdyby udało nam się wszystkich zlikwidować, bez elektrowni fuzyjnych i źródeł żywności kolonia zginęłaby z zimna i głodu. Mimo to miałem okropną świadomość, że broń, która unicestwiła to małe, zapuszczone osiedle, została wystrzelona z naszych wyrzutni. Był to cios zadany z litości, ale mimo to zabójczy. I gdy spoglądałem na wirującą, gniewną chmurę podnoszącą się z miejsca wybuchu, zupełnie jakby próbowała dosięgnąć nas na orbicie,

przypomniałem sobie coś, co powiedziałem do Halley po innej bitwie, która miała miejsce niemal dziewięć lat wcześniej na odległym świecie kolonialnym nazwanym Willoughby.

Jeśli to zwycięstwo, to naprawdę nie chciałbym zobaczyć, jak wygląda, gdy kopią nam tyłki.



# Epilog

Szesnaście godzin później „Ottawa” i „Michael P. Murphy” przeszły z powrotem do Układu Słonecznego. Ustawiliśmy kurs na Stocznę Floty Dedalus, lecz podróż przez ojczysty układ miała być wolniejsza niż przed kilkoma dniami, ponieważ „Murphy” nie dotrzymałby nam kroku przy pełnej prędkości. Dzięki temu miałem siedem dni na myślenie, co całkiem mi obecnie odpowiadało.

Jako że cywile zostali zakwaterowani na naszej bieżni, do końca dyslokacji nie mogłem biegać. Drugiego dnia rejsu i tak tam jednak poszedłem, żeby z kimś się zobaczyć.

Górnicy lodowi i inżynierowie z godną podziwu szybkością i starannością dopasowali się do tymczasowych warunków mieszkalnych. Wydaliśmy im namioty i śpiwory z pokładowego składu sprzętu PK, oni zaś wykonali z nich na kilometrowym pasie uporządkowane miasteczko. Namioty zajmowały jeden tor, drugi nowosvalbardzycy wykorzystywali do przemieszczania się. Gdzieś na okręcie znaleźli parawany, żeby zapewnić prywatność mniejszym sekcjom. Wszystko wyglądało na naprawdę dobrze zorganizowane jak na improwizowany obóz dla dwóch tysięcy uchodźców, którzy musieli dzielić się toaletami i prysznicami w znajdującej się obok siłowni.

Komendanta Guesta nietrudno było znaleźć. Jego rodzina rozstawiła namioty na przeciwległym zakręcie bieżni. Gdy tam podchodziłem, stał przy swoim otwartym schronieniu, pogrążony w rozmowie z dwoma innymi kolonistami. Dostrzegł

mnie i pomachał przyjaźnie.

– Jak wam się podobają tymczasowe kwatery? – spytałem.

– Nie są nawet takie złe. W środku jest całkiem przytulnie, gdy zamknie się poły. Jakbyśmy byli na kempingu. – Wskazał sąsiednie namioty. – Żona i córki poszły do stołówki zjeść coś na obiad. Uwielbiają jedzenie na tym okręcie. Mogę mieć problemy, żeby je na nowo odchudzić.

– No to nie będę panu mówić, że tak samo smaczne jest w całym Układzie Słonecznym. Kiedy ostatnio był pan na Ziemi?

– Dziesięć lat temu. Jeszcze przed Dryblasami. Dzieci nigdy tam nie były. Urodzone i wychowane na Nowym Svalbardzie. Ciągle jeszcze im nie powiedziałem, że nie zdołamy wrócić, ale wiedzą. Są mądrzejsze ode mnie.

– Nie ma do czego wracać – rzekłem. – Dopilnowaliśmy tego przed odlotem.

– Atomówki?

Skinąłem głową.

– Dwadzieścia megaton, eksplozja podziemna.

– No to naprawdę nic nie zostało – westchnął.

– Poradzi pan sobie?

– Taa. Jakoś będzie. Mam certyfikat kolonialnego stróża prawa. Będę ubiegał się o nową pracę w Administracji Kolonialnej, choć nie zostało nam zbyt wiele kolonii. A jeśli będzie trzeba, to przejdę do sektora prywatnego, do ochrony kopalni czy czegoś podobnego. Zresztą i tak nadszedł już czas na zmianę.

– A jak pańskie dziewczyny przyjmą Ziemię?

– Pochodzą z miejsca, w którym mieszkało dziesięć tysięcy ludzi, a jadą tam, gdzie jest ich trzydzieści miliardów. Chyba czeka je pewien szok kulturowy. Ale się dostosują.

– Chciałbym móc komuś pana polecić, ale nie znam nikogo ważnego w administracji cywilnej. Niemniej jeśli będziecie czegoś potrzebować podczas tego rejsu, niech pan da znać. Proszę po prostu pytać o oficera operacyjnego.

Komendant Guest wyciągnął dłoń i uściśnąłem ją mocno.

– Dziękuję, kapitanie Grayson. Za to, co zrobił pan wtedy, i za to, że teraz znowu pan pomógł.

– Andrew – sprostowałem.

– Ja jestem Matthew – odparł. – I gdziekolwiek wylądujemy, zawsze będziesz u nas mile widziany.

– Trzymam cię za słowo.

Znów podałem mu dłoń i ruszyłem bieżnią w stronę siłowni. Lubilem wielkiego, przyjaznego policjanta i nieco zawstydzila mnie jego wdzięczność oraz propozycja przyjaźni. Jedyne, co zrobili wojskowi, to zamienili jego dom w pole walki, a później zbombardowali w drobny mak. Zdecydowanie nie potrafiliśmy pomagać, nieważne, co twierdziły reklamy werbunkowe.



W drodze powrotnej do Dedalusa dostrzegłem wyraźną zmianę w atmosferze panującej na pokładzie, jeszcze drastyczniejszą niż wtedy, gdy okazało się, że lecimy w bój. W korytarzach słyszało się mniej rozmów, w mesie oficerskiej mniej śmiechu, nawet w barach było ciszej. Rozpoznawałem ten nastrój, ponieważ często zdarzał się po walce. Przed tą misją spora część obsady „Ottawy” była żółtodziobami i nikt nie spodziewał się, że podczas dziewiczego rejsu czekają nas działania bojowe. Teraz mieli już za sobą bitwę, poczuli stres i strach przed śmiercią, naciskali guziki odpalające rakiety. Wiedziałem, że cokolwiek stanie się potem, żaden z szeregowych i młodszych podoficerów nie będzie już nigdy ociągał się podczas ćwiczeń w ewakuacji okrętu. Jednak to na trepach z PK spoczął największy ciężar podczas walk, zwłaszcza na siedemdziesięciu dwojgu żołnierzach Siódmego Pułku Piechoty Kosmicznej, którzy odbywali drogę powrotną do domu w hermetycznych i nieprzemakalnych workach na ciała.

Dzień po naszym przejściu do Układu Słonecznego odbyła się ceremonia pogrzebowa dla poległych z PK i Floty. Nie był to prawdziwy pogrzeb, ponieważ wojsko dostarczy ciała rodzinom, żeby mogły przeprowadzić spopielenie i pochówek, ale uroczystość stanowiła tradycję, bo pozwalała żołnierzom pożegnać się odpowiednio z nieobecnymi już kolegami. Trumny z martwymi pilotami i piechociarzami ustawiono na pokładzie lotniczym w sześciu schludnych rzędach po dwanaście. Każdą z nich przykryto flagą WPA, na której znalazł się mały stojak ze zdjęciem poległej osoby, jej miastem urodzenia i posiadanymi odznaczeniami.

Tuż przed ceremonią, kiedy mogliśmy przejść się między trumnami, żeby na osobności pożegnać się ze znajomymi i kompanami, na jednym z tych stojaków dostrzegłem zdjęcie, na którego widok poczułem się, jakby ktoś zaparkował mi na piersi w pełni obciążony desantowiec.

Nie sprawdzałem listy zabitych po bitwie, ponieważ miałem na głowie inne sprawy. A gdy już się wszystko uspokoiło, może nie chciałem zaglądać do listy, bo obawiałem się, co na niej znajdę.

Nie widziałem się z Hansen, odkąd poleciliśmy na Nowy Svalbard, i składałem to na karb, że nie mieliśmy już dostępu do bieżni, na której dotąd na siebie wpadaliśmy.

Nicole Anna Hansen urodziła się w enklawie klasy średniej w pobliżu Atlanty i była tylko o miesiąc starsza ode mnie. Służyła w Armii Terytorialnej, a później w Piechocie Kosmicznej, osiągając stopień kapitana. Podczas ponaddziesięcioletniej służby otrzymała trzy Brązowe Gwiazdy, dwa Purpurowe Serca, Srebrną Gwiazdę i garść innych nagród. Poległa na Nowym Svalbardzie, lodowym księżycu na zadupiu, w systemie Fomalhaut, broniąc perymetru lądowiska wraz z plutonem

dowodzenia swojej kompanii, kiedy to Dryblasy dokonali przełomu i wybili pół plutonu niespełna sto metrów od miejsca, gdzie ludzie, z którymi wyszedłem z tunelu, kierowali cywilów do czekających desantowców. Zginęła, broniąc kolonii, która niewiele ponad godzinę później została zamieniona w mroźną radioaktywną pustynię. Umarła po to, żeby ponad tysiąc dziewięciuset cywilów mogło przeżyć, i robiła wówczas to, do czego szkolono PK. Kiedyś byliśmy kompaniami z drużyny i oboje niemal kopnęliśmy w kalendarz tamtej krwawej i zacieklej nocy w Detroit. Jeśli jej kariera przebiegała podobnie jak moja, oboje od tamtej pory kilkaset razy rzucaliśmy kośćmi. I teraz wypadł jej numer, więc moja stara towarzyszka, a przynajmniej to, co z niej zostało, po raz ostatni wracała do domu, do rodziny, która nawet nie miała pojęcia o smutku, jaki zapanuje w ich życiu. Ja zaś byłem tutaj, czytając jej informacje pożegnalne i dowiadując się o niej rzeczy, które powinienem wiedzieć od lat.

Przesunąłem palcami po zdjęciu Hansen i poczułem, jak łzy napływają mi do oczu. Być może bolało mnie tak bardzo, ponieważ była jedynym żołnierzem znanym mi niemal tak długo jak Halley i ponieważ od początku ją polubiłem. A może dlatego, że w tej trumnie równie dobrze mogliśmy znaleźć się ja albo Halley. Być może śmierć Hansen w takim stopniu mną wstrząsnęła, ponieważ znów pokazała mi, że życie wojskowe jest niebezpieczne i niepewne, że nie istnieją żadne gwarancje, iż ktokolwiek z nas wyjdzie z niego bez szwanku.



Resztę wolnego czasu tej dyslokacji spędzałem głównie z Halley. Co noc zmienialiśmy kajuty i spaliśmy razem, wciąż i wciąż rażąco łamiąc regulamin. Byliśmy oficerami i rozumieliśmy konieczność posłuszeństwa w organizacji wojskowej, ale jednocześnie stanowiliśmy małżeństwo, na dodatek około

trzydziestki. Może była to kwestia wspólnych doświadczeń zdobytych podczas tej trwającej od prawie dziesięciu lat wojny, a może świadomości, że podczas służby tak niezwykle trudno jest znaleźć i utrzymać przy sobie kogoś, kto tak dobrze do ciebie pasuje, uznaliśmy jednak za głupią i bezcelową zasadę, że mąż i żona mają spać w odrębnych częściach okrętu, jeśli niemal każdego jebanego dnia ryzykują życiem. Na pokładzie lotniczym leżało siedemdziesięcioro dwoje naszych kompanów, których egzystencja już się skończyła, uważałem więc, że jesteśmy im winni przynajmniej to, by sami żyć najlepiej, jak umieliśmy.



– Co chciałabyś robić, gdybyśmy już nie byli we Flocie? – spytałem pewnego wieczoru Halley, gdy mościliśmy się w zaciszu jej koi.

– Co masz na myśli? Co będziemy robić, gdy przejdziemy na emeryturę? Myślałam, że już to ustaliliśmy.

– Nie to. Chodziło mi o odejście ze służby. Zrezygnowanie ze stopnia.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Chyba nie mówisz poważnie. Mielibyśmy stracić premię? I opiekę zdrowotną?

– Wciąż dostalibyśmy wypłatę, tyle że bez premii. Wystarczyłoby, żeby zrobić coś innego z życiem.

– Co cię skłoniło do myślenia o tym?

– To wielkie wiadro gówna – odparłem, stukając pięścią w gródź. – Okręt typu Niszczycionator.

– A konkretnie?

– Mamy tę całą nową błyszczącą technologię. Najbardziej zaawansowaną jednostkę we Flocie. A przy tym wciąż powiązaną ze starą metodą walki. Do czego będziemy jej używać? Żeby ganiać za Dryblasami poza Układem Słonecznym? Właśnie tego

spróbowaliśmy i nie udało nam się nawet obronić kolonii liczącej jedno miasto. Jaki to ma sens? Gdy desantują się na jakiś świat i tak zmieniają atmosferę, i niszczą nasze terraformery. Nigdy nie odzyskamy tych kolonii, nawet z Mścicielami.

Halley nie odpowiedziała. Zamiast tego spojrzała tylko na mnie z nieznacznym uśmiechem.

– Ale wiesz, że góra będzie ich dalej używać, bo powstały – ciągnąłem. – I dlatego, że taki jest, kurwa, plan. Zatem przez kolejnych dziesięć lat będziemy skakać pomiędzy rozrzuconymi po galaktyce cmentarzami, dopóki nie poślasimy się na coś, z czym nawet Niszczycionator sobie nie poradzi.

Obróciłem się na plecy i wpatrywałem w farbę na stropie.

– Dziesięć lat – powtórzyłem. – Będziemy pod czterdziestkę, gdy stąd odejdziemy. Jeśli odejdziemy. Jeśli nie skończymy w trumnie stojącej na pokładzie lotniczym. Albo jako zamrożone cząsteczki węgla w próżni nad jakimś księżycem na zadupiu przestrzeni.

– Czyli chcesz po prostu wszystko rzucić i przenieść się w góry Vermont?

– Nie wiem. Może. Albo zrobić coś innego. Chcę mieć czas, żeby coś wymyślić. I spędzić ten czas z tobą.

Znów obróciłem się do niej.

– Jesteśmy razem od prawie dziesięciu lat. Ile tego okresu naprawdę przebywaliśmy przy sobie? Sześć miesięcy?

– Albo niewiele więcej.

– Właśnie. I naprawdę chciałbym się dowiedzieć, jak to jest żyć z tobą. A nie spędzać razem dwa wspólne tygodnie urlopu na rok.

– Korpus potrzebuje doświadczonych ludzi, Andrew. Połowa to nowicjusze. Nie możemy tak po prostu odejść i ich zostawić.

– Myślę, że daliśmy już z siebie wystarczająco wiele. A nowicjusze dobrze sobie poradzili na Marsie. My też sobie radziliśmy, gdy byliśmy zieloni.

– O Boże, możesz sobie w ogóle wyobrazić, jakby to było znowu zostać cywilem? – spytała Halley. – Spać codziennie do rana. Jeść posiłki z czegoś innego niż plastikowa taca. Wychodzić na dwudniowe wycieczki, bo akurat ma się na to, kurwa, ochotę. Nie martwić się tym, że ten zasrany OTI brzęczy ci w kieszeni, informując, że świat się zaraz skończy, więc może pofatyguj się na swoje miejsce w pierwszym rzędzie, żeby to oglądać?

– W cywilnym świecie też potrzebują pilotów.

– Sama nie wiem. Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć. No i przyznaj się, co cię skłoniło do takich pomysłów?

Długo milczałem. Halley lekko stuknęła mnie pięścią w ramię.

– Hmm? No gadaj.

– Jest taki facet, którego poznałem poprzednio na Nowym Svalbardzie – odpowiedziałem. – Wielki policjant nazwiskiem Guest.

– I co z nim?

– Ewakuował się teraz razem z rodziną. Są w miasteczku namiotowym na bieżni. Żona, dwie córki. Właśnie stracili dom. On pracę, którą miał od piętnastu lat. Zniknęło ich całe dotychczasowe życie. A on się nie przejmuje, bo rodzina wydostała się z nim i teraz są razem. Właśnie zbombardowaliśmy atomówkami jego miasto, a on już pogodził się z tym, że zacznie wszystko od nowa. Bo one są dla niego ważniejsze niż praca albo dom.

Teraz to Halley milczała przez chwilę.

– To musi być miłe – rzekła po chwili.

– Tak – zgodziłem się. – Musi.

---

Na ostatnich pół miliona kilometrów dostaliśmy eskortę od Floty. Wieści o uratowaniu przez nas osadników z Nowego Svalbardu podróżowały szybciej niż „Ottawa” i sieciowizja zatopiała zęby



w soczystym czerwonym mięsie tej historii, tak więc zamiast do Dedalusa, zawinęliśmy na Węzłową, dokładnie trzy i pół miesiąca po wyruszeniu w dziewiczy rejs i dziewiętnaście dni od powrotu z systemu Fomalhaut. Dwa krążowniki towarzyszące „Ottawie” i „Michaelowi P. Murphy’emu” do stanowisk cumowniczych były pomalowane w nowy kontrastowy schemat kolorystyczny Floty i rozświetlone jak mrugające choinki, żeby niezliczone kamery z pokładu obserwacyjnego Węzłowej miały co podziwiać. Przez trzy lata nie było okazji do świętowania żadnych zwycięstw i podejrzewałem, że ewakuacja skazanej na zagładę kolonii zostanie wykorzystana jako dowód, że dobrze wydano zainwestowane w Mściciele pieniądze.



Po trwających dwa dni odprawach, badaniach medycznych, wywiadach prasowych i wizytach chyba każdego możliwego generała z korpusu, cała obsada „Ottawy” otrzymała specjalną pięciodniową przepustkę, na dodatek wciśniętą pomiędzy dwa weekendy, co dawało w sumie dziewięć dni wolności. Jako oficerowie Halley i ja znaleźliśmy się w pierwszej grupie opuszczającej okręt. Udało nam się wymknąć większości reporterów i zaciekawionych sztabowców czekających na nas w głównym korytarzu, udaliśmy się więc do stanowiska transferowego, żeby złapać transport na Ziemię.

– Dokąd chcą się państwo dostać? – spytał urzędujący sierżant, sprawdzając rozkład promów. Po tym, jak zerkał na nas, gdy sądził, że nie patrzymy, stwierdziłem, że nie znał jeszcze nowych turkusowych mundurów.

– Burlington – odpowiedzieliśmy oboje jednocześnie.

– Baza lotnicza SOZ Burlington – powtórzył. – Prom Osiem Zero Dwa, odchodzi o siódmej zero zero z kołnierza dokującego Brawo Dziewięć Pięć.

- Dziękujemy, sierżancie – odparła Halley.
- Możemy dojechać na dziewiątą do Falls i zjeść porządne śniadanie u chorążego – zaproponowałem, gdy szliśmy w kierunku bramek Brawo.
- Właśnie też o tym myślałam – odrzekła, a ja poczułem zadowolenie po raz pierwszy, odkąd rzutem na taśmę wydostaliśmy się z Nowego Svalbardu.



W promie na Ziemię Halley oparła się o mnie i pocałowała w policzek. Obserwowałem akurat, jak nikną w oddali Węzłowa i przycumowana przy niej ogromna „Ottawa”.

- Jeśli chcesz zrezygnować, zrobię to samo.
- Jeśli naprawdę chcesz zostać, zostanę z tobą – zripostowałem.

Uderzyła mnie w biceps.

- To nie tak działa. Powinieneś pozwolić mi okazać wspaniałomyślność i docenić złożoną ofiarę.

Znów oparła głowę o moje ramię i zamknęła oczy, wzdychając.

- Możemy wszystko obmyślić później. Ale najpierw potrzebuję kubka dobrej kawy i długiej wycieczki w czystym powietrzu.
- Będę przy tobie w każdej tej chwili – powiedziałem.
- Nigdy w to nie wątpiłam – odrzekła Halley. – I nigdy nie zwątpię.

**Koniec**

# Podziękowania

Po napisaniu dedykacji do sześciu powieści z cyklu „Frontlines” za każdym razem mam wrażenie, jakbym ciągle powtarzał to samo, a jednak wiem, że nieodmiennie zapominam komuś podziękować.

Jak zawsze jestem wdzięczny mojej wspaniałej ekipie z 47North – Adrienne, Jasonowi i Kristin – którzy zajmują się mną i tolerują notoryczne przekraczanie terminów. Dziękuję także Britt, która przeniosła się do wydawnictwa Kindle Worlds.

Dziękuję mojemu agentowi Evanowi Gregory’emu, który nie przestaje być wspaniały i utrzymuje mnie na prawidłowym torze w ramach długofalowego planowania kariery.

Dziękuję wszystkim kolegom po piórze, gangowi z Viable Paradise, George’owi R.R. Martinowi i łotrom od cyklu „Dzikie karty”. Miło zostać docenionym przez zawodowców, ale ważniejsza jest przyjaźń (oczywiście najlepiej połączyć jedno z drugim, a ja mam szczęście dostawać ostatnio najlepsze piki).

Dziękuję Royal Manticoran Navy za miłe powitanie na MantiCon i HonorCon, za zapraszanie mnie rok po roku i za głosowanie na mnie, dzięki czemu po HonorCon w Raleigh mogłem zabrać do domu nagrodę Rampant Manticore za najlepszą powieść w kategorii militarne SF oraz nagrodę H. Beam Memorial. Jesteście świetną ekipą i zawsze chętnie wychylę z wami pizgawicę.

Dziękuję mojej żonie Robin za to, że wykonuje najcięższe domowe obowiązki i pozwala mi chować się w gabinecie, żebym mógł zakładać magiczne, odcinające wszystkie dźwięki

słuchawki, gdy tylko potrzebuję. Bez Ciebie nie zdołałbym robić tego wszystkiego, co robię.

I na koniec dziękuję wszystkim moim czytelnikom. Pozwalacie mi pisać na pełen etat i moim zdaniem jest to najlepsza praca na tej planecie.



## O autorze

Mrko Kloos urodził się i wychował w niemieckim mieście Münster. Bywał żołnierzem, księgarzem, dokerem i administratorem sieci w korporacji, zanim uznał, że najbardziej w życiu chciałby robić coś twórczego.

Pisze przede wszystkim science fiction i fantasy, ponieważ

pasjami uwielbia te gatunki, odkąd zaczął wydawać kieszonkowe głównie na pulpowe serie SF. Jest autorem bestsellerowej serii Frontlines w realiach militarnego science fiction oraz członkiem pisarskiej grupy George'a R.R. Martina tworzącej we wspólnym uniwersum „Dziki karty”.

Marko rezyduje w Mroźnym Zamku w amerykańskim stanie New Hampshire wraz z żoną, dwójką dzieci i wędrowną sforą bezwzględnych jamników. Jego oficjalna strona to [www.markokloos.com](http://www.markokloos.com). Można się z nim skontaktować pod adresem [frontlines@markokloos.com](mailto:frontlines@markokloos.com) oraz na Twitterze (na którym spędza zdecydowanie zbyt wiele czasu), gdzie występuje jako [@markokloos](https://twitter.com/markokloos).



STEELHOG.PL



**SROGIE  
DODATKI  
DO TWOICH  
ULUBIONYCH LEKTUR.**

COPYRIGHT © 2018 BY Marko Kloos.  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2019

TYTUŁ ORYGINAŁU Points of Impact

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-418-6

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Postacie i wydarzenia przedstawione w tekście są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest przypadkowe i niezamierzone przez autora.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Dark Crayon

PROJEKT OKŁADKI Dark Crayon, Konrad Kućmiński | Graffi con

TŁUMACZENIE Piotr Kucharski

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Anna Samolej

SKŁAD „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl





## ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

## WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)  
[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)

# PUNKT UDERZENIA MARKO KLOOS

FRONTLINES CZĘŚĆ 6

**Może i ludzkość wygrała bitwę, ale wojna wciąż trwa...**

**S**ity zbrojne Ziemi powstrzymały ofensywę Dryblasów i wypchnęły ich okręty z Układu Słonecznego, ale Andrew Grayson wcale nie uważa wojny za zakończoną.

**C**o zmieniło sytuację Ziemi? Nowoczesne okręty i broń, zaprojektowane do zabijania Dryblasów, pozwalają ludzkości walczyć na równych zasadach z potężnymi wrogami.


**A**ndrew i jego żona Halley, obarczeni ciężarem dowodzenia oraz troską o życie podkomendnych, znaleźli się w awangardzie przygotowań do nowej fazy wojny.


**G**rayson znów zostaje wtrącony w chaos gwałtownych działań zbrojnych. Ogrom już poniesionych strat zmusza go jednak do zadania sobie pytania, czy koszt przetrwania nie jest zbyt wysoki.



fabryka słów®  
WYDAWNICTWO

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)

 /fabryka

 /fabrykaslow